

Raport gęgaczy

**O kłamstwach, manipulacjach
i prawdziwych zamiarach
środowiska PiS**

Raport gęgaczy

O kłamstwach, manipulacjach i prawdziwych zamiarach środowiska PiS

Autorzy: Waldemar Kuczyński, Krzysztof Łoziński, Marcin Makowiecki, Piotr Rachtan

Współpraca: Antoni Miklaszewski, Sławomir Popowski, Paweł Wimmer

Redaktor: Piotr Rachtan we współpracy z Agatą Czarnacką

Okładka: Andrzej Barecki

Wydanie I

© Copyright by Authors

Skład: Bartgraf

00-549 Warszawa,

ul. Piękna 24/26

tel. 22 625 55 48

e-mail: bartgraf@bartgraf.com.pl

Spis treści

Wstęp	5
Rozdział 1.	
Kłamczoholizm i kłamstwo jako główna metoda uprawiania polityki	7
Kłamstwo odwracające	8
„Odnowa moralna” i „wzmożenie moralne”	16
Kłamstwa życiorysowe	22
Metoda zdań niedokończonych albo zatruty cukierek	28
Nierealne obietnice, populizm	31
Uzurpacja	33
Nawiązywanie do tradycji Solidarności	34
Zmyślane afery i nienormalność normalności	36
Oszczyrstwa, insynuacje	41
Groźby, wezwania do przemocy	45
Kłamać zawsze, kłamać wszędzie...	46
Rozdział 2.	
Prawo, konstytucja, lustracja, sędziowie	49
Koncepcje prawa karnego – mit założycielski PiS	49
„Polityka karna”	50
Prawna mitomania	51
Odwracanie faktów i mylenie pojęć	52
Demagogia prawna	56
Walka z Kartą Praw Podstawowych UE	59
PiS i rzekoma walka z korupcją	62
Pastwo strachu (według notatek Waldemara Kuczyńskiego)	63
Ataki na Trybunał Konstytucyjny	65
Manipulacje w ordynacji wyborczej	69
Manipulacje przy rozpatrywaniu konstytucyjności ustawy lustracyjnej	71
Inne niekonstytucyjne pomysły prawne	77
Kalendarz dyskredytacji i obezwładniania Trybunału Konstytucyjnego przez PiS w latach 2006–2007	77
Raport Kaczyńskiego, czyli o pożytkach z maszyny losującej	80
Co PiS planuje Polakom zrobić?	82

Ataki na sędziów	92
Podsumowanie	96

Rozdział 3.

Klamstwa o stanie Polski: gospodarka	97
Więc jak to jest z tą gospodarką?	97
Polska w ruinie?	98
Ile razy bogatsi od nas	102
Wyłączenia prądu – wina rządu	103
Według PiS Polacy „biednieją”	104
Płace	106
Co na to Gini?	108
Czy rząd PO – PSL chce prywatyzować Lasy Państwowe?	108
Głodne dzieci	111
Stocznie	113
Jarosław i giełda. Jak Kaczyński chciał giełdę likwidować	119
Jarosław i polski złoty oraz koszty wyborczego programu z 2011 roku	120
Koszty „Programu wyborczego PiS w 2007”	121
Zarys polityki prywatyzacyjnej	123
2015 – program wyborczy PiS	127
SKOK-i	128
Wies i rolnictwo (według Beaty Szydło)	129

Rozdział 4.

Polityka zagraniczna	
Mit Lecha Kaczyńskiego, jako wielkiego polityka na arenie międzynarodowej	135
Sprawa Trójkąta Weimarskiego	140
Walka z Traktatem Lizbońskim	143
Niefortunne wyprawy zagraniczne polityków i awantury o samolot	146
Nowy prezydent, nowe (być może) rozdanie, a stara śpiewka	152

Rozdział 5.

Media, Internet, cenzura	155
Zlustrować Alę Pacino i Genowefę Pigwę	157
Polskie Radio	160
Telewizja publiczna	161
Prasa	164
Jednak Prawo i Sprawiedliwość nie zlekceważyło Internetu	166
Zabij Komora, zabij Kaczora, zabij...	168

Zakończenie

Zakończenie	171
Walka z „systemem”, „chcemy zmiany” itp.	171
Pełzający zamach stanu	171
Co z tego wszystkiego wynika?	177

Wstęp

Motto 1.

Byli to ludzie nienadający się do niczego, ale zdolni do wszystkiego

Roberto Gervaso, „Borgiowie” (cytat dotyczył Medyceuszy)

Motto 2.

*Gnomie, coś Polskę przez tak długie lata
wtrącił skutecznie w bez wyjścia kabałę,
nie myśl, że znowu zrobisz z nas wariata,
wziąć się nie damy na stare kawały*

(Janusz Szpotański: Cisi i Gęgacze, czyli bal u prezydenta, Finałny Chór Gęgaczy,
na melodię Boże, coś Polskę)

Zbliżają się wybory parlamentarne. Wraz z nimi rośnie fala czczych obietnic, nawała zobowiązań i lawina kłamstw oraz obelg. Szczególnie jedna siła polityczna przoduje w produkcji kosztownych projektów, które mają przekonać wyborców do jej wrażliwości społecznej i odciągnąć od tych, którzy miarkują się w populistycznych przyrzeczeniach. Postanowiliśmy przyjrzeć się, jak wygląda prawdopodobność tej siły, jakie obietniki składa, czy są one realistyczne, czy też całkiem niedorzeczne; uznaliśmy także, że – ponieważ partia Prawo i Sprawiedliwość zamierza przejąć władzę, należy pokazać wyborcom, że dla osiągnięcia tego celu powie ona wszystko, także – kłamstwo, bądź niedopowiedzenie, albo wręcz fałszerstwo i zmyślenie.

Jesteśmy grupą inteligentów, większość z nas to „stypendyści” ZUS, mający za sobą doświadczenie PRL-u i życia w rzeczywistości podwójnego języka, oraz świadome i aktywne uczestnictwo w przemianach ostatniego ćwierćwiecza, a wcześniej w oporze przeciw poprzedniemu systemowi. Jesteśmy realistami, wiemy, że nie ma ani idealnego ustroju, ani idealnej władzy. Partie są lepsze i gorsze, a wśród nich są takie – w większości – które szanują prawa mniejszości i porządek demokratyczny, są też jednak i inne, które ów porządek chcą zburzyć, by budować państwo według swojego uznania, nie uznają wyniku wyborów i demokratycznie wybranych władz, jeśli nie są „ich”. Nie planujemy karier politycznych, ani nie działamy na czyjekolwiek zamówienie. Nasza inicjatywa to działanie obywatelskie,

które ma na celu zdezwuować kłamstwo, pokazać miałość niektórych ludzi i ich prawdziwe, obecnie skrywane zamiary.

Z zebranych i pokazanych w naszym raporcie dokumentów, danych, wypowiedzi polityków tej partii i jej środowiska widać jasno, że ona właśnie należy do tej grupy pragnących zmienić ustrój Polski, niestety na gorszy. Nie są to jakieś pojedyncze wysoki, chlapięcie na konferencji czy do kamery – jest to konsekwentnie budowana i pielęgnowana linia programowa, która nie zmieniła się od lat, choć twarze, które ją reprezentują trochę się postarzały, obok nich pojawili się ludzie młodszy, lecz mówiący starym językiem.

Postanowiliśmy nie zajmować się katastrofą smoleńską, bowiem na jej temat powiedziano już wszystko i legion kompetentnych fachowców miał okazję się wypowiedzieć. Poza jednym aspektem – metodą dobierania „ekspertów”.

Najbardziej zainteresowały nas kwestie ustrojowe, gospodarka – w różnych jej aspektach, polityka międzynarodowa i pozycja Polski w Unii Europejskiej, prawo i wymiar sprawiedliwości. Przypominamy o aferze SKOK-ów, z których kasy tajemniczo wyparowało ok. 5 miliardów złotych, o innych niejasnych działaniach finansowych, jakkolwiek nie one są obszarem naszego największego zainteresowania, lecz ledwie ilustracją tego, co się kryje za fasadą „moralnej odnowy”, oraz tak pojmowanych prawa i sprawiedliwości.

Mówimy o środowisku politycznym, to znaczy nie tylko o samej partii PiS i jej formalnych członkach, ale także o ludziach i organizacjach ją wspierających, którzy formalnie mogą do tej partii nie należeć, ale faktycznie ją wspierają i stanowią z nią jedno środowisko polityczne (np. Solidarna Polska, Zjednoczona Prawica, Solidarni 2010, „obrońcy krzyża”...).

Zdajemy sobie sprawę, że niektóre niemądre pomysły mają także inne siły polityczne, oraz, że autorzy niektórych kłamstw zmienili barwy, ale to nie oznacza, że głupi pomysł zaczął być mądry, lub że kłamstwo stało się prawdą.

Chcemy, by nasz raport był jak sygnał systemu TAWS w Smoleńsku: „terrain ahead!” i by tym razem zadziałał – wyborcy, jeśli nie zareagujecie na alarm, za chwilę czeka was katastrofa.

Szanowni obywatele, pamiętajcie: możecie nie zajmować się polityką, ale polityka i tak zajmie się wami.

Autorzy raportu (w porządku alfabetycznym):
Waldemar Kuczyński, Krzysztof Łoziński, Marcin Makowiecki, Piotr Rachtan
przy współpracy Antoniego Miklaszewskiego, Sławomira Popowskiego
i Pawła Wimmera

Rozdział 1.

Kłamczoholizm i kłamstwo jako główna metoda uprawiania polityki

*„W dzisiejszej Polsce stosuje się powszechnie goebbelsowską metodę:
Kłam, kłam, a coś z tego zostanie”.*

Jarosław Kaczyński Polskie Radio,
„Sygnały dnia”, 8 maja 2007. Źródło: Wikycytaty

Wyjaśnijmy pojęcia. Czym jest kłamczoholizm? Uzależnieniem kłamczucha od kłamstwa, niczym pijaka od wódki. Można bez trudu zaobserwować grupę polityków, głównie z PiS i jego sojuszników, którzy tak często kłamią, że już nie potrafią tego nie robić. Kłamią nawet zupełnie niepotrzebnie, kontrując kłamstwem i takie wypowiedzi przeciwników, które skuteczniej można by skontrować faktami (prawdziwymi). Na kłamczoholików, takich jak Jarosław Kaczyński, Jacek Kurski czy Zbigniew Ziobro nie działają nawet takie kuracje odwykowe, jak liczne przegrane procesy o kłamstwa.

Charakterystyczny jest zresztą stosunek kłamczoholików do związanych z kłamstwem wpadek. Najlepiej sformułował to sam Jarosław Kaczyński w Sokołowie Podlaskim w 2013 roku: *„Wycofamy przepisy o ochronie dóbr niematerialnych. Michnik mógł wytaczać procesy i wygrywał, Gudzowaty mógł wytaczać procesy i wygrywał. Jak wszyscy zobaczą, że można o nich mówić ostro, to może się uspokoją”* (źródło: Newsweek nr 29/2013). A więc, by nie przegrywać procesów o kłamstwa, nie trzeba nie kłamać, tylko zmienić prawo tak, by udowodnienie kłamstwa nie powodowało przegrania procesu. Oczywiście kłamczoholicy uważają, że oni nie kłamią, a procesy przegrywają, bo prawo jest złe i ci, na których nakłamali, są źli.

Sprecyzujmy jeszcze, czym jest – a czym nie jest – kłamstwo, bo pojecie to bywa nadużywane. A więc **kłamstwo jest to działanie świadome, mające na celu wprowadzić kogoś w błąd (w tym przypadku najczęściej wyborców) dla uzyskania jakiegoś celu.**

Nie zawsze jest kłamstwem niespełnienie obietnicy wyborczej. Jest nim, o ile z góry składano ją ze świadomością, że nie będzie realizowana. Niedotrzymanie obietnicy wyborczej może bowiem wynikać z braku możliwości jej realizacji (np. brak wystarczającej większości parlamentarnej, zmiana sytuacji gospodarczej lub międzynarodowej itp.).

Nie jest kłamstwem pomyłka, nieświadome powtórzenie nieprawdziwej informacji (zaznaczmy: nieświadome!), błąd wynikający z nieznajomości jakiegoś fak-

tu, a więc – za każdym razem – powiedzenie nieprawdy bez świadomości, że jest to nieprawda.

Postaramy się przedstawić poniżej główne metody i przykłady notorycznego nałogowego kłamstwa. W oczach kłamczoholika on sam nigdy nie jest winien. Winien jest ten, kto go na kłamstwie złapał. I tu pojawia się pierwszy rodzaj kłamstwa.

Kłamstwo odwracające

Andrzej Duda zaczął kampanię wyborczą od niefortunnego tekstu, iż należy poważnie rozważyć wysłanie polskich wojsk na Ukrainę. Zapewne palnął coś bez zastanowienia, zaskoczony pytaniem. Oczywiście rzucili się na niego inni politycy i dziennikarze. Duda mógł się z tego wycofać, mówiąc po prostu, że trochę niefortunnie się wyraził, ale chodziło mu o to, że każdą opcję można rozważać, co nie znaczy od razu – akceptować. Zamiast tego zaczął kłamać.

Najpierw – że wcale tego nie powiedział. Wypowiedź jednak transmitowano niemal na okrągło we wszystkich telewizjach, więc trzeba było wymyślić coś innego. Wymyślił więc razem z Marcinem Mastalerkiem, że on to powiedział „w języku dyplomatycznym”, a w tym języku rzekomo, to co powiedział, oznacza zupełnie co innego, niż powiedział (nieprawda, w żadnym „języku dyplomatycznym” słowa i zdania nie mają odwrotnego znaczenia niż normalnie, co najwyżej przyjęte są pewne zwroty, których się używa, lub których się unika).

Wypadło to blado, więc Duda zaczął grozić pani premier sądem za to, że o jego wypowiedzi powiedziała prawdę. Grożenie sądem jest dosyć częstą formą kłamstwa odwracającego. Złapał mnie na kłamstwie, więc go pod sąd, by postronni myśleli, że skoro go pozywam, to znaczy, że to on kłamie (ale w rzeczywistości wcale sprawy do sądu się nie wnosi, bo by się przegrało. Przykład: Jarosław Kaczyński powiadomił prokuraturę o rzekomym sfalszowaniu jego lojalki w aktach IPN, po czym wycofał powiadomienie, gdy prokuratura chciała powołać biegłego grafologa).

Podobną metodę zastosowano, gdy wydały się przekręty z kilometrówkami trzech posłów PiS. Natychmiast oskarżono o nadużycia na tym tle Radosława Sikorskiego, czyli tego, kto ich ścigał. Oskarżenie nie miało podstaw w faktach, ale bębniły o tym przez tygodnie wszystkie media. Gdy w końcu prokuratura nie znalazła żadnych dowodów na nieprawidłowości w rozliczeniu Sikorskiego, można było o tym przeczytać tylko w niektórych telewizjach na pasku, przez jeden dzień. W ten sposób skutecznie odwrócono uwagę od oczywistego kantu trzech posłów PiS: oskarżając o to samo kompletnie niewinnego człowieka.

Mało kto więc zauważył, że ostatecznie okazało się, iż posłowie PiS jako jedyni dopuścili się podobnego kantu (pobrali z kasy Sejmu zwrot kosztów wyjazdu do Hiszpanii trzema – sic! – samochodami, gdy naprawdę polecili samolotem, tanimi liniami za kilkadziesiąt złotych). W dodatku pomówienie, że Radek Sikorski dopuścił się przekrętów, zostało rozpowszechnione nader szeroko, a ostateczne stwierdzenie, że żadnego przekrętu nie było, miało o wiele słabszą siłę rażenia.

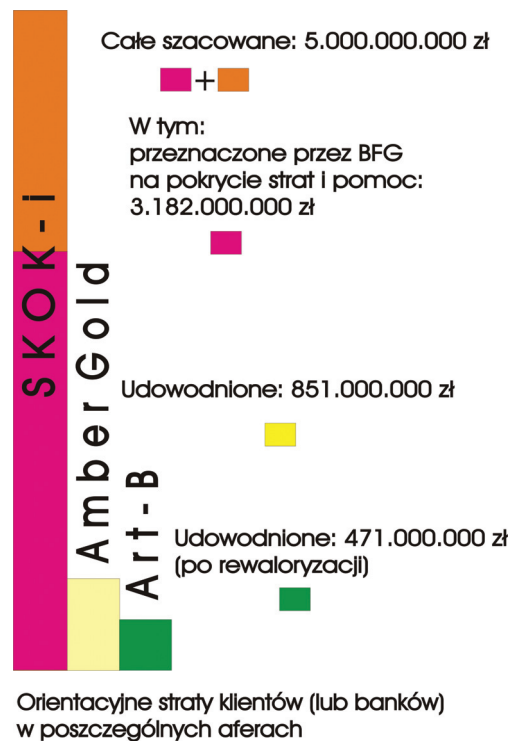
Gdy wydała się afera SKOK-ów – to, że senator PiS wyprowadził ze SKOK-ów na konta kontrolowanych przez siebie prywatnych spółek olbrzymią sumę pieniędzy, że z

kas SKOK-ów tajemniczo wyparowało około 5 miliardów złotych – politycy PiS zaczęli twierdzić, że ze SKOK-ami powiązany jest Bronisław Komorowski. Powód: był obecny na premierze filmu, na której byli też dwaj działacze SKOK-ów, i zrobiono mu z nimi zdjęcie. To nie szkodzi, że zdjęcia z prezydentem przy różnych okazjach robiło sobie bardzo wielu ludzi, których głowa państwa najczęściej w ogóle nie знаła, że byli tam też liczni politycy PiS, że z pieniędzy SKOK-ów finansowano sporo przedsięwzięć właśnie PiS, w tym niemal całe prasowe zaplecze PiS, że senator G. Bierecki był jednym z najbliższych ludzi Jarosława Kaczyńskiego – winien Komorowski, i już! Typowe kłamstwo odwracające. Wsparcie zresztą przez kolejne: oto pojawił się argument, że PiS ma aferę SKOK-ów, a PO ma aferę Amber Gold. A to, że politycy PO nie mieli z aferą Amber Gold nic wspólnego? Nie szkodzi, skoro PiS kłamał, że mieli, to mieli. Argumentacja: dlaczego tak było, skoro wcale nie było? Bo my kłamaliśmy, że było! Tak zwany dowód z siebie samego: dowodem na prawdziwość mojego kłamstwa jest moje wcześniejsze kłamstwo.

Oszczercstwo opierało się na tym, że syn Donalda Tuska, Michał, wbrew woli ojca, na krótko zatrudnił się w liniach lotniczych OLT (jako zwykły pracownik). A więc, jak w dowcipie o Radiu Erewań – „prawda niezupełna”: nie w Moskwie, a w Leningradzie, nie samochody a rowery i nie rozdają a kradną. Nie Donald a Michał, nie w Amber Gold a w OLT i nie kierował tylko pracował. Na tej samej zasadzie można by insynuować udział Jarosława Kaczyńskiego w przekrętach Marcina Dubienieckiego: nie Kaczyński a mąż jego bratowej, a Kaczyński nie „wiedział” tylko „nie wiedział”. Taka sama „prawda niezupełna”.

SKOK-i były lansowane jako kasy bezpieczne i „polski kapitał” (do dziś tak są reklamowane w telewizji). Prezydent Lech Kaczyński, jego ówczesny minister Andrzej Duda i senator PiS Grzegorz Bierecki bronili tych kas przed objęciem ich kontrolą Komisji Nadzoru Finansowego. Lech Kaczyński i Andrzej Duda zdolali opóźnić ten nadzór o szereg miesięcy. Dziś szacuje się, że w skutek złego gospodarowania, kradzieży, udzielania gangom kredytów na podstawione osoby (SKOK Wołomin), wyprowadzenia pieniędzy za granicę, do Luksemburga, na konta spółek związanych z Grzegorzem Biereckim (SIM, SKOK Holding) kasy SKOK poniosły straty rzędu ok. 5 miliardów zł. Ponad 3 miliardy strat pokrył już Bankowy Fundusz Gwarancyjny, przez co klienci SKOK-ów osobiście tego nie odczuli. Ale gdyby Lechowi Kaczyńskiemu i Andrzejowi Dudzie udało się całkowicie zablokować kontrolę KNF i objęcie SKOK-ów Bankowym Funduszem Gwarancyjnym, to ci namawiani do oszczędzania w SKOK-ach najbiedniejsi (i inni też) odczuli by to na własnej kieszeni. Na 52 kasy SKOK, w 40 toczy się postępowanie naprawcze. Tym czasem, jak podaje Newsweek (nr. 33/2015) senator Bierecki zarabia 8 mln zł rocznie, z pieniędzy SKOK-ów finansowane są bezpośrednio i pośrednio: „Gazeta Polska”, portal Niezależna.pl, radio Wnet, portal wPolityce.pl, pismo „W sieci” i „Gazeta Bankowa” (podajemy za Newsweek 33/2015).

Aby uświadomić czytelnikom rozmiary afery SKOK-ów przedstawiamy poniżej graficznie rozmiary strat klientów SKOK oraz poszkodowanych z innych afer, przy czym pamiętajmy, że afery Amber Gold i Art.-B nie miały powiązań politycznych, były dziełem prywatnych przestępców.



Bankowy Fundusz Gwarancyjny przeznaczył już na wypłaty gwarantowane dla osób fizycznych i prawnych, które, gdyby nie to, straciłyby swoje wkłady w SKOK-ach Wspólnota i Wołomin 3.064 miliony złotych i na wsparcie banków, które przejęły dwa kolejne SKOK-i, ratując je przed upadkiem, 118 milionów złotych. Łącznie BFG przeznaczył na pokrycie strat SKOK-ów 3.182 miliony złotych (trzy miliardy, sto osiemdziesiąt dwa miliony złotych). Szacuje się, że to nie koniec, że łączna kwota strat SKOK-ów sięgnie ok. 5 miliardów złotych. Mówimy o oszacowaniu, bo wydarzenia

dotyczące SKOK-ów trwają, pojawiają się kolejne informacje, końca tej afery nie widać. Tymczasem sprawy Amber Gold i Art-B są zakończone aktami oskarżenia lub wyrokami sądów. Skala afery SKOK-ów jest prawdopodobnie 6 razy większa niż Amber Gold i ok. 10 razy większa niż Art-B.

W 2014 roku politycy PiS zaczęli kłamać, że rząd chce prywatyzować lasy państwowe. Kompletnie kłamstwo wzięte z sufitu. Nikt tego nie planował, nie powstał projekt ustawy czy choćby rozporządzenia, nikt nawet nad takim projektem nie pracował, nie podjęto w tym kierunku żadnych działań, nikt z rządu ani partii rządzącej czegoś takiego nie zapowiadał. Kompletnie zmyślona sprawa.

Mimo to, a może celowo, działacze PiS zaczęli zbierać podpisy pod wnioskiem o referendum przeciw prywatyzacji lasów państwowych. Zwróćmy uwagę na mechanizm mistyfikacji. Zwykli ludzie, którzy nie śledzą na co dzień poczynąń rządu, myśleli, że skoro ktoś organizuje referendum przeciw jakiemuś projektowi, to znaczy, że taki projekt jest. Nie przychodzi im do głowy, że są okłamywani. Ponieważ powstała oparta na fikcji histeria, PO zgłosiła w Sejmie poprawkę do Konstytucji, mówiącą, że lasy państwowe nie mogą być prywatyzowane. PiS głosował PRZECIW niej. Jest dokładnie odwrotnie, niż PiS twierdzi. Nie ma projektu prywatyzacji lasów, jest projekt poprawki do konstytucji, by tego zabronić, a PiS jest jej przeciwny.

Gdy wreszcie, po miesiącach milczenia, premier Ewa Kopacz otwarcie powiedziała do kamer, że nikt z rządu ani z PO prywatyzacji lasów nie planował, na kon-

ferencji prasowej PiS 19 sierpnia 2015 r. Marcin Mastalerek oświadczył: „skoro dwa i pół miliona ludzi się podpisało (pod wnioskiem o referendum), to coś w tym musi być”. Zauważmy sposób argumentacji: skoro udało się nam okłamać 2,5 miliona ludzi, to znaczy, że kłamstwo jest prawdą.

Gdy pod wpływem rozpętanej przez PiS awantury referendalnej premier Ewa Kopacz zapowiedziała 19 sierpnia 2015 r. wniesienie do Sejmu poprawek do ustawy o lasach państwowych, które definitywnie przecinałyby kwestię ich rzekomej prywatyzacji, Beata Szydło natychmiast oświadczyła, że PiS może ustawę poprzeć, „o ile nie będzie w niej takiego wytrychu, jak poprzednio (to znaczy we wniosku o poprawkę do konstytucji)”. Tylko że w tym wniosku żadnego „wytrychu” nie było. PiS głosowało przeciw niemu, by nie stracić tematu do politycznej awantury, w której zainwestowało tyle wysiłku.

Ponieważ Bronisław Komorowski nie sprzeciwił się poprawce, mówiącej, że lasy państwowe nie będą prywatyzowane, PiS twierdzi, że Komorowski popierał ich prywatyzację. Dlaczego popierał prywatyzację? Bo nie sprzeciwił się zakazowi prywatyzacji. Trudno o lepszy przykład tej pokrętej logiki: Komorowski jest za prywatyzacją, bo poparł jej zakaz, PiS jest przeciwne prywatyzacji, bo storpedowało w Sejmie jej zakaz.

Zwróćmy jeszcze uwagę, że cała sprawa oparta jest na kolejnych kłamstwach: że lasy prywatne to coś złego, że wykupią je cudzoziemcy, że prywatny właściciel lasy wytnie albo ogrodzi i nikogo nie wpuści... To również nieprawda. Lasy prywatne, choć jest ich mniej niż państwowych, w Polsce istnieją i z punktu widzenia zwykłego obywatela niczym się od tych państwowych nie różnią. Obowiązują w nich takie same przepisy o gospodarce leśnej jak w państwowych. Nieprawda, że las prywatny można ot tak sobie wyciąć. Na każdą wycinkę, nawet jednego drzewa, trzeba uzyskać zgodę leśnictwa. Lasy prywatne stanowią niewielki procent lasów i jakoś wciąż jeszcze rosną. Absurdalny jest też pomysł ich grodzenia. Skuteczne ogrodzenie (nie sznurkiem) jednego hektara to ok. 400 metrów płotu, koszt rzędu 15-20 tys. złotych. A mało który las ma tylko jeden hektar. Koszt duży, a potrzeba wątpliwa. Nie dybią na polskie lasy też zadni cudzoziemcy. Działki leśne kupują głównie polscy rolnicy. Przelóżmy z polskiego na nasze: zakaz prywatyzacji lasów państwowych to w praktyce także zakaz sprzedawania polskim rolnikom działek leśnych. Czy ktoś im to uświadomił?

A o co naprawdę tu chodzi? W jednym ze spotów PiS-u widzimy grupkę dzieci nie mogących wejść do lasu, bo stoją przed tablicą: „Zakaz wstępu, teren prywatny”. To kompletna demagogia. W Polsce jest mnóstwo prywatnych lasów, jest ich mniej niż państwowych, ale są w niemal każdej gminie wiejskiej. Nie widzimy tego, bo w terenie tego nie widać. Trzeba by zajrzeć w księgi hipoteczne. Prawie każdy wczasowicz spacerował kiedyś po prywatnym lesie i wcale tego nie zauważył. Tak naprawdę chodzi tu zupełnie o co innego. Pytanie w referendum proponowanym przez prezydenta Dudę brzmiało: „Czy jest Pani/Pan za utrzymaniem dotychczasowego systemu funkcjonowania Państwowego Gospodarstwa Leśnego Lasy Państwowe?”. A więc pytanie nie było za utrzymaniem państwowej własności lasu (w sensie terenu, drzew, itp.), lecz o utrzymanie „systemu funkcjonowania przedsiębiorstwa”.

Ten „system funkcjonowania przedsiębiorstwa” wygląda tak: ogromne przywileje i państwo w państwie, przedsiębiorstwo, które teoretycznie jest państwowe, ale w praktyce właśnie państwo ma w nim bardzo ograniczone kompetencje (dokładnie opisała to Janina Solska w „Polityce” nr 36 z 2 września 2015). Zacytujmy drobny fragment tego tekstu: „W Lasach Państwowych płace przeciętne wynoszą 7,2 tys. zł, w rozbudowanej Dyrekcji Generalnej średnia sporo przekracza 11 tys. zł. Nadleśniczy zarobkami przebijają premiera, mogą wyciągnąć nawet 18 tys. zł.”.

Co więcej, to pytanie w referendum dotyczy „utrzymania systemu”, a nie zakazu sprzedawania lasów, bo ten „system” wcale temu przedsiębiorstwu nie zabrania sprzedania lasu prywatnym właścicielom. Taki zakaz może natomiast wprowadzić wymuszone walką polityczną ustawowe wprowadzenie państwowej własności lasów.

Nie zmienia to wszystko faktu, że cała sprawa jest oszukańczym trikiem. Nikt prywatyzacji lasów nie planował. PiS wymyślił nie istniejące zagrożenie, po to by udawać obrońcę rzekomego dobra narodowego.

Zwróćmy uwagę na wyjątkową metodę tego oszustwa:

1. PiS zaczyna okłamywać obywateli, że rząd chce prywatyzować państwową własność terenów leśnych;
2. Przejęci, okłamani ludzie, zaczynają składać podpisy pod organizowanym przez PiS wnioskiem o referendum w obronie państwowej własności lasów;
3. Okłamani wyborcy głosują przeciw Bronisławowi Komorowskiemu, „bo będzie sprzedawał lasy”;
4. Zwycięski nowy prezydent Andrzej Duda ogłasza, że składa wniosek o referendum przeciw prywatyzacji lasów;
5. Wniosek o referendum nie zawiera jednak pytania o prywatyzację lasów, lecz o „utrzymanie dotychczasowego systemu” przedsiębiorstwa, które lasami zarządza;
6. Okłamani ludzie gotowi są za tym zagłosować, bo pytanie jest tak pokrętnie sformułowane, że większość wyborców nie rozumie różnicy i myśli, że broni lasów a nie bizantyjskich przywilejów grypy ludzi, którzy lasami rządzą (bo na tym polega właśnie „utrzymanie dotychczasowego systemu” przedsiębiorstwa Lasy Państwowe);
7. Senat odrzuca wniosek o referendum, bo jest niekonstytucyjny, oszukańczy i bez sensu;
8. Beata Szydło występuje w telewizji i mówi, że PO i Senat „zlekceważyły podpisy milionów wyborców”. Tymczasem żadne „miliony wyborców” nie wnioskowały o to by urzędnicy państwowego przedsiębiorstwa mogli zarabiać po 18 tysięcy i więcej i mogli kupować leśniczówki za 6 tysięcy złotych, a wnioskowane referendum nie zawierało w ogóle pytania o własność terenów leśnych. Dzień później Jarosław Selin kłamie w TVN24, że rząd jednak chciał prywatyzować lasy, bo chciał, by Przedsiębiorstwo Lasy Państwowe, jako przedsiębiorstwo będące własnością państwa, wpłacało część swoich zysków do skarbu państwa. Co ma wpłacanie części zysków właścicielowi (państwu)

do prywatyzacji? Rozumowanie karkołomne: skoro państwo chce na lasach zarabiać, to znaczy, że chce je sprywatyzować (!?). To rozumowanie przekracza wszelkie granice absurdu.

A na koniec najsmakowitszy kąsek tego wątku: „**utrzymanie dotychczasowego systemu**” oznacza, że przedsiębiorstwo Lasy Państwowe **MOŻE bez przeszkód SPRZEDAWAĆ LASY!** Właśnie tak. Zgodnie z prawem wystarczy, że nadleśnictwo jakiś las „**uzna za nieprzydatny**” i już. Kryteria tego „uznania” są, jakże by inaczej, uznaniowe. A więc tak naprawdę, gdyby doszło do tego referendum, manipulowani ludzie głosowali by ZA sprzedawaniem państwowych lasów, myśląc, że głosują PRZECIW niemu. Doprawdy nieźle to sobie PiS i Andrzej Duda wymyślili.

Co więcej, winą Bronisława Komorowskiego, prezydenta, ma być to, że na temat prywatyzacji lasów (której wcale nie miało być), posłania sześciolatków do szkoły czy obniżenia wieku emerytalnego, itd., nie odbyły się referenda. Rzecz w tym, że o odbyciu, lub nie, referendum decyduje Sejm lub Senat, a nie prezydent. Prezydent nie ma tu nic do rzeczy. Może być inicjatorem referendum, ale nie może go zakazać. Tymczasem według kłamstwa PiS-u, „prezydent zlekceważył miliony podpisów obywateli”. Prezydent w ogóle się tym nie zajmował, bo to nie jego kompetencja.

A swoją drogą to czemu miałby takie pomysły popierać? Referendum przeciw projektowi, którego nie było? Referendum za tym, by polskie dzieci były gorzej wykształcone? Referendum za tym, by polscy emeryci dostawali głodowe emerytury, a pracujący mniej zarabiali (bo taki byłby skutki cofnięcia tej reformy emerytalnej)?

Później politycy PiS zaczęli domagać się dopisania do referendum na inny temat pytania o prywatyzację lasów. Znamy prostsze rozwiązanie: niech PiS przestanie kłamać, że ktoś chce prywatyzować lasy, a nie trzeba będzie pytać o to w referendum (dokładny opis faktów dotyczących tej sprawy podamy w rozdziale dotyczącym gospodarki).

Jeszcze dalej poszedł poseł PiS Krzysztof Szczerski, który na spotkaniach przedwyborczych na rzecz Andrzeja Dudy głosił, iż „prywatyzować będą rzeki, by trzeba było płacić prywatnym właścicielom za wodę”. Podobne twierdzenia głosił też Joachim Brudziński. Gdy reporter TVN24 pytał go, skąd ma takie informacje, po prostu milczał, po czym odwrócił się i odszedł (pokazano w TVN24 19 sierpnia 2015 r.).

Z kolei Antoni Macierewicz na takich spotkaniach mówił: „Komorowski powiedział sędziom – dobrze, że fałszujecie wybory, róbcie tak dalej”. Agitatorzy PiS-owscy w terenie głosili też, że na rynek „rzucano znikające długopisy” – z tuszem, który po 4 godzinach znika (wszystkie te wypowiedzi wyemitowała telewizja TVN24). O co chodzi? Właśnie o kłamstwo odwracające. Gdy PiS przegrywa wybory, za każdym razem głosi, że były sfałszowane, choć nie ma na to żadnych dowodów. Woli więc na wszelki wypadek, nie wiedząc jaki będzie wynik, zawczasu robić atmosferę fałszerstwa. A nuż się przyda.

Metoda nie jest nowa. Zastosował ją Zbigniew Ziobro, gdy wydało się, że będąc ministrem sprawiedliwości powołał do ministerstwa prokurator Krystynę Bartnik,

która w stanie wojennym oskarżała opozycjonistów. Prokurator Bartnik została negatywnie zweryfikowana za rządów Tadeusza Mazowieckiego i usunięto ją z prokuratury. Przywrócił ją do prokuratury minister Aleksander Będkowski z PSL. Gdy Ziobrze wytknięto tę nominację, natychmiast skłamał, że „to wina Mazowieckiego i grubej kreski”.

Gdy później doszła do władzy PO i powołano na ministra sprawiedliwości prof. Zbigniewa Cwiakalskiego, Ziobro natychmiast zareagował kłamstwem, że w 1968 roku Cwiakalski „robił karierę w PZPR, podczas gdy Ludwik Dorn był w areszcie bity przez milicję”. Cwiakalski nie „robił kariery” w PZPR, a Dorn miał wówczas 13 lat, chodził do szkoły, nikt go nie bił i w żadnym anclu nie siedział.

To wszystko coś przypomina. Gdy w PRL władza narozrabiała, zawsze winne były ofiary. Milicjant bez powodu strzelał do Jana Narożniaka – aresztowano Narożniaka, a nie milicjanta. Tak samo w IV RP. Zaszczuta przez nagonkę Kaczyńskiego i Ziobry Barbara Blida popełniła samobójstwo, ale to Jarosław Kaczyński i Zbigniew Ziobro „są prześladowani (Trybunał Stanu)”, bo „walczyli z przestępczością” (Z. Ziobro w TVP2, 4 maja 2015). Gdyby więc Ziobrę postawiono przed Trybunałem Stanu, to z winy Blidy i ofiar aresztów wydobywczych.

We wrześniu 2012 roku sędzia Milewski, prezes SO z Gdańska, podpuszczony przez dziennikarza udającego urzędnika Kancelarii Premiera był skłonny wykonywać polecenia polityków partii rządzącej. Już następnego dnia PiS-owskie media grzmiąły od rana, iż sędzia z Gdańska zachował się tak i tak... Sęk w tym, iż właśnie takie postępowanie sędziów i prokuratorów jest jednym z głównych punktów programu politycznego PiS-u i miało być podstawą ustrojową IV RP. Lech Kaczyński swego czasu powiedział to wprost: „bez podległości politycznej prokuratury nie można by prowadzić polityki karnej”. Podległość polityczna sędziów jest jednym z ważniejszych celów projektu Konstytucji IV RP (będziemy go omawiać w następnym rozdziale). To właśnie za próbę realizowania politycznej dyspozycyjności organów ścigania sejmowa komisja śledcza zaleciła postawienie Kaczyńskiego i Ziobry przed Trybunałem Stanu.

PiS w ogóle nie kryje się z zamiarem likwidacji niezależności – nie tylko prokuratur, ale i sądów. To między innymi po to uczyniono wiceministrem sprawiedliwości sędziego Kryże, który w czasach PRL był jednym z filarów grupy dyspozycyjnych politycznie sędziów, skazujących, jak partia chciała. Tak więc brawo: prezes SO w Gdańsku zachował się tak, jak w IV RP ma być normą!

I druga ciekawostka: PiS miał wówczas wysłać pismo do premiera, by „nakłonił szefa ABW do odtajnienia” tajnej notatki, czyli PiS oczekuje by premier popełnił przestępstwo z art. 231 kk (przekroczenie uprawnień).

Stworzono atmosferę skandalu, bo rzekomo za rządów PO czasami może być tak, jak za rządów PiS ma być zawsze. Znow typowe kłamstwo odwracające. PiS chce prowadzić „politykę karną”, czyli robić to, co w krajach praworządnych jest największym przestępstwem przeciwko prawu, a winny jest temu... Donald Tusk i jego rząd.

3 lutego 2006 roku dziennikarz Andrzej Krajewski skomentował w TVN24 podwójną konferencję prasową PiS, LPR i Samoobrony. Kilka godzin później poseł

PiS, Karol Karski objaśnił widzów TVN24, że Andrzej Krajewski jako były członek Unii Demokratycznej, Kongresu Liberalów, a obecnie Platformy nie ma prawa wypowiadać się w mediach. To już detal, że Andrzej Krajewski do żadnej z tych partii nie należał (a jakby należał, to co?). Chodzi o kłamstwo odwracające: nie jest skandalem to, co wyprawiało PiS, tylko to, że ktoś o tym powiedział, a w dodatku prawo wypowiadania się w mediach mają tylko zwolennicy PiS.

Odwracanie uwagi od niefortunnej konferencji PiS-u i przystawek kontynuował 8 lutego Jacek Kurski. W programie TVP „Debate” Kurski zarzucił mediom, że przez cztery lata ukrywały nagranie pijanego prezydenta Kwaśniewskiego nad grobami oficerów w Charkowie, bo taki rzekomo był zasięg władzy Pałacu. To także kłamstwo: w TVP Roberta Kwiatkowskiego tej taśmy rzeczywiście długo nie pokazano, ale widzowie TVN, dzięki naciskom Tomasza Lisa, zobaczyli ją w tydzień po skandalu, z wyjaśnieniami ministra Kalisza, że prezydent zachorował na gołęń.

Niestety, ani Kamil Durczok, ani Grzegorz Gauden nie obnażyli kłamstwa Kurskiego i wiadomość poszła. Zresztą tropiciel dziadków z Wehrmachu mówił kiedyś o tym w TOK FM otwarcie, choć nie na antenie: kłamał, bo ciemny lud to kupi, a sprostowania nikt nie zauważy, jeśli w ogóle będzie.

Zastosowana przez Jacka Kurskiego metoda kłamstwa odwracającego jest stosowana dość często i przypomina starą sowiecką anegdotę o tym, jak człowiek radziecki na uwagę Amerykanina, że „pociągi niepunktualnie kursują” odparł: „a u was murzynów wieszają!”. Według tej zasady każdy, kto w prasie skrytykuje PiS, natychmiast zostanie odpowiednio opisany.

Zresztą stałą mantrą polityków PiS stało się twierdzenie, że za wszystkie ich czyny odpowiadają inni, a zwłaszcza Platforma Obywatelska. Zaproszono przestępców z Samoobrony do współzrządzenia, „bo PO nie chciała koalicji”. Wniosek - winna jest PO.

Podobną konstrukcję kłamstwa zastosował Jarosław Kaczyński wobec prof. Zolli i Trybunału Konstytucyjnego. W przemówieniu sejmowym zarzucił prof. Zollowi i Trybunałowi Konstytucyjnemu „oportunizm i tchórzostwo” w sprawie instrukcji 0015, czyli tzw. „sprawie inwigilacji prawicy”. Miało to polegać na umorzeniu postępowania. Tymczasem prof. Zoll nie był wówczas przewodniczącym Trybunału, a sędzią-sprawozdawcą, zaś postępowanie zostało umorzone, bo rzeczoną instrukcję wcześniej już uchylił ówczesny minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski. Na kontynuowanie postępowania w tej sytuacji nie pozwalało prawo. De facto umorzenie postępowania spowodował Andrzej Milczanowski, a Trybunał Konstytucyjny nie miał wyboru, bo żaden sąd nie może wydawać orzeczeń w sprawie, której przedmiot przestał istnieć.

A więc Jarosław Kaczyński kłamie dwukrotnie: raz przypisując decyzję prof. Zollowi, dwa, przypisując odpowiedzialność za czyn Andrzeja Milczanowskiego Trybunałowi Konstytucyjnemu. I jak zwykle chodzi o to samo. Andrzej Milczanowski nie był wówczas przeciwnikiem politycznym Jarosława Kaczyńskiego, więc atakować go nie było potrzeby, **prof. Zoll zaś skierował do Trybunału Konstytucyjnego** wniosek o zbadanie zgodności z konstytucją forsowanej przez Jarosława Kaczyńskiego **ustawy medialnej**. Jarosław Kaczyński doskonale wiedział, że ta u-

stawa jest niezgodna z konstytucją, więc chciał zawczasu opluć Zolla i Trybunał. A nuż się przestraszą. I oczywiście to oni będą winni temu, że ustawa jest niekonstytucyjna. „Inwigilacji prawicy” tymczasem w rzeczywistości wcale nie było (napiszemy o tym dalej).

Jednym z najbardziej bezczelnych kłamstw odwracających zastosował na wiecu przed Pałacem Prezydenckim w dniu zaprzysiężenia, 6 sierpnia 2015 r., Andrzej Duda. Powiedział: „nie wierzcie tym, którzy mówią, że obniżenia kwoty wolnej od podatku i obniżenia wieku emerytalnego nie da się zrobić. To są bzdury.” Otóż ekonomiści nie mówią, że „nie da się zrobić”. Da się. Da się zrobić każdą głupotę, nawet zbrodnię. Mówią, jakie będą tego skutki, a będą fatalne. Andrzej Duda kłamie, łże jak PiS, i kłamie jeszcze bardziej, twierdząc, że kłamią ci, co jego kłamstwa demaskują.

„Odnowa moralna” i „wzmożenie moralne”

PiS jest swego rodzaju fenomenem na polskiej scenie politycznej - pierwszą od czasów PZPR partią, której cała propaganda oparta jest na kłamstwie, konfabulacji, insynuacji, oszczerstwie. Mimo pozorów spontaniczności PiS-owskie kłamstwo jest świadome, starannie przemyślane i rozpisane na role. Całe działanie tej partii oparte jest na złych emocjach, zawiści, kompleksach, zainteresowaniu innym człowiekiem tylko po to, by mu zaszkodzić, znaleźć na niego haka, zgnoić, poniżyć, skompromitować, zabrać jeśli się czegoś dorobił („Jeśli ktoś posiada pieniądze, to skądś je ma”, Lech Kaczyński, źródło: Gazeta Wyborcza, 1 września 2009) Żeruje na najniższych ludzkich instynktach, przede wszystkim zawiści, myśleniu, że ważniejsze od tego, bym ja miał, jest to, by inny nie miał.

Ile razy PiS przystępuje do jakiejś wyjątkowo krętackiej akcji, ogłasza „odnowę moralną” lub „wzmożenie moralne”. Szef partii Jarosław Kaczyński przedstawiany jest jako kryształ, niemalże wzorzec uczciwości, jednocześnie człowiek żyjący skromnie, w zasadzie asceta, który o żadnych korzyściach własnych nie myśli.

Zacznijmy od uczciwości krystalicznej. Pytamy: czy człowiek, który notorycznie kłamie, jest człowiekiem uczciwym? Czy człowiek, który kolportuje swój w dużym stopniu zmyślony życiorys, jest człowiekiem uczciwym?

Można też zapytać, czy człowiek żyjący w wygodnej willi, otoczony licznym dworem, u którego sprząta pani lipnie zatrudniona jako asystentka europosła (co niedawno opisał Newsweek), człowiek wszędzie wożony limuzyną, człowiek któremu partia i klub parlamentarny robią liczne podarki – zatajone w oświadczeniu majątkowym i od których nie płaci podatków – a kreujący się na skromnego ascetę jest człowiekiem uczciwym?

A czy jest wielkim patriotą? Naszym zdaniem patriotyzm zaczyna się od płacenia podatków, uznawania demokratycznie wybranych władz państwa, uznawania wyniku wyborów, nie tylko wtedy, gdy jest dla niego korzystny.

„Odnowa moralna” zarządzona w IV RP objawiła się w aresztach wydobywczych, samobójstwie Barbary Blidy, dorabianiu przestępstw do z góry wybranych osób, notorycznym kłamstwie i obelgach rzucanych wprost z trybuny sejmowej na

lekarzy („pokaż lekarzu, co masz w garażu”), pielęgniarce, inteligentów („lumpe-ninteligenci”, „wykształciuchy”) i elity intelektualne („łże-elity”).

Jakoś nie zdarza się, by człowiek naprawdę porządny ogłaszał swoją „wzmoczoną moralność”. To tak jak z garbatym. Człowiek, który nie jest garbaty, nie głosi przy każdej okazji: „nie jestem garbaty” i nie ogłasza „wzmoczenia wyprostowanej sylwetki”. Nie ma takiej potrzeby. Tak samo człowiek uczciwy nie ma potrzeby ogłaszania moralnych „odnow” ani „wzmoczeń”.

Aż trudno uwierzyć, że istnieją kraje, w których okłamanie kogoś w istotnej dla niego sprawie jest przestępstwem i gdzie podsłuchiwanie i nagrywanie przeciwników politycznych też jest przestępstwem. W Wielkiej Brytanii przestępstwem jest nawet niedotrzymanie obietnicy małżeństwa. W USA prezydent Clinton miał kłopoty z prawem nie z powodu romansu z Moniką Lewinsky, ale dlatego, że na ten temat skłamał. Wcześniej prezydent Nixon musiał złożyć urząd, bo wydało się, że podsłuchiowano i nagrywano jego przeciwników politycznych (afery Watergate), a on w tej sprawie powiedział nieprawdę. U nas istnieje partia polityczna, która nagminnie podsłuchuje i nagrywa swoich oponentów (lub z takich nagrań korzysta), ale to nie ona jest winna (choć wedle prawa jest to karalne), tylko zawsze winni są nagrani (afery gruntowa, hazardowa, taśmowa, sprawa posłanki Sawickiej, Weroniki Marczuk, rzekomej willi Kwaśniewskich). I to ta partia miewa „wzmoczenia moralne”!

Dochodzi to tego gigantyczna hipokryzja. Skrajna nieuczciwość w faktach i uroczyście ogłaszanie wyższości moralnej w propagandzie. W 2013 roku w Węgrowie na spotkaniu z wyborcami, poseł PiS Krzysztof Tchórzewski mówił: „przegraliśmy (wybory), bo się kierujemy uczciwością”, a potem: „mówi się, że PiS podsłuchiwało. Czy ktoś na tej sali był podsłuchiwany?”

Krzyżówka w gazetce „Jaka Polska”, którą PiS rozdaje w czasie spotkań z wyborcami (Sokołów Podlaski 2013): na 13 liter pionowo – „Mówienie prawdy cechuje członków PiS”. A jednocześnie, na tym samym spotkaniu Jarosław Kaczyński: „Służba zdrowia idzie w kierunku prywatnej i płatnej” (prywatna jest w dużym stopniu już dawno, a że płatna, to kłamstwo); „Rząd PiS stworzył 1,3 miliona miejsc pracy” (kompletne kłamstwo), i tak dalej... Kryzys wywołała władza, która szuka pieniędzy w kieszeniach ludzi, za tym stoją ludzie „układu”... Jednym słowem, „mówienie prawdy cechuje członków PiS”, a Kaczyński w najlepsze łże jak PiS.

Drobne, w gruncie rzeczy, gafy nagranych osób, wulgaryzmy, nieprzyjemny język, drobne głupoty to za każdym razem „ogromny skandal” i afery, nawet gdy nie ma w tym żadnego przestępstwa (ani w aferze hazardowej, ani w podsłuchowej osobom podsłuchanym nie znaleziono żadnego przestępstwa, nie było żadnej korupcji, a nawet jej obietnicy, ot, panowie niezbyt elegancko rozmawiali). Tymczasem wszystkie te niedopuszczalne wypowiedzi to prawie nic w porównaniu z tym, co jawnie i otwarcie (nie trzeba podsłuchiwać, wystarczy włączyć telewizor) na co dzień wygłaszają politycy PiS, od J. Kaczyńskiego poczynając. Podsłuchane gafy mają się do tej lawiny kłamstw, chamstwa, obelg, głupot, bredni, które jawnie generują ludzie PiS-u, jak ziarno piasku do Everestu. Ci ludzie od „wzmoczeń” i „odnow”

moralnych” popadają w święte oburzenie, gdy ktoś inny, na drobną skalę i nieudolnie, robi to samo, co oni na co dzień. I podsłuchiwać tego nie trzeba, jest w wiadomościach.

Jeden z przykładów hipokryzji: Jacek Kurski w wywiadzie dla Onet.pl za rządów PO: „Na konkretnych przykładach widać było, że ekipa Donalda Tuska nie ma kompetencji do rządzenia państwem. Ten rząd nie był w stanie przyjąć odpowiedzialności za rządzenie. [...] Jedyną rzeczą, która ta ekipa była w stanie zrobić, to pośpiesznie zapłacić urzędy opróżnione po ofiarach tragedii, czyli takie jak Kancelaria Prezydencka, NBP czy IPN.”

A teraz Jacek Kurski na zjeździe wyborczym PiS, 4 marca 2007 r. w Gdańsku: “Będę konsekwentny w odzyskiwaniu dla ludzi PiS urzędu po urzędzie, przedsiębiorstwa po przedsiębiorstwie, agendy po agendzie. Odzyskamy te miejsca, których obsada zależy od państwa. PiS musi tam rządzić. Trzeba jasno powiedzieć, że 16 miesięcy po wygranej PiS żaden działacz czy zwolennik naszej partii, który wykrwawiał się w naszych kampaniach wyborczych, nie może cierpieć głodu i niedostatku. Ci ludzie muszą w satysfakcjonujący sposób przejąć władzę w części sektora podlegającego rządowi.”

Inny przykład. Rozdmuchano niebывałą wrzawę w związku z tym, że poseł PO Sławomir Nowak nie zamieścił w Rejestrze Korzyści (popularnie zwanym oświadczeniem majątkowym) zegarka za 17 tys. zł. Doszło do sprawy sądowej, ostatecznie Sąd Apelacyjny w Warszawie umorzył postępowanie na okres próbny (1 rok), argumentując m.in., że sprawa ta jest „przypadkiem mniejszej wagi”, a sam Sławomir Nowak nie był wcześniej karany. Sąd argumentował, że w stosunku do wielkości majątku, jaki Nowak ujawnił w Rejestrze Korzyści, ten zegarek to w istocie drobniaczek, raczej niedopatrznie, niż zła wola.

Jednocześnie Jarosław Kaczyński zataił w Rejestrze Korzyści darowiznę o wartości ok. 400 tys. złotych na honorarium jego adwokata w sprawie smoleńskiej. Była to darowizna od Klubu Parlamentarnego PiS. Ustawa o pełnieniu obowiązków posła i senatora mówi w art. 18 p. 2: „Kluby i koła otrzymują środki finansowe na pokrycie kosztów swojej działalności, w tym na pokrycie kosztów działalności biur klubów i kół, w wysokości i na zasadach określonych wspólnie przez Marszałka Sejmu i Marszałka Senatu. **Środki te nie mogą być wykorzystywane na inne cele niż określone w zdaniu pierwszym.**” A więc klub parlamentarny nie ma prawa robić darowizn na rzecz osób prywatnych. Nie ma też prawa robić zbiorów publicznych. No i co? I nic? Czy organizator tej akcji aby nie podpada pod art. 231 kk?

Jednocześnie Jarosław Kaczyński zataił w oświadczeniu majątkowym darowiznę w wysokości ok. 3,5 miliona złotych na koszty jego ochrony i wynajęcia sąsiednich posesji w celu zaspokojenia prywatnych potrzeb. Prokuratura określa to jako czynny z art. 233 par. 1 i 6 kk (co nie przeszkadza stronnictwom politycznym prokuratorom odmówić ścigania, ale to osobny temat, patrz: Studio Opinii, „List otwarty do Prokuratora Generalnego Andrzeja Seremeta”).

Zapłacenie za kogoś kosztów usługi wykonanej na jego rzecz w sposób oczywisty jest darowizną. Ponoszenie za kogoś kosztów nie tylko ochrony osobistej, ale i usług służby dworskiej (szoferowania, robienia zakupów itp.), wynajęcia sąsiednich

posesji, by nie miał sąsiadów o innych poglądach, w sposób oczywisty jest darowizną. Jeżeli ktoś jest na cudzy koszt wożony, to odnosi korzyść, bo nie musi sam robić prawa jazdy i kupować samochodu. Jeżeli ktoś jest chroniony na cudzy koszt, to też odnosi korzyść, bo konsumuje usługę, za którą nie płaci. Twierdzenie, że tak nie jest, to absurd urągający arytmetyce na poziomie pierwszej klasy szkoły podstawowej. Czy się to nazwie darowizną, czy nie, jest korzyścią, która w rejestrze powinna być ujawniona.

Nie wymagałoby to wymienienia w oświadczeniu majątkowym (i opodatkowania), gdyby należało mu się z mocy prawa. Rzecz w tym, że Jarosław Kaczyński otrzymuje to świadczenie nie od państwa (co mu się należy), lecz od partii politycznej. Zgodnie z art. 24 p. 2 ustawy o partiach politycznych „majątek partii politycznej może być przeznaczony tylko na cele statutowe lub charytatywne”. Wśród celów statutowych PiS nie ma pozycji: „opłacanie ochrony i życia w luksusie Jarosławowi Kaczyńskiemu”. Trudno też uznać to za cel charytatywny. Jest to więc całkowicie pozbawiona podstaw prawnych darowizna. Zaznaczamy, iż Jarosławowi Kaczyńskiemu należy się ochrona z BOR i była mu oferowana. To, że z niej nie korzysta, jest jego prywatną fanaberią. Ale w państwie prawa za prywatne fanaberie płaci się samemu.

Od wymienionych powyżej darowizn powinno się zapłacić podatek, drobne 760 tys. zł. O ile wiemy, ludzie krystalicznie uczciwi i „patrioci” podatki płacą.

Partii od wzmożeń moralnych nie przeszkadza, że jej wiceprezesem ciągle jest skazany na 3 lata więzienia za nadużywanie władzy Mariusz Kamiński. Nie przeszkadza to także wystawieniu go jako kandydata w wyborach. Otwarcie mówi się, że „Duda i tak go ulaskawi”. PiS dzieli zresztą przestępców na nie-swoich, których trzeba ścigać surowo, i swoich, którzy są zawsze skazani niesłusznie.

W 2005 roku PiS wygrało wybory pod hasłami zdecydowanej walki z przestępcami. Po 7 miesiącach od objęcia władzy wprowadziło do rządu, na stanowisko wicepremiera, człowieka 7 razy skazanego prawomocnymi wyrokami, chwającego się posiadaniem dalszych 131 zarzutów prokuratorskich, w których postępowania są zawieszone ze względu na immunitet poselski. Co gorsza, Andrzej Lepper czuł się całkowicie bezkarny i otwarcie dawał temu wyraz. Z wyroków w zawieszeniu po prostu sobie kpił.

Politycy PiS, wprowadzając go do rządu, dokonywali karkołomnej ekwilibrystyki słownej, nazywając go „przestępcą, ale nie kryminalnym”, posuwając się nawet do absurdalnych twierdzeń, że Lepper popełniał przestępstwa, bo miał ku temu podstawy, bo walczył o słuszne sprawy wsi, jednym słowem – że popełniał przestępstwa w interesie społecznym. Poseł Tadeusz Cymański cynicznie twierdził nawet, że Lepper łamał prawo, ale „nie jest kryminalistą”. Sugerował przy tym, że widać to prawo było niesłuszne. Politycy PiS starali się nam wszystkim wmówić, że Lepper jest przestępcą politycznym, niemalże prześladowanym za poglądy.

Według wykładni stosowanej przez polskie sądy i według słowników języka polskiego, kryminalistą jest człowiek prawomocnie skazany za przestępstwa umyślne, z czego wyłącza się osoby skazane w PRL w procesach politycznych. Andrzej Lepper był kryminalistą, co by poseł Cymański nie kombinował. Został

7 razy prawomocnie skazany za przestępstwa umyślne, a nie za poglądy, działalność polityczną itp. Pobicie, niszczenie mienia, kłamstwo, pomówienie, obelga to nie są poglądy. Oszczerca i kłamczuch nie jest więźniem sumienia (już raczej braku sumienia).

Przypomnijmy wyroki na Andrzeja Leppera (podajemy za PAP):

1. W 1994 r. Lepper został oskarżony o podżeganie do użycia siły wobec zarządcy gospodarstwa ogrodniczego Antoniego Chodorowskiego z Kobylnicy Słupskiej. Zwolennicy Leppera ogolili wtedy głowę Chodorowskiemu i wychłostali go. Słupski sąd skazał za to lidera „Samoobrony” na 1,5 roku więzienia w zawieszeniu na 3 lata.

2. W 1997 r. Sąd Rejonowy w Lublinie uznał Leppera za winnego łżenia naczelników organów państwa. Druga instancja utrzymała w mocy to orzeczenie. Leppera skazano na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na 2 lata oraz 3 tys. zł grzywny. Ponieważ Lepper po skazaniu nie zapłacił całej zasądzonej grzywny, sąd skazał go dodatkowo na 41 dni aresztu. Lepper wyszedł jednak po kilku godzinach, bo „Samoobrona” wpłaciła brakującą kwotę.

3. W marcu 2001 r. łódzki Sąd Rejonowy za nazwanie byłego wicepremiera Janusza Tomaszewskiego „bandytą z Pabianic” skazał Leppera na dwa tysiące złotych grzywny. Wyrok ten utrzymał w styczniu 2002 r. Sąd Okręgowy w Łodzi.

4. W maju 2001 r. Sąd Okręgowy w Gdańsku skazał przewodniczącego „Samoobrony” na karę roku i czterech miesięcy za znieważenie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i dwóch byłych wicepremierów. Po odwołaniu obrońców Sąd Apelacyjny zamienił jednak tę karę na grzywnę 20 tys. zł.

5. W 2002 r. - po ponad dwóch latach procesu Sąd Rejonowy w Elblągu skazał go na grzywnę 21 tys. zł za znieważenie naczelników organów państwa podczas blokady w Nowym Dworze Gdańskim w styczniu 1999 r. Sąd uznał, że Lepper podczas blokady znieważał słowami powszechnie uznanymi za obraźliwe naczelne organy państwa, m.in. rząd Jerzego Buzka nazwał „rządem zdrady narodowej”, a samego premiera - „bandytą”. W 2003 r. sąd obniżył wysokość grzywny do ośmiu tysięcy zł.

6. 15 marca 2002 r. Sąd Rejonowy w Słubicach skazał Leppera za zorganizowanie w styczniu 1999 r. nielegalnej blokady przejścia granicznego w Świecku na rok więzienia w zawieszeniu na cztery lata.

7. 8 maja 2006 roku Sąd Apelacyjny w Warszawie utrzymał w mocy wyrok Sądu Okręgowego jednego roku i trzech miesięcy więzienia w zawieszeniu na 5 lat oraz 20 tysięcy złotych grzywny za publiczne pomówienie pięciu polityków. Do tego Lepper miał jeszcze zapłacić koszty sądowe oraz kolejne 20 tysięcy złotych za dośćuczynienia na rzecz Andrzeja Olechowskiego.

Poza tym przeciw Lepperowi toczyły się wówczas jeszcze dwie sprawy karne:

1. Za wysypywanie zboża,
2. Za oszukanie Jana Piechowskiego.

Trudno się zresztą dziwić, że Jarosława Kaczyńskiego nie raziły wyroki Leppera, skoro on sam notorycznie nazywa premiera, prezydenta, ministra spraw za-

granicznych i innych zdrajcami, mordercami prezydenta i 96 osób... Tak więc towarzystwo – ani w rządzie PiS siedmiokrotnie skazanego przestępcy, ani obecnie skazanego na 3 lata wiceprezesa – partii „wzmoczenia moralnego” nie przeskadza.

Czołowym hasłem propagandowym PiS-u była walka z korupcją. Krystalicznie czysta moralnie partia miała walczyć z „układem”, „szarą siecią” itp. No, to przypomnijmy parę faktów.

W czasach IV RP PiS chciało zwiększyć przewagę nad koalicjantami (LPR i Samoobroną). Dwaj posłowie PiS, Adam Lipiński i Wojciech Mojzesowicz, proponowali Renacie Beger zmianę barw partyjnych w zamian za spłatenie 500 tysięcy jej długów z funduszy Sejmu oraz intratne stanowiska dla całej rodziny. Gdy sprawa wyszła na jaw, politycy PiS twierdzili, że były to „normalne negocjacje polityczne”.

W tym samym czasie bliski znajomy braci Kaczyńskich i były czołowy polityk PC, Adam Glapiński, został zatrudniony w Przedsiębiorstwie Wydawniczym Rzeczpospolita jako doradca zarządu. Otrzymał za to wynagrodzenie w wysokości ok. 100 tys. złotych. Jedynym materialnym śladem jego doradzania była jedna nie-dbale zapisana kartka papieru. Według władz przedsiębiorstwa „doradzał ustnie”. Sam Glapiński indagowany przez dziennikarzy nie potrafił sobie przypomnieć, że był tam zatrudniony. Ale sto tysięcy wziął.

I jeszcze drobiazg, świadczący także o poziomie kultury osobistej. 1 września 2015 roku, po uroczystości na Westerplatte, prezydent Andrzej Duda na pożegnanie nie podał ręki pani premier Ewie Kopacz, choć zrobili to wszyscy inni obecni, także urzędnicy z jego kancelarii. Gdy premier Ewa Kopacz zbliżyła się do niego, odwrócił się do niej tyłem i odszedł.

Przypomnijmy na koniec tego wątku ciekawą wymianę zdań z debaty Kaczyński – Kwaśniewski (Kaczyński nie chciał debatować przed wyborami z Donaldem Tuskiem, bo się bał, więc debatował z Aleksandrem Kwaśniewskim).

Aleksander Kwaśniewski do Jarosława Kaczyńskiego: „Jak Pan mówi o Kaczmarku, to ja panu powiem, że to jest dla mnie zdumiewające, bo bardziej demoralizowanej ekipy rządowej to ja jeszcze nie widziałem. Jeżeli oskarżonymi czy podejrzanymi są minister spraw wewnętrznych w pańskim rządzie, szef CBS w pańskim rządzie, prezes największej firmy ubezpieczeniowej, którego pan mianował, minister sportu, szef Centralnego Ośrodka Sportu...” (Kwaśniewski zapomniał o podejrzanym komendancie głównym policji, wicepremierze z 7 prawomocnymi wyrokami i ministrach zamawiających piwo znakiem heil Hitler). Na to Kaczyński: „To jest najlepszy dowód, że my jesteśmy pierwszym uczciwym rządem.”

Skoro utworzyliśmy rząd, w którym blisko 1/3 składu to podejrzani, przestępcy lub filofaszyści, to znaczy, że jesteśmy uczciwi. Ciekawa konstrukcja nielogiczna.

„Wzmoczenie” i „odnowa moralna” nie przeszkadzały też Jarosławowi Kaczyńskiemu powiedzieć: „Gdybyśmy przyjęli założenia czysto moralne, to byśmy nic nie mieli.”

Kłamstwa życiorysowe

To takie ludzkie i zrozumiałe, że każdy chciałby mieć piękny życiorys. Gdy się jest politykiem, to wręcz pożądane. Dość powszechnie życiorysy troszeczkę się naciąga, coś przemilcza, coś uwypukla... Wszystko jest do wytrzymania, dokąd nasz życiorys nie zamienia się w całkiem cudzy. U kłamczocholika rzecz ma się następująco. Zaczyna się od drobnych korekt, ale co roku życiorys pięknieje, przybywają nowe „fakty”. Praca w biurze zarządu zamienia się w pracę w zarządzie, podoficer w oficera, tata biuralista w tatę legionistę, itd. Po paru latach w życiorysie pojawiają się czyny, o których słyszało się w telewizji, czytanie parokrotne podziemnej prasy zamienia się najpierw w kolportowanie tejże, później w wydawanie tejże, a paniczny strach przed udziałem w podziemiu z czasem staje się byciem jego przywódcą.

Jarosław Kaczyński rzeczywiście był współpracownikiem KOR, a ściślej Zofii Romaszewskiej. Rzeczywiście brał udział w tworzeniu tak zwanego Raportu Madryckiego. Zofia Romaszewska przyznała po latach, że pracował w filii UW w Białymstoku i „dostarczał cennych informacji o tym, co działo się na tym terenie”. Inna sprawa, że „na tym terenie” niewiele się działo, ale tego fragmentu życiorysu Kaczyńskiego nikt poważny nie kwestionuje. Cuda zaczęły dziać się później. Według oficjalnego życiorysu Prezesa, zamieszczonego swego czasu na stronie PiS, w czasie strajków sierpnia 1980 roku, Jarosław Kaczyński „zakładał Solidarność”. Gdzie ją „zakładał”? Zagadka. I co to znaczy „zakładał”? To znaczy, że co konkretnie robił? Brał udział w strajku? Nie, a przynajmniej nic o tym nie wiadomo. Zresztą, gdzie, w którym? To pierwsza tajemnicza wersja. Gorzej, że nie jedyna.

Druga wersja pojawia się w wywiadzie udzielonym przez Jadwigę Kaczyńską Newsweekowi. Według tej wersji Jarosław Kaczyński był przez cały lipiec i sierpień 1980 roku aresztowany w Pałacu Mostowskich (KS MO w Warszawie) i został zwolniony dopiero po podpisaniu porozumień rządu z MKS w Gdańsku. Jest to nieprawda. Jednym z postulatów MKS w Gdańsku było zwolnienie osób zatrzymanych w związku z pomocą strajkującym. Była sporządzona lista tych osób, Kaczyńskiego na niej nie ma. Zresztą dlaczego miałby być zatrzymany? SB w ogóle nim się nie interesowała (teczkę założono mu dopiero w 1982 roku, i to z innego powodu).

Jest i wersja trzecia. Tym razem z życiorysu w Encyklopedii Solidarności. Był na krótko zatrzymany 28 sierpnia (czyli tuż przed końcem strajków) we Wrocławiu. Trudno to sprawdzić, może był, może nie. A tym bardziej nie wiadomo, czy z powodów politycznych. Milicja w tym czasie starała się zablokować łączność między dużymi ośrodkami strajkowymi. Mogli zatrzymać do wyjaśnienia przyjezdnego, choćby dlatego, że był z Warszawy. To możliwe. Wysoce wątpliwa wydaje nam się dalsza część tej wersji. Kaczyński ponoć był „czymś w rodzaju łącznika między strajkującymi załogami”. Jest to zupełnie nieprawdopodobne. Po pierwsze nie przypominamy sobie istnienia takich „łączników”. Po co? Nie było takiej potrzeby. Zresztą, jeśli już komuś powierzono by taką misję, to raczej nie Jarosławowi Kaczyńskiemu, który był w środowisku ówczesnej opozycji kompletnie nieznaną postacią. Wysłano by Lecha, który skromnie, bo skromnie, ale w opozycji na Wybrzeżu działał. Lecha tam znano, Jarosława – wysoce wątpliwe.

Jeszcze by uszło, gdyby nie wersja czwarta wygenerowana przez biuro PiS na ul. Nowogrodzkiej w Warszawie. Jarosław Kaczyński w sierpniu 1980 roku „prowadził punkt informacyjny dla strajkujących załóg na ul. Bednarskiej w Warszawie” (wyjaśnienie udzielone przez biuro PiS Zbigniewowi Lisickiemu i przesłane mailem Krzysztofowi Łozińskiemu). No, to już kłamstwo szerokotorowe. Taki punkt rzeczywiście istniał, ale już po zakończeniu strajków, we wrześniu. Punkt ten prowadziła Katarzyna Zon, a nie Jarosław Kaczyński. Kaczyński mógł tam być, bo było tam wielu ludzi, ale na pewno nie „prowadził” tego punktu podczas strajków sierpnia. Punkt ten istniał krótko, przestał być potrzebny, gdy tworząca się Solidarność zaczęła mieć własne lokale. Wcześniej, też po zakończeniu strajków, istniał punkt kontaktowy na ul. Hożej.

I co o tym myśleć? Co myśleć o człowieku, który nie potrafi w sposób jasny i zrozumiały powiedzieć, co robił w krótkim, ale ważnym okresie czasu? O człowieku, który był jednocześnie we Wrocławiu, w Pałacu Mostowskich i na Bednarskiej?

Powstała Solidarność. Po latach Jarosław Kaczyński nagle pałał, że na zebraniu 17 września 1980 roku, to on, wbrew Wałęsie, zdecydował o powstaniu jednego związku Solidarność, a nie kilku związków regionalnych (publiczna wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego 17 września 2011 roku po godz. 12, transmitowana przez radio). Wałęsa był wówczas niekwestionowanym przywódcą ogromnego ruchu, a Jarosław Kaczyński kompletnie nieznaną postacią. I ten nikomu niemal nie znany osobnik „zdecydował wbrew Wałęsie” o powstaniu Solidarności. Zapewne wcześniej zdecydował wbrew konklawe o wyborze Karola Wojtyły.

Jarosław Kaczyński pojawił się w Regionie Mazowsze jako pracownik biurowy (być może wolontariusz) w Ośrodku Badań Społecznych przy Zarządzie Regionu, którym kierował Antoni Macierewicz. Podkreślamy, Kaczyński nie był pracownikiem biura Zarządu Regionu, lecz ośrodka doradczego przy zarządzie. Podczas wyborów parlamentarnych w 2007 roku Kaczyński podawał, że był „doradcą Zarządu Regionu”. Natychmiast po wyborach ta informacja zniknęła ze strony PiS. I tak z pracownika biurowego jednego z ciał doradczych stał się doradcą Zarządu Regionu. To tak, jakby urzędnik dziekanatu jednego wydziałów głosił po latach, że był doradcą rektora.

Jeden z nas, Krzysztof Łoziński, był na wszystkich 62 zebraniach Zarządu Regionu Mazowsze w latach 1980-81. Kaczyńskiego nie przypomina sobie na żadnym. Na liście doradców zarządu nie figurował.

Nastał stan wojenny. Co robił Kaczyński – nie wiadomo, prawdopodobnie nic. Gdy w czasie przedwyborczej debaty telewizyjnej z Donaldem Tuskiem został zapytany przez Tuska: „Co pan robił w stanie wojennym?”, zamilkł. Nic nie odpowiedział i był wyraźnie zagubiony.

Coś jednak robił. Uczestniczył w zakładaniu Komitetu Helsińskiego. Ale Komitet Helsiński to wszak „łże-elity”, „wykształciuchy” i „lumpeninteligenci”, więc kłopot, o tym się nie mówi. Tak jak o udziale w Okrągłym Stole, bo to wszak była „zdrada okrągłego stołu”, wedle obecnej wersji.

Czas mijał. Przyszły kolejne wybory i Kaczyński w kolejnym życiorysie był już „członkiem i doradcą władz krajowych podziemnej Solidarności”. Encyklopedia

Solidarności podaje kolejną wersję: był członkiem i doradcą „w składzie sekretariatu Krajowej Komisji Wykonawczej”. Kaczyński podawał też, że był „sekretarzem podziemnej KKW”. Wszystkie te funkcje przypisywał też sobie Lech Kaczyński.

To ustalmy fakty.

22 kwietnia 1982 r. Zbigniew Bujak, Bogdan Lis, Władysław Frasyniuk i Władysław Hardek powołali Tymczasową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność”. Działała w niezmienionym składzie do 25 października 1987 roku. Jak widać, żadnego z Kaczyńskich w niej nie było. Tak więc żaden z Kaczyńskich w podziemnych władzach Solidarności przez pierwsze 6 lat podziemia nie uczestniczył.

Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” została powołana 25 października 1987 roku. W skład KKW weszli: Lech Wałęsa (przewodniczący), Zbigniew Bujak, Jerzy Dłużniowski, Władysław Frasyniuk, Stefan Jurczak, Bogdan Lis, Andrzej Milczanowski, Janusz Pałubicki, Stanisław Węglarz; następnie dookooptowano Jana Andrzeja Górnego (15 XI 1987), Antoniego Stawikowskiego i Antoniego Tokarczuka (5 XII 1987), Stefaninę Hejmanowską, Henryka Sienkiewicza, Grażynę Staniszewską (9 IV 1988), Zbigniewa Romaszewskiego (25 IX 1988). Jak widać, nie było w niej ani jednego Kaczyńskiego.

Osobna kwestia, że nadużyciem jest nazywanie tego ciała „podziemną Solidarnością”. Solidarność nadal była teoretycznie nielegalna, ale KKW działała już całkiem jawnie, nikt jej nie ścigał, nikogo nie aresztowano, miała publicznie znaną siedzibę w Gdańsku, na zebrania żadna SB-cja nie wpadała. W połowie sierpnia 1988 roku władze rozpoczęły z Solidarnością rozmowy, które zakończyły się obradami Okrągłego Stołu od 6 lutego do 4 kwietnia 1989 roku. Sierpień 1988 roku można uznać za definitywny koniec okresu przejściowego między podziemiem a pełną jawnością i uznawaniem (jeszcze nieformalnym) przez władze.

Jedno można na pewno ustalić: żaden z Kaczyńskich nie był „członkiem władz krajowych podziemnej Solidarności” nawet przez sekundę. Nie był nawet członkiem władz okresu przejściowego: październik 87 – sierpień 88.

A co z tym sekretariatem i „sekretarzem”, do której to funkcji przyznawali się o-baj Kaczyńscy? Faktycznie, od listopada 1987 roku istniał sekretariat KKW i pracowali w nim Kaczyńscy. Czy mogą jednak na tej podstawie podawać się za „członków władz krajowych”?

Sprawę jednoznacznie określa statut NSZZ „Solidarność”. Rozdział IV, paragraf 17 statutu określa jednoznacznie władze związku. Są to: Zjazd Delegatów, Komisja Krajowa, Komisja Rewizyjna. Koniec, więcej nie ma. Sekretariat nie był władzą, a jego pracownicy nie byli członkami władz.

Jarosław Kaczyński uczestniczył w zebraniach KKW jako „sekretarz” nie będący członkiem KKW (gdyby był kobietą, pisano by „sekretarka”) od jesieni 1988 roku, czyli pół roku po wyjściu Solidarności z podziemia, po spotkaniu Wałęsy z Kiszczakiem, po rozmowach w Magdalence, po powołaniu rządu Rakowskiego. Ogłaszanie się na tej postawie „sekretarzem podziemnej KKW” to czyste nadużycie, zwłaszcza że sugeruje funkcję sekretarza zarządu, czyli drugiej osoby w zarządzie po prezie.

Trzeba przyznać, że Lech Kaczyński uprawiał życiorysowej mitomanii znacznie mniej, ale później, po jego śmierci, nadrobił za niego jego brat. Nie znamy ani jednej wzmianki autorstwa Lecha Kaczyńskiego, w której przypisywałby sobie istotną rolę w strajku w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku. Wręcz przeciwnie, na początku lat 90. w prywatnej rozmowie z Krzysztofem Łozińskim powiedział, iż żałuje, że nie brał w tym poważniejszego udziału. Nie nam rozstrzygać, ile czasu i kiedy Lech Kaczyński w stoczni był. Są na ten temat rozbieżne relacje, a dokumenty nie są jednoznaczne. Pozostańmy przy tym, co jest jednoznaczne.

Na liście doradców MKS Lech Kaczyński nie figuruje. Adam Borowski (autor notatki w „Encyklopedii Solidarności”) powiedział, że Lech Kaczyński „był doradcą, ale Mazowiecki nie zgodził się na wpisanie go na listę doradców”. Dla nas jest to jednoznaczne: nie ma go na liście doradców, to doradcą nie był. Trzeba tak kategorycznie rozstrzygać, bo dziś bardzo wielu ludzi, którzy kompletnie nic nie robili, podaje się za doradców Solidarności. To jest pojęcie wysoce niejasne i mgliste. W podziemiu nie było legitymacji członkowskich i list obecności, dlatego dziś bardzo łatwo jest przypisywać sobie jakiś mglisty „udział” w podziemiu lub „bycie doradcą”. Było tylko bez konkretów.

Pomińmy powszechnie znany incydent w czasie obchodów rocznicy strajku w stoczni, gdy Jarosław Kaczyński wygadywał ewidentne kłamstwa na temat roli swojego brata w tym strajku. Zajmijmy się kłamstwami poważniejszymi.

Wedle najnowszej wersji kłamstwa życiorysowego, które go dotyczy, Lech Kaczyński był „autorem 21 postulatów” strajkowych i „autorem tekstu porozumień sierpniowych”. Można rzec, że głosząc te kłamstwa, Jarosław Kaczyński pobił absolutny rekord świata.

21 postulatów strajkowych sformułowała w nocy z 3 na 4 dzień strajku specjalna komisja wyłoniona z członków komitetu strajkowego. Nie było w niej (ani w komitecie) Lecha Kaczyńskiego. Komisja była potrzebna, bo w zakresie postulatów panował kompletny chaos. Domagano się na przykład wystąpienia z Układu Warszawskiego, głoszono: „precz ze Związkiem Radzieckim”. Takie postulaty groziły natychmiastową inwazją milicji i końcem strajku.

Odpowiedź na pytanie, kto był autorem 21 postulatów, jest następująca: bardzo wielu strajkujących zgłaszało postulaty, a komisja jedynie dokonała wyboru i uporządkowania. Żadna pojedyncza osoba nie była „autorem tekstu 21 postulatów”. Żadne źródła z tamtych dni nie potwierdzają obecności w tym czasie w stoczni Lecha Kaczyńskiego.

Podobnie jest z autorstwem tekstu porozumień kończących strajk. Żadna pojedyncza osoba takim autorem nie była. Tekst porozumień był negocjowany punkt po punkcie z delegacją rządową. Jeśli w ogóle mówić o autorstwie tego tekstu, to autorami byli zbiorowo wszyscy uczestnicy tych negocjacji, a tych dokumenty wyliczają jednoznacznie:

Po stronie strajkujących: Lech Wałęsa, Andrzej Kołodziej, Bogdan Lis, Lech Będkowski, Wojciech Gruszecki, Andrzej Gwiazda, Stefan Izdebski, Jerzy Kwieciak, Zdzisław Kobyliński, Henryka Krzywonos, Stefan Lewandowski, Anna Pień-

kowska, Józef Przybylski, Jerzy Sikorski, Lech Sobieszek, Tadeusz Stanny, Anna Walentynowicz, Florian Wiśniewski.

Po stronie rządowej: Mieczysław Jagielski, Zbigniew Zieliński, Tadeusz Fiszbach, Jerzy Kołodziejski.

Koniec, nikt więcej. Jak łatwo zauważyć, Lecha Kaczyńskiego tu nie ma.

Jarosław Kaczyński potrafił zresztą najpierw powiedzieć, że jego brat „nie mógł zamknąć się w stoczni, bo miał małe dziecko”, a innym razem mówić, że był „autorem 21 postulatów” lub „autorem tekstu porozumień gdańskich” i w ogóle najważniejszą osobą tego strajku.

Mamy jeszcze kłamstwo życiorysowe dotyczące incydentu z ostatnich lat życia Lecha Kaczyńskiego. Adam Bielan oświadczył nagle, że jest nieprawdą, iż Lech Kaczyński w Gruzji wydał pilotom rozkaz lądowania w Tbilisi mimo zamkniętego lotniska. Twierdził, że takiego rozkazu nigdy nie było, Lech Kaczyński nie wchodził w ogóle do kabiny pilotów, był cały czas razem z nim w saloniku. Bielan kłamał, bo sam Lech Kaczyński domagał się postawienia przed sądem pilota i jego degradacji „za niewykonanie rozkazu”. Przemysław Gosiewski wystosował nawet w tej sprawie pismo z identycznym żądaniem ukarania pilota za niewykonanie rozkazu zwierzchnika sił zbrojnych - prezydenta. Rozmowa była zresztą nagrana, są zeznania pilota na temat jej treści.

W 2004 roku zrobiono bohaterkę Powstania Warszawskiego z Jadwigi Kaczyńskiej (matki Jarosława i Lecha). Po wyborach (2005 r.) wyszło na jaw, iż Jadwiga Kaczyńska w Powstaniu nie brała udziału, przebywała w Starachowicach, gdzie mieszkała. Ciekawa była metoda tej mistyfikacji. Propagandyści z Muzeum Powstania Warszawskiego, niby przez pomyłkę, umieścili ją jako powstańca na plakacie rozklejanym w autobusach miejskich (Lech Kaczyński był wówczas prezydentem Warszawy). Podczas wyborów prezydenckich (2010 r.) telewizja publiczna (zależna od PiS) powtórzyła tę mistyfikację przed debatą prezydencką z udziałem Jarosława Kaczyńskiego. Prezes dyskretnie nie sprostował.

Kłamstwa życiorysowe nie dotyczą tylko polityków PiS. Czasem służą do oczerznienia ich przeciwników. Prześledźmy sekwencję zdarzeń dotyczącą słynnego „dziadka w Wehrmachcie”. Kolejność była następująca:

Dzień pierwszy: Jarosław Kaczyński mówi w telewizji, że jego brat Lech zna fakt, z powodu którego Tusk nie powinien być prezydentem, ale nie powie, co to za fakt. Zwracamy uwagę, że jest to rekord świata w dziedzinie nieuczciwego pomówienia. Podaje się do publicznej wiadomości, na całą Polskę, że istnieje jakiś fakt kompromitujący Tuska, a nie mówi się jaki. W ten sposób ofiara pomówienia nie może się bronić, bo nie wie przed czym, a oszczerstwo działa.

Dzień drugi: Lech Kaczyński mówi publicznie (telewizja), że istotnie coś wie, ale nie powie. Tego samego dnia wieczorem Jacek Kurski mówi w wywiadzie dla Angory, że dziadek Tuska był w Wehrmachcie na ochotnika.

Dzień trzeci: bracia Kaczyńscy milczą do wieczora i nie dementują, występując w tym czasie wiele razy przed dziennikarzami. Dopiero wieczorem, przyparci do muru przyznają, że to nieprawda, i zwalają wszystko na Kurskiego, który jest wyraźnie zaskoczony nagłą utratą poparcia w tej akcji.

Tego samego dnia: w studio radia TOK-FM, w czasie przerwy w audycji (a więc poza anteną), Jacek Kurski zwrócił się do Tomasza Lisa słowami: „Z tym Wehrmachem to lipa, ale jedziemy w to, bo ciemny lud to kupi.” Jacek Kurski nie zastrzegł przy tym, że jest to rozmowa nie do publikacji, więc Tomasz Lis powtórzył rzecz na antenie.

Jakiś czas później: Tomasz Lis otrzymuje pocztą pismo od Jacka Kurskiego, który grozi mu sądem i domaga się sprostowania, że on nic takiego nie mówił. Pisze też, że jeśli potwierdzą tę rozmowę przed sądem inni obecni przy niej dziennikarze, to „dopuszczają się krzywoprzysięstwa”. W dniu 28 października 2005 r. w porannej audycji dwaj świadkowie rozmowy, Tomasz Wołek i Wiesław Władyka, potwierdzili na antenie, iż rzeczywiście taka wypowiedź Jacka Kurskiego miała miejsce. Dodali, że Kurski mówił to z poczuciem dumy z siebie, że tak sprawnie zmanipulował. Uderzył ich też cynizm Kurskiego i jego pogarda dla społeczeństwa („ciemny lud”), a dokładnie dla tej części, która stanowi elektorat PiS. Świadcami rozmowy były jeszcze 2 osoby.

W reakcji na to Jacek Kurski stwierdził publicznie, że Katarzyna Kolenda-Zalewska, która była świadkiem rozmowy, zaprzecza twierdzeniom Lisa, Wołka i Władyki. Katarzyna Kolenda-Zalewska występuje w telewizji i dementuje stwierdzenie Kurskiego, jednocześnie wyraźnie stwierdzając, że Tomasz Lis mówi prawdę.

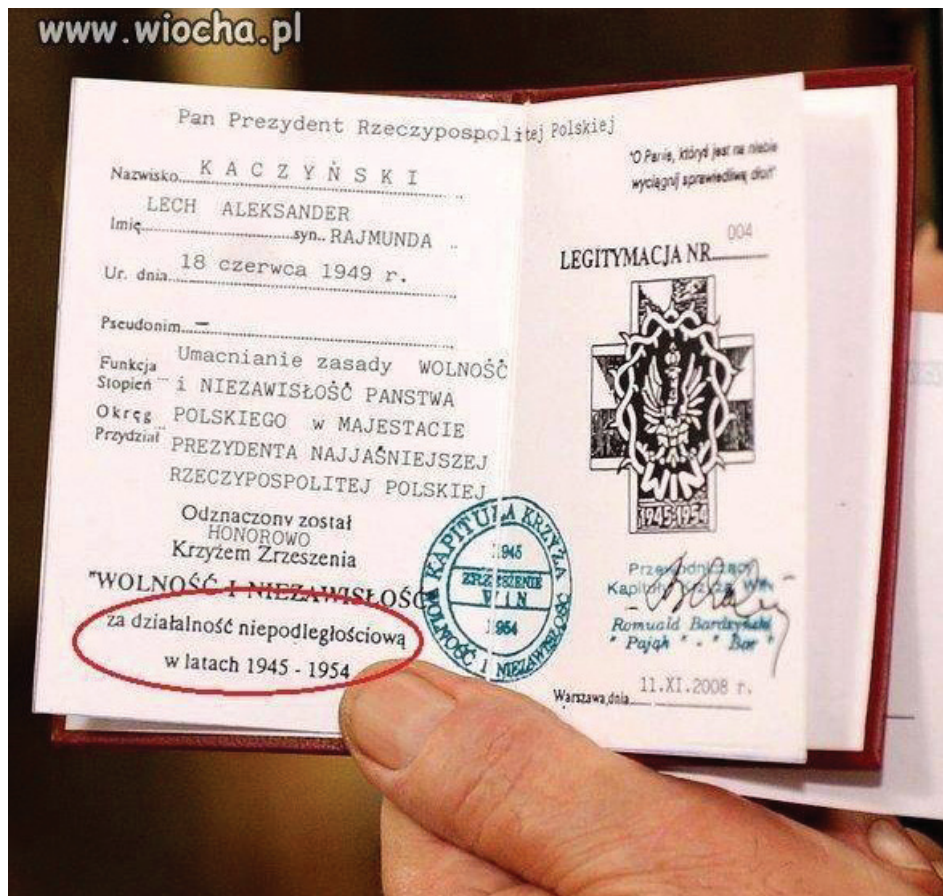
Ale cofnijmy się jeszcze do pierwszego kłamstwa Kurskiego. Jacek Kurski zostaje wyrzucony dyscyplinarnie z PiS. Kilka dni później dziennikarze odnajdują dokumenty, że dziadek Tuska istotnie był w Wehrmachcie, ale został tam wcielony siłą i natychmiast zdezerterował do Polskiego Wojska we Francji – dokumenty, o których istnieniu nikt wcześniej nie wiedział (Kaczyńscy i Kurski też). To czysty przypadek. Zwracamy uwagę, że Kurski twierdził, iż dziadek Tuska był w Wehrmachcie na ochotnika. To zupełnie co innego, niż przymusowe wcielenie byłego więźnia Stuthofu i jego szybka dezercja do Polskiego Wojska. Ta prawda nie hańbi, kłamstwo Kurskiego tak.

Jacek Kurski zostaje z powrotem przyjęty do PiS.

Ostatnie dni kampanii wyborczej: „nieznani sprawcy” (skąd my to znamy?) rozsyłają po Internecie sfałszowane za pomocą montażu nagranie wywiadu z kuzynką Tuska, w którym mówi ona (rzekomo), że i ona wiedziała, i Tusk wiedział. W prawdziwym nagraniu dla TVN (było emitowane na antenie) kuzynka mówi, że ona wiedziała, ale Tusk nie (!), bo stanowią zupełnie odrębne rodziny.

Mimo całej serii zdemaskowanych kłamstw Jacek Kurski szybko wraca na pozycję jednego z czołowych polityków PiS.

Ze względu na nadmierny rozrost tematu pomijamy serię dzieł twórców „polityki historycznej” (czytaj: fałszowania historii). Mamy już obszerne fałszywe biografie Lecha Wałęsy (jako „Bolka”) i Lecha Kaczyńskiego, a także całą serię „Resortowych Dzieci” wydawnictwa Fronda, gdzie kłamie się na temat życiorysów wielu innych ludzi, tym razem przeciwników PiS-u (patrz: liczne przegrane przez wydawcę procesy). Mamy też np. kuriozalny artykuł Sławomira Cenckiewicza we „Wprost” ze zwrotami, że Zbigniew Bujak „mógł, ale nie musiał” wprowadzać do podziemia agentów. Sławomir Cenckiewicz też „mógł, ale (jak widać) nie musiał” pisać prawdy.



I na koniec tego wątku ciekawostka. Lech Kaczyński został odznaczony „za działalność niepodległościową w latach 1945 – 1954”. Urodził się w 1949 roku, w 1954 miał 5 lat.

Metoda zdań niedokończonych, albo zatruty cukierek

Jest to metoda oszukiwania wyborców w taki sposób, że składa się pozornie atrakcyjną obietnicę, przemilczając, jakie będą tego skutki. Na przykład: obniżymy wiek emerytalny (pierwsza część zdania – atrakcyjna), ale będą znacznie niższe emerytury, trzeba będzie podnieść podatki i składkę na ZUS (druga, przemilczana, część zdania). Lub: opodatkujemy supermarkety (hura! Dobrze tym bogaczom!), ale wzrosną ceny podstawowych towarów i wszyscy zbiedniejemy (o tym już cisza). Podniesimy kwotę wolną od podatku do 8 tys. złotych (hura!), ale nie będzie można obniżyć innych podatków (np. VAT-u – największego polskiego podatku), albo nawet inne podatki się podniesie (o tym cisza).

PiS i prezydent Andrzej Duda głoszą, że cofną reformę emerytalną i obniżą wiek emerytalny. Jest to pomysł niezwykle niebezpieczny i wykraczający poza

zwykłą ekonomiczno-społeczną głupotę. To jest głupota na granicy zbrodni. To, co jest tu przemilczane, jest akurat najważniejsze. Gdyby ten zamiar wykonano, za 10-15 lat znacznie brakować pieniędzy na emerytury. Budżet ZUS się po prostu zawali. W konsekwencji, aby do tego nie dopuścić, trzeba będzie, i to już niedługo, robić dwie rzeczy: obniżać emerytury (za 15-20 lat, te najniższe, do poziomu głodowego – 200, 300 złotych), oraz podnosić składki na ZUS, czyli obniżać płace netto, i to znacznie. Cofnięcie reformy emerytalnej kosztowałoby 40 mld zł rocznie. Aby wygospodarować te pieniądze, trzeba by obniżyć emerytury o 1/3 lub podnieść składkę na ZUS o średnio 500 złotych.

Tego oczywiście ani Kaczyński, ani Duda nie mówią. I podkreślamy, to nie są prognozy, to wynika z matematyki. Dziś na jednego emeryta pracuje dwóch zatrudnionych, wówczas (bez reformy) będzie 2 lub więcej emerytów na jednego pracującego. Ludzie, którzy za 18-20 lat wejdą na rynek pracy, już się urodzili. Wiadomo, ilu ich jest, więcej nie będzie. Nie da się dorobić dzieci do roczników, które już się urodziły.

Skąd PiS weźmie za parę lat 40 mld zł rocznie? Beata Szydło i Andrzej Duda mówią, że opodatkują supermarkety. Nawet jeśli to się uda, będą to grosze, bo wszystkie te sklepy w Polsce w ogóle nie zarabiają 40 mld. Nawet gdyby im podnieść podatek do 100 procent, to i tak by zabrakło.

Kłamczoholik nie liczy się z konsekwencjami swoich kłamstw. Można okłamać ludzi, zrobić referendum i przegłosować matematykę. Ale pieniędzy od tego nie przybędzie. Podstawową prawdą ekonomiczną jest, że pieniądze i dobrobyt biorą się z pracy. Z nieba nie spadną. Przegłosować można wszystko, choćby że $2+2=7$, czemu nie. Ale jak realnie weźmiemy dwie dwuzłotówki, to siedmiu złotych z tego nie będzie, mimo głosowania. Ci panowie myślą tak: niech się ludzie cieszą, że przegłosowali, że skutkami zderzą się dopiero później, a wcześniej na nas zagłosują.

W dodatku politycy PiS głoszą, że trzeba cofnąć całkowicie reformę emerytalną wprowadzoną przez AWS i powrócić do „zasady solidaryzmu”. Przemilcza się przy tym, że obywatele od lat na swoich kontach w ZUS i OFE gromadzą tzw. kapitał początkowy. PiS chce go im zabrać, by wrzucić do jednego worka w budżecie. To jest po prostu rabunek, podobny do tego, którego dokonywali komuniści. Za komuny było tak: pracodawcy potrącali nam z płac składki na ZUS, które trafiały hurtem do budżetu państwa (a nie do kasy ZUS). Co roku Sejm uchwalał budżet i w nim kwotę przeznaczoną na emerytury, która nie miała nic wspólnego z sumą potrąconych składek. Kwotę tę określano zupełnie dowolnie. PiS chce przywrócić ten stan.

Towarzyszy temu kolejne kłamstwo Jarosława Kaczyńskiego powtarzane przez klakierów: praca do 67 roku życia to praca „aż do śmierci”. Przeciętny czas życia w Polsce wynosi obecnie 73,8 roku dla mężczyzn i 81,6 dla kobiet, ale jest to przeciętna długość całego życia, a więc wpływa na nią także długość życia tych, którzy np. zginęli w wypadku w młodym wieku, albo wręcz zmarli jako dzieci. Natomiast przeciętna długość trwania życia dla osób, które osiągnęły wiek 67 lat (dla kobiet i mężczyzn razem), według danych GUS z 2011 roku wynosi 15 lat i 4 miesiące.

Jest jeszcze jeden aspekt tego projektu. Sytuacja systemu emerytalnego za kilka lat tak się już pogorszy, że trzeba będzie do tej niepopularnej reformy wrócić, ale

już w dużo gorszych warunkach. Kolejna reforma będzie musiała być bardziej drastyczna. Ostatnie, niepopularne, zmiany wprowadzono po to, by nie trzeba było w przyszłości robić rzeczy jeszcze bardziej radykalnych. Odwracanie teraz tej reformy to działanie wyjątkowo szkodliwe.

Drugi oparty na kłamstwie niebezpieczny pomysł to plany PiS wobec służby zdrowia. Duda i Kaczyński głoszą, że zlikwidują NFZ i będą służbę zdrowia finansować z budżetu – ale tylko państwową, prywatną nie. Co to oznacza w praktyce? W praktyce oznacza likwidację niemal 90 procent placówek służby zdrowia. PiS ciągle nie zauważył, że służba zdrowia w Polsce dawno już jest w dużej części prywatna, gabinety stomatologiczne – prawie wszystkie. Kłamstwo służy straszeniu obywateli.

W tej chwili niemal wszystkie gabinety lekarzy rodzinnych, a więc placówki podstawowej opieki zdrowotnej, są prywatne. Funkcjonują, bo istnieje NFZ i pacjent w nich nie płaci. Gdyby zrealizować pomysł PiS, w powiecie Giżycko zniknęłyby prawie wszystkie ośrodki zdrowia. Starych ludzi ze wsi nie stać na płaconie po 100 zł za wizytę – tyle by zapewne kosztowała, gdyby nie było finansowania z NFZ. Publiczne są w Giżycku tylko dwa szpitale, zresztą fatalne, na wsiach nic. A ten powiat nie jest wyjątkiem.

To już nie są żarty. To już nie jest zwykła kaczystowska głupota, to jest pomysł na zbrodnię. A wszystko oparte jest na powtarzanym latami kłamstwie, że prywatna służba zdrowia jest dla bogatych i trzeba ją zlikwidować. Wiadomo, że najskuteczniejszym lekiem na ból głowy jest amputacja. Nie będzie kolejek do lekarzy... ani lekarzy... Pacjentów też będzie mniej, bo wymrą.

PiS od lat straszy prywatyzacją służby zdrowia, która ponoć ma spowodować płaconie gotówką za każdą wizytę u lekarza, za każdy zabieg. PiS oczywiście nie zauważył, że już obecnie służba zdrowia jest w ogromnej większości prywatna i jakoś się gotówką nie płaci, bo istnieje NFZ (który PiS chce zlikwidować). Owszem istnieją procedury płatne, których nie finansuje NFZ, ale są płatne tak samo w placówkach prywatnych, jak i państwowych. Forma własności nie ma tu nic do rzeczy.

Kolejną kłamliwą obietnicą PiS-u ma być dodatkowe opodatkowanie supermarketów i banków. Jest to obliczone na najczystsze uczucie świata – bezinteresowną zawiść. Nie o to chodzi, bym ja coś zyskał, chodzi o to, by kto inny stracił. Co więcej, pomysł dodatkowego opodatkowania supermarketów motywowany jest rzekomo ochroną małych sklepików. Wypada zadać sobie pytanie, co dla ogółu jest lepsze? Ochrona kilku i tak dość zasobnych sklepikarzy, czy to, by wszyscy taniej robili zakupy? Skutek zwalczania supermarketów jest oczywisty. Wzrosną w nich ceny. Wzrosną też ceny w innych sklepach, bo będą miały mniejszą konkurencję.

A swoją drogą to trzeba podziwiać „geniusz” ekonomiczny pomysłodawców tego projektu: zwalczanie najlepiej gospodarujących przedsiębiorstw w branży w obronie tych, którzy na rynku nie dają sobie rady. Idąc tym śladem należy zwalczać fabrykę opla w Gliwicach, by dać szansę wznowienia produkcji polonezów i maluchów.

Nierealne obietnice, populizm

Napisaliśmy na wstępie, że niespełnienie obietnic wyborczych nie zawsze jest kłamstwem, bo czasem z przyczyn trudnych do przewidzenia ich spełnienie nie jest możliwe. Czym innym jest jednak składanie takich obietnic wyborczych, o których z góry wiadomo, iż są nierealne, lub ich skutki będą odwrotne od głoszonych (np. cofnięcie reformy emerytalnej lub likwidacja NFZ).

Zacznijmy od dawnej obietnicy wyborczej PiS: wybudowania trzech milionów mieszkań. Po wyborach nie tylko nie przystąpiono do realizacji. Nie odbyła się ani jedna rozmowa na szczelbu rządowym na ten temat! Politycy PiS po pewnym czasie oznajmili dziennikarzom, że te mieszkania zostaną wybudowane, jeśli ludzie wezmą kredyty i sami je wybudują. Z inicjatywy rządu PiS nie powstało nawet jedno mieszkanie, a co dopiero mówić o trzech milionach!

Obecnie PiS, ustami Beaty Szydło i Andrzeja Dudy, obiecuje cuda z kosmosu. Popatrzmy na koszty tych obietnic i na ile są realne.

Oto tylko kilka faktów- Koszty zwiększenia kwoty wolnej od podatku PIT będą miały skutki budżetowe rzędu 22 mld, a nie 7 mld zł, jak głosi PiS. Połowa strat dotknie samorządy. Z jakich wydatków mają zrezygnować samorządy?

- Gdybyśmy cofnęli reformę emerytalną, kosztowałoby to 40 mld zł rocznie. To oznacza obniżenie emerytur o 1/3, bądź podwyższenie składek o 500 zł.

- Koszt 500 zł na każde dziecko: 5 mln dzieci x 500 zł x 12 miesięcy = 30 mld zł, a nie 22 mld, tak jak mówiła Beata Szydło. Chyba, że mają być pominięci wszyscy jedynacy, również ci z mało zamożnych rodzin.

- Beata Szydło nie uwzględnia w wyliczeniach kosztów innych obietnic PiS: utrzymywania nierentownych kopalń i stoczni, przewalutowania kredytów frankowych, zwiększania wydatków na opiekę zdrowotną do 6,5% PKB, na obronność do 2,5%, programu mieszkań na wynajem, darmowych przedszkoli, obniżenia CIT dla małych przedsiębiorstw i VAT. Czy to oznacza, że wycofuje się z obietnic własnych i prezydenta Andrzeja Dudy? Jeżeli nie, to czemu nie przedstawia kosztów ich realizacji?

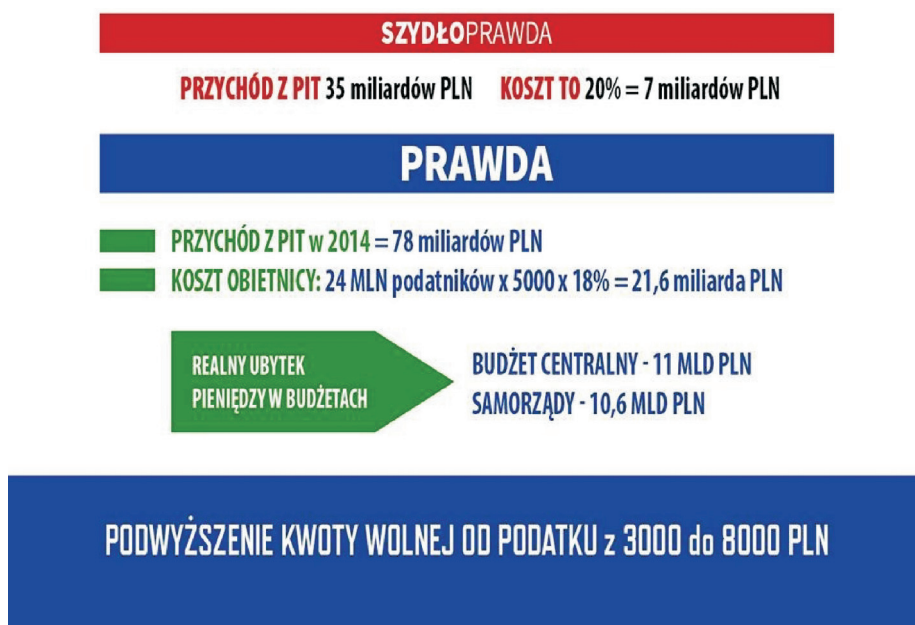
- PiS chce uszczelnienia systemu podatkowego i ściągnięcia z podatników dodatkowych 52 mld zł. Każdy inspektor finansowy musiałby więc ściągnąć dodatkowy 1 mln zł od biznesu; ewentualnie od każdego Polaka, od niemowlaka do staruszka, trzeba by ściągnąć ekstra ok. 1400 zł rocznie (52 mld zł dzielone przez 38 mln Polaków = 1368 zł). PiS nie umie powiedzieć jak to zrobić. Rząd i Sejm każdego roku uszczelnia system (odwrócony VAT, umowy z rajami podatkowymi i unikaniu podwójnego opodatkowania etc.), ale żaden kraj na świecie nie jest w stanie zlikwidować całej luki, tak jak to obiecuje PiS.

Poza tym ściągnięcie dodatkowo 1368 zł podatków od każdego obywatela oznacza w praktyce obniżenie dochodów obywateli o przeciętnie 114 zł. miesięcznie. Oczywiście nie po równo od wszystkich i niekoniecznie wprost. Państwo powinno ściągać podatki, ale trzeba uczciwie informować, że każde zwiększenie wpływu z podatków pochodzi ze zmniejszenia dochodów ludzi i przedsiębiorstw (dochód to przychód minus podatek). To musi się pośrednio przełożyć na płace (spadek) i bezrobocie (wzrost). Ten aspekt sprawy PiS przemilcza.

- Propozycje PiS ws. opodatkowania supermarketów zwiększą ceny dla konsumentów i uderzą w dostawców, często polskich.
- Propozycje podatków nakładanych na banki zwiększą ceny kredytów i różnych opłat (za prowadzenie kont, za wypłaty z bankomatów itp.).
- PiS zapowiada obniżenie stawki VAT, ale wyliczenia źródeł finansowania swoich propozycji opiera na obecnej stawce 23%. Zapowiadając obniżenie VAT-u, przeczy po prostu samo sobie.

Poniżej zestawienie kosztów podniesienia kwoty wolnej od podatku z 3000 do 8000 zł – w pierwszej wersji według Beaty Szydło i w drugiej, według tabliczki mnożenia. Zaznaczamy: nie według PO, czy kogoś tam, tylko według tabliczki mnożenia.

Aby wyliczenie Beaty Szydło było prawdziwe, w Polsce musiałyby być (obecnie) nie 24 miliony podatników, tylko 8,2 miliona, czyli liczba ludności musiałaby zmaleć do ok. 15 milionów. Albo Beata Szydło nie umie liczyć na poziomie szkoły podstawowej, albo kłamie. Raczej to drugie.



Łatwo zauważyć, że większość obietnic PiS oparta jest na zasadzie: damy wam do jednej kieszeni, ale zabierzemy z drugiej. Oparte jest to na myśleniu, które swego czasu sformułował Andrzej Lepper: „pieniądze są w bankach”. PiS myśli podobnie. Lecz te pieniądze mają właścicieli i nie są nimi właściciele banków, a obywatele (konta prywatne), przedsiębiorstwa, instytucje. Opodatkujemy banki – banki obciążą kosztem nasze konta, opodatkujemy markety – zapłacimy więcej za zakupy, ściągniemy więcej podatków – z kogo? Z nas i naszych pracodawców! A ci na nas sobie odbiją.

Przemilcza się podstawową prawdę rachunkową: aby komuś dać, to komuś trzeba zabrać. W praktyce najczęściej wychodzi z tego odwrócony Janosik: teoretycznie daje się najbiedniejszym, ale w praktyce to właśnie oni na takich zabiegach tracą najwięcej. 500 złotych na każde dziecko to koszt 22 mld zł. Te 22 mld trzeba komuś zabrać.

Warto wspomnieć jeszcze parę bajek-obiecanek. „Dokonamy reindustrializacji”, „odbudujemy przemysł” – głoszą zgodnie Jarosław Kaczyński, Andrzej Duda i Beata Szydło. To nic, że w Polsce przemysłu nie trzeba „odbudowywać”, bo jest całkiem niezły. Ale co właściwie PiS chce zrobić? Rząd ma budować fabryki? Zapomnieli, że w gospodarce rynkowej, jeśli się czegoś nie produkuje, to najczęściej dlatego, że się nie opłaca lub nie ma rynku zbytu. Każdy, kto prowadził choćby najmniejszą firmę, wie, że nie jest problemem produkować. Problem w tym, by produkcję sprzedać.

To są pomysły z czasów Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, zwanej swego czasu „iluzjonem”. Kompletnie oderwane od rzeczywistości.

Podobnym pomysłem rodem z Matrixu jest „defeudalizacja wsi”. Co to takiego? Jakiś kompletny bełkot? Polska wieś jest feudalna, chłopci są pańszczyźniani? Nie są, od 1863 roku.

9 sierpnia 2015 r. urzędujący już prezydent Andrzej Duda wymyślił sprytny trik. Zażądał od premier Ewy Kopacz, by wniosła do Sejmu (i sama opracowała) projekt ustawy przyznającej po 500 złotych na każde dziecko. Andrzej Duda dobrze wie, że rząd jest przeciwny ustawie bez pokrycia finansowego i tego nie zrobi. Twierdzi jednak, że on sam nie ma kompetencji i od spełnienia jego obietnic jest rząd. Kłamię, gdyż prezydent ma inicjatywę ustawodawczą i może zgłosić taki projekt. Chodzi jednak o to, by niedotrzymanie jego obietnicy przedstawiać jako winę rządu i tworzyć obraz złego rządu, co nie chce dać po 500 (i więcej) złotych prawie każdej rodzinie, i dobrego prezydenta, który chciałby, ale nie może. Nieprawda, może, ale wnosząc projekt ustawy musiałby wskazać źródła jej sfinansowania, a to kłopot. Łatwiej ten kłopot przerzucić na kogo innego.

Uzurpacja

1. Wylącznieść na patriotyzm

Politycy PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele to wielcy patrioci, co więcej, tylko oni są „prawdziwymi Polakami”, reszta to – Polacy nieprawdziwi.

Czy jednak jest patriotą człowiek, który szkaluje własny kraj, kłamiąc co do stanu jego gospodarki, negując wszystkie jego osiągnięcia i nazywając własny kraj „kondominium rosyjsko-niemieckim”? Czy jest patriotą człowiek, który o własnym niepodległym kraju mówi, że trzeba go wyzwolić, „przywrócić mu wolność”, który mieni się „zbawicielem” przed państwem ustanowionym przez obywateli w wolnych i uczciwych wyborach?

Czy jest patriotą człowiek, który we własnym kraju nie uznaje demokratycznie wybranych władz państwa, rządu, prezydenta, Rady Bezpieczeństwa Narodowego,

który potrafi powiedzieć, że nie uznaje uchwalonej przez wolny Sejm ustawy? Człowiek, który de facto nie uznaje obowiązującego prawa? Który miga się przed płaceniem podatków od licznych potężnych danin otrzymywanych wbrew prawu od swojej partii?

Czy jest patriotą człowiek, który razem ze swą partią demonstracyjnie nie przychodzi na pogrzeb Władysława Bartoszewskiego, jednego z największych polskich bohaterów?

Czy jest patriotą człowiek, który w momencie poważnego zewnętrznego zagrożenia okłamuje naród, że mamy słabą i nieudolną armię, a więc faktycznie działa na korzyść propagandy wroga? Człowiek, który w takiej sytuacji rzuca fałszywe oskarżenia o fikcyjny zamach, nazywając premiera, prezydenta i ministra spraw zagranicznych mordercami 96 osób? A do tego wykorzystuje szarlatanów, którzy kłamiąc i zmyślając, starają się sfabrykować fałszywe dowody w sprawie dotyczącej jednej z największych tragedii ostatnich lat?

I czy wreszcie jest patriotą człowiek, który kłamstwem, podstępem i demagogią stara się nakłonić obywateli do głosowania za rozwiązaniami, które w konsekwencji przyniosą im biedę i problemy (obniżenie wieku emerytalnego, likwidacja NFZ)?

Czy może być patriotą człowiek, który nie zna słów hymnu narodowego i śpiewa: „z ziemi polskiej do Wolski”, albo ktoś, kto nie zauważa, że siedzi obok polskiej flagi zawieszanej do góry nogami?

I jeszcze na koniec tego wątku. Czy można uważać za patriotę i uczciwego człowieka kogoś, kto, by tylko dorwać się do władzy, obiecuje rozdawnictwo pieniędzy w sumach rozwalających roczny budżet kraju? Przecież ten pan nie ma najmniejszego zamiaru tych obietnic spełniać i wie o tym doskonale!

2. Nawiązywanie do tradycji „Solidarności”

Uzurpacją jest przypisywanie sobie przez PiS i dzisiejsze kierownictwo Solidarności tradycji tej pierwszej „Solidarności”. Zarówno PiS, jak i koledzy szefa związku, Piotra Dudy, reprezentują poglądy wręcz odwrotne do tego, o co my, w pierwszej „Solidarności” z lat 1980-81 oraz w podziemiu, walczyliśmy.

To pierwsza „Solidarność” domagała się zniesienia cenzury, którą (przypomnijmy, bo niektórzy już zapomnieli) PiS-owcy chcieli pod pozorem ustawy lustracyjnej przywracać. To „Solidarność” domagała się przełamania monopolu państwa w edukacji, tego, by mogły powstawać szkoły społeczne i prywatne (niedawno nauczycielska „S” Piotra Dudy demonstrowała „przeciw prywatyzacji szkół”, której zresztą nikt nie planuje). To „Solidarność” domagała się przy Okrągłym Stole gospodarki rynkowej, a dziś i PiS, i nowa „S” występują przeciw wszelkiej prywatyzacji i chcą „odbudowywać” państwowe przedsiębiorstwa. To „Solidarność” domagała się otwarcia granic, prawa do wyjazdu z kraju i powrotu gdy będziemy chcieli, bez regulowania przez państwo czasu pobytu za granicą. Dziś wspomniane siły uważają otwarte granice za zło i biadolą, że wielu ludzi wyjechało (przemilczając przy tym, że od 2013 roku więcej z nich wraca niż wyjeżdża).

To pierwsza "Solidarność" chciała demokracji wielopartyjnej, a dziś PiS nie uznaje żadnej partii poza swoją, nie uznaje wyniku wyborów i demokratycznie wybranych władz. To "Solidarność" sprzeciwiała się państwu policyjnemu, które wszelkimi siłami chcieli przywrócić Kaczyński i Ziobro.

To jeszcze Akcja Wyborcza Solidarność wprowadzała kasy chorych, które pan Łapiński z SLD zastąpił NFZ, niszcząc załączki poważnej reformy służby zdrowia. Dziś w programie PiS jest likwidacja NFZ, nawet tej resztki reformy AWS, i powrót do struktury służby zdrowia z czasów Gomułki.

A co ma wspólnego z tamtą "Solidarnością" PiS i dzisiejsza „S”? To, że paru dawnych działaczy "Solidarności" dziś do PiS-u należy? Znacznie więcej – nie należy. Działacze pierwszej "Solidarności" są dziś we wszystkich partiach. Pan Piotr Duda też, zamiast cieszyć z tego, że 450 tys. ludzi dziś należy do związku, powinien raczej zastanowić się, dlaczego 9,5 miliona dawnych członków już do niego nie należy.

Jakie wartości tamtej "Solidarności" reprezentuje PiS? Kłamstwo? Marsze z pochodniami na wzór NSDAP? Przychodzenie na demonstracje z pałami? Nasyłanie osiłków na spotkania wyborcze przeciwnika politycznego? Obrona przez Andrzeja Dudę prawa zakrywania twarzy przez neofaszystowski margines i nazywania tego prawem obywatelskim? To mają być ideały "Solidarności", ruchu odżegnującego się od wszelkiej przemocy?

I jest w tym wszystkim stara kołtuńska zasada: „co twoje, to i moje, a co moje, to nie rusz”. Gdy Polacy kupują ziemię za granicą, to dobrze, ale gdy cudzoziemcy kupują ziemię w Polsce – to źle. Gdy Polacy zostają udziałowcami zagranicznych firm lub zakładają swoje firmy w Londynie, to dobrze, ale gdy zagraniczny kapitał inwestuje w Polsce, to źle, bo ma być tylko „polski kapitał”. Przypomnijmy: polski kapitał to np. SKOK-i i senator Bierecki, tyle tylko, że ten ostatni konto bankowe ma poza krajem i wyprowadza ten „polski kapitał” za granicę.

Można, jak chce Andrzej Duda, „repolonizować” banki czy zarządzić ich przymusowy wykup przez bliżej nie określony „polski kapitał”. Można, tylko po co? Czy banki z tego powodu będą lepsze? Jak widać na przykładzie SKOK-ów, raczej nie. Natomiast wywoła to restrykcje, usuwanie polskiego kapitału z innych krajów. A co z giełdą? Trzeba by ją zlikwidować, by cudzoziemcy nie mogli kupować akcji polskich firm, w tym banków... (o takim pomyśle piszemy dalej).

PiS, z jednej strony, kwestionuje niemal wszystkie podstawy Unii Europejskiej, w tym prawo do swobodnego wybierania miejsca zamieszkania przez obywateli, prawo do prowadzenia biznesu we wszystkich krajach Unii, prawo do swobodnego handlu, Kartę Praw Podstawowych, równouprawnienie płci i zakaz dyskryminacji, a z drugiej strony domaga się od Unii więcej dopłat dla rolnictwa, większych funduszy na polskie inwestycje, pomocy w zwiększaniu obronności kraju... Gdy Polacy wyjechali do Wielkiej Brytanii, to było strasznie źle, ale gdy Cameron chce ich stamtąd wyrzucać, to skandal i zamach na polskie interesy narodowe. To właśnie jest to: co twoje, to i moje, a co moje, to nie rusz.

Obraz Polski, jaki wyziera z programu PiS i wypowiedzi polityków tej partii, jest taki: zamknięte granice, szlaban dla zagranicznego kapitału, cenzura, wyłącznie państwowa służba zdrowia, cofnięcie prywatyzacji w gospodarce, władza jedynie

słusznej partii po wsze czasy... Chwilami mamy wrażenie, że PiS chce przywrócić komunizm pod inną nazwą, z tą tylko różnicą, że tym razem to jego działacze zajmą miejsce komunistów. To tym razem oni będą mieli zawsze rację i będą zamykać innych. Tylko, proszę państwa, po co ten komunizm obalaliśmy? Po co jedliśmy tę żabę?

Zmyślone afery i nienormalność normalności

Jedną z metod okłamywania społeczeństwa przez PiS jest wymyślanie nieistniejących afer oraz przedstawianie rzeczy zupełnie normalnych tak, jakby były wielkim skandalem.

26 marca 2011 roku uprawomocnił się wyrok sądu Okręgowego w Warszawie, z którego wynika, iż słynna „inwigilacja prawicy”, którą przez lata straszyc nas PiS jako rzekomą zbrodnią „służb”, w ogóle nie miała miejsca. Co ciekawe, nie jest to jedyny przypadek powiadamiania przez polityków PiS o przestępstwach, do których nigdy nie doszło. Jest to wręcz stała metoda prowadzenia walki politycznej.

Przypomnijmy: Sąd Okręgowy orzekł, że instrukcja nr 0015/92 nie pozwalała na inwigilację prawicy. Orzeczenie to poparł Sąd Apelacyjny. Instrukcja 0015/92 powstała w sierpniu 1992 roku. Jej autorem był Piotr Niemczyk, wówczas dyrektor Biura Analiz i Informacji UOP. Według Jarosława Kaczyńskiego miała umożliwiać inwigilację ugrupowań prawicowych. Na jej podstawie miały również powstać komórki zajmujące się tym zadaniem w każdej z delegatur UOP w Polsce. Instrukcję ujawnił w marcu 1993 r. Jarosław Kaczyński, oskarżając UOP o inwigilację prawicy i rozpętując aferę na całą Polskę („szafa Lesiaka”, rzekome fałszowanie lojalki Kaczyńskiego itp.).

Sąd ocenił zeznania Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza w tej sprawie za „mało wiarygodne”, raczej insynuacje i konfabulacje niż fakty. Z kolei historyk IPN prof. Antoni Dudek zeznał, że: „nie są mu znane żadne fakty i okoliczności, które potwierdzałyby tezę, że na podstawie instrukcji 0015/92 była prowadzona inwigilacja partii prawicowych.” Tak oto słynna „inwigilacja prawicy” poległa w sądzie jak długa.

Wcześniej Jarosław Kaczyński wycofał z prokuratury powiadomienie o rzekomym sfalszowaniu, w ramach inwigilacji prawicy, jego lojalki znajdującej się w teczce SB. Można się domyślać, że uniknął w ten sposób ekspertyzy biegłych, która mogła wykazać autentyczność jego podpisu. Każdy, kto żył i działał w tamtych czasach, wie, że SB wprawdzie fałszowała dokumenty, ale nie takie, i nie wobec nikomu nieznanym osób bez znaczenia w ruchu oporu, a takim kimś był wówczas Jarosław Kaczyński. Sprawa fałszowania lojalki Kaczyńskiego od razu wyglądała na mało wiarygodną, bo nie było widać celu takiego działania, a dokument ten nie miał istotnego znaczenia. W sensie prawnym nie miał wręcz znaczenia żadnego. Tym bardziej nie miało żadnego sensu fałszowanie go w latach 90.

Zawiadamianie prokuratury i robienie gigantycznych politycznych awantur na temat zmyślonych przestępstw jest stałą metodą działania tej partii. Tu warto też przypomnieć rzekome zabójstwo pacjenta przez doktora Garlickiego i ogromną

liczbę zarzutów korupcyjnych, które nie miały pokrycia w faktach. Zupełnie nieprawdziwe były zarzuty korupcyjne wobec dyrektora szpitala MON przy ul. Szaserów w Warszawie. Rzekomy handel organami przez transplantologów, który nigdy nie miał miejsca. PiS walczył wówczas ze środowiskiem lekarskim i ogólnie inteligencją.

Wcześniej miała miejsce „afera billboardowa”, czyli kłamstwo Jacka Kurskiego na temat rzekomego nielegalnego finansowania kampanii wyborczej PO przez firmę ubezpieczeniową. Jak wykazało postępowanie prokuratorskie i sądowe, nic takiego nie miało miejsca.

Kolejna sprawa to rzekome pobicie aktorki Anny Cugier-Kotki (ponoć przez bojówkę PO), na które brak jakichkolwiek dowodów, łącznie z tym, że nie stwierdzono śladów obrażeń. Brak świadków, brak obrażeń, brak potwierdzających nagrań monitoringu, a zeznania zainteresowanej nie trzymają się kupy.

Skoro jesteśmy przy pobiciach, to rzekomo jeden z „obrońców krzyża” miał zostać pobity pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu i w skutek tego pobicia umrzeć. Prokuratura sprawę zbadała i stwierdziła, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych, a żadnego pobicia nie było.

Przypomnijmy też próby sfabrykowania nieistniejących przestępstw i nawet fałszowania w tym celu dokumentów (afery gruntowa, afery hazardowa, afery Weroniki Marczuk-Pazury, rzekomy dom Jolanty Kwaśniewskiej w Kazimierzu...).

Na początku 2011 roku PiS oskarżyło państwo o rzekomą „inwigilację Lecha i Marii Kaczyńskich”. Prokuratura sprawę zbadała i stwierdziła, że żadnej inwigilacji nie było.

W związku z powyższym przypomnijmy o istnieniu następujących przepisów kodeksu karnego:

Art. 234. *Kto, przed organem powołanym do ścigania lub orzekania w sprawach o przestępstwo, w tym i przestępstwo skarbowe, wykroczenie, wykroczenie skarbowe lub przewinienie dyscyplinarne, fałszywie oskarża inną osobę o popełnienie tych czynów zabronionych lub przewinienia dyscyplinarnego, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.*

Art. 235. *Kto, przez tworzenie fałszywych dowodów lub inne podstępne zabiegi, kieruje przeciwko określonej osobie ściganie o przestępstwo, w tym i przestępstwo skarbowe, wykroczenie, wykroczenie skarbowe lub przewinienie dyscyplinarne albo w toku postępowania zabiegi takie przedsięwzięje, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.*

[...]

Art. 238. *Kto zawiadamia o przestępstwie, lub o przestępstwie skarbowym organ powołany do ścigania wiedząc, że przestępstwa nie popełniono, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.*

Pragniemy o tych przepisach przypomnieć w pierwszej kolejności prokuraturze. Może już pora zacząć z nich korzystać?

Niestety nie zawsze fałszywe afery pozostają bez skutków. Fałszywe oskarżenia wobec lekarzy transplantologów spowodowały (czasową, na szczęście) zapaść

transplantologii. Co najmniej kilkanaście osób więcej zmarło nie doczekawszy się przeszczepów, bo społeczeństwu wmawiano, że jeden z najlepszych transplantologów bierze łąpówki a inni handlują narządami – wystarczy porównać statystyki zgonów z czasu sprzed afery, po niej i samego jej okresu.

Skutkiem wziętych z sufitu oskarżeń był również najazd ABW na dom Barbary Blidy i jej samobójstwo. Politykom PiS chodziło o to, by uzyskać, jak to nazwali, „wyjście na SLD”.

Kolejną taką aferą była sprawa prof. Jana Widackiego, którego Jarosław Kaczyński, bez żadnych podstaw, nazywał „kwintesencją układu”. PiS starało się znaleźć urojony, nieistniejący w rzeczywistości „układ”, a dyspozycyjna politycznie prokuratura, podległa ministrowi Ziobrze, dostała niezwyklego zapалу i na podstawie wysoce niewiarygodnych „dowodów” fałszywie oskarżyła Widackiego. Proces trwał **sześć lat** i skończył się uniewinnieniem. W międzyczasie działały się istne cuda w stylu IV RP.

Jan Widacki, adwokat, został oskarżony o podżeganie do fałszywych zeznań Sławomira Ratajczaka - kryminalisty siedzącego w więzieniu w Białymstoku. Ratajczak ni stąd, ni zowąd zeznał, że Widacki nakłaniał go do fałszywych zeznań na korzyść Danielaka („Malizny”). Wcześniej wysłał list do posła Zbigniewa Wassermana, gdzie sugeruje to samo. Dla każdego doświadczonego prokuratora powinno być jasne, że Ratajczak zwyczajnie kombinuje i nie ma na ten fakt żadnych dowodów. Ale nie prokuratura, która na licznych odprawach słyszała od Kaczyńskiego, że Widacki to „kwintesencja układu” (tak w czasie rozprawy zeznał Janusz Kaczmarek). Następnie Ratajczaka odwiedza w areszcie Dorota Kania – dziennikarka „Gazety Polskiej”. Zostawia mu kopię swojego artykułu. Zeznanie Ratajczaka pokrywa się później z treścią tego tekstu. Ciekawe, że wizyta Kani w areszcie nie jest odnotowana. Mało tego, Kania chwaliła się, że nagrała rozmowę z Ratajczakiem, choć wiadomo, że do aresztu nie wolno wносить sprzętu nagrywającego. List Ratajczaka wychodzi z oddziału dla niebezpiecznych osadzonych bez żadnego odnotowania w ewidencji. Dociera do Sejmu, również nie odnotowany w żadnej ewidencji. Ratajczak przyznał później, że w prawdzie on ten list pisał, ale – jak się wyraził – nie on był jego autorem. Zgodnie z jego wersją – list był podyktowany. Tak mówił na rozprawie. Nie wiadomo, jak list dotarł do Wassermana, który jedną kopię dał obrońcom Dochnała, a drugą Dorocie Kani.

Na takich podstawach przez sześć lat ścigano i sądzono uczciwego człowieka, przy okazji oczerniając go w mediach. Sąd nie znalazł żadnych dowodów na prawdziwość oskarżenia. Swoją drogą, istnym kuriozum jest poseł przekazujący list przestępcy obrońcom innego oskarżonego przestępcy i dziennikarce otwarcie związanej z konkretną opcją polityczną.

Poza tworzeniem fałszywych „afer”, politycy i propagandiści PiS bardzo lubią przedstawiać rzeczy zupełnie normalne w taki tonem, jakby były skandalem.

Typowym przykładem było rozbuchanie pseudoafery, mającej polegać na tym, że prof. Leszek Balcerowicz zasiada w radzie fundacji swojej żony. Odbiorca, na którego jest to obliczone, nie musi wiedzieć, co to jest fundacja, co to jest rada fundacji (może ją mylić z radą nadzorczą w spółce, choć to zupełnie co innego). Z rze-

czy zupełnie normalnej, moralnie neutralnej, zrobiono jakiś rzekomy niebywały skandal.

Były poseł PO, obecnie sojusznik PiS, Jarosław Gowin grzmiał po wyborach samorządowych w 2015 roku, w „Kropce nad i”: - „Wybory są sfałszowane”, bo jeden kandydat gdzieś tam dostał „o tysiąc procent więcej głosów niż w poprzednich wyborach”.

Przypomnijmy tym, co spali na lekcjach, co to jest procent. Z definicji jest to jedna setna. A co to jest „tysiąc procent”? $1000\% \times 0,01 = 10$. Tysiąc procent to po prostu dziesięć. Ale dziesięć to tylko dziesięć, a „tysiąc procent” to jak to brzmi! To jest coś! Nie wiemy, ile głosów dostał ten kandydat, ale powiedzmy, że w poprzednich wyborach dostał 50, a w tych 550 (co dalej jest mało), ale dostał o tysiąc procent więcej! To ci dopiero!

Pracowicie eksploatowanym wątkiem jest to, że podsłuchani politycy PO rozmawiali w restauracji „przy ośmiorniczkach”. No istny skandal. W Polsce od dawna w restauracjach serwowana jest nie tylko kuchnia polska, ale i chińska, indyjska, tajska, francuska, meksykańska... Te ośmiorniczki to nic nadzwyczajnego, danie jak danie, na świecie spożywa je wielokrotnie więcej ludzi, niż kotlety schabowe. Żaden to luksus, tyle że nie z polskiej kuchni. No to co? Ale PiS-owcy i niektórzy dziennikarze telewizyjni nigdy nie omieszkują dodać, że rozmawiali „przy ośmiorniczkach”.

Typowy wyborca PiS to człowiek kiepsko wykształcony, który w lepszych restauracjach nie bywa, za granicę nie jeździ, świata nie zna, więc dla niego te „ośmiorniczki” to niebywały luksus, a nie takie sobie danie, wcale nie jakieś wyszukane, tyle że z zagranicznej kuchni.

Wyjazd rządowej delegacji do Ameryki Południowej przedstawiano w propagandzie PiS tak, jakby był niepotrzebną prywatną wycieczką, niemalże nadużyciem. Donalda Tuska nazywano pogardliwie „słońcem Peru”. Wystawiono mu nawet ironiczny pomnik w inkaskiej czapce i z piłką w ręku. A przecież Słońce Peru to nazwa najwyższego odznaczenia, jakie może otrzymać cudzoziemiec. Nie sądzimy, by obywatele Arabii Saudyjskiej śmiali się z króla Abdullaha, odznaczonego Orderem Orła Białego przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego i nazywali go na przykład wyskubanym orzełkiem..

Podamy jeszcze cztery przykłady manipulacji opinią publiczną związane z wyborami i obejmowaniem funkcji wybieralnych w państwie:

I. Po poprzednich wyborach parlamentarnych w 2011 r. PiS już po kilku dniach zaczęło głosić, że „Tusk jednoosobowo odwołał Schetynę (z funkcji marszałka Sejmu)”. Tymczasem Donald Tusk, premier poprzedniego rządu sprzed wyborów, wcale Grzegorza Schetyny nie „odwołał” a tym bardziej „jednoosobowo”. Schety nie po prostu skończyła się kadencja, bo kadencja Marszałka Sejmu kończy się wraz z kadencją Sejmu. Nie było żadnego „odwoływania”. Tym bardziej premier w ogóle nie ma kompetencji „odwoływania” Marszałka Sejmu. Może to zrobić tylko Sejm. Ale to nie przeszkadzało podnosić larum o rzekomo niedemokratycznych działaniach premiera. Podtrzymywali to larum niezbyt rozsądni dziennikarze, którzy wyraźnie nie czytali Konstytucji.

Grzegorz Schetyna rzeczywiście stracił stanowisko, ale w skutek upływu kadencji. Nowego (innego) marszałka wybrał Sejm w nowym składzie, ale mógł to zrobić dopiero na pierwszym posiedzeniu, które mogło się odbyć dopiero po orzeczeniu przez Sąd Najwyższy ważności wyborów. Ale larum podniesiono już kilka dni po wyborach i stworzono atmosferę zamachu stanu, podczas gdy całe wydarzenie było całkiem normalne. Żadna partia bowiem nie ma obowiązku zgłaszać na stanowisko tego samego kandydata, co w poprzedniej kadencji, ani też nowy Sejm nie ma obowiązku tego samego marszałka wybrać. W poprzednich kadencjach Sejmu, gdy rządził kto inny, kilkakrotnie zmieniano marszałków Sejmu i nikt z tego powodu nie dopatrywał się zamachu stanu i hysterii nie urządzał, bo wówczas PiS nie miało interesu urządzania politycznej awantury.

II. Po tych samych wyborach, już po kilku dniach, Mariusz Błaszczak niemal codziennie głosił do kamer: minęło tyle to a tyle dni, „a Tusk jeszcze nie powołał rządu”. Przedstawiano to jak jakieś skandaliczne zaniedbanie i, niestety, nabierali się na to liczni dziennikarze, podniecając wrzawę.

Tymczasem Konstytucja jasno określa procedurę i związane z nią terminy:

1. PKW ogłasza wynik wyborów w terminie do 14 dni od wyborów;
2. protesty do Sądu Najwyższego w terminie 7 dni od ogłoszenia przez PKW;
3. SN ogłasza ważność wyborów w terminie do 90 dni od upływu terminu składania protestów;
4. Sejm zbiera się na pierwszym posiedzeniu;
5. prezydent desygnuje kandydata na premiera w ciągu 14 dni od pierwszego posiedzenia Sejmu;
6. desygnowany na premiera proponuje Sejmowi skład rządu w ciągu 14 dni od desygnowania i składa wnioski o udzielenie mu wotum zaufania;
7. Sejm powołuje rząd na najbliższym posiedzeniu;
8. prezydent wręcza nominacje;
9. premier zwołuje pierwsze posiedzenie rządu.

Jak widać, nawet przy maksymalnym skróceniu wymienionych terminów, nie da się odbyć całej procedury w czasie krótszym niż minimum 14 dni od zakończenia wyborów, a i to możliwe jest tylko wówczas, gdy każdy z wymienionych kroków zajmuje tylko jeden dzień (na drugi dzień po wyborach są wyniki, SN oddała wszystkie protesty już następnego dnia po terminie ich wnoszenia, Sejm zbiera się już dzień później i natychmiast prezydent desygnuje premiera, ten natychmiast proponuje skład rządu... W praktyce jest to mało prawdopodobne.

A tymczasem opowieści Błaszczaka bezmyślnie powtarzane w mediach miały miejsce jeszcze przed pierwszym posiedzeniem Sejmu, nawet przed ogłoszeniem ważności wyborów przez SN. Jakim cudem Donald Tusk miał „powołać rząd”, gdy nawet nie był jeszcze desygnowany na premiera? Mało tego, nie było nawet wiadomo, że wybory są ważne.

III. Po katastrofie smoleńskiej i śmierci Lecha Kaczyńskiego PiS podniosło wrzawę, że Marszałek Sejmu Bronisław Komorowski „tak bardzo śpieszył się z objęciem funkcji pełniącego obowiązki prezydenta”. Tymczasem Konstytucja mówi wyraźnie, że od chwili śmierci prezydenta jego obowiązki pełni Marszałek Sejmu. Nie „obejmuje”, tylko już pełni. Nie ma żadnego „obejmowania”.

IV. Po wyborach 2011 roku, gdy wygrała PO, a wcześniej wybory prezydenckie wygrał Bronisław Komorowski, podniesiono (PiS oczywiście) larum, że nastąpi „monowładza”, będąca rzekomo wielkim zagrożeniem dla demokracji. Tymczasem to, że prezydent i rząd pochodzą z tego samego środowiska politycznego, nie jest niczym niezwykłym. Występuje to w wielu krajach demokratycznych, w USA jest wręcz normą konstytucyjną, a i w Polsce nie jest niczym dziwnym. Gdy przyjrzymy się temu w okresie od pierwszych powszechnych wyborów prezydenckich do dziś, zauważymy, że przeważnie tak właśnie było. Co więcej, gdy dziś zanosi się na to, że zarówno prezydent, jak i rząd będą z PiS, jakoś PiS nie lamentuje, iż grozi nam „monowładza”.

Powyższe cztery przykłady dobitnie pokazują, jak w sytuacjach zupełnie normalnych można u opinii publicznej wzbudzić poczucie rzekomej strasznej afery i niemal skandalu. Trzeba przyznać, że PiS we wmawianiu Polakom istnienia nieistniejących afer doszło do perfekcji.

Oszczyrstwa, insynuacje

Insynuacja jest zawsze niejasna, a jej interpretacja podpowiadana jest w propagandzie szeptanej. Na przykład: „Ustalenie odpowiedzialności politycznej [za Smoleńsk] nie wymaga śledztwa” (Jarosław Kaczyński). Jest to zawołowane pomówienie, że za katastrofę odpowiada PO i Tusk. Albo tak: „Jeśli Bronisław Komorowski usunie krzyż spod Pałacu Prezydenckiego będzie jasne, kim jest, i po której jest stronie, w różnego rodzaju sporach dotyczących polskiej historii” (Jarosław Kaczyński, na konferencji prasowej 16 lipca 2010, podajemy za: [Wiadomości24.pl](http://wiadomosci24.pl)). Oczywiście jest kimś złym, masonem, poganinem, nie-Polakiem, liberałem... (Jarosław Kaczyński używa słowa „liberał” jako obelgi i albo tego słowa nie rozumie, albo przekręca jego znaczenie celowo).

Takie insynuacje rzucane są świadomie, jak swoiste hasło do ataku na określone osoby lub grupy. W historii nie jest to niczym nowym. „O tym, kto jest Żydem, to ja decyduję” - miał powiedzieć Hermann Göring, a bojówki robiły swoje. Teraz Jarosław Kaczyński decyduje publicznie, kto jest patriotą, chrześcijaninem, Polakiem, a kto nie, a dobrze naoliwiona machina robi swoje. I tak, każdy kto ma poglądy inne od wodza, Polakiem nie jest. Reszty dokonają ludzie z fanatycznego tłumu, nieuczciwi dziennikarze, sterowane media.

W połowie czerwca 2014 roku prezes Jarosław Kaczyński wezwał prezydenta Bronisława Komorowskiego, by ten zeznał, „czy należy do siły” czy też nie. Zezna czy nie, insynuacja działa.

W pierwszych dniach sierpnia 2014 r. Jarosław Kaczyński urządził konferencję prasową. Jak zwykle nakłamał i naubliżał niemal wszystkim. Tak się zaciętrzewił,

że zapomniał powiedzieć, o co chodzi. Zrobił to dopiero, odpowiadając na wyraźne pytanie dziennikarza. Okazuje się, że jakaś prywatna firma nie chciała zamieścić plakatów PiS przedstawiających członków rządu z podpisem „Sitwa”. Ma to być dowód na „stosowanie cenzury przez rząd”. Ponoć cała „inteligencja patriotyczna” uważa ten rząd za sitwę.

W wywiadzie dla „Gazety Polskiej” (16 kwietnia 2012 r.) Jarosław Kaczyński – dopuszczając, że źródło zamachu, o którym w wielu wypowiedziach już właściwie przesądził, może być w Polsce – powiedział: „Incydentalne prawo, na podstawie którego będzie przeprowadzone śledztwo w sprawie 10 kwietnia, jest wręcz konieczne... Chcemy ustawy, by dać odważnym prokuratorom szansę na śledztwo nieskrępowane politycznym strachem ich przełożonych.”

Rzecznik prasowy PiS-u Adam Hofman uzupełnił tę zapowiedź, wyjaśniając, że w toku są prace nad ustawą, jak też jakąś, należy sądzić śledczą, instytucją, która będzie się miała się tym zająć. Dla tych, którzy wierzą, że w Smoleńsku zamordowano 96 osób, to pozytywna zapowiedź. Ale wieje z niej grozą. Wszystkie bowiem badania i dochodzenia, które zrobiono i są robione, potwierdzają, że nie ma dowodu ani poszlaki, że Tu-154 padł ofiarą zamachu. Nie może więc być winnych zamachu.

Rzecz w tym, że w razie dojścia PiS-u do władzy będą musieli być szukani i znalezieni. Będą szukani, bo wierzy w zamach Kaczyński, a jeszcze bardziej dlatego, że wierzą rzesze, którym nie da się tej wiary wyperswadować ani wyrwać z serc. Raczej one wyrwą serce przywódcy, gdyby próbował to zrobić. Więc będą szukani z większą zjadłością, z jaką szukani byli w latach 2005-07 twórcy „układu” istniejącego tylko w głowach obu Braci i ich wyznawców. Wtedy chodziło jedynie o korupcję. Teraz szłoby o, istniejący także jedynie w głowach, największy mord polityczny na Polakach od czasu obławy augustowskiej. Zasługujący więc na o wiele więcej niż w latach IV RP. Wtedy na końcu poszukiwań był trup Barbary Blidy i żadnego „układu”.

A szukanie winnych „zamachu” może być rozległe, zwłaszcza że w innym wystąpieniu Jarosław Kaczyński twierdził, iż „były też planowane zamachy na pociągi”.

Pod koniec 2008 roku Adam Michnik wygrał proces cywilny z Andrzejem Zybertowiczem, który zarzucił Michnikowi, iż używał argumentu, że ma rację, bo za komuny siedział. Zybertowicz w sądzie nie potrafił udowodnić swoich twierdzeń. W obronie Zybertowicza larum podniosło spore grono, w którym prym wiedli Bronisław Wildstein, Rafał Ziemkiewicz, Maciej Rybiński, Piotr Semka i inni. Larum: wyrok sądu narusza wolność słowa! Cenzura!

Gdy spyta się tych panów, czy wolno kłamać, zapewne odpowiedzą, że nie. Jakiś tak się jednak składa, że gdy dochodzi do konkretów, to w tym środowisku panuje dziwne przekonanie, że są ludzie, o których kłamać nie tylko wolno, ale wręcz należy. Są to: Adam Michnik, Jacek Kuroń, Tadeusz Mazowiecki, Lech Wałęsa, Donald Tusk, a ostatnio także Stefan Niesiołowski. Dla tego środowiska są to wrogowie, więc kłamstwo na ich temat jest walką szlachetną.

Czerwiec 2011 roku. PiS domaga się powołania sejmowej komisji śledczej do zbadania rzekomego finansowania Platformy Obywatelskiej przez mafię pruszkowską. Według Mariusza Kamińskiego (PiS) mają o tym świadczyć zeznania gangste-

ra (ściślej: szeregowego członka gangu), niejakiemu „Brody”. Miał on obciążyć Mirosława Drzewieckiego, który rzekomo prał brudne pieniądze gangu, finansując nimi PO.

W całej opowieści Kamińskiego nic się kupy nie trzyma. Gang pruszkowski został rozbity przez policję na przełomie 2000 i 2001 roku, na prawie rok przed powstaniem Platformy Obywatelskiej. Jakim cudem gang miałby finansować partię, której jeszcze nie było? „Broda” nie może mieć żadnej wiedzy na temat wydarzeń z lat 2001-2002, bo od roku 2000 do 2005 siedział w więzieniu, a później, od czerwca 2005 do 2010 r., ponownie. Od 2000 do 2010 roku był na wolności tylko przez sześć miesięcy. Poza tym był w gangu szeregowcem, zwykłym drobnym bandziorkiem. Wysoce wątpliwe, by mógł w ogóle znać interesy gangu, zwłaszcza interesy tak poważne. Kamiński i Kaczyński są niewiarygodni także dlatego, że nie wskazali żadnego logicznego powodu, by jakkolwiek gang miał interes w finansowaniu PO. Po co?

W dodatku Mariusz Kamiński nie zna zeznań „Brody”, tylko podobno słyszał o nich od jednego prokuratora, który zaprzecza, by takich informacji Kamińskiemu udzielał. Prokuratura zaprzecza stanowczo, by z zeznań „Brody” wynikało, że gang finansował PO. W czasie, gdy Kamiński rzekomo się o tym dowiedział, był szefem CBA. Nie wiedzieć czemu, nic z tym nie zrobił. Przypomniał to sobie dopiero po ponad dwóch latach, u progu kampanii wyborczej. W dodatku według Kamińskiego i Kaczyńskiego przepływ pieniędzy miał odbywać się za pośrednictwem Mirosława Drzewieckiego, „skarbnika PO”. Tyle tylko, że nie Mirosław Drzewiecki był wtedy skarbnikiem PO. Był nim Waldy Dzikowski. Drzewiecki został skarbnikiem 5 lat później. A więc gang, który już od 6 lat nie istniał, przekazywał pieniądze Drzewieckiemu. Drzewiecki zaprzecza oszczerstwom i zapowiada proces.

Na czym jest oparte całe PiS-owskie oskarżenie? Na tym, że Kamiński miał rzekomo usłyszeć o zeznaniach osoby całkowicie niewiarygodnej, zeznaniach, których nie widział, przy czym według prokuratury, która zeznania zna, takich treści w nich nie ma. A więc w zeznaniach o takiej treści, których nie ma, Pruszków miał finansować PO, gdy jeszcze nie powstała, za pośrednictwem skarbnika, który nie był skarbnikiem, a zeznaje to (w rzeczywistości nie zeznaje) facet, który już na dwa lata przed powstaniem PO siedział w pudle i w żadnych transakcjach nie mógł brać udziału, ani o nich wiedzieć. W dodatku „Broda” jest świadkiem wyjątkowo mało wiarygodnym, bo już raz zeznał, że w zleceniu zabójstwa generała Papały miał brać udział gangster „Nikoś”, który wówczas już od miesiąca nie żył.

Zestawienie dat i faktów na temat „Brody” i Pruszkowa jest dawno znane. Wystarczy przejrzeć archiwum dowolnej gazety, by o tym przeczytać. Te same fakty, i w dużej części na podstawie tych samych źródeł, ustalił i opisał w „Polityce” Piotr Pytlakowski. To nie sztuka do tych faktów dotrzeć. Dlaczego więc Kamiński i Kaczyński wygadują takie rzeczy? Nie sprawdzili powszechnie dostępnych faktów? Nie sprawdzali, bo po co? Przecież wiedzą, że kłamią.

Metoda jest sprawdzona i wielokrotnie stosowana. Najpierw ktoś z PiS-u rzuca kłamstwo-oszczerstwo, następnie rzecznik partii i jego szef robią konferencję prasową. Rzecznik mówi „to zdumiewające”, a prezes domaga się od prokuratury, Se-

jmu, rządu, prezydenta i reszty świata „wyjaśnienia sprawy”, która jest „wysoce niepokojąca” i „jeśli okaże się prawdą, to...”.

Od pierwszych dni po katastrofie smoleńskiej kolportowane było kłamstwo: „Tusk oddał śledztwo [w sprawie Smoleńska] Rosjanom”. Niby każdy myślący człowiek powinien wiedzieć, że Donald Tusk niczego nie oddawał, lecz Rosja sama wszczęła swoje śledztwo i nikt jej nie jest w stanie tego zabronić, bo każde państwo świata może prowadzić śledztwo na temat wszystkiego, co zdarzyło się na jego terytorium. Niby każdy myślący człowiek powinien wiedzieć, że są dwa śledztwa, jedno rosyjskie, drugie polskie. Niby każdy myślący człowiek powinien wiedzieć, że domaganie się, by Rosja zaprzestała swojego śledztwa jest absurdem... Niby każdy myślący człowiek powinien wiedzieć, że aby „oddać śledztwo”, trzeba by nasze polskie śledztwo przerwać i przekazać je Rosji, a nic takiego nie nastąpiło. Tylko czy wyznawcy PiS to ludzie myślący? Widać nie, skoro w to wierzą.

Propagandyści PiS wykorzystują przy tym znakomicie media. Doskonale wiedzą, że jeśli któryś z ich ludzi walnie w telewizji wyjątkowo bezczelnie i bulwersujące kłamstwo, to zostanie ono szeroko rozkolportowane, przez co dotrze do milionów odbiorców, bo wszystkie stacje telewizyjne będą je wielokrotnie powtarzać przez kilka dni. To samo zrobią rozgłośnie radiowe i gazety. 16 lipca 2010 roku kłamstwo o oddaniu śledztwa Rosji wyartykułował w TVN24 Bronisław Wildstein, dodając jeszcze, że „Polska oddała [w ten sposób] część swojej suwerenności”. Już następnego dnia rano było to w TVN24 na pasku. Zasada Goebbelsa została zmodernizowana: kłamstwo wielokrotnie powtórzone zostanie przez wielu ludzi uznane za prawdę, a powtarzać je wielokrotnie będą bezmyślni dziennikarze, myślący o biektywizmie z brakiem prostowania kłamstw i bezmyślnym ich rozpowszechnianiem.

Podobnie jest z kłamstwem Joachima Brudzińskiego, iż „padał deszcz, Tusk i Putin obściskiwali się pod namiotem, a ciało prezydenta leżało w błocie, na czarnej folii, w ruskiej trumnie”. Wydawałoby się, że każdy kto wówczas oglądał telewizję, wie, iż nie padał deszcz, nie było namiotu, a ciało prezydenta leżało na noszach, bez żadnej trumny, tylko przykryte. Po co więc tak kłamać, skoro zaraz się wyda? Po to, by podać wyznawcom aktualną wykładnię teorii spiskowej, spisku Tuska i Roska; by bezmyślne media szeroko ją rozkolportowały.

I rzeczywiście. Tytuł na Onecie: „Kłopoty Tuska. Jest wniosek do prokuratury”. Okazuje się, że Ziobro złożył „powiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa” przez premiera, bo wykonawcy autostrady nie zapłacili podwykonawcom. Wniosek Ziobry jest bezsensowny, pozbawiony jakichkolwiek podstaw faktycznych i prawnych. Za to wniosek Onetu ambitny: Tusk ma kłopoty, bo Ziobro coś napisał bez sensu.

Oszczercstwem można walnąć w każdej chwili, ot tak. 13 lipca 2015 r. na Śląsku Jarosław Kaczyński powiedział, że „PO zastawiła na przyszły rząd pułapkę”, wskutek czego „na jesieni zabraknie pieniędzy na wypłaty dla górnictwa”. Skąd taki wniosek? Znikąd, ot tak.

Plotka rozpuszczona w Internecie: „Tajny dekret Kopacz spowoduje wzrost cen paliwa.” Nie szkodzi, że w polskim prawie nie ma instytucji dekretu, a prawo nie o-

głoszone w dzienniku ustaw nie obowiązuje. A więc nie ogłoszony (tajny) akt prawny, który nie istnieje, spowoduje wzrost cen.

Można by tak długo...

Groźby, wezwania do przemocy

Jarosław Kaczyński w maju 2011 roku na konferencji prasowej zapowiadał: „będzie zemsta na Tusku”. Zdzisław Krasnodębski: „Trzeba pokazać, że spokoju nie będzie, dopóki oni będą rządzić. Nie będzie grubej kreski. Najpierw będzie kara” (19 maja 2011 roku). Antoni Macierewicz: „Tusk z Putinem zawarł tajny układ. [...] o zdradzie orzeka Trybunał Stanu, przed którym ich na pewno postawimy” (20 maja 2011 r., obie wypowiedzi pod namiotem nienawiści na Krakowskim Przedmieściu). Do tego zapowiedź utworzenia „trybunałów ludowych”, które mają sądzić sędziów i zmieniać ich wyroki (Jarosław Kaczyński po przegraniu w trybie wyborczym procesu o kłamstwo, październik 2011). Do tego „polityka karna” i kara śmierci. Piękny komplet.

12 września 2012 roku, na stronie Stowarzyszenia Solidarni 2010, został opublikowany następujący tekst:

W dn. 29.09 w Warszawie na Placu Powstańców Warszawy dwukrotnie – w godzinach przedpołudniowych i wieczorem odczytany został publicznie i potwierdzony przez zgromadzonych na pikiecie organizowanej przez Solidarnych 2010. Prezentujemy pełny tekst tego wyjątkowego Aktu. (odczytała jego autorka Ewa Stankiewicz – przyp. nasz.)

Akt społecznego osądzenia winnych wobec narodu polskiego:

D. Tuska, B. Komorowskiego, [...], E. Kopacz

Ponad dwa lata temu na terenie Rosji – 38 metrów nad ziemią rozerwany został w wyniku dwóch wybuchów samolot z polskim prezydentem na pokładzie i elitą niepodległościową tego państwa.

Był to początek koszmaru, w który aż trudno uwierzyć, choć rozgrywa się na naszych oczach. Zachowanie najwyższych władz po śmierci prezydenta jest nieludzkie, nielogiczne i prostu nie mieści się w głowie. Cała historia działań i wypowiedzi Donalda Tuska i Bronisława Komorowskiego, każe podejrzewać, że ci ludzie byli nie tylko przygotowani, ale także przeszkoleni w zagwarantowaniu rosyjskich wpływów w Polsce po fizycznej eliminacji polskiego prezydenta.

Mamy do czynienia ze stanem zagrożenia bytu państwowego. Media i sądy są na usługach władzy, która działa na szkodę społeczeństwa.

Dlatego sami musimy się organizować. Według polskiej konstytucji.

Jesteśmy obiektem fizycznej agresji, przed którą musimy się fizycznie bronić.

Ponieważ nie można liczyć na skorumpowaną prokuraturę i sądy – tutaj w sposób symboliczny, ale także stanowiący prawo, odwołuję się bezpośrednio do Was, jako do świadków ponad dwuletniej historii.

Zostaną tu wymienione nazwiska osób odpowiedzialnych za sprawy związane z działaniami państwa w kontekście śmierci polskiego prezydenta na terenie Rosji. Was proszę o wyrok. Tak jak ławników, którzy od dwóch lat obserwują bieg wydarzeń.

Po wymienieniu nazwiska będziemy odpowiadać: Winny lub niewinny działań na szkodę narodu polskiego.

– Donald Tusk

Winny działań na szkodę narodu polskiego!

– Bronisław Komorowski

Winny działań na szkodę narodu polskiego!

– Paweł Graś

Winny działań na szkodę narodu polskiego!

– Tomasz Arabski

Winny działań na szkodę narodu polskiego!

– Bogdan Klich

Winny działań na szkodę narodu polskiego!

– Radosław Sikorski

Winny działań na szkodę narodu polskiego!

– Andrzej Seremet

Winny działań na szkodę narodu polskiego!

– Ewa Kopacz

Winna działań na szkodę narodu polskiego!

*Ludzie odpowiedzialni za fizyczną eliminację głowy państwa, prezydenta Polski, powinni ponieść najwyższy wymiar kary. Nikt w Polsce nie może być przeświadczo-
nym, że zdrada państwa pozostanie czynem bezkarnym.*

W imieniu zgromadzonych na pl. Powstańców Warszawy

Ewa Stankiewicz”

Tak więc ludzie odpowiedzialni za urojone winy wyrosłe w głowach paranoików powinni zostać zgładzeni, a wina już została ogłoszona. Sądu nie trzeba, wystarczy lincz. Nie można liczyć na sądy, więc lud smoleński linczu dokona.

Kłamać zawsze, kłamać wszędzie...

O kłamstwach, oszczerstwach, insynuacjach ze strony PiS i jego przystawek można jeszcze długo. Ilość tego kłamstwa jest taka, że można by o nim napisać grubą, naszpikowaną faktami książkę i jeszcze by się wszystkiego nie ogarnęło. Nie wiadomo, czy pięciu tomów by starczyło. Musimy się jednak ograniczać ze względu na objętość tekstu i wytrzymałość czytelników.

Skąd się to wzięło? Z koncepcji walki politycznej polegającej na tym, by o przeciwniku mówić zawsze tylko źle, niezależnie od tego, jaka jest prawda. Ale mówić zawsze tylko źle, nie kłamiąc, się nie da. Więc lepszy jest ten, kto bardziej brutalnie kłamie, jest bardziej chamski, bardziej bezczelny. To on najszybciej awansuje w partii tego rodzaju.

A dalej już idzie. Ludzie żyjący środowisku, w którym ciągle się kłamie, po pewnym czasie mają w głowach głównie fałszywe informacje o wszystkim, co ich otacza. Żyją w Matrixie, w fałszywej rzeczywistości i nie odróżniają jej od prawdziwej. Nie wiedzą już, że kłamią. Uważają swoje kłamstwa za prawdę, a jeśli twarde

zderzenia z rzeczywistością są bolesne, to znaczy, że świat jest zły, a my cierpimy, my, szlachetni. Wierzimy w prawa fałszywej ekonomii, fałszywej fizyki, w fałszywą historię, a jeśli to się nie sprawdza, to źli są ci, którzy mówią, że jesteśmy w błędzie!

PiS i jego zwolennicy to nie tylko kłamiący politycy, to też cała masa okłamanych ludzi. Skutkiem wieloletniego PiS-owskiego kłamstwa jest doszczętnie okłamana spora część społeczeństwa.

To smutne niestety. Walka z plagą kłamczoholizmu może być beznadziejna. Oczywiście kłamczoholizm występuje nie tylko w PiS-ie, ale tylko w tej partii przybrał rozmiary plagi. Rolnik z pobliskiej wsi, zwolennik PiS, ma co roku coraz droższy samochód i mówi, że biednieje; dostaje potężne dopłaty z Unii i twierdzi, że Unia go okrada – bo ta niedobra Unia dała mu w tym roku o 40 tysięcy mniej, niż w zeszłym. I rzeczywiście w to wierzy! „Pan Papryka”, zarabiający więcej niż premier i ministrowie, pyta premiera: „Jak żyć, panie premierze, jak żyć?”. Matrix, proszę państwa, Matrix. Za to skuteczny, co widać po wyniku Andrzeja Dudy.

Skądinąd zalecenie, by kłamać zawsze, by wszystko było „winą Tuska”, nie jest jedyną przyczyną tego stanu. Drugą jest sposób rekrutacji „ekspertów”. Lech Kaczyński powiedział kiedyś: „Po co mi doradcy, z którymi się nie zgadzam?”. Jest to mylenie eksperta z klakierem.

W normalnych warunkach (np. w nauce, w sądzie) ekspert to niezależny fachowiec powoływany po to, by odpowiedział na konkretne pytanie. Dobrym obyczajem jest zlecać ekspertyzy instytucjom zewnętrznym, im pozostawiając dobór osób, które nad ekspertyzą pracują. Ekspert tym się różni od szarlatana, że nie wypowiada się w kwestiach, na których się nie zna.

W PiS-ie jest inaczej. Ekspertem zostaje każdy, kto deklaruje popieranie każdej teorii Prezesa. I tak, specjalistką od gospodarki została w tej partii Beata Szydło, z zawodu etnograf. Przykładem tej metody jest zespół Macierewicza, którego żaden z „ekspertów” nie jest fachowcem od badania wypadków lotniczych. Co więcej, część z nich nawet kłamie co do tego, kim jest. Przykładem jest tu doktor inżynier Wiesław Binienda, specjalista od budownictwa lądowego (po angielsku civil engineering), który przez ponad rok kłamał, że jest profesorem fizyki i ekspertem NASA. Zeznając w prokuraturze jako świadek (pod odpowiedzialnością karną za skłanianie fałszywych zeznań), sam przyznał, że nie jest profesorem, a jedynie „jest zatrudniony” na stanowisku pracy przeznaczonym dla profesora, jest „doktorem nauk technicznych”, a nie fizykiem, nie prasuje w NASA. Mimo to zwolennicy PiS nadal tytułują go profesorem.

PiS się pod tym względem zapętlił. Taki nabór ekspertów (nie tylko w sprawach smoleńskich) powoduje, że samemu nie zna się prawdy, bo przecież klakierzy i szarlatani prawdy nie powiedzą, jeśli jest inna, niż hegemon sobie życzy. Stąd być może część polityków PiS rzeczywiście wierzy w „zamach” i Polskę, która „jest w ruinie” i „znika”.

Rozdział 2.

Prawo, konstytucja, lustracja, sędziowie

Prawo, system prawny, instytucje i organy wymiaru sprawiedliwości, zwłaszcza sądy, w państwie demokratycznym to nie gorset uciskający społeczeństwo, lecz sposób jego organizacji i układania się obywateli. Kwestionowanie zasad prawnych i podstaw konstytucyjnych oznacza odrzucenie prawideł, które Polacy przyjęli po 1989 roku. Nie tylko niektóre siły skrajne, ale także jedna z partii głównego nurtu – Prawo i Sprawiedliwość, wielokrotnie albo kontestowały fundamentalne założenia, w tym konstytucję, albo po cichu sprzyjały takim opiniom.

Opiszemy poniżej fakty, wypowiedzi, dokumenty, które dowodzą, że PiS, próbując najpierw zbudować tak zwaną IV RP, a potem zwalczając niekorzystne dla siebie wydarzenia i zjawiska, próbowało, lub raczej – nieustannie próbuje zmienić porządek konstytucyjny, niszczyć autorytet sądownictwa, sądu konstytucyjnego, aparatu ścigania. Być może po to, by na gruzach budować według swojej wizji projekt państwa autorytarnego.

Koncepcje prawa karnego – mit założycielski PiS

Stosunek do prawa karnego i zagadnień przestępczości głównych polityków PiS z czasów zakładania tej partii, braci Lecha i Jarosława Kaczyńskich oraz Zbigniewa Ziobry, jest trzonem mitu założycielskiego nowej formacji, która po przekształceniu z Porozumienia Centrum zyskała nową nazwę: Prawo i Sprawiedliwość.

Ta partia wyrosła z mitu o rzekomo niezłomnych szeryfach, Lechu Kaczyńskim i Zbigniewie Ziobrze, którzy dzielnie walczyli z gigantyczną ponoć przestępczością, ale niestety im przeszkodzono, wyrzucając ich z posad, odpowiednio, ministra i wiceministra sprawiedliwości. Ta legenda leżąca u podstaw partii PiS, była, jak niemal wszystko w tej partii, wierutnym kłamstwem.

Przestępczość w Polsce nie była w tamtym czasie gigantyczna, a wręcz przeciwnie, jedna z najniższych na świecie (już wtedy liczby najcięższych przestępstw na 100 tys. mieszkańców były w Polsce na podobnym poziomie jak w Szwajcarii czy Hiszpanii, a znacznie wyższe były np. w USA). Kaczyński i Ziobro nie tylko jej nie obniżyli – za ich urzędowania po raz pierwszy na przestrzeni ok. 10 lat przestępczość wzrosła, a ich koncepcje w tym zakresie były całkowicie niekompetentne i nieskuteczne. Dopiero jednak za czasów tzw. IV RP ówczesny minister Zbigniew

Ziobro i szef CBA Mariusz Kamiński zajęli się, pod pozorem walki z przestępczością i korupcją, intensywnym zwalczaniem przeciwników politycznych.

Ostatnio politycy PiS rzadziej wypowiadają się na tematy prawa karnego, bo wymyślili sobie inny patent na dorwanie się do władzy. Niemniej ich poglądy w tym zakresie się nie zmieniły. Warto więc je przypomnieć, bo są groźne.

„Polityka karna”

Gdy w 2000 roku minister z ramienia SLD Grzegorz Kurczuk chciał przywrócić niezależność polityczną prokuratury, Lech Kaczyński zaprotestował, że bez politycznej podległości prokuratury „państwo nie będzie mogło realizować polityki karnej”. Przypomnijmy, że podporządkowanie polityczne prokuratury, funkcjonujące w PRL, zniesiono na początku lat 90. Przywrócił je minister Jerzy Jaskiernia za rządów SLD. Ponownie funkcje oraz kompetencje Ministra Sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego rozdzielił dopiero rząd PO. Ponowne połączenie tych kompetencji i prowadzenie „polityki karnej” jest od tej pory sztandarowym punktem programu PiS.

Co to jest polityka karna? Jest to podporządkowanie decyzji procesowych, prokuratury, sądów i innych służb (policji, CBA, ABW) potrzebom i poleceniom politycznym stawianym ponad prawem kodeksowym. Mówiąc prościej, o ściganiu, aresztowaniu i skazaniu konkretnej osoby decydować ma wola polityczna, wręcz polecenie aktualnej władzy, a nie to, czy ten człowiek popełnił przestępstwo w świetle kodeksu karnego.

W krajach od dawna demokratycznych i praworządnych prowadzenie polityki karnej jest zakazane i uważane za poważne przestępstwo przeciwko prawu. W niektórych z tych krajów już za samą próbę wywierania politycznego nacisku na sąd lub organ ścigania grozi potężny wyrok. W Polsce polityka karna była prowadzona za czasów IV RP i nadal jest jednym z głównych zamiarów największej partii opozycyjnej (czasem wymyskuje się ten pomysł i innym).

Skutkiem prowadzenia polityki karnej za rządów PiS była sprawa Barbary Blidy (rewizja u niej miała być „wyjściem na SLD”, jak to wyraził Jarosław Kaczyński [zeznanie Janusza Kaczmarka], przy czym podstawy do tej rewizji były wysoce wątpliwe), rzekomej willi Kwaśniewskich w Kazimierzu (Kwaśniewscy wcale nie mieli tam willi, ale CBA chciało za wszelką cenę im ją znaleźć i niepotrzebnie kupiło willę, która wcale do nich nie należała) – oraz szereg innych. Sprawy te są na tyle znane, że na razie ich opisywanie pominie. Skutkiem polityki karnej były też sprawy doktora Garlickiego i transplantologów, gdyż PiS koniecznie chciało wykazać swoją z góry założoną tezę, iż środowisko lekarskie jest dogłębnie skorumpowane.

Za każdym razem działano metodą poszukiwania dowodów na z góry założoną tezę o czyjejs winie. Jest to kompletne odwrócenie metodyki postępowania w normalnym, uczciwym postępowaniu dowodowym, gdzie najpierw bada się ślady, dowody, przesłuchuje świadków, a dopiero na tej podstawie typuje podejrzanego, któremu trzeba udowodnić winę. W „polityce karnej” jest odwrotnie. Naj-

pierw na potrzeby polityki wskazuje się „winnego”, później szuka się na niego „dowodów”, a jak się nie znajdzie, to się je fabrykuje (tak na przykład było w „aferze gruntowej”, gdzie sfałszowano dokumenty, by sprowokować z góry wybrane osoby do korupcji).

To właśnie za przekroczenie uprawnień na potrzeby „polityki karnej” został skazany na 3 lata więzienia wiceprezes PiS Mariusz Kamiński.

„Polityka karna” wcale temu środowisku z głów nie wywietrzała. Jeszcze w lipcu 2015 roku Zbigniew Ziobro (TVN24) groził ściganiem po dojściu PiS do władzy sędziego Igora Tuleyi, za to, że ujawnił niedozwolone metody stosowane w śledztwie za rządów PiS. Według Ziobry, sędzia Tuley złamał wszelkie zasady etyki sędziowskiej. Dlaczego? Ano dlatego, że skierował do prokuratury powiadomienie o stosowaniu przez ekipę Ziobry aresztów wydobywczych, wielogodzinnych przesłuchań (tzw. „konwejerów”) i jak najbardziej słusznie porównał je do metod służb stalinowskich. Porównanie było trafne. „Konwejerów” nie stosowano w Polsce od 1956 roku (nawet za komuny), gdy upadły rząd Bieruta. Przywrócili je do metod śledczych dopiero funkcjonariusze i prokuratorzy za rządów PiS, gdy ministrem sprawiedliwości był Ziobro.

Pomysł prowadzenia „polityki karnej” przez to środowisko polityczne jest niezwykle groźny, bo właśnie to środowisko generuje co pewien czas kolejne domniemane winy różnych ludzi, za czyny, które bywają zupełnie urojone (np. „zamach” w Smoleńsku).

Prawna mitomania

Przypominamy tu liczne wypowiedzi i pomysły Lecha i Jarosława Kaczyńskich z początku lat 2000., które stały się mitem założycielskim ich partii, a poza tym wcale temu środowisku nie wywietrzały z głów, choć zeszły na drugi plan. Niemniej są nadal groźne. Prześledzimy też pokrętną metodę dyskusji stosowaną przez PiS. Pokażemy, że dla uzasadnienia wprowadzenia „polityki karnej” można pleść dowolne bzdury na temat prawa i stanu przestępczości, byle tylko „ciemny lud to kupił”.

W niedzielę, 11 lipca 2004 roku prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński ogłosił, że jego ugrupowanie domagać się będzie przywrócenia kary śmierci. Była to odpowiedź PiS na czyn dwóch bandytów, którzy dla „uczczenia” urodzin jednego z nich zabili (pobili i wyrzucili z pociągu) 21-letnią dziewczynę.

„To wydarzenie pokazuje, że dotychczasowe zmiany w prawie karnym prowadzą do degradacji wartości życia ofiary, a z drugiej strony do wyniesienia wartości życia zbrodniarza. Z tym trzeba skończyć” – oświadczył Kaczyński. Jego zdaniem, przywrócenie kary śmierci, obniżyłoby poziom pewności sobie środowisk przestępczych i niejednemu Polakowi uratowałoby życie. „Wprowadzenie kary śmierci z całą pewnością jest moralnie uzasadnione, jest moralnie konieczne” – twierdził Kaczyński.

Postaramy się wykazać na licznych przykładach publicznych wypowiedzi braci Kaczyńskich oraz Zbigniewa Ziobry, iż panowie ci w rzeczywistości nie mają za-

dnego realnego pomysłu na walkę z przestępczością, a ich głośnie deklaracje mają na celu tylko budowanie popularności wśród najsłabiej wykształconych warstw społeczeństwa. Są bowiem czystą demagogią.

Dyskusja na temat kształtu prawa karnego nie toczyła się wówczas (2002 rok i później) między dwiema koncepcjami, liberalną i konserwatywną, lecz między wiedzą, wynikającą z dorobku nauk prawnych, reprezentowaną przez grono profesorów prawa karnego oraz ignorancją, demagogią i populizmem byłego ministra sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego i jego otoczenia.

Poglądy głoszone przez Lecha Kaczyńskiego, jego brata Jarosława i czołowego doradcę Zbigniewa Ziobrę trafiały do przekonania większości Polaków. Nie pomagały protesty środowiska prawniczego. Ludzie chcieli wierzyć, że Lech Kaczyński poskromi przestępców, że znaleziono cudowny lek na patologię, której większość się boi. Ów rzekomo cudowny lek, czyli surowe prawo, pasuje do wyobrażeń i współgra z emocjami sporej części społeczeństwa.

O ile zwykły człowiek może mieć naiwne wyobrażenia o prawie karnym, to już wyznający podobne poglądy minister jest postacią niepokojącą. Głoszenie antynaukowych koncepcji i odwoływanie się w dyskusjach z naukowcami do opinii „prostego ludu” przypomina praktyki niechlubnego okresu.

W starciu z ludową „logiką” nauka zawsze stoi na przegranej pozycji. Jeśli ktoś padł ofiarą przestępstwa, czuje się przerażony i poniżony. Najchętniej widziałby sprawcę na dożywocie. Demonizuje możliwości przestępcy. Ciężko przestraszony człowiek chętnie daje posłuch wezwaniom do zaostrzania kar, uproszczenia procedur, ograniczania prawa do obrony, pogarszania warunków w więzieniach. Jakkolwiek te emocje są zrozumiałe, państwo powinno kierować się wiedzą a nie ludowymi przekonaniem. Nie można w tworzeniu prawa ignorować dorobku nauk prawnych. Człowiek, który propaguje ignorancję, nie powinien być ministrem.

a. Odwracanie faktów i mylenie pojęć

Obaj bracia Kaczyńscy, Lech i Jarosław, nazywali swoich przeciwników „zwolennikami łagodnego karania” oraz określali koncepcję nowoczesnego prawa karnego jako „liberalną ideologię”.

Nazwanie grona profesorów prawa „zwolennikami łagodnego karania” jest przeinaczeniem faktów. Według nowoczesnej koncepcji prawa karnego wysokość kary ma być wynikiem rozważenia wszelkich za i przeciw, takich jak zagrożenie recydywą, szansa resocjalizacji, szkodliwość społeczna, skuteczność itp. Nie ma natomiast dyrektywy, że kara ma być z założenia łagodna. Bracia Kaczyńscy stosowali demagogiczny chwyt odwracający role w dyskusji. Pogląd naukowy nazywają ideologią, przypisując mu zarazem tezę, której on wcale nie głosi (łagodność), i przeciwstawiają mu swój pogląd, że kary mają być z założenia surowe, czyli właśnie pogląd czysto ideologiczny.

W każdej dziedzinie nauki kryterium prawdziwości teorii jest jej weryfikacja empiryczna. Choćby teoria była kryształowo logiczna, to jeśli przeczą jej fakty ob-

serwacyjne, jest błędna. Teorii o tym, że surowe kary są lekiem na przestępczość, przeczy doświadczenie historyczne, informacje o stanie przestępczości na świecie oraz zjawisko recydywy.

Koncepcja zwalczania przestępczości za pomocą surowych kar była realizowana przez całą historię ludzkości. Gdyby była skuteczna, środowiska przestępcze powinny nie istnieć od wieków. Tymczasem mimo tortur i obcinania rąk złodziei nie ubywało. Wiara, że jeśli zaostrzy się kary, przestępczość zmaleje, jest wiarą naiwną.

Większość opracowań podaje tylko statystyki z trzydziestu najbezpieczniejszych, a zarazem najbogatszych i najbardziej praworządnych państw. Z uzyskaniem danych o tych państwach nie ma kłopotu. Co do reszty natomiast, to albo dane oficjalne są niewiarygodne, albo wcale ich nie ma i trzeba szukać specjalistycznych opracowań. Nie można jednak twierdzić, że ta trzydziestka to cały świat, bo w roczniku statystycznym skończyła się tabelka. Z tego pominięcia ponad 150 państw wyciąga się nieuprawnione wnioski, że jesteśmy „w światowej czołówce pod względem liczby groźnych przestępstw (Lech Kaczyński i Zbigniew Ziobro)”. Nieprawda. Jesteśmy w drugiej połowie drugiej setki, jesteśmy jednym z najbezpieczniejszych państw świata.

Środowisko PiS-owskie głosiło wówczas teorię o „odstraszającym działaniu kary” – według Lecha Kaczyńskiego „przestępcy jednak kalkulują”. Wniosek ten pochodził, jak twierdził Kaczyński, nie z dorobku nauki, lecz z jego „obserwacji z okresu internowania”. Tak więc jednostkowa obserwacja jednej osoby stoi ponad nauką.

Lech Kaczyński, zapytany przez Monikę Olejnik, dlaczego w Rosji jest wysoka przestępczość, choć są surowe kary, odpowiedział, że gdyby kary nie były surowe, to przestępczość byłaby jeszcze większa. Jest to wniosek, który nie wynika z niczego poza ideologicznym przekonaniem. Rosyjska przestępczość jest skutkiem anarchizacji i kryminalizacji państwa, braku praworządności, biedy i powszechnej demoralizacji. Wysokość kar niewiele ma do rzeczy.

Obaj bracia Kaczyńscy, gdy nie mieli argumentów, strzelali wnioskami i faktami wziętymi z sufitu. Jarosław Kaczyński, zapytany o przestępczość w Chinach, odpowiedział, że „tam wykrywalność jest promilowa”. Jest to nieprawda. Jarosław Kaczyński nie wie, jaka jest wykrywalność przestępstw w Chinach, tylko strzelił „faktem z sufitu”, podobnie jak jego brat strzelił „z sufitu” wnioskiem na temat Rosji i twierdzeniem, że Polska jest „w światowej czołówce pod względem liczby groźnych przestępstw”.

W innym wywiadzie Lech Kaczyński stwierdził: „jest taka praktyka, że sprawcy groźnych przestępstw wychodzą na wolność”. To kolejny „fakt” wzięty z potocznych wyobrażeń, a nie z rzetelnych danych. W Polsce sprawcy groźnych przestępstw na ogół otrzymują wyroki znacznie wyższe niż w innych krajach europejskich.

W jednym z wystąpień telewizyjnych w 2002 roku Lech Kaczyński na pytanie o list 42 profesorów prawa i adwokatów, którzy publicznie zaprotestowali przeciw jego koncepcjom (surowego karania, przywrócenia kary śmierci), odparł, że „z tymi autorytetami, to nie jest sprawa taka prosta, jak w fizyce czy chemii”. Jest to niczym nie uza-

sadnione kwestionowanie kompetencji autorów listu (jak zauważyliśmy kilkanaście lat później, dla środowiska PiS autorytetami w fizyce czy chemii też są ludzie, którzy mają zdanie zbieżne z ich hegemonem, a niekoniecznie z prawami chemii i fizyki).

O antynaukowym charakterze koncepcji Lecha Kaczyńskiego najdobitniej świadczy to, że na wszystkie problemy przestępczości zaradzić miało jedno i to samo lekarstwo: surowe kary. Odpowiadając na list 42 prawników, Lech Kaczyński mówił: „Są w tym liście sprawy wysoce niepokojące. Twierdzi się na przykład, że liberalne prawo – a więc łagodność wobec morderców, gwałcicieli i bandytów – jest składnikiem pojęcia wolności.” Jest to przykład typowej dla obu braci Kaczyńskich metody dyskusji: przypisywanie przeciwnikowi poglądów, których on wcale nie ma, a z którymi łatwiej jest dyskutować niż z rzeczywistymi argumentami. Żaden z krytyków pana ministra nie twierdził, że „łagodność wobec morderców, gwałcicieli i bandytów jest składnikiem wolności”. „Liberalne prawo” nie ma nic wspólnego z „łagodnością wobec morderców”. Za morderstwo – o czym Lech Kaczyński zdaje się zapomniał – grozi dożywocie, a nie „łagodność”.

Gdy nie ma się argumentów i nie ma się racji, można przypisać adwersarzowi bulwersujące dla opinii publicznej zdanie, którego on wcale nie powiedział, starając się wzbudzić gniew ludu i zastraszyć rozmówcę wrzaskiem. I tak, każdy, kto miał inne zdanie, został okrzyknięty „zwolennikiem łagodnego karania”, poplecznikiem „morderców, gwałcicieli i bandytów” i oczywiście „liberałem” (np. Lech Falandysz – „liberał”?!).

W wypowiedziach Lecha Kaczyńskiego jest wiele elementów świadczących o tym, że nie znał on, lub udawał, że nie zna, metodologii badań naukowych. Na stwierdzenie: „Polska nadal jest krajem dużo bezpieczniejszym niż Francja czy Wielka Brytania” Lech Kaczyński odpowiadał: „To wierutna bzdura. W tych krajach jest wyższa przestępczość ujawniona – to znaczy ta, którą ujmują statystyki. U nas jest nieporównywalnie większa ciemna liczba przestępstw.” Jest to twierdzenie, że naukowcy ślepo wierzą w liczby podawane przez policję, że przestępstw niezgłoszonych statystyki nie obejmują! Zdumiewająco naiwne wyobrażenie o metodzie sporządzania statystyk... i znowu argument wzięty z sufitu. Lech Kaczyński nie wiedział, czy dane, o których myślał rozmówca, obejmują przestępstwa niezgłoszone. Nie mógł, bo ów nie podał żadnych liczb. Skąd więc wniosek, że miał na myśli tylko przestępstwa zgłoszone? Znikąd. Trzeba było szybko coś palnąć w odpowiedzi, nie dbając, czy to prawda.

Ulubionym argumentem Lecha Kaczyńskiego i jego zwolenników, było twierdzenie, że „statystyki nie oddają rzeczywistości”. To by znaczyło, że statystyki sporządzane są przez ignorantów. Nieprawda. Statystyki sporządzane przez instytucje naukowe oraz publiczne, takie jak GUS, oddają rzeczywistość. Uwzględniają „ciemną liczbę”, bo istnieją algorytmy pozwalające na oszacowanie wielkości zjawiska na podstawie niepełnych danych.

W statystykach podaje się liczby przestępstw zgłoszonych, wykrytych oraz wszystkich. Są to różne liczby. Dla oceny stanu bezpieczeństwa w różnych krajach porównuje się nie liczby przestępstw w ogóle, tylko liczby takich samych czynów na sto tysięcy mieszkańców rocznie, bo kraje mają różną liczbę ludności, a ten sam

czyn w jednym kraju może być przestępstwem, a w innym nie. Gdyby stosować rozumowanie Lecha Kaczyńskiego, mogłoby się okazać, że najbezpieczniej jest w Somalii, bo tam nie ma kodeksu karnego i statystyk. Mimo to liczba zabójstw na sto tysięcy mieszkańców rocznie istnieje i naukowcy potrafią ją oszacować. Dla Polski wynosi ona ok. 2-3, a dla Somalii ok. 300.

Lech Kaczyński twierdził, że „na całym świecie liberalizacji prawa karnego towarzyszył wzrost przestępczości. Narzuca się wniosek o związku przyczynowo-skutkowym między tymi dwoma zjawiskami. Autorzy listu świetnie wiedzą, że wyniki badań naukowych w tym zakresie są zróżnicowane.”

„Na całym świecie” nastąpiła „liberalizacja prawa karnego”? W ogromnej większości państw żadnej „liberalizacji prawa karnego” nie było (w kilkudziesięciu państwach do dziś nie ma skodyfikowanego prawa). A więc znowu: świat nie kończy się równo z tabelką w europejskich statystykach. „Liberalizacja” następowała stopniowo, od początku XX wieku w ok. trzydziestu najbogatszych krajach. I tak się składa, że właśnie w tych krajach przestępczość jest znacznie mniejsza niż w pozostałych. Jeśli patrzeć na cały proces, a nie na dowolnie wybrany wycinek, to jest dokładnie odwrotnie, niż Lech Kaczyński twierdził. Świadczą o tym różnice bardzo duże, a nie subtelne. Spekuluje się na niewielkich wahaniach stanu bezpieczeństwa w i tak bezpiecznej Wielkiej Brytanii czy dość bezpiecznych USA, a pomija się milczeniem kraje o prawie drakońskim i przestępczości gigantycznej (np. Kolumbię, RPA).

Sama zbieżność w czasie jeszcze nie dowodzi związku przyczynowo-skutkowego. W niektórych krajach w tym samym czasie zwiększono zakres wolności, zwłaszcza gospodarczej, co pozwoliło łatwiej kraść i łatwiej sprzedawać kradzione, i zliberalizowano prawo karne. Nie wszędzie jednak tak było. W Polsce nastąpił skokowy wzrost liczby przestępstw przeciwko mieniu w tym samym czasie, gdy wprowadzono wolny rynek. Niewielkie złagodzenie niektórych sankcji karnych nastąpiło kilka lat później. W odniesieniu do Polski, mówiąc o związku przyczynowo-skutkowym, Lech Kaczyński budował wehikuł czasu. Podawana przezeń przyczyna była osiem lat późniejsza niż skutek. Złagodzenie prawa karnego spowodowało wzrost przestępczości, ale osiem lat wcześniej, niż się dokonało!

Co się tyczy twierdzenia, iż „wyniki prac naukowych” podają inne przyczyny zjawiska niż zmiany w prawie karnym, Lech Kaczyński udaje, że nie wie, iż zbieżność w czasie złagodzenia kar i wzrostu przestępczości lub zaostrzenia kar i jej spadku nie zawsze istnieje. Swego czasu w USA znaczne zaostrzenie prawa w postaci ustaw prohibicyjnych spowodowało ogromny wzrost przestępczości zorganizowanej. Wzrost, a nie spadek.

Powyższe metody manipulacji faktami jednocześnie stosował Zbigniew Ziobro (G.W. z dn. 26 lipca 2000 r.). Pisał on: „Na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat w Europie Zachodniej i USA warunki społeczne i standard życia systematycznie się poprawiały. Politykę kryminalną oparto na modelu łagodzenia kar [...]. Zgodnie z receptą prof. Widackiego przestępczość powinna wyraźnie spaść [...]. Stało się wprost przeciwnie. Poziom przestępczości generalnie wzrósł.”

Manipulacja pierwsza: dowolnie wybrany wycinek czasu, w którym jednocześnie występuje zjawisko innego rodzaju sprzyjające przestępczości (wzrost zamoż-

ności społeczeństwa). Manipulacja druga: niczym nie udowodnione przypisanie przyczyny wzrostu przestępczości polityce karnej, a nie np. wzrostowi zamożności, lub innym czynnikom. Zbigniew Ziobro wyraźnie nie rozumie, iż zbieżność w czasie, a nawet istnienie korelacji w sensie statystycznym, nie dowodzi jeszcze związku przyczynowego, a tym bardziej nie dowodzi kierunku tego związku. Rozumując tak jak on, można ze zbieżności w czasie zapadania zmroku i zachodu słońca wyciągnąć wniosek, że zapadanie zmroku jest przyczyną zachodzenia słońca – słońce się chowa, bo jest mu za ciemno! (W rzeczywistości przyczyną obu zjawisk, zapadania zmroku i zachodzenia słońca, jest ruch obrotowy ziemi, czyli ani jedno, ani drugie). Korelacja w czasie istnieje też między początkiem matur i wysypem chrabąszczy. W cytowanej wypowiedzi Zbigniewa Ziobro wysoce wątpliwa historycznie jest także teza o „oparciu polityki kryminalnej na modelu łagodzenia kar”. W jednych bowiem kategoriach prawo łagodzone, ale w innych wprowadzano kary tam, gdzie ich wcześniej wcale nie było (przykład najprostszy: karanie za bicie żony i dzieci, za molestowanie seksualne, za szereg przestępstw gospodarczych).

b. Demagogia prawna

Oto czołowy argument Lecha Kaczyńskiego: „Prawa człowieka interpretowane są w sposób groźny dla społeczeństwa – przestępcy są bezkarni a ofiary bezbronne.” Proszę podać choć jeden przypadek groźnego przestępcy, któremu udowodniono winę i pozostał bezkarny ze względu na prawa człowieka! A może myślał ówczesny pan minister o przestępcach, którym nie udowodniono winy lub ich nie złapano? Ale co mają do tego prawa człowieka?

Klucz leży w innych wypowiedziach pana ministra, z których wynika, że chciałby on widzieć skazywanie ludzi bez udowodnienia winy. Lech Kaczyński mówił: „Bywa, że w sprawach oczywistych mniejsze, wręcz wymyślone wątpliwości są tarczą dla wyjątkowo okrutnych i zdegenerowanych przestępców.” Ten bełkot logiczno-prawny niestety trafia do przekonania wielu ludzi. Wielokrotnie słyszy się wypowiedzi w stylu: „Sąd go uniewinnił z braku dowodów, ale wiadomo, że jest winien.” Nieprawda. Jak nie ma dowodów, to nie wiadomo. Można przeboleć, że nie rozumie tego człowiek niewykształcony, ale co innego – minister sprawiedliwości i późniejszy prezydent.

Co to znaczy „sprawy oczywiste”? Dla sądu sprawa jest oczywista dopiero, gdy udowodni się winę. Co to znaczy „mniejszej wątpliwości”? W cywilizowanym prawie, by kogoś skazać, wątpliwości musi nie być, ani większych, ani mniejszych. Lech Kaczyński chciał zanegować zasadę domniemania niewinności. Poza tym prosimy o konkrety: który to sąd i w jakiej sprawie „wymyślił wątpliwości”, by stały się „tarczą dla wyjątkowo okrutnych i zdegenerowanych przestępców”? Wydaje się, że „wymyślanie wątpliwości” przez sąd wymyślił Lech Kaczyński.

Jakie prawa człowieka „źle się interpretuje”? Żadna z konwencji praw człowieka nie precyzuje, jakiej wysokości mają być wyroki. Lech Kaczyński podaje przykłady: „Są ślady zębów tego zbira (tzn. sprawcy gwałtu i zabójstwa), ślady DNA,

wszelkie możliwe znaki – i nie można postawić zarzutu.” Jeżeli prokurator nie może postawić zarzutu, to są dwie możliwości: albo, wbrew temu, co Kaczyński mówi, nie ma wystarczających dowodów, albo prokuratura źle pracuje. Co to ma za związek z prawami człowieka? Znowu ten sam. Lech Kaczyński chciałby, aby ludzi skazywano bez dowodów, co pozostaje sprzeczne z prawami człowieka.

Inny przykład: „Niedawno władze jednej z uczelni uznały, że nic nie mogą zrobić profesorowi, który wynajął swój dom na agencję towarzyską”. Lech Kaczyński chciał, by karano za czyn nie będący przestępstwem! Po co zmieniać kodeks, skoro nie ma obowiązywać?

W artykule dla „Wprost” (nr. 49/2000) Lech Kaczyński stwierdza, że chciałby, aby minister sprawiedliwości mógł odwoływać sędziów i aby w organach dyscyplinarnych samorządu sędziowskiego znalazły się „osoby spoza środowiska sędziowskiego”. Jest to postulat likwidacji niezawisłości sądów.

Innym razem Lech Kaczyński mówił: „[...] należałoby zastosować środki absolutnie drastyczne. A więc karę śmierci, zwiększenie liczby więźniów [...], przywrócenie trybu uproszczonego w niektórych sprawach, więzienia przypominające te z lat 70-tych, a nie obecne. [...] Policja nie powinna bawić się z przestępcami. Tutaj należałoby wrócić do praktyk z lat 70-tych.” Na czym polegały praktyki z lat 70-tych? Milicja zabezpieczała ślady, zakładała teczkę i w ogóle nie szukała sprawców, a gdy później przypadkowo wpadali, dostawali pałami i przyznawali się do wszystkiego, co zrobili lub co milicji pasowało. Wtedy wyciągano teczkę i sprawa była gotowa.

Zapytany otwarcie przez Jarosława Kurskiego Lech Kaczyński zaprzeczał, jakoby chciał wymuszać zeznania biciem, ale już w następnym zdaniu potwierdzał: „[...] potrzebne są działania bardziej stanowcze. [...] na nieszczęście dla naszego społeczeństwa, w tej chwili takie działania nie przejdą.” Wyjaśnijmy: nie przejdą, bo zabrania ich konwencja przeciw torturom.

Za każdym razem Lech Kaczyński powtarzał, że nie jest przeciwnikiem praw człowieka, tylko są one „źle interpretowane”. Był tylko zwolennikiem: przywrócenia kary śmierci, zniesienia zasady domniemania niewinności, zniesienia niezawisłości sądów, karania za czyny niekaralne, wymierzania kar nie w proporcji do czynu, tylko z założenia surowych, wprowadzenia nieludzkich warunków w więzieniach i stosowania tortur w śledztwie. Ale nie był przeciwnikiem praw człowieka! (Wszystkie powyższe wypowiedzi pochodzą z wywiadu z Lechem Kaczyńskim w GW.)

Lech Kaczyński chciał stosowania „obligatoryjnego tymczasowego aresztowania”, czyli takiego, które stosuje się nawet, gdy nie ma ku temu powodu. Zapytany przez Monikę Olejnik o ewentualne pomyłki, odpowiada, że „są przepisy o rekompensatach za takie pomyłki”.

Wcześniej innym jego pomysłem było „podniesienie kary minimalnej z 3 miesięcy do pół roku” (nie chodzi o dolny zakres kary w konkretnych artykułach kk, lecz o karę minimalną stosowaną wobec wszystkich przestępstw). Minister sprawiedliwości, późniejszy prezydent, profesor prawa nie wiedział, że w polskim prawie nie ma kary minimalnej, więc nie można jej „podnieść”.

W tym samym wywiadzie Lech Kaczyński mówi: „[...] obecna praktyka jest taka, że sprawcy groźnych przestępstw nie są aresztowani”. Nieprawda. Sprawcy naprawdę groźnych przestępstw na ogół są aresztowani. Pomyłki sądów lub przypadki niedbałego osądzenia nie są nieodwracalne. Jeżeli sąd się pomyli, to podległy ministrowi prokurator lub on sam może tę decyzję zaskarżyć. Zresztą brak tymczasowego aresztowania nie oznacza bezkarności. Areszt nie jest karą, lecz środkiem zapobiegawczym.

Minister sprawiedliwości chyba jednak nie rozumiał instytucji tymczasowego aresztowania. Lech Kaczyński mówił: „W przeciętnej sprawie gospodarczej zastosowanie aresztu tymczasowego jest oczywistością, natomiast w sprawie o porwanie [...] aresztowania nie stosuje się.” W praworządnym państwie nie trzyma się ludzi w więzieniach bez prawomocnego wyroku. Tymczasowe aresztowanie jest odstępstwem, stosowanym w wyjątkowych przypadkach, gdy sprawca może się ukrywać, popełniać następne przestępstwa lub utrudniać śledztwo. Jest uzależnione od wystąpienia jednej z tych przesłanek, a nie od rodzaju przestępstwa. Może się zdarzyć, że sąd zastosuje areszt w sprawie gospodarczej, a nie zastosuje wobec porywacza, ale nie ma takiej „oczywistości”, że stosuje się areszt w sprawie gospodarczej, a wobec porywacza nie. To ewidentna nieprawda.

Pan minister mówił: „W Polsce wyrok w zawieszeniu oznacza w praktyce bezkarność.” Wyrok zawiesza się nie „ot, tak”, tylko „warunkowo”. Jeżeli sprawca w okresie zawieszenia nie złamie tych warunków, to nie idzie siedzieć. Na tym polega wyrok (kara!) w zawieszeniu, nie tylko w Polsce, ale wszędzie. Pogratulować wiedzy profesorowi prawa, przedstawianemu później w kampanii wyborczej jako „znakomity prawnik”. Jaki „znakomity” – właśnie widać.

W 2000 roku, po ujawnieniu przez media afery korupcyjnej w Województwie Śląskim, Lech Kaczyński wystąpił w telewizyjnym „Monitorze wiadomości” (Pr. 1 TVP, 4 grudnia 2000). Tym razem, gdy chodziło o urzędników i polityków z jego ugrupowania, nie domagał się surowych kar, i przywrócenia „praktyk z lat siedemdziesiątych”. Sprawy przestały być „oczywiste”, prawo do obrony i zasada domniemania niewinności powróciły do łask. Prawa człowieka przestały być „źle interpretowane”. Nie zapalali też publicznym oburzeniem, ani Jarosław Kaczyński, ani „obrońca praw ofiar” Zbigniew Ziobro.

Gdy rozpatrywano aferę Rywina, Zbigniew Ziobro oburzał się na dyspozycyjność prokuratury wobec SLD. Zapytamy retorycznie: a któż tę dyspozycyjność prokuratury forsował? Czy przypadkiem nie Lech Kaczyński i Zbigniew Ziobro, gdy zasiadali w ministerstwie? Czy „idealnie obrotowego” prokuratora Kapustę to przypadkiem nie panowie mianowali?

Przytoczmy jeszcze wypowiedź późniejszą, gdy Lech Kaczyński był już prezydentem.

„Brak przepisów jest spowodowany swoiście pojmowaną wolnością” – powiedział w niedzielę 29 stycznia 2006 roku w Katowicach w czasie konferencji prasowej w związku z katastrofą w Chorzowie prezydent Lech Kaczyński, odnosząc się do nieuregulowania, jego zdaniem, konieczności odśnieżania dachów takich obiektów, jak hala wystawowa, w której śmierć znalazło co najmniej 66 osób.

Profesor prawa powinien wiedzieć, że takie przepisy istnieją; oczyszczanie dachów ze śniegu i strącanie sopli lodowych zagrażających zdrowiu i życiu należą do obowiązku zarządców obiektów budowlanych.

Wolność zatem – idąc tropem słów prezydenta – zagraża nie tylko poziomowi życia, ale samemu życiu ludzi. Nie zagrażają natomiast niczym insynuacja i kłamstwo.

Wypowiedź Lecha Kaczyńskiego, pośrednio przypisująca politykom liberalnym – domyślnie: Platformie Obywatelskiej – winę za tragedię w Chorzowie, zapowiadała rodzaj retoryki, jakiej użyto w walce politycznej przez przeciwników liberalizmu, w tym - przez prezydenta, który nie zamierzał, jak widać, zrezygnować z okazji. Nawet tak strasznej jak to, co wydarzyło się na Śląsku.

Walka z Kartą Praw Podstawowych UE

W marcu 2008 roku Lech i Jarosław Kaczyńscy (prezydent i premier, obaj prawnicy) „wywalczyli” zapis zwalniający Polskę z obowiązywania dwóch artykułów Karty Praw Podstawowych Unii Europejskiej, art. 9 i art. 17 p. 1. ten przykład dobitnie świadczy o stanie umysłów i znajomości prawa ww. prawników.

Politycy PiS twierdzili, że Karta Praw Podstawowych zezwala na małżeństwa homoseksualne oraz zezwala Niemcom na odzyskiwanie nieruchomości w Polsce, które utracili po zakończeniu II wojny światowej.

Walcząc przeciw ratyfikacji Karty Praw Podstawowych, politycy PiS zwalczali przepisy i tak zawarte w innych aktach prawnych obowiązujących już w Polsce: Konstytucji RP, Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności (ratyfikowanej przez Polskę już wcześniej), Kodeksie rodzinnym, Kodeksie cywilnym, Kodeksie karnym i wielu innych obowiązujących aktach prawnych. Karta Praw Podstawowych w kwestionowanych przez PiS artykułach nie wносиła nic, czego w polskim prawie i tak już by nie było. Groźne natomiast było zapisanie w ustawie, jak chciał PiS, że przepisy karty w Polsce nie obowiązują. Było to ni mniej, ni więcej ustanowienie, że nie obowiązuje część Konstytucji, Kodeksów (rodzinnego, cywilnego i karnego) oraz wypowiedzenie ratyfikowanej konwencji praw człowieka. Powstałaby wówczas poważna sprzeczność, gdyby jeden akt prawny mówił, że przepisy o identycznym brzmieniu nie obowiązują, a inne akty prawne – że obowiązują. Na szczęście „wywalczonymi” zmianami prawnymi nikt się nie przejął i stały się one prawem martwym.

Porównajmy dokumenty

PiS twierdził, że art. 9 Karty Praw Podstawowych dopuszcza w Polsce małżeństwa homoseksualne. Jest to kłamstwo. Art. 9 brzmi:

Artykuł 9: Prawo do zawarcia małżeństwa i prawo do założenia rodziny

Prawo do zawarcia małżeństwa i prawo do założenia rodziny są gwarantowane zgodnie z ustawami krajowymi regulującymi korzystanie z tych praw.

Porównajmy z Konwencją o ochronie praw człowieka i podstawowych Wolności, gdzie Art. 12 brzmi:

Artykuł 12: Prawo do zawarcia małżeństwa

Mężczyźni i kobiety w wieku małżeńskim mają prawo do zawarcia małżeństwa i założenia rodziny, zgodnie z ustawami krajowymi regulującymi korzystanie z tego prawa.

Oba więc artykuły odsyłają do polskiego Kodeksu rodzinnego, czyli mówią dokładnie to samo. Żadne małżeństwa homoseksualne z tego nie wynikają, dokąd nie zostaną zapisane w polskim Kodeksie Rodzinnym.

Groźny byłby natomiast zapis ustawowy, że art. 9 Karty nie obowiązuje. Znaczyliby to, że „Prawo do zawarcia małżeństwa i prawo do założenia rodziny nie są gwarantowane zgodnie z ustawami krajowymi regulującymi korzystanie z tych praw”. Tego wyraźnie chciał PiS. Powstałaby sprzeczność prawna z wymienioną Konwencją oraz z Kodeksem rodzinnym. Jeden akt prawny mówiłby, że nie są, a dwa inne, że są.

Kolejnym artykułem Karty kwestionowanym przez PiS był Art. 17 p. 1, który brzmi:

Artykuł 17: Prawo do własności

1. Każda osoba ma prawo do władania, używania, dysponowania i przekazania w drodze spadku swego mienia nabytego zgodnie z prawem. Nikt nie może być pozbawiony swego mienia, chyba że w interesie publicznym, w przypadkach i na warunkach przewidzianych w ustawie, za uczciwym odszkodowaniem wypłaconym we właściwym terminie. Korzystanie z własności może podlegać regulacji ustawowej, jeśli jest to konieczne ze względu na interes ogólny.

Według PiS, artykuł ten daje Niemcom prawo do ubiegania się o majątki na „ziemiach odzyskanych”. Zobaczmy więc, co mówi o tym Konstytucja RP:

Art. 64.

1. Każdy ma prawo do własności, innych praw majątkowych oraz prawo dziedziczenia.

2. Własność, inne prawa majątkowe oraz prawo dziedziczenia podlegają równej dla wszystkich ochronie prawnej.

3. Własność może być ograniczona tylko w drodze ustawy i tylko w zakresie, w jakim nie narusza ona istoty prawa własności.

Łatwo zauważyć, że Art. 64. Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej chroni prawo własności jeszcze mocniej, niż Art. 17. Karty Praw Podstawowych, bo nie przewiduje ograniczenia prawa własności, „jeśli jest to konieczne ze względu na interes ogólny.”

A co mają z tym wspólnego Niemcy? Dokładnie nic. Obecny stan prawny daje im takie same, a nawet większe, możliwości dochodzenia swoich roszczeń, bo obywatel każdego kraju ma prawo wnieść pozew cywilny do polskiego sądu. Uznanie zaś tego pozwu nie zależy od tego, jakie powód ma obywatelstwo, tylko od tego, czy ma rację. Mało tego, Konstytucja RP nie pozwala ograniczyć jego prawa własności ze względu na „interes ogólny”.

Prawo obywatela każdego kraju do wniesienia pozwu do polskiego sądu wynika jednoznacznie z Art. 6 i Art. 14 Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych Wolności. Art. 6 stanowi:

Prawo do rzetelnego procesu sądowego

Każdy ma prawo do sprawiedliwego i publicznego rozpatrzenia jego sprawy w rozsądnym terminie przez niezawisły i bezstronny sąd ustanowiony ustawą przy rozstrzyganiu o jego prawach i obowiązkach o charakterze cywilnym albo o zasadności każdego oskarżenia w wytoczonej przeciwko niemu sprawie karnej. [...]

Art. 14 Konwencji stanowi:

Zakaz dyskryminacji

Korzystanie z praw i wolności wymienionych w niniejszej konwencji powinno być zapewnione bez dyskryminacji wynikającej z takich powodów, jak płeć, rasa, kolor skóry, język, religia, przekonania polityczne i inne, pochodzenie narodowe lub społeczne, przynależność do mniejszości narodowej, majątek, urodzenie bądź z jakichkolwiek innych przyczyn.

Z Art. 6 i Art. 14 Konwencji wynika jednoznacznie, że nie można nikomu odmówić prawa do dochodzenia swoich racji (w tym prawa własności) przed sądem ze względu na narodowość lub obywatelstwo. Niemcy mają więc cały czas takie samo prawo do własności, jak Polacy, Eskimosi, Hindusi i wszyscy inni. Karta Praw Podstawowych nie wnosi tu nic nowego.

Oszczędzimy czytelnikom mozolnego porównywania artykułów Karty z artykułami polskiego prawa. Gwarantujemy, że wszystkie zapisy zawarte w Karcie w polskim prawie już obowiązują, tylko są rozproszone w różnych aktach prawnych. Na pytanie: „co nowego?”, należy odpowiedzieć: nic. Cienia wątpliwości nie zostawia co do tego Art. 51 Karty:

„Zakres

1. Postanowienia niniejszej Karty mają zastosowanie do instytucji i organów Unii z właściwym uwzględnieniem zasady pomocniczości oraz do Państw Członkowskich wyłącznie w zakresie, w jakim stosują one prawo Unii. Państwa te zatem szanują prawa, przestrzegają zasad i popierają ich stosowanie zgodnie ze swymi kompetencjami.

2. Niniejsza Karta nie ustanawia żadnej nowej kompetencji ani zadania dla Wspólnoty lub Unii, ani nie zmienia kompetencji i zadań określonych w Traktatach.

Artykuł 51 mówi więc jak byk, że: Postanowienia Karty stosują się do Państw Członkowskich wyłącznie w zakresie, w jakim stosują one prawo Unii. Trzeba być prawniczym durniem, by nie rozumieć, że Karta nie zmienia dotychczasowego prawa krajowego nie tylko Polski, ale i żadnego innego kraju.

O co więc chodzi?

Wyłącznie o polityczne pieniactwo i walkę o ten elektorat, który z tego wszystkiego i tak nic nie zrozumie. Do takich wyborców odwołuje się PiS.

PiS i rzekoma walka z korupcją

Odwołajmy się do notatek Waldemara Kuczyńskiego zawartych w jego wydanej właśnie książce W. Kuczyński, „Przeciw Czwartej Rzeczypospolitej”, Wyd. Poltext, Warszawa 2015):

Korupcja jest w Polsce problemem, nikt tego nie podważa. Zwalczanie jej obciążone jest u nas tymi samymi poważnymi słabościami, którymi obciążone jest w ogóle ściąganie i wymiar sprawiedliwości. Jeśli rząd PiS coś w tej sprawie poprawi, na pewno zasłuży na brawa. Ale projekt powołania Centralnego Biura Antykorupcyjnego to nie jest projekt, jakich wiele, który możemy oceniać według zwykłych dla tej dziedziny miar – pomoże w walce z korupcją czy nie pomoże. Ocena w tej płaszczyźnie bagatelizuje i zasłania rzecz najważniejszą – rodowód tego projektu. On jest najważniejszy, on będzie decydował o sposobie działania Biura i jest do przewidzenia.

CBA ma rodowód partyjny, lecz samo to nie byłoby czymś niezwykłym, bo wiele projektów w przeszłości także było partyjnych. Ale jego rodowód jest też obsesyjny, wyrastający z obsesji, którą opanowana jest czołówka rządząca, że w Polsce istnieje podziemny układ przestępczy, głównie postkomunistyczny, docierający wszędzie.

W jego składzie więc może znaleźć się każdy, na kogo padnie jakiegokolwiek podejrzenie czy niełaska kogoś ważnego. Partyjne i obsesyjne poczęcie to gwarancja, a w każdym razie ogromne niebezpieczeństwo, że urodzi się potwora, chorobliwie zmotywowaną strukturę do pościgu za enigmą, za mgławicą.

Jak pięciuset zajadłych i suto opłacanych ruszy do walki, a nie znajdą tłumu winnych, to zaczną dobierać z niewinnych. Jest niebezpieczeństwo przekształcenia się CBA w rodzaj partyjnej policji PiS. Tym bardziej że na czele stanąć ma działacz PiS, który zanim objął posadę, już z góry, bez najmniejszych podstaw, wskazał po nazwiskach, na kogo będzie polował [Przedstawiając dziennikarzom po posiedzeniu rządu koncepcję CBA, Kamiński powiedział: „Są w Polsce tzw. wielcy biznesmeni, którzy kolekcjonują w swoich spółkach byłych ministrów, byłych posłów. Widzimy to zjawisko i chcemy powiedzieć takim panom, jak pan Kulczyk, pan Gudzowaty, pan Krauze: jeśli liczą na to, że dzięki temu będą odnosili korzyści w biznesie, to są w wielkim błędzie”. Cyt. za: Dominik Uhlig, Kamiński grozi biznesowi, „Gazeta Wyborcza”, 11.01.2006]

To jest prawda o jego i nie tylko jego zamysłach, a nie późniejsze wykręty. Jest on też znany jako człowiek o bardzo silnych i selektywnych zarazem, w jedną stronę skierowanych nienawiściach. To nie zadymiarz, jak go łagodnie określił Aleksander Hall, to o wiele gorzej. Taka osoba powinna być trzymana jak najdalej od tego rodzaju służb:

„RAFAŁ KALUKIN: Co Pan powie na planowane przez PiS stworzenie Centralnego Biura Antykorupcyjnego? ALEKSANDER HALL: Nie mam wyrobionego poglądu poza przekonaniem, że człowiek o temperamencie Mariusza Kamińskiego nie

powinien stać na czele takiej instytucji jak CBA. To typ uczciwego, ale zadymiarza.” Cyt. za: Pakt na krótką metę, „Gazeta Wyborcza”, 4.02.2006.

A tak Mariusza Kamińskiego scharakteryzował Stefan Niesiołowski: „Powołuje się nową, całkowicie zbędną policję, której szef zdążył już zaprezentować się z jak najgorszej strony, atakując z nazwiska trzech biznesmenów i insynuując ich przestępcze filiacje w stylu godnym sekretarza PZPR, którzy również mieli w zwyczaju atakować ludzi niewygodnych, posługując się insynuacją i kłamstwem. Za ten choćby występ Mariusz Kamiński – człowiek osobiście uczciwy, ale całkowicie niezdolny do pełnienia ważnych funkcji w demokratycznym państwie prawa – powinien zostać natychmiast odwołany. Kamiński ma w sobie niewątpliwie coś z Robespierre’a bez gilotyny. Robespierre bowiem także był nieskazitelnie uczciwy, zyskał nawet przydomek „nieprzekupnego”, ale Francja oszalała z radości, gdy został obalony i zastąpiony przez ludzi, którzy z pewnością nie byli nieprzekupni”. Cyt. za: Stefan Niesiołowski, Polska w rękach ludzi strasznych, „Gazeta Wyborcza”, 20.01.2006.

Państwo strachu

(Według notatek Waldemara Kuczyńskiego)

Po roku władzy PiS muszę powtórzyć tę opinię. Główna rządząca dziś partia po raz pierwszy od upadku PRL przywróciła w funkcjonowaniu państwa kanon, na którym spoczywała Polska Ludowa – państwa trzeba się bać. Nie przywrócili ustroju, tego oczywiście nie chcieli. Wolności też nam nie odebrali, bo to nie takie łatwe.

Ale przywrócili strach przed władzą, dali mu wolność rozprzestrzeniania się, oбудzili emocję niszczącą świadomość obywatelską, samo państwo, a w końcu także wolność jednostek. Uważam, że to najważniejsza zmiana w kraju, jaka nastąpiła wraz ze zmianą władzy jesienią ubiegłego roku. Lęk przed władzą stał się fundamentem IVRP.

Przeczytałem nie tak dawno w „Polityce” obszerny artykuł Barbary Pietkiewicz o tytule Atmosferka („Polityka” nr 37, 2006). Artykuł powinien mieć tytuł – Strach, bo na przykładach pokazuje rozprzestrzenianie się na kraj strachu przed władzą. Pokazuje też skutki: powrót będącej w użyciu za PRL zasady „co innego myślę, co innego mówię”, narastanie służalczości wobec władzy i donosicielstwa.

Mechanizmy rozprzestrzeniające strach nakręcane są zarówno przez rządzących, jak i siłą bezwładu. Strach potęgują tak wyraźne jak nigdy przez ostatnie 17 lat polityczne czystki w strukturach państwa, w prokuraturze, w oświacie, w mediach publicznych, a także rysujące się masowe pieczętowanie ludzi papierami z IPN. Jeszcze trochę, a jakiś lustracyjny narwaniec powie, że OZI (osobowe źródło informacji) powinni założyć specjalne opaski na rękawy. Dlaczego stygmatyzacja ma być tylko w papierach i internecie, a nie na rękawach? Przecież będzie bardziej widoczna i od razu spersonifikowana, a więc skuteczniejsza.

Władza jest też siewcą donosicielstwa, robiąc z niego warunek pozostania w pracy. Mam na myśli między innymi publiczne chwalby posła (Artura) Zawiszy,

jak to obywatele spieszyli z sensacyjnymi donosami do komisji śledczej, czy nagłośniony obowiązek złożenia donosu przez weryfikowanych funkcjonariuszy WSI jako warunek zachowania pracy. To są demoralizujące sygnały o wymowie: „doniescie, to będziecie bezpieczni”. Strach w środowiskach medialnych usiłuje siać pani Kruk, rozdzielając ostrzeżenia i nakładając kary na treści „nieprawomyślnie”.

To samo w stosunku do mediów i nie tylko robi się w związku z tzw. raportem Macierewicza. Raportu co prawda nikt jeszcze nie zna, ale do opinii publicznej przekazywane są gołosłowne ogólniki o strasznym obrazie kraju, jaki ma z niego wynikać, i o kompromitacji wielu ludzi z pierwszych stron gazet. Są to praktyki wstrętne i cyniczne, które byłyby niemożliwe bez odgórnego inspiracji. Atmosferę lęku wytwarzają również przemówienia premiera, jak to w Stoczni Gdańskiej z pierwszego października. Przemówienia z twarzą wykrzywioną złością, niemal krzyczane, pełne podejrzeń, oskarżeń, insynuacji i piętnowania wrogów. Budzące skojarzenia z PRL-owską władzą w momentach jej wściekłości na wrogów ustroju. Mógłbym tę listę przykładów jeszcze pociągnąć.

Ale oprócz impulsów odgórnych działa znany od wieków mechanizm wzmacniający na dole działania góry. Policyjne upodobanie władz najwyższych, kiedy tylko się objawia, nasilają policyjne skłonności wszystkich struktur w państwie, nawet bardzo od policji odległych. Przy okazji zawsze reguluje się osobiste rachunki. Wystarczy, by minister sprawiedliwości widowiskowo zwolnił prokuratora za jakies jego zdaniem „zaniedbanie”, by cała struktura zaczęła się bać „zaniedbań”. Skutkiem tego może być rozpoczynanie śledztw w jednym kierunku, a unikanie w innym, wnioski o zamykanie do aresztu bez potrzeby albo niezamykanie mimo potrzeby itd. Wystarczy, by minister oświaty orzekł, iż nauczyciele z jakimś fragmentem biografii są genetycznymi niepatriotami, żeby zaczęto się takich nauczycieli pozbywać. Wystarczy wywalić dziennikarza z publicznych mediów za zbyt ostre potraktowanie polityka rządzącego państwem, którego należy się bać, żeby wielu innych zaczęło traktować władzę z należytą potulnością. W mediach tych narastanie potulności jest wyraźne. Nie minął rok rządów PiS, a publicystykę, szczególnie w telewizji publicznej, mamy ... partyjną i prawicową [...] Ten mechanizm był znany w PRL, a najbardziej ponuro zaznaczył się w roku 1968. Zresztą obecne wydarzenia nieco przypominają ten czas. Żydów zastąpili lustrowani, a oryginalnym wkładem IVRP ma szansę stać się kategoria „podobywateli” urodzonych przed 1972 r. Ich kochanki lub kochankowie zapisani w aktach SB zostaną ujawnieni. Skoki w bok urodzonych po roku 1972, także posłów pracujących nad ustawą o lustracji, będą z ustawy moralne, więc nie będzie się ich ujawniać.

Sianie strachu, konformizmu, donosicielstwa raz uruchomione nie ustanie. Niedawno mieliśmy ewidentnie pokazowe zatrzymanie ministra Wąsacza przez ekipę w bojowych mundurach i pod bronią, oczywiście pod okiem dziennikarzy. Przewieziono go przez całą Polskę, przesłuchano i zwolniono za mizerną kaucją, której jednym celem było uwiarygodnienie propagandowej pokazówki [...]

Ataki na Trybunał Konstytucyjny

Jedną z najważniejszych instytucji, niepodporządkowaną ani władzy prezydenta [wtedy – Lecha Kaczyńskiego], ani premiera, był Trybunał Konstytucyjny. Sięgnijmy do zebranych przez Waldemara Kuczyńskiego ustaw zakwestionowanych przez TK, skądinąd fundamentalnych dla realizacji projektu IV RP. Były to porażki bolesne.

Waldemar Kuczyński:

Podaję przykłady ustaw i uchwał najbardziej priorytetowych dla PiS, tych konstytuujących IWRP. 23.03.2006 Trybunał Konstytucyjny uznaje za niezgodne z Konstytucją kluczowe postanowienia ustawy medialnej; w tym prawo prezydenta do mianowania jej szefa oraz prawo KRRiT do cenzurowania etyki dziennikarskiej w mediach.

21.04.2006 TK uznaje za niekonstytucyjną większość ustawy otwierającej zawody prawnicze, a faktycznie zmierzającą do osłabienia lub likwidacji samorządu adwokackiego. 22.09.2006 TK uznał za niekonstytucyjne najważniejsze uprawnienia bankowej komisji śledczej Sejmu, faktycznie wymierzonej w Leszka Balcerowicza i niezależność NBP, w tym jej prawo do badania banku centralnego i organów nadzoru finansowego. Reakcją na wyrok TS był insynuacyjny atak Jarosława Kaczyńskiego na prezesa NBP; „gdyby był nowy prezes NBP, naprawdę nowy, czyli z innego środowiska, to ochrona tej instytucji przez Trybunał Konstytucyjny niewiele by pomogła. To, co się tam działo przez wiele lat, wyszłoby na jaw. Mogłoby to być dla różnych środowisk skrajnie niemiłe” („Rzeczpospolita”, 29.09.2006).

Opracowanie „Trybunał Konstytucyjny w mediach w 2006 roku”, Warszawa, Wydawnictwo TK:

Reakcją na wyrok TK był insynuacyjny atak Jarosława Kaczyńskiego na prezesa NBP; „gdyby był nowy prezes NBP, naprawdę nowy, czyli z innego środowiska, to ochrona tej instytucji przez Trybunał Konstytucyjny niewiele by pomogła. To, co się tam działo przez wiele lat, wyszłoby na jaw. Mogłoby to być dla różnych środowisk skrajnie niemiłe” („Rzeczpospolita”, 29.09.2006).

Przyjrzyjmy się jak, ta sprawa (U 4/06) relacjonowana była na łamach prasy:

Jeszcze przed wyrokiem Trybunału rozpoczęła się dyskusja na temat ewentualnych jego skutków.

„Dla Komisji od samego początku najważniejsze stało się upokorzenie Leszka Balcerowicza, który symbolizuje politykę gospodarczą III RP. Dlatego przewodniczącemu komisji Arturowi Zawiszy tak bardzo zależało na przesłuchaniu prezesa NBP. A Balcerowicz przed komisją nie chciał się stawić.

Już we wrześniu Zawisza zapowiadał rozwiązanie siłowe: Jeśli świadek się nie stawi, wyślemy zawiadomienie o nowym terminie przesłuchania, jeśli to nie poskutkuje, możemy na niego nałożyć grzywnę, a w przypadku kompletnego braku współpracy - doprowadzić siłą”. („Przekrój”, Grudzień, 2006, „Nasza przepowiednia dla Polski”).

„Prof. Leszek Balcerowicz ostentacyjnie odmówił stawienia się przed sejmową komisją śledczą ds. banków, dopóki Trybunał Konstytucyjny nie zbada, czy jest ona legalna.

Z formalnego punktu widzenia Balcerowicz jest zobligowany stawić się na wezwanie komisji parlamentarnej. >Prezesa NBP nie obejmuje ochrona immunitetu. I choć faktycznie można kwestionować legalność powołania tej akurat komisji śledczej, to póki wątpliwości tych nie rozstrzygnie Trybunał Konstytucyjny, trzeba się jej podporządkować i stawić na wezwanie< - ocenia prof. Piotr Winczorek, konstytucjonalista z Uniwersytetu Warszawskiego”. („Polityka”, nr 38, 23.09.06, „Gest Balcerowicza”).

Gdy doszło do rozprawy, media obficie relacjonowały jej przebieg.

„Wojciech Szarama i Andrzej Dera (obaj z PiS) i prokuratorzy Zbigniew Szczątko i Przemysław Piątek przekonywali Trybunał, że nie ma on prawa badać tej uchwały Sejmu. Powoływali się na konstytucję, która pozwala Trybunałowi badać „przepisy prawa”, czyli akty skierowane do nieokreślonej grupy osób i tworzące jakieś ogólne zasady postępowania.

- Czy w takim razie jest w ogóle jakiś sposób kontroli konstytucyjności uchwał Sejmu?- pytał sędzia sprawozdawca Mirosław Wyrzykowski. Posłowie nie umieli jej wskazać.

(...) Sędzia Ewa Łętowska badając zarzut naruszania niezależności banku centralnego pytała prokuratora Szcząskę, czy zna takie zjawisko, jak nękanie kogoś np. kontrolami i pojęcie molestowania prawnego. I czy to może wpłynąć na czynności podejmowane przez taką osobę. - to może wpływać na jednostki nie mające silnego charakteru - przyznał prokurator”. („Gazeta Wyborcza”, nr 222, 22.09.06, „Co dalej z komisją?”).

„Jak czytam tę uchwałę, to nie wiem, czy chodzi o przyznanie komuś Nagrody Nobla, czy postawienie zarzutów – komentował sędzia Marian Zdyb”. („Rzeczpospolita”, nr 222, 22.09.06, „Trybunał krytycznie o komisji śledczej”).

Cytowano też obszernie fragmenty ustnego uzasadnienia wyroku, co należy raczej do rzadkości.

„Niech to wykują na sejmowej ścianie:

- Przesłuchania powinny być wyrazem >najwyższego poszanowania dla obowiązujących norm, wzorem do naśladowania<.

- Posłom nie wolno: zadawać pytań sugerujących, nieostrych i niezrozumiałych, pytanie nie mogą być >poniżające, znieważające, wyśmiewające, podchwytliwe lub obraźliwe< dla osoby przesłuchiwanej, nie wolno zadawać po kilka razy tych samych pytań, odczytywać zeznań innych osób i żądać komentowania ich, zadawać pytań o ocenę wiarygodności innych przesłuchiowanych osób, naruszać dobra osobiste świadków, wdawać się w spory i dyskusje ze świadkami i sugerować prawdziwe znaczenie ich zeznań, przesłuchiwać świadka przez wiele godzin.

- Zeznania złożone w warunkach wyłączających swobodę wypowiedzi albo uzyskane wbrew wyżej wskazanym zakazom lub nakazom zgodnie z zasadami proce-

dury karnej nie mogą stanowić dowodu – zauważył sędzia Mączyński”. („Trybuna”, nr 223, 23-24.09.06, „Wielkie baty”).

„Sejm jako jeden z organów władzy państwowej może dużo, lecz nie może wszystkiego. To, co robi, musi się mieścić w ramach konstytucji i ustaw. Chodziło o uniknięcie znanego z historii sprowadzenia demokracji do wszechwładzy większości parlamentarnej - uzasadniał wyrok wiceprezes Trybunału Andrzej Mączyński”.

„Sejmowa komisja nie może być sytuowana w pozycji superorganu nad innymi organami. Sejm, powołując komisję, jest związany z konstytucyjną zasadą podziału i równowagi władz - mówił sędzia Mączyński”. („Gazeta Wyborcza”, nr 223, 23-24.09.06, „Nad Wami Konstytucja”).

„Przestała obowiązywać socjalistyczna zasada, w myśl której najwyższym organem władzy państwowej jest Sejm, aczkolwiek reminiscencje tej zasady są w dalszym ciągu wyraźnie obecne w myśleniu o pozycji i zakresie zadań Sejmu – zauważył wczoraj sędzia Andrzej Mączyński, uzasadniając wyrok Trybunału Konstytucyjnego”. („Gazeta Wyborcza”, nr 223, 23-24.09.06, „Sędziowie o tym, co wolno śledczym, a czego nie”).

Wreszcie burza komentarzy po wyroku.

„Zakres działalności komisji śledczej ds. banków jest nielegalny – orzekł Trybunał Konstytucyjny. Sędziowie potraktowali posłów jak nowicjuszy, żeby nie powiedzieć nieuków. Sędzia Mączyński długo wyliczał dziesiątki karygodnych błędów, jakie popełnili powołując instytucję do zbadania całego systemu bankowego. Trybunał zmasakrował jednak nie tylko PiS-owską komisję, ale postawił w fatalnym świetle wszystkie poprzednie komisje śledcze badające sprawę Lwa Rywina, Orleń i PZU”. („Trybuna”, nr 223, 23-24.09.06, „Wielkie baty”).

„Trybunał uznał w piątek za sprzeczną z konstytucją tę część uchwały Sejmu, która określa zakres prac komisji bankowej. Nie „zlikwidował” jednak samej komisji. Sejm musi na nowo określić zakres jej działania. (...) Sejm przekroczył swoje konstytucyjne uprawnienia, zlecając komisji badanie działalności organów, które nie podlegają jego kontroli – m.in. Narodowego Banku Polskiego i jego prezesa, Komisji Nadzoru Bankowego czy Komisji Papierów Wartościowych”.

(„Gazeta Wyborcza”, nr 223, 23-24.09.06, E. Siedlecka. R. Grochał, „Nad Wami Konstytucja”).

„To jest przełomowa decyzja dla niezależności banku centralnego w Polsce. Słuchając uzasadnienia, miało się wrażenie, że jest to jednocześnie wielka lekcja, co znaczy państwo praworządne, w którym najwyższą władzą jest konstytucja. I ona wiąże wszystkie inne władze razem, także Sejm. Bo nie jest tak, że ten, kto został wybrany w wyborach parlamentarnych, może wszystko. Sejmokracja łamie praworządność”. („Newsweek”, 1.10.06, Prof. L. Balcerowicz, „Kolesie, czyli naród”).

„Słuchając pana ministra Szczygły, nie słyszałem ani jednego argumentu odnoszącego się do orzeczenia. Pan minister stwierdził, że TK nie ma kompetencji do rozpoznania sprawy, bo uchwała o komisji śledczej nie jest jakoby normatywna. Otóż trybunał wyraźnie stwierdził i poparł to licznymi argumentami, że ta uchwała ma charakter normatywny. Potwierdza to cały szereg treści tej uchwały. Zamiast po-

czekać na pisemne uzasadnienie i do niego się odnieść, pan minister pośpieszył się z konkluzją. To bardzo niewłaściwa reakcja ze strony wysokiego funkcjonariusza państwa na wyrok TK.” („Trybuna”, nr 223, 23-24.09.06, prof. M. Safjan, „Ta komisja nie może działać”).

„Trzeba jednak przyznać, że z jednej strony była to bardzo rygorystyczna interpretacja Konstytucji. Cała rzecz rozbiła się o pojęcie określoności sprawy. To pojęcie przestało być czysto akademickie, ale wpłynęło na bieg wydarzeń w kraju. Z drugiej jednak strony trzeba zadać pytanie o słusność i sprawiedliwość samych rozstrzygnięć konstytucyjnych. Bo gdyby miało być tak, że Naród powołuje Sejm, który nie jest w stanie poddać sejmowemu śledztwu działań Komisji Nadzoru Bankowego, to znaczyłoby, że mamy do czynienia ze źle skonstruowaną Konstytucją – i to jest najdalej idąca refleksja z dzisiejszego dnia.” („Nasz Dziennik”, nr 223, 23-24.09.06, Artur Zawisza, „Ruch należy do Sejmu”).

„Teraz powołanie każdej komisji śledczej będzie zaskarżane do Trybunału, bo zawsze znajdzie się jakaś grupa interesów, która będzie się temu sprzeciwiać. Dojdzie do tego, że to od Trybunału będzie zależeć zakres prac komisji – mówił Szarama”). („Nasz Dziennik”, nr 223, 23-24.09.06, „Komisja nie może wezwać każdego”).

„Posłowie PiS mieli nietęgę minę. A minister Przemysław Gosiewski mówił „Gazecie”: - Trybunał może badać legalność ustaw, a nie uchwał sejmowych. Są granice falandyzacji prawa. Prawo obowiązuje też Trybunał”. („Gazeta Wyborcza”, nr 223, 23-24.09.06, „Nad Wami Konstytucja”).

„Politycy PiS powiedzieli ostatnio dużo pochopnych słów na temat Trybunału. Mówili o niedawnych czasach, gdy sędziowie starali się być powściągliwi. Dziś ta powściągliwość znika. Czy to orzeczenie to aby nie swoisty wyraz malutkiego odwetu urażonych prawników na partii rządzącej? Powtórzę raz jeszcze – to nie poseł Zawisza będzie miał z tego powodu kłopot, a polska demokracja, która stanie się bardziej bezradna wobec patologii, a te nie są przecież wymysłem polityków”. („Newsweek”, 1.10.06, A. Zaremba, „Pyrrusowe zwycięstwo Trybunału”).

„Uważam, że orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, w którym sędziowie uznali, że sejmowa komisja śledcza ds. banków działa niezgodnie z konstytucją, to wielkie zwycięstwo państwa prawa. Powiedziałbym nawet, że największe w ostatnim roku.

To orzeczenie jest druzgocące dla osób, które instrumentalnie traktują prawo, czyli dla sejmowej większości, która chciała uderzyć w Leszka Balcerowicza. Jest też absolutnie druzgocące dla komisji, a w szczególności dla jej przewodniczącego Artura Zawiszy. Pewien sposób traktowania prawa został przez to orzeczenie całkowicie skompromitowany. To sygnał dla nas wszystkich, że prawdziwa demokracja to rządy prawa, a nie rządy ludzi. Prawo wygrało. Ludzie, którzy prawa nie rozumieją albo je zinstrumentalizują – ponieśli klęskę”. („Dziennik”, nr 133, 23-24.09.06, T. Lis, „Orzeczenie Trybunału jest druzgocące dla Zawiszy”).

„Sędziowie wykazali rzadką odwagę cywilną. Przecież od miesiący rząd i prezydent publicznie łajali członków Trybunału za poprzednie werdykty. Niektórzy prominentni

PiS-owcy wręcz grozili, że zmienią ustawę o Trybunale Konstytucyjnym, powołując do niego swoich ludzi – jak wcześniej zrobili z KRRiT, a ostatnio z nadzorem nad instytucjami finansowymi”. („Gazeta Wyborcza”, nr223, 23-24.09.06, W. Gądomski, „Brawa dla Trybunału”).

Na koniec opinia konstytucjonalisty.

„Wyrok w sprawie komisji bankowej nie jest kolejnym przejawem >polityki imposybilizmu< Trybunału Konstytucyjnego, o co oskarżają jego sędziów niektórzy politycy. Po prostu w państwie prawa wydawanie pewnych aktów normatywnych jest niedopuszczalne; nie może też być w nim zgody na dowolność działań organów władzy publicznej. To istotna zasada, którą wszyscy politycy powinni się przejmować. Nie zawsze, co widać, chcą, ale powinni przynajmniej wiedzieć, że ona jest i że powinni się jej trzymać.” („Tygodnik Powszechny”, nr 40, 1.10.06, Prof. P. Winczorek, „Prawnie i sprawiedliwie”)

3.11.2006 TK uznał za niezgodną z konstytucją, uchwaloną błyskawicznie, z naruszeniem trybu (krótkie, tygodniowe *vacatio legis*) ordynację wyborczą do samorządu terytorialnego. Trybunał Konstytucyjny powiedział, że „przepuszcza” ustawę tylko dlatego, że procedura wyborcza już trwa. – Tylko mając na uwadze toczący się właśnie proces wyborczy, Trybunał nie uznaje zbyt krótkiego *vacatio legis* za wystarczający powód do uznania trybu uchwalenia ustawy za sprzeczny z konstytucją – uzasadnił wyrok sędzia sprawozdawca Jerzy Stępień. Troje sędziów złożyło zdania odrębne. Ewa Łętowska, Marek Safjan i Mirosław Wyrzykowski uznali, iż tylko dlatego, że wybory są za tydzień, nie można przymykać oka na niezgodny z konstytucją tryb uchwalenia ordynacji”. Cyt. za: Ewa Siedlecka, Wybory wygrały z konstytucją, „Gazeta Wyborcza”, 4.10.2006.

Manipulacje w ordynacji wyborczej

Zainicjowana przez PiS bitwa o zmianę samorządowej ordynacji wyborczej, która zmierzała do wprowadzenia tak zwanych bloków list partii startujących w wyborach, rozpoczęła się od zmian w Komisji Samorządu Terytorialnego, w której rządząca koalicja PiS-Samoobrona-LPR nie miała większości. Załatwiono to prostą uchwałą Sejmu o zwiększeniu liczby członków tej komisji z o dodatkowych 30 posłów. Z wymienionych partii, naturalnie. Dotychczas pracami komisji kierował prezes PSL Waldemar Pawlak. Pojawiła się zatem możliwość zmiany na tym stanowisku.

Polska Agencja Prasowa:

Waldemar Pawlak (PSL) został w środę odwołany z funkcji szefa sejmowej komisji samorządu terytorialnego i polityki regionalnej. Nowym przewodniczącym został Dawid Jackiewicz z PiS. Koalicja ma też obecnie większość w prezydium komisji. Zmiany zostały dokonane na posiedzeniu komisji w nowym, poszerzonym składzie.

W środę po południu komisja ma zdecydować o losach wysłuchania publicznego w sprawie projektu zmian w samorządowej ordynacji wyborczej.

Za odwołaniem Pawlaka było 32 posłów komisji, przeciwko - 24, nikt nie wstrzymał się od głosu. Po jego odwołaniu większość obecnych na posiedzeniu komisji posłów opozycji z PO i SLD opuściła salę obrad. Jackiewicza poparło 32 posłów, przeciwko było 5, nikt nie wstrzymał się od głosu.

We wtorek Sejm rozszerzył skład komisji z 31 do 61 osób. Koalicja zdobyła w niej przewagę nad opozycją. Na śródownym, pierwszym posiedzeniu komisji w nowym składzie, wniosek o odwołanie Pawlaka i powołanie Jackiewicza oraz o rozszerzenie prezydium komisji z 4 do 6 osób złożył Antoni Sosnowski z LPR.

Ponieważ nieco wcześniej Pawlak - jeszcze jako przewodniczący - pomylił nazwisko Sosnowskiego, poseł LPR motywował swój wniosek m.in. tym, że skoro po roku pracy z 31-osobową komisją Pawlak mylił nazwiska posłów, to jak poradzi sobie z komisją liczącą o 30 osób.

Merytorycznie Sosnowski zarzucił Pawlakowi, że jego ubiegłotygodniowa decyzja poddania pod głosowanie wniosku o przeprowadzenie 11 września wysłuchania publicznego w sprawie projektu zmian w ordynacji samorządowej była sprzeczna z uchwałą Sejmu zobowiązującą komisję do zakończenia prac nad tym projektem do 21 sierpnia oraz z regulaminem Sejmu.

Według posła LPR, Pawlak choć ma długi staż parlamentarny w tej sprawie „evidentnie złamał prawo”. Sosnowski powoływał się na ekspertyzę, zgodnie z którą Pawlak, wobec uchwały Sejmu o zakończeniu prac komisji nad ordynacją do 21 sierpnia, nie powinien poddawać pod głosowanie wniosku o wysłuchanie publiczne. Jego przyjęcie oznaczało de facto niedotrzymanie przez komisję nałożonego na nią terminu zakończenia prac.

Wystąpienie posła LPR przerywały okrzyki posłów opozycji, m.in.: „Sosnowski na marszałka”. Poseł SLD Jan Kochanowski bezskutecznie apelował o wycofanie wniosku o odwołanie Pawlaka argumentując, że robienie tego przed wyborami samorządowymi „jest skandalem”.

Ostatecznie Pawlak został pozbawiony funkcji, a nowym szefem komisji został Dawid Jackiewicz. Następnie rozszerzone zostało prezydium komisji z 4 do 6 osób.

Po odwołaniu Pawlaka w prezydium komisji pozostali: Jackiewicz, Waldemar Nowakowski (Samoobrona) i Waldy Dzikowski (PO). Po głosowaniu dołączyli do nich: Krzysztof Jurgiel (PiS), Elżbieta Wiśniowska (Samoobrona) i Witold Bałazak (LPR). Przepadła kandydatura posła PSL Mirosława Maliszewskiego. [...]

Komisja w nowym składzie mogła zająć się teraz wysłuchaniem publicznym, zaplanowanym jeszcze przez Waldemara Pawlaka na wrzesień:

PiS nie chce wysłuchania ordynacji – pisał reporter portalu money.pl. - Termin ten praktycznie uniemożliwił wprowadzenie zmian do ordynacji samorządowej przed jesiennymi wyborami samorządowymi. Chodziło przede wszystkim o poprawkę umożliwiającą blokowanie list wyborczych.

Przed głosowaniem opozycja wskazywała na brak podstawy prawnej, na mocy której komisja mogłaby zdecydować o odwołaniu wysłuchania publicznego.

Poseł PO Waldy Dzikowski tłumaczył, że nie było podstaw prawnych do odwołania wysłuchania. Jego zdaniem zgodnie z regulaminem Sejmu można je odwołać

z powodów technicznych - gdy jest zbyt wielu chętnych do udziału w wysłuchaniu i nie ma do tego warunków lokalowych.

Wszystko wskazuje na to, że nie będzie publicznego wysłuchania projektu zmian w samorządowej ordynacji wyborczej. Szef klubu PiS Marek Kuchciński powiedział, że jego ugrupowanie jest przeciwne tej procedurze.

Decyzję o wysłuchaniu publicznym komisja przyjęła w ubiegłym tygodniu, większością głosów jej opozycyjnych członków.

Kuchciński: Wysłuchanie publiczne wprowadza w błąd opinię publiczną. Zaplanowane zostało na 11. września. Po zmianie składu komisji i zdobyciu w niej większości przez koalicję, PiS będzie chciał anulować decyzję o wysłuchaniu publicznym. Komisja [większość miała już w niej rządząca koalicja] zbierze się w tej sprawie jeszcze dziś po południu.

Wysłuchanie publiczne zostało odwołane.

Opozycja zorganizowała jednak wysłuchanie poza siedzibą Sejmu, w wynajętej sali w jednej z prywatnych szkół wyższych. Oczywiście, skutki tego były żadne. „Wczorajsze, nieformalne wysłuchanie zostało zorganizowane przez opozycję, co Marek Jurek uznał za demonstrację.” (Polskie Radio, 6 września 2006).

Manipulacje przy rozpatrywaniu konstytucyjności ustawy lustracyjnej

11 maja 2007 r. po trzydniowym posiedzeniu TK zakwestionował najważniejsze punkty ustawy lustracyjnej. Znacznie ograniczył zakres jej stosowania i zniósł sankcje za niezłożenie oświadczenia lustracyjnego.

Przyjrzyjmy się – oczami mediów – rozprawie i wydarzeniom wokół i po wyroku. Warto poświęcić na to nieco więcej czasu, bowiem jak na dłoni widać sposoby, których ówczesna władza wykonawcza (choć razem z władzą ustawodawczą) używała dla dyskredytowania władzy sadowniczej.

Lustracja – (sygn. K 2/07) [opracowanie Zespołu Prasy i Informacji Trybunału Konstytucyjnego „Trybunał Konstytucyjny w mediach w 2007 roku”. Wydawnictwo TK, Warszawa 2008]

„Rozprawą roku 2007” była na pewno „lustracja”. Najwięcej o niej napisano, rozprawa trwała z przerwami 3 dni, a wyrok ogłoszono czwartego w późnych godzinach wieczornych.

28 lutego oraz 9, 10 maja 2007 r. Trybunał Konstytucyjny w pełnym składzie rozpoznał wniosek Grupy posłów na Sejm RP dotyczący ustawy z 18 października 2006 roku o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944-1990 oraz treści tych dokumentów znowelizowanej ustawą z dnia 14 lutego 2007 r. Trybunał ocenił z punktu widzenia zgodności z konstytucją wymienione wyżej ustawy a także szereg innych ustaw, które zostały zmienione w wyniku wejścia ich w życie. Wyrok ogłoszono 11 maja.

Nim doszło do rozprawy, temat lustracji przewijał się w mediach przez długie miesiące.

„Słowo „lustracja” działa na wielu ludzi w Polsce jak czerwona płachta na byka. Wokół idei lustracji wytworzyła się cała chora mitologia i narosło wiele nieporozumień, które dziś utrudniają pełne przeprowadzanie procesu lustracyjnego...”

(„Dziennik”, nr 12, 15.01.07. Zbigniew Romaszewski, *Dzieje antylustracyjnej histerii*).

„To, kiedy w sprawie ustawy lustracyjnej zbierze się Trybunał, jest ważne: od jego wyroku zależy, jak w najbliższych miesiącach będzie wyglądać lustracja. 15 maja mija termin składania oświadczeń lustracyjnych. (...). Wczoraj niemal wszyscy sędziowie Trybunału przez ponad trzy godziny za zamkniętymi drzwiami naradzali się nad wyznaczeniem terminu rozprawy. – I sugerowali, żeby decyzję odłożyć – powiedział po naradzie prezes Trybunału Jerzy Stępień. (...). Sam mogę podjąć decyzję i niczego nie wykluczam. Widzimy zapotrzebowanie społeczne na wydanie wyroku przed 15 maja.”

(„Rzeczpospolita”, nr 86, 12.04.07. Lustracja bez zawieszenia).

Wreszcie rozpoczęła się rozprawa.

„Cała Polska czeka: co dalej z tą bublowatą lustracją? Trzeba się oświadczać lustracyjnie, czy może Trybunał Konstytucyjny wyrzuci PiS-owską ustawę do kosza? Czego władcy IV RP od Trybunału oczekują, wiadomo – meldunku: >Panie prezesie, zadanie wykonane<. Widocznie na to się nie zanosz, bo do akcji, przy wtórce obelżywych, kierowanych pod adresem Trybunału Konstytucyjnego wypowiedzi dygnitarzy PiS-u, przystąpił sam marszałek Sejmu Ludwik Dorn.”

(„Trybuna”, nr 106, 8.05.07. *Gwałcenie sędziów*).

„PiS próbuje w sprawie lustracji grać na czas. Marszałek Sejmu Ludwik Dorn zażądał odroczenia rozprawy. (...) zwrócił się do Trybunału z ponownym wnioskiem w tej sprawie. Marszałek twierdzi, że poseł PiS Arkadiusz Mularczyk, który będzie bronił lustracji przed Trybunałem, nie zdążył się przygotować do rozprawy.”

(„Rzeczpospolita”, nr 107, 9.05.07. *Dziś sądny dzień dla lustracji*).

„Pięć godzin trwała (...) przed Trybunałem walka o odroczenie rozprawy rozstrzygającej, czy ustawa lustracyjna jest zgodna z konstytucją. Na początku Mularczyk oświadczył, że nie ma upoważnienia marszałka Sejmu, by reprezentować go w sprawie skargi rzecznika praw obywatelskich z 23 kwietnia. – Marszałek zdecydował tak dziś rano – stwierdził Mularczyk.(...)”

Po 45-minutowej naradzie Trybunał wyłączył ze sprawy wnioski RPO. Wtedy poseł Mularczyk wytoczył kolejne działo. Domagał się wyłączenia ze sprawy trójki sędziów; Marka Mazurkiewicza, Ewy Łętowskiej i Jerzego Stępnia, bo „Gazeta Polska” i „Nasz Dziennik” przypomniały, że w przeszłości krytycznie wypowiadali się na temat lustracji. Mularczyk chciał też sprawdzenia bezstronności sędziego Mirosława Wyrzykowskiego. Podejrzał, że jako członek Rady Wydziału Prawa na UW uczestniczył w podjęciu uchwały krytykującej ustawę lustracyjną. Po dwuipółgodzinnej naradzie Trybunał postanowił odrzucić te wnioski i rozprawa mogła się zacząć. (...). W pierwszym dniu trzydniowego lustracyjnego maratonu przed Trybunałem Konstytucyjnym Trybunał odrzucił wnioski o wyłączenie w sumie czterech sędziów i wysłuchał przemówień stron.”

(„Gazeta Wyborcza”, nr 108, 10.05.07. *Będzie wyrok na lustrację*).

„Trybunał Konstytucyjny orzekł, że między wcześniejszymi wypowiedziami sędziów a ich dzisiejszą rolą nie ma żadnej sprzeczności. Przeciwnicy odsunięcia grupy sędziów wskazują, że lustracja przykuwa uwagę Polaków od 17 lat. Jak znaleźć kogoś, kto nie miał w tej kwestii zdania? Zadają ironiczne pytanie, czy krytyczne wypowiedzi o lustracji Ewy Łętowskiej i Marka Mazurkiewicza sprzed 15 lub dwięciu lat mają podważać dzisiejsze domniemanie ich bezstronności. (...). Nieco inaczej sprawę widzi Janusz Kochanowski. (...). Uznał, że dawne wypowiedzi sędziów zarówno za lustracją, jak i przeciw niej, uprawniają do złożenia wniosku o ich wyłączenie wobec >subiektywnych wątpliwości co do ich bezstronności<. TK jednak odrzucił ten punkt widzenia”.

(„Rzeczpospolita”, nr 108, 10.05.07. Piotr Semka, Autorytet i wiarygodność Trybunału).

„(...) posiedzenie przypominało bardziej manewry wojenne niż obrady Trybunału Konstytucyjnego”.

(„Rzeczpospolita”, nr 109, 11.05.07. PiS kontra Trybunał).

Drugi dzień rozprawy został przedstawiony w mediach równie dramatycznie.

„Przez jedną noc IPN znalazł akta dwóch sędziów Trybunału.”

(„Dziennik”, nr 109, 11.05.07, *Nocny atak na Trybunał*).

„Drugi dzień sądenia ustawy lustracyjnej zaczął się od bomby. Wrzucił ją reprezentujący Sejm poseł Mularczyk (PiS) – wedle akt IPN dwaj sędziowie – Marian Grzybowski i Adam Jamróz – mają agenturalną przeszłość. Mularczyk złożył wniosek o odroczenie rozprawy, dopóki nie wyjaśni się, czy sędziowie mogą orzekać. (...). Prezes Trybunału Jerzy Stępień chciał zobaczyć notatkę, którą Mularczyk zrobił z akt IPN, ale poseł nie miał jej przy sobie. (...)

Prezes Stępień zdecydował: sędziowie zostaną wyłączeni, bo Trybunał ma orzec w sprawie przepisu, który mógłby ich dotyczyć. Po czterech godzinach rozprawa mogła się zacząć.”

(„Gazeta Wyborcza”, nr 109, 11.05.07. *Noc dwóch teczek*)

„Rzecznik IPN odsłania kulisy odnalezienia teczek sędziów Trybunału: Poseł Mularczyk zaczął je przeglądać w czwartek o 8 rano. Wyszedł od nas przed 11, żeby zdążyć do Trybunału na rozprawę.”

(„Gazeta Wyborcza”, nr 109, 11.05.07. *Operacja „Trybunał”*)

Zachowanie przedstawiciela Sejmu przed Trybunałem komentowano:

„Donald Tusk, przewodniczący PO: Kolegium IPN powinno wyjaśnić rolę Instytutu w tej sprawie. Rodzi się podejrzenie, że mógł służyć w tym przypadku skuteczną pomocą w szukaniu haków na Trybunał. Tę sprawę trzeba dokładnie wyjaśnić.”

„Wiktor Osiatyński: Poprzednie wnioski posła PiS zmierzające do odroczenia wyroku TK były niesłuszne, ale uprawnione. Ten krok jest nikczemny.” („Gazeta Wyborcza”, nr 109, 11.05.07. *Operacja „Trybunał”*)

„Dopiero po godz. 19 Trybunał dostał informację o tym, co znajduje się w aktach sędziów Adama Jamroza i Mariana Grzybowskiego, których wcześniej prezes Trybunału wyłączył ze sprawy w związku z informacją reprezentującego Sejm Arkadiusza Mularczyka, że są zarejestrowani w IPN jako >kontakty operacyjne<. (...)

- Czy pan przekazał nam pełną informację? Czy wiedział pan, że sędzia Grzybowski został zarejestrowany 19 czerwca 1989 r.? Czy wiedział pan, że sędzia Jamróz odmówił współpracy z SB z powodów moralnych i został wyrejestrowany jako nieprzydatny? – pytał wzburzony sędzia Stępień. (...). Dlaczego pan zataił przed nami te informacje? Na ich podstawie dwaj sędziowie zostali wyłączeni. Czy ktoś pana wprowadził w błąd? – naciskał prezes TK. Mularczyk milczał. (...) - Czy sprawdzi pan te informacje? Nie dla Trybunału, lecz dla siebie – zakończył Stępień.”

(„Gazeta Wyborcza”, nr 109, 11.05.07. *Czy Pan to sprawdził, panie pośle Mularczyk?*)

„Ludwik Dorn, marszałek Sejmu, powiedział: Chcę jasno stwierdzić, że pan Mularczyk działał jako wskazany przedstawiciel Sejmu. Oceniam jego postępowanie przed Trybunałem bardzo wysoko. Działał w kontakcie i po konsultacjach ze mną, pod moim nadzorem, w większości wykonując moje polecenia - powiedział Dorn.”

(„Życie Warszawy”, nr 110, 12-13.05.07. *Rada adwokacka zajmie się posłem Mularczykiem*)

„- Dziś zobaczyliśmy, jak działa nowa ustawa – stwierdził prezes TK Jerzy Stępień.”

(„Trybuna”, nr 109, 11.05.07. *Niezwykłe niepokojące*)

„Prof. Marek Safjan, były prezes Trybunału Konstytucyjnego: - W historii orzecznictwa TK nie było przypadku, w którym z taką konsekwencją uczestnicy postępowania zmierzaliby do tego, by nie dopuścić do wydania wyroku. Adam Jamróz i Marian Grzybowski powołani zostali podczas mojej kadencji w trybunale. Składali oświadczenia lustracyjne, które zostały poddane weryfikacji przez rzecznika interesu publicznego. Gdyby były jakiegokolwiek wątpliwości w ich sprawie, wszczęto by na pewno postępowanie. Niezwykłe niepokojąca z punktu widzenia interesu państwa prawa jest sytuacja, w której blokuje się możliwość wydania bardzo ważnego i oczekiwanego przez dużą część społeczeństwa orzeczenia.”

(„Trybuna”, nr 109, 11.05.07. *Niezwykłe niepokojące*)

Po trzydniowym i pełnym dramatycznych przerw w posiedzeniu Trybunał wydał wyrok.

„W sprawie lustracji toczył się prawdziwy wyścig z czasem. Aż 90 procent osób zobowiązanych do złożenia oświadczeń lustracyjnych czekało do orzeczenia Trybunału. PiS starało się z kolei odwlec orzeczenie. Trybunał Konstytucyjny przeciwnie, chciał koniecznie wydać werdykt przed 15 maja. I dopiął swego. Po trzydniowym i pełnym dramatycznych przerw posiedzeniu Trybunał wydał wyrok.”

(„Rzeczpospolita”, nr 110, 12-13.05.07. *Trybunał: ustawa lustracyjna częściowo niezgodna z konstytucją*).

„Lustracja ma służyć wyłącznie ochronie demokracji. Nie może zaspokajać żądzy zemsty, lecz musi służyć sprawiedliwości i uwzględniać prawa człowieka – mówił, rozpoczynając wygłaszanie uzasadnienia, prezes Trybunału Jerzy Stępień. I dodał: - Walcząc z relikami ustroju totalitarnego, państwo musi stosować zasady demokratycznego państwa prawa, bo inaczej takie państwo nie byłoby lepsze od państwa totalitarnego. Ustawa lustracyjna może mieć tylko charakter indywidualny, a nie zbiorowy. Teorię ślepych bagietów mamy już za sobą – mówił Stępień. (...) Celem ustawy lustracyjnej nie jest, wbrew rozpowszechnionemu pogładowi, ocena i

następnie stwierdzenie prawdomówności osób składających oświadczenia lustracyjne. Zasadniczym celem ustawy jest ujawnienie pracy lub służby w organach bezpieczeństwa państwa lub współpracy z nimi w latach 44-90 bądź ustalenie braku takiej pracy, służby lub współpracy. Celem takiej regulacji jest zapewnienie jawności życia publicznego, eliminacja szantażu faktami z przeszłości, które mogą być uznane za kompromitujące, i poddanie tych faktów społecznemu osądowi.”

(„Gazeta Wyborcza”, nr 110, 12-13.05.07. *Jerzy Stepien: Jaka lustracja, Uzasadnienie wyroku Trybunału Konstytucyjnego*)

„W piątek padła też przestroga z ust prezesa Stepnia. Przedstawiając uzasadnienie do orzeczenia w sprawie ustawy lustracyjnej, kilkakrotnie przypominał premierowi, że ma obowiązek opublikować w dzienniku ustaw orzeczenie Trybunału >niezwłocznie<.”

(„Rzeczpospolita”, nr 110, 12-13.05.07. Prezes, który zaskoczył wszystkich)

Publikacja sentencji wyroku w Dzienniku Ustaw nie odbyła się bez komplikacji.

„Kilka dni może potrwać, zanim opublikowany zostanie werdykt Trybunału Konstytucyjnego w sprawie lustracji. Osoby nią objęte są dezorientowane. Opozycja grzmi, że odkładanie publikacji werdyktu to cyrk. – Orzeczenie musi poczekać na swoją kolejkę do druku w Dzienniku Ustaw – powiedział premier Kaczyński. A Jan Dziedziczak dodał, że może się to przeciągnąć do końca tygodnia. – Zwykle trwa to około czterech dni – tłumaczył Dziedziczak, choć za rządów PiS bywały sytuacje, że publikacja w Dzienniku Ustaw trwała zaledwie kilka godzin od momentu podpisania zlecenia przez premiera, np. w ekspresowym tempie został wydrukowany raport z likwidacji WSI.”

(„Rzeczpospolita”, nr 112, 15.05.07. *Lustracyjny chaos: wydawcy stosują się do przepisów, naukowcy czekają*)

„Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie lustracji zostanie opublikowane w Dzienniku Ustaw najprawdopodobniej po 15 maja 2007 r. – zapowiedział wczoraj premier Jarosław Kaczyński. PiS, waląc poniżej pasa, chce więc dopaść kilkaset tysięcy osób podlegających przepisom zakwestionowanej w piątek ustawy lustracyjnej, mimo że są one niezgodne z prawem.”

(„Trybuna”, nr 111, 14.05.07. *Lustracja poza prawem*).

„Jeśli tak się stanie, będzie to naruszenie konstytucji, a cenę ewentualnych konsekwencji poniesiemy wszyscy! – alarmuje prof. Andrzej Zoll, były sędzia Trybunału Konstytucyjnego. (...). Prof. Zoll dodaje, że jeśli premier będzie chciał, to orzeczenie TK zostanie opublikowane przed 15 maja. – Gdy chodziło o ustawę o Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji, która zmieniała procedury wyboru członków rady, wtedy pojawiła się ona w tym samym dniu, w którym podpisał ją prezydent – przypomina były sędzia TK.”

(„Dziennik”, nr 111, 14.05.07. *Lustracyjny wyścig z czasem*)

„Na oczach całej Polski polecenie Trybunału o konieczności niezwłocznej publikacji jest kontestowane. Premier rządu RP, notabene doktor prawa, przez wiele dni będzie udzielał obywatelom korepetycji na temat tego, jak można bezkarnie poniewierać zarówno prawem, jak i Trybunałem.”

(„Dziennik”, nr 112, 15.05.07. *Chyba wszyscy stracili już rozum*)

Prof. Piotr Winczorek, konstytucjonalista: „Wyrok Trybunału Konstytucyjnego powinien być ogłoszony w Dzienniku Ustaw bezzwłocznie. Nie ma wprawdzie żadnych ustawowych terminów, ale nie ma też żadnych przeszkód. Jak się nie chce robić fochów, to można to zrobić naprawdę bardzo szybko. Bywały przypadki, że Dziennik Ustaw ukazywał się z jedną kartką, a wydrukowanie go z dnia na dzień nie stanowiło problemu. Na miejscu premiera Kaczyńskiego nie szarpałbym się z tym.”

(„Trybuna”, nr 111, 14.05.07. *Prof. Piotr Winczorek, konstytucjonalista: Niech nie robią fochów i drukują*)

W związku z pojawiającymi się różnymi opiniami na temat druku w dzienniku ustaw wyroku TK Biuro TK wydało komunikat.

Warszawa, 2007.05.15.

Komunikat

W związku z pojawiającymi się w mediach i prasie informacjami oraz komentarzami związanymi z ogłaszaniem wyroków Trybunału Konstytucyjnego, Biuro Trybunału Konstytucyjnego wyjaśnia, co następuje:

Zgodnie z art. 79 ust. 3 ustawy o Trybunale Konstytucyjnym ogłoszenie wyroku w organie publikacyjnym zarządza Prezes Trybunału, zaś stosownie do art. 190 ust. 2 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej: „Orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego... podlegają niezwłocznemu ogłoszeniu w organie urzędowym, w którym akt normatywny był ogłoszony.”

Oznacza to, iż ogłaszanie wyroków Trybunału Konstytucyjnego – także ze względu na ich ostateczność i moc powszechnie obowiązującą – podlega k o n s t y t u c y j n e j dyspozycji niezwłoczności ogłoszenia, co zdecydowanie wyróżnia je oraz nadaje charakter priorytetowy, w świetle ogólnych reguł ogłaszania aktów normatywnych oraz innych aktów prawnych w urzędowych organach publikacyjnych.

Katarzyna Sokolewicz-Hirszel

Rzecznik Prasowy Biura TK

„Setki tysięcy ludzi nie muszą się już lustrować. Premier Jarosław Kaczyński złamał się i wydrukował wczoraj – w ostatnim dniu składania oświadczeń lustracyjnych – wyrok TK. Nie było łatwo. – Druk Dziennika Ustaw z piątkowym wyrokiem Trybunału szatkującym PiS-owską ustawę lustracyjną ruszył – poinformował wczoraj ok. godz. 15.00 rzecznik rządu Jan Dziedziczak.”

(„Trybuna”, nr 113, 16.05.07. *Kaczyński pękł*)

Komentarze po wyroku.

„Prezydent Lech Kaczyński: Lustracja w Polsce trafia na niezwykle silny opór. Mogę tylko powiedzieć, że ta sprawa nie jest zamknięta.”

(„Gazeta Wyborcza”, nr 110, 12-13.05.07)

„Skoro ustawa lustracyjna jest niezgodna z konstytucją, to zmienmy konstytucję – zaproponował premier. (...) Premier Jarosław Kaczyński przełamuje tradycyjny sposób myślenia: to konstytucja ma być zgodna z lustracją. (...) Zaraz jednak przedstawił propozycję, co zrobić, żeby lustracji nie przeszkadzał już Trybunał Konstytucyjny: –

Trybunał Konstytucyjny tutaj musi spotkać się z demokratyczną wolą społeczeństwa, tak mocną, żeby nie miał już nic do powiedzenia. Sens tej ustawy będzie sensem właściwym tylko wtedy, jeżeli przybierze ona charakter ustawy konstytucyjnej – powiedział. (...) - Trzeba uchwalić taką ustawę, której nie zdoła obalić Trybunał Konstytucyjny. Czyli w trybie właściwym dla tzw. ustaw konstytucyjnych (niepodlegających ocenie Trybunału Konstytucyjnego).

– Antylustracyjne nastawienie Trybunału Konstytucyjnego, wzięwszy pod uwagę zachowania i oświadczenia wielu sędziów, jest oczywiste – podkreślił.”

(„Gazeta Wyborcza”, nr 111, 14.05.07. *Lustrowanie konstytucją*).

Próby likwidacji niezawisłości sądów

A teraz wracamy do Waldemara Kuczyńskiego:

18.07.2007 TK uchylił prezydencką nowelizację ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa pozwalającej wymienić 40% Krajowej Rady Sądowniczej. O nagminnym łamaniu Konstytucji przez rząd i konieczności jej obrony mówił też Tadeusz Mazowiecki podczas uroczystości na Zamku Królewskim w 10. rocznicę jej uchwalenia: Trzeba bronić Konstytucji, 2.04.2007. Jeszcze długo po zmianie władzy Trybunał Konstytucyjny uznawał za sprzeczne z ustawą zasadniczą prawa przyjęte przez większość PiS, LPR, Samoobronę.

8.11.2007 za niekonstytucyjne uznał, że „odbieranie sędziom immunitetów w trybie 24-godzinnym godzi w sędziowską niezawisłość”. Wprowadzono to prawo z inicjatywy ministra Ziobry.

Inne niekonstytucyjne pomysły prawne

27.06.2008 Trybunał uznał, że autorzy raportu i ustawy o raporcie [dotyczących likwidacji WSI – W.K.] złamali Konstytucję w kilku punktach dotyczących ochrony praw jednostki. Następnego dnia TK stwierdził, że publikacja w lutym 2007 r. Raportu z weryfikacji WSI „naruszyła standardy demokratycznego państwa i podstawowe prawa człowieka”. Trybunał orzekł też, że „Aneks nie może być opublikowany, dopóki ustawa o raporcie nie zostanie uzupełniona o gwarancje praw człowieka”. To, a nie decyzja prezydenta Kaczyńskiego sprawiła, że Aneks do Raportu nie został opublikowany. [Cyt. za: Agnieszka Kublik, Wojciech Czuchnowski, *Trybunał zablokował aneks*, „Gazeta Wyborcza”, 30.06.2008]

7.07.2008 TK zakwestionował wprowadzone do Kodeksu Karnego przez poprzednią większość sejmową penalizowanie wypowiedzi „pomawiających naród polski”.

Kalendarz dyskredytacji i obezwładniania Trybunału Konstytucyjnego przez PiS w latach 2006-2007

Pierwszy raz Trybunał Konstytucyjny naraził się braciom Kaczyńskim 18.01.2006, kiedy uznał za niezgodny z Konstytucją zakaz Parady Równości wyda-

ny przez Lecha Kaczyńskiego, wtedy jeszcze prezydenta Warszawy. Trybunał orzekł: „poglądy moralne władzy nie określają kanonu moralności publicznej i nie mogą być powodem do zakazania zgromadzenia”, „Gazeta Wyborcza”, 19.01.2005. Reakcja Jarosława Kaczyńskiego na ten wyrok była błyskawiczna. Tego samego dnia powiedział: „Pewnych ustaw nie da się teraz przeprowadzić, bo nie przejdą przez Trybunał Konstytucyjny. Trybunał reprezentuje określony kierunek polityczny, ale to się zmieni, gdy będzie wymiana jego członków”. Cyt. za: Ewa Siedlecka, *Prawo kulą u nogi Prawa i Sprawiedliwości*, „Gazeta Wyborcza”, 21.01. 2006.

Nadzieja Kaczyńskiego była zasadna. Pod koniec roku kończyła się kadencja 8 spośród 15 sędziów Trybunału.

3.02.2006 w rozmowie z Agnieszką Kublik i Moniką Olejnik skrytykował sposób interpretowania prawa przez TK, który „pacyfikuje życie publiczne i gospodarcze, bo prowadzi do imposibilizmu”. Wskazał też na właściwy sposób interpretowania prawa. Jest niewłaściwe, jeśli „godzi w państwo, w instytucję państwa”. Była to doktryna usuwająca Konstytucję jako punkt odniesienia wyroków TK i zastępująca ją dobrem państwa – czyli enigmą definiowaną każdorazowo przez władzę.

23.03.2006 Trybunał Konstytucyjny zakwestionował wszystkie cztery punkty ustawy medialnej (o KRRiT) zaskarżone przez rzecznika praw obywatelskich. A mianowicie: prawo prezydenta do mianowania przewodniczącego (co pozbawiło funkcji już mianowaną posłankę PiS Elżbietę Kruk), przepis dający KRRiT prawo „podejmowania działań w zakresie ochrony etyki dziennikarskiej”, przepis uprzywilejowujący nadawców społecznych odnośnie do przedłużenia koncesji (korzystny dla Radia Maryja), także przepis o natychmiastowym zakończeniu działań Rady poprzedniej kadencji, by nowa mogła od razu objąć media publiczne kontrolą.

5.04.2006 po raz pierwszy na corocznym zgromadzeniu sędziów TK nie pojawili się premier i prezydent ani nawet ich przedstawiciele. „Z pewnym żalem stwierdzam, że wybrany niefortunnie termin zgromadzenia ogólnego (śmiech na sali) uniemożliwił uczestniczenie w tym spotkaniu – zgodnie z dwudziestoletnią tradycją – najwyższym reprezentantom państwa” – rozpoczął wystąpienie prezes Trybunału Marek Safjan. Cyt. za: Ewa Siedlecka, *Prezydent i premier zignorowali TK*, 6.04.2006. „Jedną z przyczyn nieobecności Lecha Kaczyńskiego było to, że prezydent krytycznie ocenia orzeczenie Trybunału w sprawie KRRiT – powiedział rzecznik prezydenta Maciej Łopiński.” Cyt. za: *Prezydent Kaczyński nie lubi Trybunału*, „Gazeta Wyborcza”, 6.04.2006.

21.04.2006 TK uznał za niekonstytucyjną większą część ustawy otwierającej zawody prawnicze (de facto podważającej samorząd adwokacki). W odwecie PiS zapowiedziało zmianę Konstytucji, tj. wykreślenie art. 17 dającego prawo do tworzenia samorządu zawodowego.

29.05.2006 prezydent, premier i marszałek Sejmu nie przybyli na uroczystość 20-lecia Trybunału Konstytucyjnego. „To się nie zdarzyło nigdy w historii europejskich trybunałów. To niedobry sygnał obrażania się, lekceważenia tego organu, lekceważenia prawa, konstytucji – ocenił prof. Andrzej Zoll, prezes Trybunału w la-

tach 1993–1997.” Cyt. za: Bogdan Wróblewski, *Obrażeni na Trybunał*, „Gazeta Wyborcza”, 30.05.2006.

12.07.2006 PiS wniósł do Sejmu projekt nowelizacji ustawy o TK, wzmacniającej pozycję prezydenta przy wyborze prezesa TK. W tym momencie prezydentowi byli zgłoszeni przez 15 sędziów Trybunału dwaj kandydaci (sędziowie Jerzy Stępień i Marek Mazurkiewicz) na miejsce ustępującego w listopadzie Marka Safjana. Prezydent na wybór miał czas do 5 sierpnia. Chodziło o pozostawienie sobie możliwości decyzji do czasu, gdy wraz z Safjanem odejdzie jeszcze czterech sędziów i zostaną wybrani nowi, z koalicyjnego przydziału. Konstytucjonalista Piotra Winczorek tak skomentował ten zabieg: „Prezes Jarosław Kaczyński lubi mówić, że coś jest porażające – to poraża dogłębnie.” Cyt. za: Bogdan Wróblewski, *Wojna o Trybunał Konstytucyjny*, „Gazeta Wyborcza”, 13.07.2006.

Kilka dni później PiS wycofało projekt nowelizacji z porządku dziennego, a prezydent zapewnił odchodzącego Marka Safjana, że wybierze jednego ze wskazanych już kandydatów, co niepokój zmniejszyło. I słowa, choć z opóźnieniem (5.11.2006), dotrzymał. Prezesem został Jerzy Stępień.

29.06.2006 PiS wniosło do Sejmu projekt ustawy zwiększającej rolę prezydenta w mianowaniu prezesa i wiceprezesa Trybunału oraz rozszerzał zakres spraw rozstrzyganych nie przez prezesa, a przez pełny skład Trybunału. „Te pomysły – skomentował Marek Safjan, były prezes TK – zmierzają do obniżenia rangi Trybunału, sparaliżowania jego pracy i uzależnienia prezesa Trybunału od władzy wykonawczej. Oceniam je jako bardzo niebezpieczne.” Cyt. za: Ewa Siedlecka, *Oslabić Trybunał*, „Gazeta Wyborcza”, 30.06.2006.

Ewa Siedlecka następująco określiła cel zmiany: „Jak Trybunał będzie musiał sądzić wyłącznie w pełnym składzie, to osądzi uchwalane wbrew konstytucji prawo nie zaraz, ale po pięciu latach. Szybciej się nie da. I tyle też pożyją niekonstytucyjne przepisy. Na przykład publikowanie przez IPN listy agentów, które Trybunał Konstytucyjny dopiero co zakwestionował.” Cyt. za: *Beztroskie psucie Trybunału Konstytucyjnego*, „Gazeta Wyborcza”, 30.06.2006.

Kolejne groźby ze strony Jarosława Kaczyńskiego posypały się na TK w marcu 2007 r., tuż przed ogłoszeniem wyroku w sprawie konstytucyjności pozbawiania mandatów samorządowych za spóźnienie się ze złożeniem oświadczenia majątkowego. Przydarzyło się to prezydent Warszawy Hannie Gronkiewicz-Waltz i było dla PiS okazją, by spróbować pozbawić ją mandatu i stanowiska.

Kaczyński, insynuując, jak zwykle, że prezydent Warszawy znała wyrok przed jego wydaniem, tak groził w dniu jego wydania w „Sygnałach Dnia”: „Bardzo bym był zdziwiony, gdyby się okazało, że pewne rozumowanie prawne, które przedstawiła w swoim piśmie do wojewody mazowieckiego pani Gronkiewicz-Waltz, pisząc jednocześnie, że będzie ono brane pod uwagę przez Trybunał Konstytucyjny, rzeczywiście zostało przez Trybunał zastosowane. Z tego wynikałoby, że Hanna Gronkiewicz-Waltz jest z góry o orzeczeniach Trybunału informowana. To by był jeszcze jeden argument za tym, że trzeba się nad nową konstrukcją Trybunału bardzo poważnie zastanowić. Mam nadzieję, że orzeczenie będzie zgodne z oczywistym prawem i nie będzie żadnych cyrkowych

sztuczek prawniczych.” Cyt. za: *Premier znów straszy Trybunał*, „Gazeta Wyborcza”, 14.03.2007.

Przeciwko atakowi Kaczyńskiego ostro protestowali byli prezesi TK Andrzej Zoll i Marek Safjan, a także sędziwie zrzeszeni w Stowarzyszeniu Sędziów Polskich „Justitia” (25.03.2007).

Po raz kolejny – 3.04.2007 – na zgromadzeniu ogólnym sędziów TK nie było prezydenta i premiera. Po raz pierwszy pojawił się prezydent Kaczyński w Trybunale już z premierem Donaldem Tuskiem, 12.03.2008.

17.07.2007 doszło do wydarzenia bez precedensu. TK zaatakowany został przez Janusza Kochanowskiego, Rzecznika Praw Obywatelskich z PiS-owskiego rozdania. Reagując na niekorzystny dla ustawy lustracyjnej wyrok, Rzecznik napisał w oświadczeniu, że „Trybunał

Konstytucyjny przekroczył granice sędziowskiej wstrzemięźliwości”. Cyt. za: Ewa Siedlecka, RPO: Trybunał pozwala sobie na za wiele, „Gazeta Wyborcza”.

(Waldemar Kuczyński – „Przeciw Czwartej Rzeczypospolitej”, Poltext 2015, str. 426-428. Przypis)

Wtręt o Jarosławie Kaczyńskim w okresie jego pozostawania w opozycji

Raport Kaczyńskiego, czyli o pożytkach z maszyny losującej

“Szczególnym rysem polityki rządu PO i kierownictwa tej partii jest odrzucenie zwyczajowych reguł uznawanych za oczywiste i nienaruszalne przez ludzi o choćby elementarnym wyrobieniu kulturalnym i politycznym” - napisał Jarosław Kaczyński w swoim opublikowanym 31 marca [2011 r. przyp. red.] Raporcie o stanie Rzeczypospolitej.

Dalej, pisząc o tych, którym brak wyrobienia (czytaj – Donald Tusk z byle jakiego podwórka), że „Reguły te, obok przepisów prawa, które są też często łamane (choćby w sposobie traktowania Prezydenta RP czy rozprawienia się z CBA), stanowią podstawę funkcjonowania ustroju demokratycznego. Dziś Polską rządzi grupa, która ich nie zinternalizowała, nie uznała ich za własne. W istocie prowadzi to do niszczenia podstaw demokracji, niszczenia jej najdelikatniejszej tkanki, którą trudno będzie odbudować.”

Raport, niestety, nie jest opisem rzeczywistego stanu Polski, jej ustroju, władz, stosunków społecznych i politycznych, ani też nie odzwierciedla stanu gospodarki polskiej, nie jest żadnym raportem o stanie Rzeczypospolitej. Jest raportem o sposobie widzenia rzeczywistości, zapisem sądów wartościujących, subiektywnym opisem wewnętrznego napięcia autora bądź autorów, a w szczególności emocji wynikających z wciąż dotkliwie przeżywanej utraty władzy. Pełno tu, dla dodania wagi i pozoru mądrości, trudnych słów, jak hiperproceduralizacja, cokolwiek miałyby to znaczyć, albo dekonstrukcja, albo hiperekspiacja, charakter petryfikacyjny, opresanci, społeczno-narodowa gospodarka rynkowa (co to może być? - PR), korporacjonizacja, imposybilizm i tak dalej.

Autorzy rzeczywistość polską widzą w barwach czarno – białych, wyznają bowiem nie chrześcijańską zasadę miłości bliźniego, a manichejską zasadę walki dobra ze złem. Według nich Aryman to:

Donald Tusk, Kazimierz Kutz, Lew Rywin, ideologia lumpenliberalizmu, polityka transakcyjna, kaszubskość i śląskość, niektóre wymienione wyżej trudne słowa, klientyzm wobec Niemiec i Rosji, Polsat News, Gromosław Czempiński, Andrzej Wajda, Krzysztof Bondaryk, WSI, Zbigniew Ćwiąkalski, Gazeta Wyborcza, Tomasz Gross, dziedziczenie w trzecim pokoleniu karier komunistycznych, myślenie tetyczne, exposé Tuska, Mirosław Sekuła, Komisje Śledcze, Abdul Rahman El-Assir, złowrogi Ławrow i tak dalej, i tak dalej. Spis jest doprawdy długi, gdyż obejmuje cały okres rządów PO–PSL, a nawet wcześniej, sięga bowiem do Okrągłego Stołu.

A po stronie Ormuzda? Lech Kaczyński (świętej pamięci, naturalnie), Mariusz Kamiński i Agent Tomek, IPN, społeczno-narodowa gospodarka rynkowa, zasada z Joanniny, Naród, Patriotyzm Jutra, Muzeum Powstania Warszawskiego, Rafał Matyja, a nawet Jan Rokita, deprowincjonalizacja (znów trudne słowo), wreszcie - Koncepcja PiS: suwerenny Naród, bezpieczna rodzina i cywilizacyjne minimum dla jednostki.

Raport Jarosława Kaczyńskiego Rafał Grupiński określił jako raport o stanie umysłów autorów. Nie zgadzam się z postem Grupińskim. Raport Kaczyńskiego przypomina raczej maszynę losującą, z której wypadają przypadkowo dobrane słowa, zdania, akapity, łączone w równie przypadkowy sposób. Pełno w nim pomieszczonych skarg na obecny rząd, obelg i wyrzutów, samochwalstwa gdy chodzi o stan spraw w latach 2005 – 2007, pretensji do rywali, głupawych, gazetowych formuł.

Tenor oddaje bardzo dobrze następny cytat, w którym widać rozpaczliwą potrzebę potwierdzenia własnej wartości, w odróżnieniu od rywali, którym najlepiej przypisać strach (przed PiS):

I tu dochodzimy do problemu socjotechniki rządzenia, ogromnie ważnego dla formacji sprawującej obecnie władzę. Można sądzić (i nie jest to myśl zbyt oryginalna), że zasadniczą rolę odegrał tu w pierwszej kolejności lęk przed rządami PiS. Wywołanie tego lęku dowodzi przewagi przekazu medialnego nad bezpośrednim oglądem rzeczywistości przez jednostkę. Zasadza się ona – jak można sądzić – na intersubiektywności tego pierwszego, połączonej z ogromnym rozszerzeniem pola obserwacji. Widzę i słyszę to, co inni, jestem częścią wielkiej grupy, jednocześnie bardzo radykalnie przekraczam własny horyzont. Jeśli dodać do tego mechanizm oddziaływania autorytetów związany z szeroko rozpowszechnionym myśleniem tetycznym, czyli takim, w którym sprawdzeniem prawdziwości sądu jest jego potwierdzenie przez autorytet, to zrozumiałe się staje, że jeśli przekaz medialny jest w miarę ujednolicony, jego siła jest przemożna. Z taką sytuacją mieliśmy do czynienia w latach 2005-2007.

Maszyna losująca, którą jest przegrzany umysł prezesa, nie jest źródłem mądrości, można natomiast poznać dzięki niej ważną ze względów zasadniczych definicję: oto wreszcie publiczność pozna istotę Narodu. Przed rokiem Prawo i Sprawiedliwość opublikowało projekt nowej konstytucji, w której podmiotem tego dokumentu uczyniło Naród (pisany przez duże N). Niestety, nie zdołałem w tym projekcie znaleźć definicji tego – stosując słowotwórstwo Jarosława Kaczyńskiego – makroagregatu. A tu – proszę, po roku dowiadujemy się, że chodzi

o projekt „Narodu jako realnej wspólnoty połączonej więzami języka i – szerzej – całego systemu semiotycznego, kultury, historycznego losu, solidarności. Dzięki temu jednostka mogła się odnaleźć jako człowiek, jej życie nabierało sensu, a poprzez mechanizm demokratyczny państwa narodowego zyskiwała też podmiotowość we wspólnocie.”

Prezes „Samo Dobro”, znany z wyrobienia kulturalnego i politycznego, jak już coś powie, to powie. Smacznie i tak mądrze, że są z niego same pożytki. Życie nabiera sensu!

Piotr Rachtan

(Kontrateksty.pl, 1 kwietnia 2011)

Pomysły konstytucyjne, zmiany konstytucji

Fundamentem demokratycznego państwa prawa jest konstytucja. Jak wykazuje praktyka, Prawo i Sprawiedliwość wielokrotnie stwierdzało, że przyjęta w 1997 roku ustawa zasadnicza nie odpowiada tej partii. Przyjrzyjmy się zatem, co by jej odpowiadało.

Co PiS planuje Polakom zrobić?

Polacy, po 22 latach niepodległości, wciąż są niedokształceni w dziedzinie prawa, prawo odczuwają raczej jako krępujący gorset, a nie wygodne, uporządkowane otoczenie, w którym narzędzia i instytucje prawa ułatwiają życie obywatelom. Nawet Konstytucja, najważniejszy dokument organizujący życie państwa i jego obywateli, umyka im. Przypominają sobie o nim tylko wtedy, gdy historyczny wstrząs zaburza codzienną rutynę.

Dokumenty polityczne należy czytać bardzo uważnie. Zazwyczaj publiczność ocenia intencje polityków i ugrupowań politycznych po spektakularnych konferencjach prasowych, połajankach czy bulwersujących wywiadach. Nic bardziej mylnego – prawdziwe cele kryją się w projektach politycznych. Najbardziej wyrazistym i najtrudniejszym zarazem jest projekt państwa, który trzeba odczytywać z dokumentów programowych partii.

W przypadku Prawa i Sprawiedliwości mamy dwa takie projekty: pierwszy, sporządzony i ogłoszony w styczniu 2010 roku „Projekt nowej Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej” był programem całkowitej przebudowy państwa, skrojonym pod oczekiwaną wtedy reelekcję Lecha Kaczyńskiego, napisanym po przykrych doświadczeniach z rządem Platformy Obywatelskiej i – wcześniej – koalicji z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin. Drugi dokument, o którym pisaliśmy¹, to Raport PiS o stanie państwa.

Przyjrzyjmy się temu, co zamyśliło PiS zrobić z naszym państwem, naszym społeczeństwem i z nami wszystkimi i co planuje nadal, jako że nie słysząc, by partia Jarosława Kaczyńskiego zamierzała zmienić projekt. Ba, nawet chyba w rok po katastrofie smoleńskiej i prezes, i jego ludzie są jeszcze bardziej zdeterminowani, by w Polsce przeprowadzić prawdziwą rewolucję, zgodnie z tym, co niedawno Jarosław Kaczyński zapowiedział: „system polityczny, system społeczny, system gospodarczy jest w Polsce do zmiany”.

Naród

Podmiotem konstytucji według PiS jest naród („Władza w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu. Naród sprawuje władzę przez demokratycznie wybranych przedstawicieli lub bezpośrednio”). Zatrzymajmy się na chwilę przy tej podstawowej kategorii Narodu, jako źródła wszelkiej władzy w Rzeczypospolitej. Zawiedziony będzie czytelnik, który w tym dokumencie spróbuje znaleźć definicję Narodu. Jak się wydaje, jest to wartość autoteliczna – zajmująca najważniejsze miejsce w hierarchii wartości. Jej realizacja jest dobrem samym w sobie. Wartości autotelicznej nie ocenia się z punktu widzenia prakseologii, ponieważ jest ona już wartością z powodu swego istnienia. Dopiero w Programie o stanie Rzeczypospolitej znajduję wyjaśnienie istoty Narodu: „Narodu jako realnej wspólnoty połączonej więzami języka i – szerzej – całego systemu semiotycznego, kultury, historycznego losu, solidarności. Dzięki temu jednostka mogła się odnaleźć jako człowiek, jej życie nabierało sensu, a poprzez mechanizm demokratyczny państwa narodowego zyskiwała też podmiotowość we wspólnocie.”

Prezydent

Dziś kandydata na prezydenta zgłasza co najmniej 100 000 obywateli mających prawo wybierania do Sejmu. Praktycznie bez większego kłopotu można tyle podpisów zebrać. PiS chce to utrudnić, proponuje więc, by kandydatura na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej wymagała poparcia przez:

co najmniej 300 osób pełniących funkcję publiczną pochodzącą z wyborów bezpośrednich oraz co najmniej 100 tysięcy obywateli polskich posiadających prawo wybierania lub co najmniej 300 tysięcy obywateli polskich posiadających prawo wybierania.

Według projektu PiS: “W sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa Prezydent Rzeczypospolitej może zwołać posiedzenie Rady Ministrów... Prezydent Rzeczypospolitej zwołuje posiedzenie Rady Ministrów w celu rozpatrzenia projektu strategicznych kierunków polityki państwa.”

Wprawdzie podczas takiego posiedzenia RM prezydent nie bierze udziału w głosowaniu, ale jednak jego rola jest znacznie większa, niż daje mu uczestnictwo w dzisiejszej Radzie Gabinetowej [obecnie]: “W sprawach szczególnej wagi Prezydent Rzeczypospolitej może zwołać Radę Gabinetową. Radę Gabinetową tworzy Rada Ministrów obradująca pod przewodnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej... Radzie Gabinetowej nie przysługują kompetencje Rady Ministrów.”

Dostało się obecnemu rządowi od opozycji, mediów i nieżyjącego prezydenta za próbę wygzekwowania przesz premiera Tuska jego roli w prowadzeniu polityki zagranicznej. Pamiętacie tzw. wojnę o krzesła, która skończyła się rozstrzygnięciem Trybunału Konstytucyjnego? Projekt PiS załatwia to krótko:

Prezydent Rzeczypospolitej może, według swojego uznania, osobiście reprezentować Rzeczypospolitą Polską w rokowaniach z przedstawicielami innych państw oraz w organizacjach międzynarodowych zgodnie z prawem i zwyczajami międzynarodowymi. W takich przypadkach Prezydent Rzeczypospolitej zwraca się do Preze-

sa Rady Ministrów o sformułowanie przez Radę Ministrów stanowiska Rzeczypospolitej Polskiej w sprawach, które mają być przedmiotem rokowań, oraz o wyznaczenie członka lub członków Rady Ministrów uczestniczących w rokowaniach.

Pierwsza część tego artykułu wyraźnie oddaje prezydentowi prawo prowadzenia własnej polityki zagranicznej. Rząd ma mu tylko w tym pomóc.

Prezydent i strategia

Wyrazem niezadowolenia prezydenta Lecha Kaczyńskiego ze stanu rzeczy po wyborach 2007 r. było utrzymywanie groteskowego składu Rady Bezpieczeństwa Narodowego, do której nie powołał nikogo z rządu Donalda Tuska, nie mówiąc o przedstawicielach klubów parlamentarnych. W RBN pozostała Anna Fotyga, Jarosław Kaczyński i inni politycy PiS.

Według obecnej Konstytucji „Organem doradczym Prezydenta Rzeczypospolitej w zakresie wewnętrznego i zewnętrznego bezpieczeństwa państwa jest Rada Bezpieczeństwa Narodowego.” PiS w swoim projekcie załatwia to inaczej: *“Organem doradczym Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawach strategicznych kierunków polityki państwa jest Rada Strategii Państwowej”*. Nie wyjaśnia przy tym, co to są owe „strategiczne kierunki polityki państwa”. Czy należą do nich rozwiązania dotyczące się sił zbrojnych, czy także przynależności do paktów i organizacji międzynarodowych, czy może kierunki polityki prywatyzacyjnej, czy oświata i system sądów powszechnych też należy do obszarów objętych zainteresowaniem ROR? Oto pytania bez odpowiedzi, za to z możliwością dowolnej interpretacji - i rozstrzygania. Jakże to przypomina nieokreślone zadania niegdysiejszego Komitetu Obrony Kraju...

Prezydent, wojsko i wojna

Cywilna kontrola nad siłami zbrojnymi jest jednym z większych osiągnięć demokratycznego państwa. Widzimy niejednokrotnie, jak irytuje to przedstawicieli armii, gdy politycy - cywile! - mówią im, co i jak mają robić. Cywile w liczbie mnogie: parlamentarzyści, ministrowie, prezydent.

Według obecnej Konstytucji *“W czasie pokoju Prezydent Rzeczypospolitej sprawuje zwierzchnictwo nad Siłami Zbrojnymi za pośrednictwem Ministra Obrony Narodowej. [...] mianuje Szefa Sztabu Generalnego i dowódców rodzajów Sił Zbrojnych na czas określony. Czas trwania kadencji [...] Na czas wojny Prezydent Rzeczypospolitej, na wniosek Prezesa Rady Ministrów, mianuje Naczelnego Dowódcę Sił Zbrojnych. W tym samym trybie może on Naczelnego Dowódcę Sił Zbrojnych odwołać.”*

A u PiS-owców? *“Prezydent Rzeczypospolitej powołuje i odwołuje Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Generalny Inspektor Sił Zbrojnych jest w czasie wojny Naczelnym Wodzem Sił Zbrojnych.”* To pierwsze tak wyraźne odwołanie do przedwojennych rozwiązań konstytucyjnych, które musiały zapewnić specjalną pozycję Józefowi Piłsudskiemu. Czyżby ktoś dzisiaj chciał podjąć misję marszałka?

Odkładając na bok ironię, trzeba koniecznie przyjrzeć się, co PiS chce zrobić w sytuacji zagrożenia państwa, w szczególności gdy źródłem są niepokoje społeczne. Maska spada:

Decyzję o użyciu Sił Zbrojnych w stosunkach wewnętrznych może podjąć tylko Prezydent

Rzeczypospolitej na wniosek Rady Ministrów i tylko w przypadku:

1) działań zbrojnych grożących obalenia przemocą porządku konstytucyjnego lub

2) poważnych zamieszek zagrażających bezpieczeństwu państwa lub porządkowi publicznemu, lub

3) stanu wojennego albo stanu wyjątkowego, jeżeli nie wystarcza użycie sił porządkowych.

W Konstytucji z 1997 roku nie ma mowy o użyciu armii dla tłumienia “poważnych zamieszek”. Tu sformułowanie jest klarowne: “W razie zagrożenia konstytucyjnego ustroju państwa, bezpieczeństwa obywateli lub porządku publicznego, Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek Rady Ministrów może wprowadzić, na czas oznaczony, nie dłuższy niż 90 dni, stan wyjątkowy na części albo na całym terytorium państwa. Przedłużenie stanu wyjątkowego może nastąpić tylko raz, za zgodą Sejmu i na czas nie dłuższy niż 60 dni.” “Stan wojenny” może być wprowadzony, ale tylko “[w] razie zewnętrznego zagrożenia państwa, zbrojnej napaści na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej lub gdy z umowy międzynarodowej wynika zobowiązanie do wspólnej obrony przeciwko agresji, Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek Rady Ministrów może wprowadzić stan wojenny na części albo na całym terytorium państwa”.

Boć prezydent według dzisiejszych zapisów nie może mieć pewności, czy jego decyzja będzie skuteczna, gdyż “Rozporządzenie o wprowadzeniu stanu wojennego lub wyjątkowego Prezydent Rzeczypospolitej przedstawia Sejmowi w ciągu 48 godzin od podpisania rozporządzenia. Sejm niezwłocznie rozpatruje rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej. Sejm może je uchylić bezwzględną większością głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów.”

PiS nie potrzebuje tak pilnego zatwierdzenia przez parlament: “*Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej wydane w sprawie [wprowadzenia stanu wojennego] wymaga zatwierdzenia przez Sejm i Senat bez zbędnej zwłoki, jednak nie później w ciągu 30 dni od dnia wejścia w życie.*” Dziś - 48 godzin, a jutro - miesiąc...

„*W razie przeszkód w działaniu Sejmu w czasie stanu wojennego lub stanu wyjątkowego Prezydent Rzeczypospolitej może wydawać, w zakresie niezbędnym do funkcjonowania państwa, rozporządzenia z mocą ustawy z pominięciem wymagań określonych w art. 62 ust. 1 i 2. W razie konieczności rozporządzenie z mocą ustawy może także zawierać zgodę na ratyfikację lub wypowiedzenie umowy międzynarodowej oraz ustalać prowizorium budżetowe*” – piszą autorzy z Prawa i Sprawiedliwości, nie bacząc na ewentualne konsekwencje takich, autorytarnych już, decyzji.

Rada Ministrów

Jeżeli ktoś w Polsce ma pamięć dłuższą niż pamięć złotej rybki, to przypomina sobie z pewnością awanturę z powołaniem Radosława Sikorskiego na ministra spraw zagranicznych. Lech Kaczyński szeptął na ucho Donaldowi Tuskowi, że są

dowody niewłaściwej postawy Sikorskiego. W powietrzu wisiała sugestia zdrady stanu. A chodziło o znajomość kandydata z pewnym amerykańskim politykiem – Ronem Asmusem. Niestety (dla prezesa PiS, a przed czterema laty dla prezydenta), obecna Konstytucja nie daje prezydentowi żadnej możliwości odmowy desygnowania członka rządu zaproponowanego przez premiera.

Nauczone przykrym doświadczeniem PiS w swoim projekcie konstytucji zapisało, że *„Prezydent Rzeczypospolitej może odmówić powołania Prezesa Rady Ministrów lub innego członka Rady Ministrów, jeżeli istnieje uzasadnione podejrzenie, że nie będzie on przestrzegać prawa albo jeżeli przeciwko powołaniu przemawiają ważne względy bezpieczeństwa państwa [...] Prezydent Rzeczypospolitej powołuje albo odmawia powołania Prezesa Rady Ministrów lub innego członka Rady Ministrów po rozważeniu przedstawionych mu opinii.”* Kto ma te opinie przedstawić i w jakim trybie? Interpretacja jest dowolna.

Dla większej pewności panowania nad administracją publiczną z projektu PiS znika zapis o zwierzchnictwie rządu (premiera) nad korpusem służby cywilnej. Taka służba, w pewnym sensie niezależna od władzy, nie gwarantuje realizacji pomysłów aktualnego rządu.

Trybunał Konstytucyjny

Trybunał Konstytucyjny w opinii społecznej jest najbardziej wiarygodną instytucją państwa polskiego. Jest to wielkie osiągnięcie 3 Rzeczypospolitej, którego źródła tkwią w konsekwentnym utrzymywaniu niezależności TK od władz i systemu politycznego. [...] Trybunał nie należy w odbiorze publicznym do systemu władzy – ani sądowniczej, ani legislacyjnej, ani, tym bardziej, wykonawczej. On jest ponad nimi. Jest też – jako instancja ostateczna – trochę osobny i tajemniczy. Publiczność zagląda do środka tylko w momentach napięć politycznych, w których świat polityczny, a w ślad za nim społeczeństwo, liczą na jego rolę arbitra.

Ta niezależność i pewna osobność TK prowokowały niekiedy usiłowania wpływania na jego działalność przez powoływanie sędziów bardziej politycznych niż merytorycznych. Prawo i Sprawiedliwość nie chce zdać się w tej materii na przypadek i znalazło rozwiązanie. Obecnie *“Trybunał Konstytucyjny składa się z 15 sędziów, wybieranych indywidualnie przez Sejm na 9 lat spośród osób wyróżniających się wiedzą prawniczą. Ponowny wybór do składu Trybunału jest niedopuszczalny”*.

Projekt PiS: *„Trybunał Konstytucyjny składa się z 18 sędziów [...] Sędziego Trybunału Konstytucyjnego powołują, w przypadku zwolnienia urzędu sędziowskiego, kolejno: Prezydent Rzeczypospolitej, Sejm i Senat spośród osób nieskazitelnego charakteru wyróżniających się wiedzą i doświadczeniem prawniczym. Sejm lub Senat powołuje sędziego Trybunału Konstytucyjnego bezwzględną większością głosów.”*

Wybór prezesa obecnie: *„Prezesa i Wiceprezesa Trybunału Konstytucyjnego powołuje Prezydent Rzeczypospolitej spośród kandydatów przedstawionych przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów Trybunału Konstytucyjnego.”*

A według PiS? Nic nie może być pozostawione przypadkowi: *„Prezydent Rzeczypospolitej powołuje spośród sędziów Trybunału Konstytucyjnego jego Prezesa i*

dwóch wiceprezesów. Funkcje te sprawują oni przez okres 4 lat od dnia powołania, lecz nie dłużej niż do końca sprawowania urzędu sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Tę samą funkcję można pełnić tylko raz."[...]

Sądownictwo

Fundamentalnym filarem państwa prawa jest niezależne sądownictwo. W demokratycznym systemie stanowi ono poważny kłopot, ogranicza bowiem woluntaryzm rządzących. Niezależny sędzia może zatrzymać całą maszynę państwową, może uprzeć się i nie zechcieć realizować doraźnych celów politycznych władzy. Jest na to jednak rada, i Prawo i Sprawiedliwość to remedium odkryło.

Według projektu PiS „sędziego powołuje Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek Rady do Spraw Sądownictwa, wskazując sąd, w którym osoba powołana sprawuje urząd sędziowski”. Sędzią ma się być dożywotnio, chyba, że „Sędzia, którego dotychczasowe postępowanie świadczy o niezdolności lub braku woli rzetelnego sprawowania urzędu, może zostać złożony z urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej na wniosek Rady do Spraw Sądownictwa, wyrażony w uchwale podjętej większością 3/5 ustawowej liczby członków Rady po przeprowadzeniu określonego w ustawie postępowania z udziałem osoby, której dotyczy. Akt Prezydenta Rzeczypospolitej nie podlega zaskarżeniu.”

Według obowiązującej konstytucji na straży niezależności sądów i niezawisłości sędziów stoi Krajowa Rada Sądownictwa. Składa się ona z: „Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego, Ministra Sprawiedliwości, Prezesa Naczelnego Sądu Administracyjnego i osoby powołanej przez Prezydenta Rzeczypospolitej, piętnastu członków wybranych spośród sędziów Sądu Najwyższego, sądów powszechnych, sądów administracyjnych i sądów wojskowych, czterech członków wybranych przez Sejm spośród posłów oraz dwóch członków wybranych przez Senat spośród senatorów.” KRS sama wybiera sobie przewodniczącego i zastępców. Z tym składem KRS nie poradzi sobie żaden prezydent, ani prezes jakiegokolwiek partii rządzącej.

3/5 oznacza 60% głosów.

Policzmy, jak chce rozwiązać to PiS: „Przewodniczącym Rady do Spraw Sądownictwa jest z urzędu Prezydent Rzeczypospolitej, a jego zastępcami są z urzędu Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego, Prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego i Minister Sprawiedliwości.” Wszyscy powołani przez prezydenta. To daje 4 głosy. „W skład Rady do Spraw Sądownictwa wchodzi ponadto: cztery osoby powołane przez Prezydenta Rzeczypospolitej oraz po dwie osoby powołane, przez Sejm i Senat bezwzględną większością głosów w każdej z izb – spośród osób wyróżniających się wiedzą o wymiarze sprawiedliwości, cztery osoby powołane przez Ministra Sprawiedliwości spośród sędziów wyróżniających się doświadczeniem zawodowym związanym z orzekaniem w instancji odwoławczej przez co najmniej 10 lat.” A zatem na 16 osób w RdSS przynajmniej 11 głosowałoby tak, jak chce prezydent. 12/16 to więcej niż 3/5, a zatem prezydent może mieć pełną gwarancję, że jego wola będzie spełniona.

Sędziów i sądy ma w ten sposób PiS-owski prezydent opanowane.

Media publiczne

Dla polityków Prawa i Sprawiedliwości, w szczególności dla Prezesa, media publiczne są nader cennym narzędziem realizowania polityki. Trwające od kilku lat walki o odpowiedni dobór członków KRRiTV czy zarządów i rad nadzorczych poszczególnych spółek medialnych wskazują na wiarę tej partii w polityczną rolę – zwłaszcza telewizji. Dlatego i w tej dziedzinie PiS zamierzyło reformy, które w przyszłości miałyby pozwolić na skuteczne manipulowanie opinią Narodu.

Według PiS „*Instytucje publicznej radiofonii i telewizji, działając w sposób niezależny od bieżących decyzji politycznych, realizują misję publiczną, w szczególności poprzez upowszechnianie tradycji narodowej i wartości patriotycznych, przyczynianie się do zaspokajania duchowych potrzeb słuchaczy i widzów, upowszechnianie dorobku polskiej i światowej kultury i nauki, ułatwianie dostępu do rzetelnej informacji oraz tworzenie warunków pluralistycznej debaty w sprawach publicznych*”.

Narzędziem realizacji tej misji przestaje być dotychczasowa Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, ze skomplikowanym systemem wyboru jej członków, która sama sobie wybiera przewodniczącego i która w pewnych warunkach może być dość niezależna od polityków i bieżących awantur. PiS chce w jej miejsce utworzyć Urząd do Spraw Mediów Elektronicznych, który ma czuwać „*nad przestrzeganiem ustawowych zasad i procedur obsady organów nadzorczych i zarządzających w publicznej radiofonii i telewizji, wykonuje określone w ustawie kompetencje regulacyjne i kontrolne w sprawach mediów elektronicznych*”. Najważniejsze jednak jest to, że preza Urzędu do Spraw Mediów Elektronicznych „*powołuje Prezydent Rzeczypospolitej na 5 lat*”. Powołuje, a zatem może odwołać. I kontrolować.

Finanse państwa

I najlepsze, i najgorsze pomysły reformatorskie trzeba jakoś finansować. Obecna konstytucja bardzo precyzyjnie określa warunki, jakie państwo musi spełnić dla zachowania równowagi finansów publicznych. Konstytucja wyznacza tzw. ostrożnościowy próg zadłużenia publicznego, po którego przekroczeniu rząd musi podjąć działania restrykcyjne. Wszyscy obserwatorzy życia gospodarczego wiedzą, że według art. 216 „Nie wolno zaciągać pożyczek lub udzielać gwarancji i poręczeń finansowych, w następstwie których państwowy dług publiczny przekroczy 3/5 wartości rocznego produktu krajowego brutto”. To jest granica nieprzekraczalna, o ile Konstytucja nie zostanie zmieniona.

Jak wiadomo, bankiem centralnym państwa jest Narodowy Bank Polski. „Przysługuje mu wyłączne prawo emisji pieniądza oraz ustalania i realizowania polityki pieniężnej. Narodowy Bank Polski odpowiada za wartość polskiego pieniądza. Organami Narodowego Banku Polskiego są: Prezes Narodowego Banku Polskiego, Rada Polityki Pieniężnej oraz Zarząd Narodowego Banku Polskiego.” Tymczasem dla PiS jedynym zadaniem konstytucyjnym NBP jest emisja pieniądza. O odpowiedzialności za jego wartość nie ma śladu.

W projekcie PiS nie ma też śladu po RPP, nie mówiąc o konstytucyjnych ograniczeniach polityki finansowej państwa. Takie rozwiązanie otwiera drogę do swobodnego traktowania złotego i budżetu państwa. Są w konstytucji z 1997 roku inne jeszcze ograniczenia w sferze fiskalnej: „Zwiększenie wydatków lub ograniczenie dochodów planowanych przez Radę Ministrów nie może powodować ustalenia przez Sejm większego deficytu budżetowego niż przewidziany w projekcie ustawy budżetowej.” Oraz: „Ustawa budżetowa nie może przewidywać pokrywania deficytu budżetowego przez zaciąganie zobowiązania w centralnym banku państwa.” Milczenie PiS w tej sprawie wskazuje, że już teraz zakłada, iż będzie potrzebować środków na sfinansowanie swoich politycznych zamiarów.

Znamienne są różnice w sposobie powoływania prezesa NBP. Obecnie powoływany jest on „przez Sejm na wniosek Prezydenta Rzeczypospolitej, na 6 lat”. PiS chce prezesa zależnego: „*Prezesa Narodowego Banku Polskiego powołuje na 5 lat Prezydent Rzeczypospolitej za zgodą Senatu.*” Czy powołany przez prezydenta prezes NBP będzie miał dość odwagi, by przeciwstawić się nadmiernym wydatkom, zwłaszcza gdy prezydent jest z tego samego obozu politycznego, co premier i większość rządząca?

Także w dziedzinie zarządzania majątkiem publicznym prezydent uzyskuje specjalną pozycję, której obecna Konstytucja nie przewiduje. Gwarantować ma to Prokuratoria Generalna. Projekt tak to opisuje: „Ochronę interesów majątkowych Skarbu Państwa i innych państwowych osób prawnych oraz ich obsługę prawną wykonuje, w zakresie i na zasadach określonych w ustawie, Prokuratoria Generalna Skarbu Państwa [...] Prezydent Rzeczypospolitej powołuje i odwołuje Prezesa Prokuratury Generalnej Skarbu Państwa na wniosek Prezesa Rady Ministrów.” Dziś prezydentowi nic do polityki Prokuratury Generalnej, której prezesa powołuje premier na wniosek ministra Skarbu Państwa.

Rzecznik Praw Obywatelskich

Jest to instytucja, której rolę i znaczenie w społeczeństwie budowali przez 25 lat kolejni RPO. Obecna Konstytucja daje mu szeroki zakres zadań i dużą swobodę: „Rzecznik Praw Obywatelskich stoi na straży wolności i praw człowieka i obywatela określonych w Konstytucji oraz w innych aktach normatywnych.” RPO dzisiaj jest powoływany przez Sejm za zgodą Senatu, na 5 lat. Ponadto „Rzecznik Praw Obywatelskich jest w swojej działalności niezawisły, niezależny od innych organów państwowych i odpowiada jedynie przed Sejmem na zasadach określonych w ustawie”.

PiS widzi usytuowanie RPO inaczej:

Rzecznik Praw Obywatelskich działa na rzecz osób, których sytuacja wymaga pomocy w związku z naruszeniem ich wolności lub praw zagwarantowanych w Konstytucji lub ustawie przez władze publiczne albo ze względu na pokrzywdzenie lub zagrożenie czynami zagrożonymi karą. Rzecznika Praw Obywatelskich powołuje Senat na 5 lat.

Widać z tego rozwiązania, że PiS nie ma zaufania do Sejmu i trzystu sześćdziesięciu (taką liczbę posłów proponuje) przedstawicieli społeczeństwa, to jest, pardon - Narodu.

Najwyższa Izba Kontroli

Podobnej zmianie w państwie ma ulec suwerenna pozycja Najwyższej Izby Kontroli. Dziś „Prezes Najwyższej Izby Kontroli jest powoływany przez Sejm za zgodą Senatu, na 6 lat i może być ponownie powołany tylko raz. Najwyższa Izba Kontroli przedkłada Sejmowi: analizę wykonania budżetu państwa i założeń polityki pieniężnej, opinię w przedmiocie absolutorium dla Rady Ministrów, informacje o wynikach kontroli, wnioski i wystąpienia, określone w ustawie. Najwyższa Izba Kontroli przedstawia Sejmowi coroczne sprawozdanie ze swojej działalności”.

Autorzy projektu Prawa i Sprawiedliwości wolą, by prezesa powoływał Senat i pragną włączyć w nadzór nad NIK urząd prezydenta: *„Najwyższa Izba Kontroli co roku przedkłada Prezydentowi Rzeczypospolitej, Sejmowi i Senatowi informację o wykonaniu budżetu państwa wraz z opinią w sprawie absolutorium dla Rady Ministrów, uwagi o stanie finansów publicznych i gospodarki narodowej [oraz] sprawozdanie ze swojej działalności.”*

[...]

Opisałem tu pewne, choć nie wszystkie pomysły Prawa i Sprawiedliwości, które prowadzić miałyby do wprowadzenia bocznymi drzwiami ustroju prezydenckiego uszytego na miarę Kaczyńskich. Ale i to, co przytaczam, powinno budzić trwogę i upewnić niedowiarków i naiwnych poputczyków, że na wolności i prawa obywateli wciąż nastaje groźny tych wolności i swobód przeciwnik, przekonany, że Naród to wartość większa od wartości praw obywatelskich, że władza nie służy ochronie wolności obywateli, tylko zmuszaniu ich do tego, by wpasowali się w ramy zmienionych systemów politycznego, społecznego i gospodarczego, według koncepcji samego Prezesa.

Obserwujmy czujnie wystąpienia, wsłuchujmy się uważnie w słowa, czytajmy starannie projekty: z nich przebija się właściwy plan przejęcia władzy i wzięcia Polaków za mordę.

Piotr Rachtan (16 kwietnia 2011, kontrateksty.pl)

Demokracja

Dodatkowo omawiamy (wrzesień 2015) kilka innych artykułów tego projektu.

Wyjaśnijmy najpierw, co to jest demokracja. Jest to taka demokracja, w której nie ma obecnego bałaganu, żeby przed wyborami nie było wiadomo, kto po wyborach będzie rządził.

Ustrój zmieni się na prezydencki, ale specyficzny.

Art. 94 nowego projektu konstytucji daje prezydentowi pół roku po objęciu urzędu prawo do rozwiązania Sejmu bez konkretnego powodu. Ot tak, jak Sejm mu się nie będzie podobał, to go ciach, i nie ma.

Art. 122 pozwala prezydentowi nie powołać rządu (premiera i ministrów) wybranych przez Sejm, jeśli uzna, że zachodzi „uzasadnione podejrzenie, że nie bę-

dą oni przestrzegać prawa”. Co to jest „uzasadnione podejrzenie”? Nie wiadomo. Kto ma je uzasadnić? Nie wiadomo. W praktyce rząd będzie taki, jak chce prezydent, i już.

Art. 103 pozwala prezydentowi jednoosobowo zarządzić referendum nad ustawą uchwaloną przez Sejm, która mu się nie podoba. A gdy wynik referendum będzie po jego myśli, może rozwiązać Sejm. Na wszelki wypadek Art. 8 konstytucji według PiS obniża próg ważności referendum do 30 procent frekwencji.

Art. 105 daje kolejną możliwość. Prezydent może też zastosować odwrotną kolejność. Najpierw zarządzić referendum na własnym projekcie ustawy, a później, jeśli Sejm jej nie uchwali, Sejm rozwiązać.

A co będzie, gdy PiS straci władzę i będą nowe wybory? Spokojnie, prezydent czuwa. Po pół roku rozwiąże Sejm (Art. 94) i nastąpią kolejne wybory, a jak trzeba to kolejne, kolejne, tak długo, aż wygra PiS. Nigdzie nie jest powiedziane, że Art. 94 ma być stosowany jeden raz.

Prezydent oczywiście odpowiada za naruszenie konstytucji, ale tylko umyślne, zaś premier i ministrowie – za każde. A zresztą po co prezydent miałby taką konstytucję naruszać.

Do kompletu tych pomysłów, sędziami Trybunału Stanu nie muszą być wcale zawodowi sędziowie. Mogą być znajomi prezydenta, albo prezesa.

Art. 106 pozwala rządowi zabronić posłom wnoszenia poprawek do rządowej ustawy.

Art. 62 upoważnia rząd do udzielenia prezydentowi wydawania dekretów z mocą ustawy, a przypomnijmy, że rząd będzie zawsze taki, jak chce prezydent, bo uchwał Sejmu co do składu rządu wcale go nie wiąże (Art. 122), a trudno sobie wyobrazić, by Sejm, który może być w każdej chwili rozwiązany (Art. 94, 103 i 105) uchwalił skład rządu, którego prezydent nie chce.

W praktyce prezydent może tak długo rozwiązywać Sejm, aż ten będzie mu uległy i powoła rząd po jego myśli. Nazwijmy to wprost: prezydent ustala skład Sejmu i rządu.

W tym Sejmie liczba posłów ma być zmniejszona do 360, a do wniesienia poselskiego projektu ustawy potrzebne będzie 36 posłów (obecnie 15). No to co? A no to, że mniejsze partie nie będą mogły wnosić projektów ustaw. Zresztą, jak widzimy, i tak każdą ustawę może prezydent obalić. Chodzi tylko o to, by miał z tym mniej roboty.

PiS-owski projekt konstytucji ubezwłasnowolnia też Trybunał Konstytucyjny, którego wyroki będą ważne tylko wtedy, gdy zagłosuje za nimi 4/5 składu sędziów. Czyli jeśli 11 sędziów uzna ustawę za niekonstytucyjną, a 4 będzie miało inne zdanie, to ustawa będzie konstytucyjna (Art. 135). Na wszelki wypadek tych 4, prezesa i jego zastępców, powołuje kto? Oczywiście prezydent, i to wedle uznania. Nikt mu nie zgłasza kandydatur. Sam je zgłasza (Art. 128).

Znikną też niezawisłe sądy. Art. 145 przewiduje, że prezydent może odwołać każdego sędziego w każdym sądzie za „niemożność lub brak woli” rzetelnego wykonywania obowiązków sędziego. Wniosek w tej sprawie kieruje Rada do Spraw Sądownictwa (nowy organ), którego 80 procent składu powołuje rząd (za-

leżny od prezydenta), Sejm (w takim składzie, jakiego prezydent sobie życzy), a jej przewodniczącym jest sam prezydent. Tak więc prezydent na czele rady, którą praktycznie w 80 procentach sam powołuje (przecież zależny rząd i zależny Sejm mu nie podskoczą) kieruje wniosek sam do siebie, by konkretnego sędziego pozbawić posady.

Co więcej, na mocy Art. 144 prezydent też sędziego powołuje na wniosek, jakżeby inaczej, Rady do Spraw Sądownictwa, którą w praktyce sam powołuje. Tak więc prezydent może każdego sędziego powołać lub odwołać, także sędziego w składzie Państwowej Komisji Wyborczej.

Smaku temu wszystkiemu dodają niedawne zapowiedzi polityków PiS karania „butnych i aroganckich sędziów”, badania ich wariografem, pobierania od nich mocz do badań...

Interesującym projektem jest pomysł powołania „izby wyższej” Sądu Najwyższego, która będzie miała prawo zmieniania prawomocnych wyroków wszystkich sądów i wedle niektórych wypowiedzi pomysłodawców w jej skład nie będą wchodzić tylko sędziowie. Pasowała by dla niej nazwa: „izba linczu”.

Przypomnijmy jeszcze, że Państwowa Komisja Wyborcza składa się z sędziów. Teraz tych „butnych i aroganckich” w niej nie będzie. Zacytujmy klasyka: „nieważne, kto głosuje, ważne, kto liczy głosy” (Józef Stalin).

Państwo nie będzie też świeckie. Obecnie ślubujący poseł może dodać słowa „tak mi dopomóż Bóg”. Wedle nowej konstytucji słowa te w rocie ślubowania już będą, a poseł może co najwyżej oświadczyć, że ślubuje bez nich.

Art. 183 daje prezydentowi prawo „użycia sił zbrojnych w stosunkach wewnętrznych” w razie „poważnych zamieszek”. Swego czasu Jaruzelski musiał w tym celu wprowadzić stan wojenny. Prezydent z PiS będzie mógł wysłać wojsko na ludzi bez tego. Na wszelki wypadek w projekcie konstytucji nie ma prawa do strajku.

Art. 186 pozwala prezydentowi wprowadzić na wniosek Rady Ministrów stan wyjątkowy. Za komuny mogła to zrobić Rada Państwa tylko wtedy, gdy nie było akurat sesji Sejmu. Według projektu PiS prezydent może to zrobić zawsze.

I na koniec ciekawostka: prezydent zarządza wybory do Sejmu i Senatu, ale bez żadnego terminu, w jakim ma to zrobić. Praktycznie może rozwiązać Sejm i zwlekać ile chce z rozpisaniami wyborów. Nawet do końca kadencji. A co wtedy? Teoretycznie termin wyborów prezydenckich ogłasza marszałek Sejmu, ale przecież Sejm będzie rozwiązany, a więc prezydent może trwać i trwać i trwać...

Ataki na sędziów

Oczywiście, niezadowolenie Prawa i Sprawiedliwości z sądownictwa, prawa, konstytucji nie zakończyło się w 2011, tylko trwa właściwie do dzisiaj. Przykłady? Sprawa sędziego Igora Tuley’i, który wydał niekorzystny dla Mariusza Kamińskiego, byłego szefa Centralnego Biura Antykorupcyjnego, wyrok w sprawie dr. Mirosława G., co opisuje poniższy tekst oświadczenia Krajowej Rady Sądownictwa:

Krajowa Rada Sądownictwa stwierdziła „z najwyższym zaniepokojeniem”, że w ostatnim okresie wiele publicznych wypowiedzi prowadzi do kwestionowania konstytucyjnej zasady niezawisłości sędziów.

„Wypowiedzi nawołujące do badania życiorysów rodzin sędziów, postulujące dobieranie składu sądu z uwzględnieniem pozaustawowych kryteriów rażąco godzą w zasadę niezawisłości sędziów i podważają obowiązujący porządek ustawowy” - głosi stanowisko Rady.

W ostatnich tygodniach spory wywołały słowa sędziego Igora Tulei, który w ustnym uzasadnieniu wyroku na kardiochirurga dr. Mirosława G. porównał metody organów ścigania do tych z czasów stalinizmu. „Gazeta Wyborcza” podała w połowie stycznia, że ktoś m.in. „wytropił syna Tulei”. W niektórych z mediów pojawiły się informacje dotyczące rodziny Tulei, sugerowano też brak bezstronności sędziego. Politycy PiS i SP chcą, by sędzia poniósł odpowiedzialność dyscyplinarną, a nawet karną - twierdzą, że Tuleya „znieważył”. W stanowisku KRS przypomniano, że w demokratycznym państwie „naturalną rzeczą jest krytyka orzeczeń sądów i prawo to nigdy nie było przez Radę kwestionowane”. „Od merytorycznej, ostrej, a nawet nietrafnej krytyki orzeczeń należy jednak odróżnić wypowiedzi godzące w regulacje konstytucyjne” - zastrzegła KRS.

„Rada z najwyższym zaniepokojeniem stwierdza, że w ostatnim okresie w wypowiedziach publicznych pojawiły się głosy grupy osób, w tym polityków i dziennikarzy, kwestionujące konstytucyjne zasady i wypracowany ponad dwudziestoletni dorobek sądów związany z realizacją zasady niezawisłości sędziów i bezstronności sądów” - wskazano w stanowisku.

Dlatego - według KRS - „ataki na poszczególnych sędziów odwołujące się także do okoliczności niezwiązanych ze sprawowaniem urzędu, w połączeniu z wypowiedziami, deklaracjami, a nawet żądaniem dobierania sędziów według wyobrażeń osób je zgłaszających, nawiązują do jednoznacznie potępionych przypadków nieprawidłowości występujących przed 1989 r.”.

Stanowisko zostało przygotowane w końcu zeszłego tygodnia, podczas ostatniego posiedzenia Rady. Już miesiąc temu KRS uznała, że sędzia Tuleya w ustnym uzasadnieniu do orzeczenia w sprawie dr. G. nie naruszył norm wynikających z przepisów prawa, ani też z zasad etyki obowiązujących sędziego. (obserwatorkonstytucyjny.pl, 14 lutego 2013).

Ciekawie wypowiada się o sędziach poseł Krystyna Pawłowicz, skądinąd dr nauk prawnych. W maju 2014 roku, w pierwszym dniu 68. posiedzenia Sejmu odbyło się drugie czytanie prezydenckiego projektu ustawy o zmianie ustawy o Sądzie Najwyższym (druki nr 1591 i 2370). W dyskusji zabrała m. in. głos poseł Krystyna Pawłowicz, [...]

Posel Krystyna Pawłowicz:

Obecnie sędziowie Sądu Najwyższego przechodzą w stan spoczynku z mocy ustawy po ukończeniu 67. roku życia. Mogą jednak na swój wniosek i po przedstawieniu zaświadczenia lekarskiego pracować dłużej, ale jeszcze tylko przez 3 lata, tj. nieprzekraczalnie do ukończenia 70. roku życia. Przepisy są tu rygorystyczne i bio-

rac pod uwagę – powtórzę całe fragmenty opinii, które zostały przedłożone w komisji – charakter funkcji sędziów Sądu Najwyższego, podejmowanie przez nich decyzji o skomplikowanych prawnie sprawach, a w związku z tym wymóg ponadprzeciętnej sprawności psychofizycznej i intelektualnej, nie przewidują możliwości podniesienia wieku nawet z pozytywnym zaświadczeniem lekarskim.

W przepisach emerytalnych dotyczących sędziów ustawodawca przyjął właśnie, tak jak w opiniach była mowa, domniemanie już całkowitej ich niezdolności do pracy po osiągnięciu wieku 70 lat i we wszystkich regulacjach ich dotyczących wiek ten ma charakter nieprzekraczalnej przeszkody w dalszym pełnieniu przez nich funkcji. Ustawodawca postawił grupie sędziowskiej wyższe wymagania zdrowotne i psychologiczne niż innym grupom osób pracujących umysłowo, np. pracownikom naukowym. To utrwalone stanowisko ustawodawcy ma oparcie w bezspornych ustaleniach nauk medycznych, a szczególnie medycyny pracy. Opinie złożone w Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka szczegółowo to stanowisko rozwijają i uzasadniają.

Zaskakująca i niezrozumiała w tej sytuacji inicjatywa prezydenta RP podwyższenia dla sędziów Sądu Najwyższego, i tylko dla sędziów tego szczebla, wieku emerytalnego z mocy ustawy aż o 8 lat, tj. z ukończenia 67 lat do ukończenia aż 75 lat, wydaje się wprost szokująca, gdyż lekceważy nie tylko naturalne i oczywiste ograniczenia medyczne co do wykonywania zawodu sędziego, ale stwarza też nowe poważne problemy prawne. Spośród czterech opinii, które wpłynęły do komisji, trzy krytycznie oceniły projekt od strony prawnej. Przede wszystkim projekt niezrozumiale różnicuje sytuację emerytalną sędziów sądów powszechnych i sędziów Sądu Najwyższego. Tylko tym ostatnim bowiem wiek emerytalny podnosi się o 8 lat.

W projekcie prezydenckim nie wykazano też w uzasadnieniu żadnego dowodu na taką konieczność ani na nadzwyczajne możliwości pracy starzejącego się tak samo jak wszystkie inne organizmy akurat sędziego Sądu Najwyższego.

Opinie złożone w komisji podkreślają, iż ustawowa granica wieku 75 lat w wypadku emerytury sędziego Sądu Najwyższego ustalona została – powtórzę za opinią złożoną w komisji – w projekcie na zbyt wysokim poziomie. Również podam przykłady, które pani przede mną przytaczała, że w innych krajach odpowiednicy sędziów polskiego Sądu Najwyższego bezwzględnie kończą kariery zawodowe w wieku 70 lat, tak jak jest obecnie w Polsce.

Projekt wprowadza zamieszanie do obowiązującego systemu prawa, gdyż jego przyjęcie wywoła drastyczne podniesienie wieku sędziów Trybunału Konstytucyjnego, którzy jako sędziowie Sądu Najwyższego będą mogli kandydować do niego do 75. roku życia, a więc po upływie dziewięcioletniej kadencji przechodziliby w stan spoczynku w wieku aż 84 lat.

Komisja Sprawiedliwości, zamiast odważnie odmówić rekomendacji tego niedobrego projektu, zmodyfikowała go nieco sama i przedkłada teraz do uchwalenia, przewidując dla sędziów Sądu Najwyższego wiek emerytalny z urzędu tym razem na 70 lat, to jest podwyższając go o 3, a nie o 8 lat, jak chciał w projekcie prezydent, ale dając sędziemu jeszcze możliwość pracy, na jego wniosek, o dwa lata dłużej, tj. do 72. roku życia, czyli łącznie jest to 5 lat. Złagodzona nieco przez komisję propo-

zycja prezydenta zawiera jednak wszystkie jej wady prawne, o których wspominałam, zwłaszcza chodzi tu o zróżnicowanie emerytalne grupy sędziów, i nadal drastycznie podwyższa wiek emerytalny sędziów Trybunału Konstytucyjnego, którzy, kandydując według już tej nowej, komisyjnej wersji do 70. roku życia, po odbyciu 9-letniej kadencji pełnić będą swe funkcje w Trybunale Konstytucyjnym aż do 79. roku życia. Projekt prezydencki, mimo modyfikacji wprowadzonych w ramach komisji, wprowadza tylko zamieszanie prawne i psuje kompatybilność regulacji dotyczących sędziów Sądu Najwyższego i Trybunału Konstytucyjnego, wydłużając dziwnie i przypadkowo tym ostatnim czas pracy.

Poza powyższymi, prawnymi, są jeszcze powody moralne i etyczne, dla których akurat grupie sędziów Sądu Najwyższego nie powinno się podwyższać wieku emerytalnego. Wielu tych sędziów, oczywiście nie wszyscy, zapisało się niechlubnie na kartach polskiego wymiaru sprawiedliwości. Środowisko to po 1989 r. odmówiło samooczyszczenia się po spuściźnie PRL, nie rozliczyło się z przestępstw sądowych i sędziowskich. To sprawia, że sędziowie Sądu Najwyższego, oczywiście nie wszyscy, są siłą rzeczy obciążeni podejrzeniem dotyczącym dalszego szkodliwego konserwowania i przekazywania swoich specyficznych PRL-owskich nawyków i doświadczeń. Z powodu nieoczyszczenia się to środowisko sędziowskie jako grupa nie ma dziś moralnego prawa oczekiwania wydłużenia im czasu pozostawania w służbie nowego systemu, którego elementy przez większość swojego dorosłego życia zwalczali. Zdarza się, że do dziś chronią oni poprzedni, opresyjny system.

(Dzwonek)

Trzeba wspomnieć tu na przykład nie tak dawno wydaną uchwałę Sądu Najwyższego chroniącą środowisko sędziowskie od odpowiedzialności za skazywanie Polaków na podstawie dekretu o stanie wojennym, mimo iż został on przyjęty z naruszeniem konstytucji i ogłoszony tylko w mediach. Ta uchwała Sądu Najwyższego zaablokowała rozliczenie sędziów PRL, pokazując, iż środowisko Sądu Najwyższego jest nadal przeszkodą dla sprawiedliwej oceny okresu socjalizmu, komunizmu w Polsce. Z tych powodów sędziowie Sądu Najwyższego jako całość nie zasługują moralnie na zaszczyt dłuższej służby dla dobra państwa polskiego.

Pani marszałek, przekazuję wniosek

Podkreślmy:

„Poza powyższymi, prawnymi, są jeszcze powody moralne i etyczne, dla których akurat grupie sędziów Sądu Najwyższego nie powinno się podwyższać wieku emerytalnego. Wielu tych sędziów, oczywiście nie wszyscy, zapisało się niechlubnie na kartach polskiego wymiaru sprawiedliwości. Środowisko to po 1989 r. odmówiło samooczyszczenia się po spuściźnie PRL”

A więc tak naprawdę nie chodzi o żadne sprawy wieku i emerytur tylko o usunięcie z SN sędziów, którzy się PiS nie podobają i zastąpieni ich tymi, którzy podobać się będą.

Ostatnią okazją do ataków na środowisko sędziów były kłopoty Państwowej Komisji Wyborczej z szybkim policzeniem głosów w wyborach samorządowych. Ponieważ PKW składa się z czynnych i będących w stanie spoczynku sędziów, oni

przede wszystkim stali się celem ataków i grózb. Wreszcie głos musieli zabrać prezesi najważniejszych sądów:

„Głębokie oburzenie” słowami o sędziach wypowiedzianymi przez Jarosława Kaczyńskiego 13 grudnia 2014 wyrazili w poniedziałek prezesi Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego i Naczelnego Sądu Administracyjnego.

„Jest to bezprzykładny w Europie atak polityka pretendującego do sprawowania władzy wykonawczej w Polsce na władzę sądowniczą. Jest to pełen pogardy atak wymierzony w każdego z tysięcy sędziów wszystkich sądów w Polsce” - napisali w oświadczeniu I prezes SN prof. Małgorzata Gersdorf, prezes TK prof. Andrzej Rzepliński i prezes NSA prof. Roman Hauser (który przewodniczy też Krajowej Radzie Sądownictwa).

Chodzi o wypowiedź prezesa PiS, gdy, odnosząc się do wyborów samorządowych, powiedział: „Fałszerstwem jest sytuacja, w której władza, gdy okazuje się, że wybory kończą się katastrofą, że ich wynik jest w gruncie rzeczy nieznamy, natychmiast rozpoczyna kampanię ukrywania tego faktu, wpływa na sądy, można powiedzieć, wręcz terroryzuje sądy i to z udziałem prezydenta RP i z udziałem prezesów sądów tych najważniejszych w Polsce, i wreszcie rozpoczyna kampanię medialną przeciwko tym wszystkim, którzy mówią, że doszło do fałszerstwa.”

„Takie znieważające, wiecowe zdanie nawiązuje do najgorszych zwyczajów walki politycznej sprzed 1989 r.” - czytamy w oświadczeniu prezesów.

Autorzy oświadczenia wyrazili „głębokie oburzenie” sformułowaniami użytymi pod ich adresem. Podkreślili, że tym samym postawiono im zarzuty „terroryzowania sędziów i namawiania ich do określonego orzekania w sprawach rozpoznawanych protestów wyborczych”. (za PAP, obserwator.konstytucyjny.pl)

Podsumowanie

Opisaliśmy tu wiele przypadków naciągania prawa i jego nadużywania w skali i natężeniu, które wskazują na nieustanną recydywę Prawa i Sprawiedliwości w tej dziedzinie. Ta partia nie mieści się w ramach obowiązującego porządku konstytucyjnego, który chciałaby - dla swoich celów – zmienić.

Rozdział 3.

Kłamstwa o stanie Polski: gospodarka

Kłamstwa o stanie polskiej gospodarki i poziomie życia Polaków są jednym z głównych elementów propagandy PiS i mają brodę długą jak droga ze Śródmieścia na Żoliborz. Przykład pierwszy z brzegu: 12 maja Andrzej Duda wypalił w Polsat News, że „PO likwiduje przemysł, nie dając nic w zamian”. Według PiS-owskiej propagandy stan polskiej gospodarki jest fatalny, Polska „nie ma przemysłu”, rolnictwo wymaga „defeudalizacji”, a wspomniany Andrzej Duda parę razy w czasie kampanii wyborczej kłamał, że „ostatnio sytuacja na polskiej wsi znacznie się pogorszyła” (w rzeczywistości żadne inne środowisko nie skorzystało tak bardzo na przemianach jak wieś i rolnicy, o czym piszemy dalej).

W dniu zaprzysiężenia 6 sierpnia 2015 r. przed Pałacem Prezydenckim usłyszeliśmy, na przykład: „powoli tracimy Polskę”.

Więc jak to jest z tą gospodarką?

Według danych Banku Światowego skumulowany wzrost PKB per capita Polski w procentach za lata 1990-2014, liczony według parytetu siły nabywczej w stałych dolarach międzynarodowych z 2005 roku, wyniósł 137,4 procent. To znaczy, że Polska odnotowała w tym czasie ogromny wzrost gospodarczy, a zważywszy, że dziś produkcja przemysłowa to ok. 32 procent PKB, to i ona znacznie wzrosła. Polska nie tylko ma przemysł, ale i jest on większy, niż był w 1990 roku. Większy, nie mniejszy. Twierdzenie, że „Polska nie ma przemysłu” to zwykłe beczelne kłamstwo.

PiS bazuje tu na archaicznym wyobrażeniu o przemyśle, gdy dymią kominy i huczą turbiny, a stal się leje i moc truchleje. Tymczasem przewaga przemysłu ciężkiego i wydobywczego jest charakterystyczna dla gospodarek zacofanych. Tacy ludzie, jak Jerzy Zelnik, który mało się nie popłakał powtarzając w telewizji „Polska nie ma przemysłu, Polska nie ma przemysłu...”, nie rozumieją, że dzisiejszy przemysł jest inny, że dominują w nim mniejsze firmy o ogromnej rentowności, jak elektronika czy mechanika precyzyjna lub takie jak stocznia jachtowa w Olecku produkująca luksusowe jachty, które w metrach są małe, ale w pieniądzu - ogromne. Zelnik jest aktorem i się na tym nie zna, ale powtarza kłamstwa za swoją partią. Specjalistką od gospodarki w PiS jest Beata Szydło, etnograf, i to również słyszeć.

Jednym słowem, jakby Kaczyński i Duda nie kłamali, polska gospodarka nie tylko nie kona, nie tylko się nie wali, ale ma się bardzo dobrze, najlepiej w naszej najnowszej historii, i porządnie się rozwija.

Przy okazji dodamy, że wspomniane źródła klasyfikują polską gospodarkę na 21. miejscu w świecie (na ponad 200 państw) i 6. w Europie.

A co z tą PO, co „likwiduje przemysł”? Dwie rzeczy, które najszybciej rosły za rządów PO, to produkcja przemysłowa i eksport. Nie wiem gdzie Duda widział „likwidowanie przemysłu” za rządów PO, może w PiS-owskich „przekazach dnia”, czyli instrukcjach, jak kłamać na dziś.

Jeśli nie wie, jaki jest udział produkcji przemysłowej w Polsce na tle innych krajów, to niech spojrzy na poniższy wykres.

Według propagandy PiS, wyrażanej wielokrotnie w wystąpieniach Jarosława Kaczyńskiego, Mariusza Błaszczaka i Beaty Szydło (a także wielu innych, kłamczuchów nie brakuje) Polska jest „w ruinie”, Polska „znika”, bieda jest coraz większa, los ludności wiejskiej „znacznie się pogorszył”, „staruszki odchodzą płacząc od okienka w aptecce, bo nie stać ich na leki” (co ciekawe, wszyscy zwolennicy PiS podają ten sam „przykład”. Jakoś nigdy nie płaczą przy okienku staruszkowie, bezrobotni... zawsze tylko „staruszki”. Chyba wszyscy mają tę samą ściągawkę).

Andrzej Duda w czasie swojego inauguracyjnego wystąpienia w Sejmie powiedział, że rozwiąże „problem głodnych dzieci”. Beata Szydło w lipcu tego roku głosiła, że to nieprawda, iż tylko Polska była „zieloną wyspą” w czasie kryzysu. Ponoć była nią i Grecja. Według danych Banku Światowego Grecja od 8 lat miała cały czas spadek PKB. Według tych danych, skumulowany wzrost PKB w UE w latach 2008 – 2014 był największy w Polsce (23,8%), średnia EU to 0,6%, a największy spadek miała Grecja (-25, %). Czy Beata Szydło świadomie mijała się z prawdą?

Polska w ruinie?

Kiedy społeczna reakcja w Internecie na to hasło zaczęła uwierać polityków PiS, odcięli się od niego i tłumaczyli, że nigdy takie słowa nie padły. Sięgnijmy do wypowiedzi:

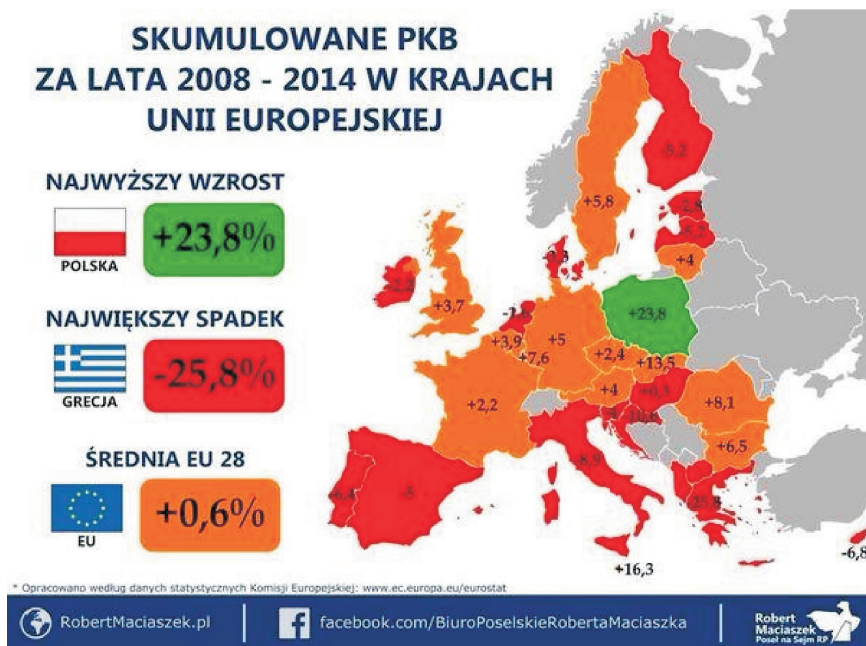
„Jeżeli ktoś uważa politykę jako troskę o dobro wspólne – to Polskę da się naprawić. Jeżeli udało się ją odbudować z ruin po II wojnie światowej to da się i teraz. Trzeba tylko dobrej woli i uczciwej władzy.” Tak mówił Andrzej Duda w TV Republika 27 kwietnia 2015 r.

„Musimy odbudować państwo polskie i demokrację” - zauważył Piotr Gliński na Kongresie programowym PiS 4 lipca 2015 w Katowicach.

„My wiemy, że ten rząd doprowadził kraj do ruiny i teraz się wszystkiego pozbywa, żeby za wszelką cenę zdobyć jakieś środki” - Jarosław Kaczyński w Zakopanem, 22 lipca 2012 r.

„PiS musi powrócić do władzy, aby odbudować gospodarkę morską.” – Joachim Brudziński, „Kropka nad i”, 20 grudnia 2012 r.

I wreszcie Beata Szydło, 9 lipca 2015 r. - “My nie mówimy, że wszystko jest złe,



że Polska jest w ruinie. Ale dziś Polska jest z pewnością bardzo źle zarządzana. Ośm lat rządów PO-PSL mogło być zdecydowanie lepiej przepracowane.”

(cytaty za “NaTemat.pl”)

„Powoli tracimy Polskę” – powiedział Andrzej Duda na wiecu w dniu swojej inauguracji, 6 sierpnia 2015 r. I dodał: „naprawa Polski jest możliwa”. Więc jak to jest z tą „ruiną” i Polską, co „znika”?

W październiku 2007 roku, po dwóch latach rządów PiS, w czasie debaty z Aleksandrem Kwaśniewskim Jarosław Kaczyński powiedział: „Dzisiaj gospodarka rozwija się bardzo szybko, przy bardzo dobrych wskaźnikach, np. bezrobocie. [...] Musimy o tym pamiętać, bo mamy dzisiaj zdumiewającą i szkodliwą propagandę klęski, która nie ma nic wspólnego z faktami” (Kaczyński debatował z Kwaśniewskim, a nie z Tuskiem, bo wówczas wymyślił, że prawdziwym „szefem” jest Kwaśniewski, a Tusk to jego „podwładny”).

Wypowiedź ta zawierała półprawdę i kłamstwo. Półprawda polegała na tym, że rozwój gospodarczy wówczas nie był w żadnej mierze zasługą PiS-u, a wynikał głównie z otwarcia rynków Unii Europejskiej dla polskiego eksportu a także z dotacji oraz z innych ułatwień unijnych. Z tego też wynikał spadek bezrobocia i też nie był on zasługą PiS-u. PiS było partią eurosceptyczną. Ci sami politycy, którzy wówczas chwalili się wzrostem gospodarczym, jeszcze niewiele wcześniej straszili rodaków Unią. Twierdzili, że Polska będzie tylko rynkiem zbytu dla niemieckich towarów i rezerwuarem taniej siły roboczej. Według nich, wejście Polski do Unii miało spowodować biedę, drożyznę i zanik tożsamości narodowej. Chwalenie się przez nich sukcesami było cyniczną obłudą.

Kłamstwo w tej wypowiedzi polega na tym, że żadna „propaganda klęski” w gospodarce ze strony opozycji nie istniała. Wszyscy poważni politycy opozycyjni i

wszystkie poważne media zgodnie mówiły, że Polska przeżywała znaczny wzrost gospodarczy i należy się z tego cieszyć. Jarosław Kaczyński po prostu rzucił ośzczerstwo, wkładając w usta swych przeciwników i niezależnych mediów słowa, których nikt nie głosił. Ale co najważniejsze: w październiku 2007 roku, tuż przed utratą władzy na rzecz PO, Kaczyński mówił, że Polska szybko się rozwija i ma znaczny wzrost PKB. Później, już w czasach opozycji, wielokrotnie odwoływał się do wspaniałego rozwoju, który nasz kraj przeżywał w okresie krótkiej kadencji 2005 – 2007.

Popatrzmy, co było dalej. Według danych Banku Światowego w latach 2008-20014 (za rządów PO) produkt krajowy Polski wzrósł o 23,8 procent. Wzrósł, nie zmalął.

Nawiasem już wypada wspomnieć, iż PiS-owska prognoza, że po wejściu do UE „Polska będzie tylko rynkiem zbytu dla niemieckich towarów” okazała się kompletnie nietrafiona. Jest dokładnie odwrotnie, to Niemcy są jednym z największych rynków zbytu dla polskich towarów.

Pokażmy jeszcze ciekawostkę dotyczącą wzrostu PKB Polski z zestawienia danych Banku Światowego o wzroście gospodarczym w okresie 1990-2014. Otóż okazuje się, że w całym tym okresie Polska miała tylko jeden rok regresu, na samym początku, a potem bezustanny wzrost przez 23 lata. Inne kraje miały po kilka lat regresu, przodują Czechy, Cypr i Grecja, po 8 lat spadku PKB.

Prezes Kaczyński lubi używać trudnych słów, np. chce dokonać w Polsce reindustrializacji, bowiem nasz kraj jest ponoć ofiarą deindustrializacji. Zanim ten lament podnoszą inni politycy Prawa i Sprawiedliwości, zresztą naśladowców znajdując również na lewej stronie.

Najświeższym przykładem ignorancji jest wystąpienie z 11 sierpnia br. posła Mastalerka, który wygłosił na konferencji PiS tezę, że za PRL mieliśmy 50% udziału przemysłu w PKB, a dzisiaj musimy walczyć o o zaledwie 20%. No, i wszystko trzeba będzie odbudować.

Odwołajmy się do liczb, one – przeciwnie niż niektórzy politycy, w tym rzecznicy PiS – nie kłamią. Czy polski przemysł leży w gruzach? Całkiem nowy prezydent dr Andrzej Duda jeździ po Polsce i opowiada publiczności o konieczności reindustrializacji Polski, w której przemysł chyli się ku upadkowi, a właściwie został zrujnowany. Oczywiście wtapia się to w szerszą narrację PiS o katastrofie, jaką sprokrowała ojczyźnie Platforma Obywatelska.

Paweł Wimmer, ekonomista, bloger, informatyk, który potrafi liczyć i tworzyć czytelne wykresy zauważył, że Polska jest na trzecim miejscu w Europie pod względem udziału przemysłu w PKB, aż o 8 punktów procentowych powyżej średniej unijnej. Przemysł obejmuje tutaj: przemysł wydobywczy, przemysł przetwórczy, wytwarzanie energii i budownictwo.

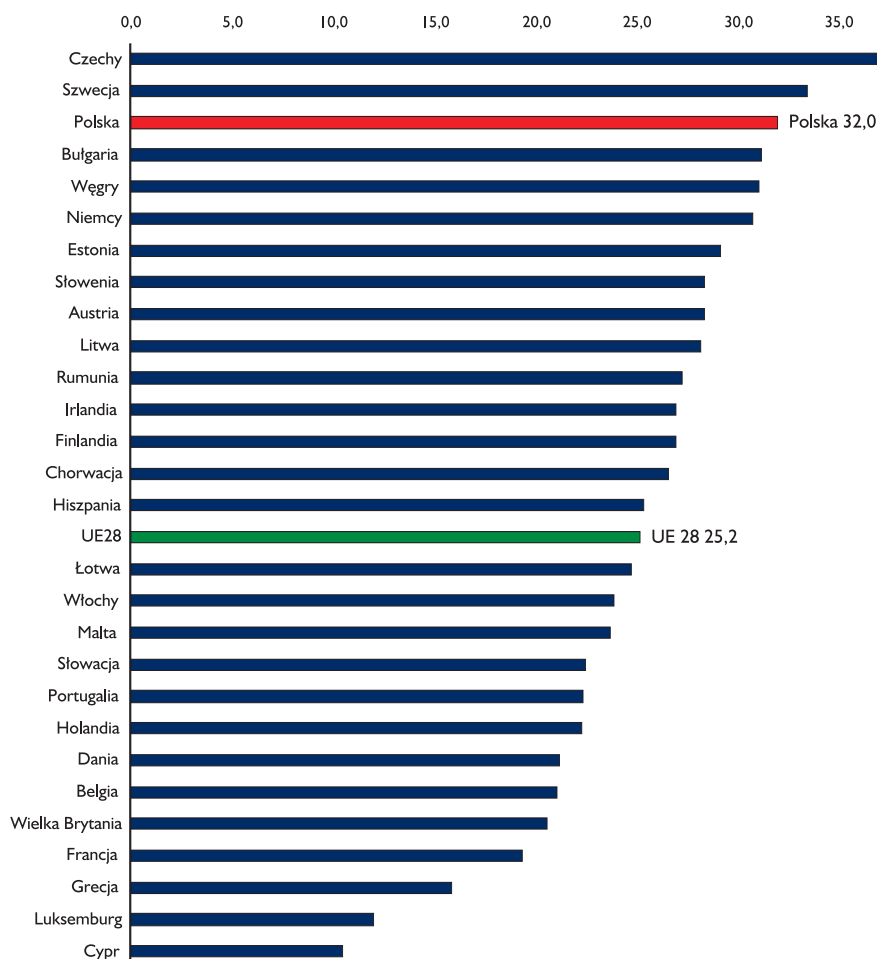
Co zabawne, udział przemysłu w PKB sam w sobie nie świadczy o tym, że jest dobrze czy źle – megatrend to rosnący udział usług. Staram się jednak obalić fałszywe twierdzenia PiS, które z tej akurat kwestii uczyniło pałkę i tłucze nią konkurenta politycznego.

Po medialnym festiwalu głupstw wygadywanych przez wiadomych polityków.

Najnowsze dane dotyczące udziału przemysłu w tworzeniu PKB, za 2014 rok.

UE 28 – udział przemysłu w tworzeniu PKB w proc. w 2014 r.

(przemysł = górnictwo + wytwórczość + produkcja energii + budownictwo)



Źródło: CIA The World Factbook
<https://goo.gl/3vkO9w>
 opr. pwimmer

Ważna uwaga: w metodyce CIA przemysł = górnictwo + wytwórczość + produkcja energii + budownictwo. (W metodyce polskiej budownictwo liczy się osobno).”

Nic na to nie poradzi mgr Beata Szydło, fotografująca się na tle starych zabudowań nieczynnej fabryki nici w Nowej Soli, która nie chce wiedzieć, że nieopodal stoi nowiutki zakład, produkujący takie same nici.

Wróćmy do produktu krajowego brutto, który może jest agregatem niezbyt doskonałym, ale jak dotąd nie wymyślono lepszego miernika rozwoju gospodarczego. Poziom PKB nie świadczy, naturalnie, o bogactwie kraju, które gromadzi się i narasta przez dziesięciolecia i całe wieki, ale pokazuje tempo rozwoju kraju i jego kierunek.

Jak więc wygląda Polska w ruinie?

A zatem skumulowany wzrost PKB Polski wyniósł 137,4 procent (jeśli PKB Polski z 1990 roku przyjąć za 100% to dziś wynosi on 237,4%). Średni przyrost w tym samym czasie dla świata to 63 procent. Widać z tego, jak od 1990 roku Polska poszła do przodu względem innych krajów i jak szybko doganiamy najbogatszych. Dla przykładu, skumulowany wzrost PKB Szwajcarii (w końcu kraju bardzo bogatego) wyniósł 18%. Szwajcarzy są ciągle bogatsi od nas, ale ten dystans maleje, a nie rośnie, jak twierdzi PiS.

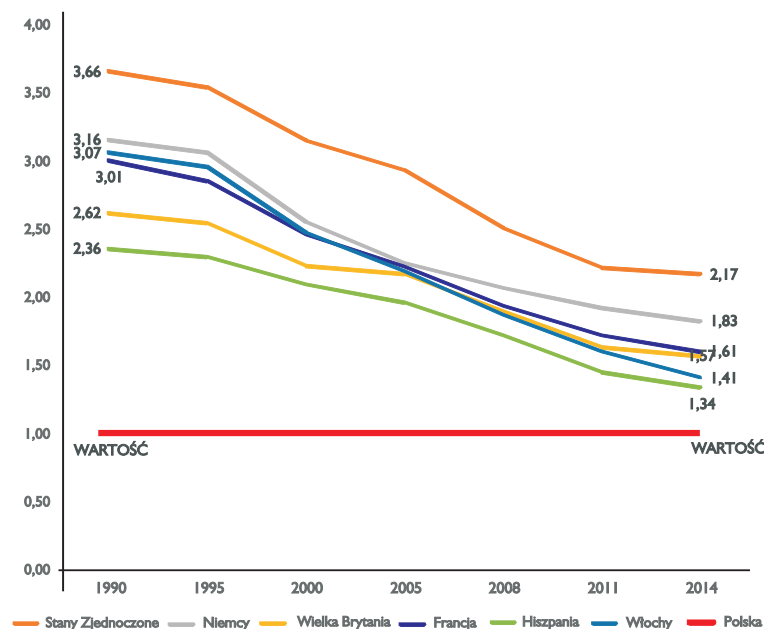
Popatrzmy jeszcze jak zmienił się ten nasz dystans do najbogatszych. W 1990 roku (w uśrednionych jednostkach miary) PKB per capita Polski wynosił ok. 10 000, zaś Wielkiej Brytanii ok. 26 500, czyli PKB per capita Polski wynosił ok. 38 procent brytyjskiego. Jak jest dziś? Liczby te wynoszą odpowiednio: Polska ok. 23 500, Wielka Brytania 37 500, to znaczy dziś PKB per capita Polski wynosi ok. 63 procent tego, co ma Wielka Brytania (mówimy cały czas o produkcie krajowym na obywatela, a nie całym, i nie o placach – to nie to samo).

Co to znaczy? W 1990 roku polski produkt na obywatela stanowił 38 procent tego, co miały najbogatsze kraje Unii, dziś wynosi 63 procent, zmniejszyliśmy dystans o 25 procent. Oczywiście dystans ciągle jest, ale gonimy, proszę państwa, gonimy. Nie cofamy się, jak łże PiS.

Pokażmy jeszcze wykres, bo czasami lepiej to widać na grafice, niż wynika z suchych liczb.

Ile razy bogatsi od nas

PKB na głowę danego kraju w stosunku do PKB Polski w okresie 1990-2014



Źródło: MFW World Economic Outlook 2015 via Wikipedia, List of countries by past and projected GDP (PPP) per capita
oprac. pwimmer

Ten wykres pokazuje, ile razy bogatsi od nas byli obywatele różnych krajów w 1990 roku, a ile razy bogatsi są teraz. Widzimy, jak bardzo ten dystans zmalał. Dane pochodzą z Międzynarodowego Funduszu Walutowego, z publikacji World Economic Outlook 2015.

Ile trzeba mieć w sobie zakłamania, bezczelności i ignorancji, ile arogancji i hucpy, by publicznie wygłaszać tezę o zwijaniu się Polski, a zwłaszcza zwijaniu Polski powiatowej. A taką tezę wystrzeliła 25 lipca 2015 r. Beata Szydło, kandydatka na premiera.

Wszystkie wskaźniki mówią nie tylko o poprawianiu się kondycji ekonomicznej całej Polski, ale i o zmniejszaniu się nierówności, a więc właśnie wyrównywaniu poziomu i szans metropolii i prowincji, bogatszych i biedniejszych.

Wyłączenia prądu – wina rządu

Energochłonność wytworzenia 1 tys. euro PKB spadła w Polsce w latach 2003-2013 z 400 do 300 kg ekwiwalentu ropy naftowej, czyli o 25%. Dawne kraje komunistyczne mają wyższą energochłonność, co jest pokłosiem dziesiętek lat ekstensywnego rozwoju gospodarczego. Czołówka, bez wyjątku kraje zachodnie, zużywa 100-200 kg, czyli znacznie mniej.

Piszemy po to, by rozumieć, że zapotrzebowanie na energię relatywnie maleje, bo doskonala się technologie wytwarzania, a udział energochłonnego przemysłu w tworzeniu PKB stale spada.

Ale wskaźnikami - obiektywnymi i niepodważalnymi miarami zmian - pani Szydło nie zawraca głowy ani sobie, ani tumanionym przez siebie ludziom, lecz z miedzianym czołem zakłamuje rzeczywistość do kamer i mikrofonów, bo władza warta jest każdego kłamstwa i przeinaczenia.

Mariusz Błaszczak palnął niedawno, że „mamy zapas finansów publicznych”. No to sprawdzimy, jak wygląda ta „zapas” na tle innych krajów. Zadłużenie sektora publicznego Polski wynosi 50,8 procent PKB, a średnia unijna to 88,2 procent PKB. Znacznie większą „zapas” od nas mają Wielka Brytania, Francja, Niemcy...

Jak wyceniane są państwowe obligacje, które rząd emituje, by za pożyczone pieniądze sfinansować deficyt budżetowy? Który – przypomnijmy niezwłocznie – zmalał do granicy 3,0%, dzięki czemu Rada Europejska wycofała się z tzw. procedury nadmiernego deficytu wobec Polski. Procedurę tę uruchamia się w przypadku przekroczenia przez państwo członkowskie Unii Europejskiej określonych kryteriów dyscypliny budżetowej. Procedura określona została w art. 126 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej i w Protokole nr 12 do tego Traktatu. Jej kryteria to:

- 3% dla stosunku planowanego lub rzeczywistego deficytu publicznego do produktu krajowego brutto wyrażonego w cenach rynkowych,
- 60% dla stosunku zadłużenia publicznego do produktu krajowego brutto wyrażonego w cenach rynkowych.

Finanse naszego państwa zostały uzdrowione przez wprowadzenie tzw. reguły finansowej, skrótowo mówiąc – ostrej dyscypliny budżetowej, którą finansom zaaplikował ów nieznośny minister Jacek Rostowski, który śmiało pouczać opozycję, jakie prawidła rządzą ekonomią, oraz przez reformę OFE, która ulżyła publicznym finansom o ok. 0,4 procent.

Ocena wiarygodności finansowej państwa jest monitorowana i „wyceniana” przez agencje ratingowe.

Regionalny średniak			
► Długoterminowe ratingi w walucie obcej			
Kraj	Fitch	Moody's	S&P
Polska	A-	A2	A-
Czechy	A+	A1	AA-
Węgry	BB+	Ba1	BB
Słowacja	A+	A2	A

Źródło: agencje ratingowe

Jak widać, Polska utrzymuje stabilny rating we wszystkich trzech największych agencjach ratingowych. Ostatnie ratingi potwierdzają dotychczasowe oceny i prognozują stabilną perspektywę. Z reguły uzasadniają swoje szacunki stosunkowo wysokim tempem wzrostu gospodarczego (w II kwartale: +3,6%), które jest skutkiem wysokiej konsumpcji wewnętrznej i dużego wzrostu eksportu, a także stabilną sytuację finansów publicznych. Za czynnik ryzyka agencje uważają nadchodzące wybory, po których Polska może ulec destabilizacji. Jest bardzo prawdopodobne, że po zdjęciu z Polski procedury nadmiernego deficytu ratingi powędrują w górę.

Według PiS Polacy „biednieją”

Jak pamiętamy, to biednieją nieustannie od przegranych przez PiS wyborów w 2007 roku. Proponujemy, by zweryfikować, jak „biednieją” nasi rodacy:

Rozporządzalny nominalny dochód miesięczny na osobę wzrósł od 2001 roku ponad dwukrotnie. Realnie jest to, oczywiście, mniej, ale wciąż o ponad 50 procent więcej. Chyba nieźle, jak na państwo w ruinie i z dykty.

Według PiS biednieją przede wszystkim emeryci. I ciągle powołuje się na te staruszki płaczące w aptekach...

Tymczasem średnie emerytury w latach 2000–2015 rosły, a największy ich wzrost nastąpił za rządów PO.

Zwróćmy jeszcze uwagę, jak zmieniały się emerytury minimalne. Za rządów PiS emerytura minimalna netto wynosiła 597 złotych, obecnie, po rządach PO wynosi 880 zł. Wzrost może nie imponujący, ale wzrost, a nie spadek.

Podobnie z płacą minimalną netto

W 2007 roku (koniec rządów PiS) wynosiła ona 697 złotych, obecnie 1286 złotych. Jakby PiS nie kłamał, poziom życia Polaków rośnie, a nie maleje.

Na koniec tego wątku płaca średnia netto w cenach stałych na koniec 2014 roku. W 2007 roku wynosiła ona 2227 złote, po siedmiu latach rządów PO - 2703 zł. Wzrost o ok. 500 złotych.

Niedawno opozycja zachłystywała się wzrostem w ostatnich latach odsetka osób poniżej progu ubóstwa biologicznego, jako że każda negatywna informacja to woda na jej młyn.

Ale są różne wskaźniki ubóstwa. Jednym z kluczowych wskaźników europejskich są dane dotyczące zagrożenia ubóstwem i wykluczeniem społecznym. Najnowsze dane Eurostatu mówią, że od 2008 do 2013 roku odsetek ten spadł w Polsce z 30,5% do 25,8% (niewiele powyżej średniej unijnej), czyli o prawie 5 punktów procentowych, a to daje nam 15 miejsce w Europie. Jednocześnie absolutna liczba zagrożonych osób spadła z 11,49 mln do 9,75 mln, czyli przy zbliżonej liczbie ludności aż o 1,74 mln osób.

Zwróćmy jednocześnie uwagę, że odsetek osób zagrożonych ubóstwem w Polsce (25,8%) był w 2013 roku niższy, niż w Irlandii (29,5%), we Włoszech (28,4%), na Węgrzech (33,5 %) i tylko o jeden procent wyższy niż w Wielkiej Brytanii (24,8%). Warto jeszcze dodać, że poziom życia, jaki w Europie uważa się za zagrożenie ubóstwem, w ogromnej większości państw świata uważany byłby za całkiem niezłą zamożność. Pamiętajmy, że mówiąc o biedzie, porównujemy się z najbogatszymi.

Pojęcie granicy ubóstwa określane jest w Polsce ustawowo. W 2013 roku (czyli tym, o którym mówi poniższa tabela) było to 1080 złotych dochodu miesięcznie na osobę. Jeśli spojrzeć na tę barierę z perspektywy czasu, to zobaczymy, że ustawodawca umieszcza ją coraz wyżej w miarę wzrostu zamożności społeczeństwa. Dlatego odsetek osób zagrożonych ubóstwem maleje stosunkowo wolno i ekscytowanie się nim jest logicznym nadużyciem.

Warto jeszcze zwrócić uwagę, że od 2008 do 2013 roku odsetek osób zagrożonych ubóstwem w Polsce zmalał o 5,2%, zaś w Wielkiej Brytanii wzrósł o 1%. Na Węgrzech wzrósł o 5,3 % (wymarzony Budapeszt Kaczyńskiego pod rządami Orbana), w Niemczech wzrósł o 0,2%, w Austrii zmalał o 1,8%... Polska na tym tle wygląda nieźle. Nie tylko nie biednieje, ale maleją obszary biedy.

Z nieskończonego zestawu PiS-owskich bajd na temat ekonomiki kraju jedną z ważniejszych jest powtórzona 7 sierpnia w telewizji przez Witolda Waszczykowskiego historyjka o 4 milionach bezrobotnych. Przy czym liczone jest to tak, że bierze się wzięte z sufitu 2 mln bezrobotnych „krajowców”, a do nich dodaje 2 mln emigrantów.

Są tu trzy łgarstwa - a może po prostu tylko ignoranckie bajdy.

2 mln bezrobotnych było w szczycie kryzysu światowego i dotyczyło to bezrobotnych rejestrowanych, a więc w tradycyjnej metodyce GUS. Obecnie zarejestrowanych jest mniej niż 1,6 mln.

Kolejne 2 mln to dodana emigracja. To łgarstwo wyjątkowo paskudne (lub wyjątkowo niemądra bzdurka), bo pracujących za granicą Polaków nijak nie da się zaliczyć do krajowych bezrobotnych. Co najwyżej można powiedzieć, że wyjeżdżający ulżyli w pewnym stopniu rynkowi pracy, a to nie to samo. Nawiasem mówiąc, saldo wyjazdów i powrotów jest dodatnie. Więcej osób wraca, niż wyjeżdża. Kto chce, niech sprawdzi.

Po trzecie wreszcie, nie wszyscy emigranci to osoby pracujące - to także rodziny, czyli często niepracujące żony i dzieci. Także i nieco bezrobotnych. Nacisk na rynek pracy jest mniejszy o jakieś 700-800 tys. osób, nie o 2,2 mln emigrantów.

Metodyka unijna (bardziej zresztą miarodajna) wykazuje jeszcze mniejsze bezrobocie, obecnie w okolicach 1,4 mln. Tak więc liczba 4 mln bezrobotnych jest wyssaną z palca bajdą.

A, jeszcze to bezrobocie, które stale rośnie, choć spada. Tymczasem rośnie, i owszem, ale... zatrudnienie.

Tu - kolejna ciekawa statystyka. W okresie 2004-2014 stopa zatrudnienia w przedziale wiekowym 15-64 lata wzrosła w Polsce z 51,7 do 61,7%, czyli o 10 punktów procentowych. Z ostatniego, 28. miejsca w UE wyszliśmy na 20.

Co więcej, nawet mimo ciężkiego światowego kryzysu ekonomicznego trwającego od 2008 roku stopa zatrudnienia wzrosła z 57% w 2007 roku do 61,7% w 2014. To skala wysiłku na rynku pracy w ciągu ostatnich 8 lat.

Źródło: Employment statistics, table 1

http://ec.europa.eu/eurostat/statistics-explained/index.php/Employment_statistics

Place

Słyszymy, że nędzne płace Polaków już wkrótce będą hamulcem rozwoju. Popatrzymy więc na pozycję Polski w rankingu płac, przedstawioną przez (nie mainstreamowy wszak) portal Money.pl.

Biorąc pod uwagę, że pensje w Polsce w samym pierwszym kwartale bieżącego roku zwiększyły się o kolejne 2,8% w złotych w skali roku, to najprawdopodobniej już teraz wyprzedzamy pod tym względem Rosję. Tym bardziej, że kurs rubla spadł o 5,4% od początku roku, nie mówiąc o cenach paliw, które mają decydujący wpływ na gospodarkę naszego wschodniego sąsiada. Niewiele wyprzedzają nas jeszcze Estonia i Czechy, a trochę więcej brakuje Polakom do wynagrodzeń Słoweńców i Portugalczyków.

Co to jest wspomniana „siła nabywcza”? Organizacja OECD co roku publikuje wskaźnik Purchasing Power Parity (PPP, PSN). Jest on liczony w oparciu o porównanie cen ustalonego koszyka towarów i usług w różnych krajach w tym samym czasie, wyrażonych w walutach tych krajów. Wszystkie ceny porównywane są z cenami w USA, które przyjęto jako podstawę, dlatego wartość PPP dla USA jest równa 1.

Jeśli więc podamy, że statystyczny Hindus wyprodukował wartość tysiąca dolarów, to nie będzie to oznaczało tego samego co osiągnięcie tej samej liczby dolarów przez Amerykanina. Ten drugi za tysiąc dolarów kupi u siebie o wiele mniej towarów i usług niż Hindus w swoim kraju. Tysiąc dolarów ma w Indiach o wiele większą wartość, a przeżyć miesiąc można za o wiele mniejszą “dolarową” kwotę niż w USA. Wskaźnik PPP jest właśnie po to, żeby takie różnice “wyrównać”, porównując gospodarki.

W wyliczeniach portal Money.pl zastosował przelicznik PPP w celu sprawdzenia, ile zarabiamy realnie na tle świata i jak nasze zarobki się zmieniły w latach 2012-2014. Przeliczenia prezentujemy w walucie europejskiej a zarobki są w kwotach netto, czyli “na rękę”. Prezentowane dane obejmują wszystkie kraje Unii Europejskiej (z wyjątkiem Cypru), USA, kraje BRIC, czyli Brazylię, Rosję, Indie i Chiny oraz kraje rozwinięte - członków OECD.

I tak, z wyliczeń wynika, że najlepiej zarabiającymi ludźmi na świecie są Szwajcarzy, aż o 29% wyprzedzając drugich w rankingu Luksemburczyków. Jak widać, system bankowy, silnie rozwinięty w obu krajach, dostarcza obywatelom ponadprzeciętne zarobki. Na drugim biegunie są Hindusi, wynagradzani co prawda realnie coraz lepiej (wzrost o 6,0% wynagrodzenia w latach 2012-2014), ale nadal za te pieniądze po świecie raczej nie mogą podróżować. Do nadrobienia mają wiele, o czym świadczy fakt, że przedostatni Brazylijczyk zarabiają o 33% więcej.

W zamieszczonym zestawieniu podajemy kwoty zarobków z uwzględnieniem siły nabywczej, zmianę realną z uwzględnieniem PPP i zmianę nominalną, czyli bez przeliczania siły nabywczej.

Wynagrodzenia miesięczne w wybranych krajach, w euro, przeliczone według parytetu siły nabywczej PPP (ceny towarów w USA traktowane jako odnośnik)

Państwo	2014	2012	Zmiana realna [%]
Szwajcaria	3431	3367	1,9
Luksemburg	2668	2673	-0,2
Norwegia	2566	2627	-2,3
Holandia	2552	2468	3,4
Wielka Brytania	2412	2521	-4,3
USA	2361	2388	-1,1
Japonia	2284	2339	-2,4
Korea Płd. *	2283	2337	-2,3
Australia	2278	2239	1,8
Niemcy	2217	2223	-0,3
Islandia	2194	2036	7,8
Szwecja	2166	2139	1,3
Austria	2095	2086	0,4
Irlandia	2048	2085	-1,7
Dania	2036	2040	-0,2
Francja	2022	1998	1,2
Belgia	2008	2029	-1,1
Finlandia	1990	2069	-3,9
Malta	1877	1913	-1,9
Hiszpania	1873	1833	2,2
Włochy	1726	1699	1,6
Nowa Zelandia	1591	1514	5,1
Grecja	1519	1414	7,4
Izrael	1393	1392	0,1
Portugalia	1356	1346	0,8
Słowenia	1241	1216	2,1
Czechy	1130	1120	0,9
Estonia	1113	1055	5,4
Rosja	1112	1049	6,0
Polska	1095	1037	5,5
Turcja	1078	1222	-11,8
Chorwacja	1077	b.d.	-
Słowacja	1015	972	4,5
Węgry	938	906	3,5
Chiny	898	863	4,1
Litwa	803	789	1,8
Łotwa	787	798	-1,4
Bułgaria	748	693	8,0
Rumunia	679	695	-2,4
Brazylia	615	780	-21,1
Indie	463	436	6,0

Źródło: Eurostat, OECD, Bank Światowy, tradingeconomics.

Co na to Gini?

Społeczne koszty nierównomiernego wzrostu gospodarczego to zwiększające się rozwarstwienie. Mierzy się je za pomocą tzw. indeksu Giniego. Według Prawa i Sprawiedliwości rozwarstwienie w Polsce, zwłaszcza w okresie rządów PO-PSL, dramatycznie rośnie.

Wyjaśnijmy więc, dla ułatwienia - za Wikipedią, bo dostępu do niej nie wyprze się żaden łgarz – że indeks Giniego to stosowana w statystyce miara koncentracji (nierównomierności) rozkładu zmiennej losowej. Nazwa współczynnika pochodzi od nazwiska jego twórcy, włoskiego statystyka Corrada Giniego.

W ekonometrii współczynnik Giniego nazywany jest wskaźnikiem nierówności społecznej i stosowany jest do liczbowego wyrażania nierównomiernego rozkładu dóbr, zwłaszcza dochodu (na przykład gospodarstw domowych).

Wskaźnik Giniego, oparty na krzywej Lorenza, pokazuje nierówności w dochodach danego społeczeństwa – należy interpretować go w ten sposób, że im jest wyższy, tym nierówności w dochodach w danym kraju są większe.

W Stanach Zjednoczonych wynosił on w 2011 roku 0,45. W Polsce w 2008 roku jego wartość kształtowała się na poziomie 0,34.

Od początku lat 90. obserwowano jego systematyczny wzrost, jednak tendencja ta uległa odwróceniu, a w latach 2009–2013 współczynnik Giniego spadał w Polsce z poziomu 0,313 do 0,299 (Diagnoza Społeczna 2013. Warunki i jakość życia Polaków).

Czy rząd PO – PSL chce prywatyzować Lasy Państwowe?

Z takimi oskarżeniami co chwilę – od lat - występują politycy PiS, sam prezes oraz bardzo aktywny były minister Ochrony Środowiska Jan Szyszko, i nawołują do ogólnokrajowego referendum, które miałyby raz na zawsze rozstrzygnąć, że Lasy Państwowe pozostaną państwowe.

11 sierpnia tego roku Beata Szydło przypominała na wiecu propagandową bzdurę o sprzedaży Lasów Państwowych. To sprytna, ale bardzo wredna metoda insynuowania, że jest jakiś zamach na lasy, że zwykły człowiek nie będzie mógł z nich korzystać, pójść na grzyby i zbierać jagody. Propozycja włączenia pytania o lasy do referendum sugeruje, że władza coś kombinuje, a naród musi się temu sprzeciwić, bo inaczej zostanie pozbawiony dostępu do leśnego runa.

Aktualny stan wiedzy sporej części publiczności jest jeszcze paskudniejszy - to skutek jadowitej propagandy w prawicowych mediach. Otóż władza (rząd, poprzedni prezydent) chcieli sprzedać lasy, a pieniądze oddać Żydom. To skrótowe ujęcie problemu rekompensat za utracony (w czasie wojny i po niej) majątek. Zmyślenie horrendalne i wredne, bo sięgające po najgorsze resentymy. Jak miałyby brzmieć zatem pytanie referendalne? „Czy zgadzacie się sprzedać Lasy Państwowe, a pieniądze oddać Żydom?”

Wielokrotnie tłumaczono, że nie ma najmniejszej groźby dla lasów, ale jest to uparcie, z premedytacją ignorowane, a sprawa wydobywana przy każdej okazji, by rozbudzić społeczne emocje.

W połowie lat 90., na fali zataczającej coraz szersze kręgi prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych, rzeczywiście pojawiły się pomysły, by lasy Skarbu Państwa

zreprzywatyzować albo też skomercjalizować, poddając zarządowi spółki prawa handlowego. Lasy Państwowe jako jedna z już nielicznych dobrze radzących sobie w warunkach rynkowych wielkich organizacji sektora państwowego budziły zrozumiałe zainteresowanie w kręgach decyzyjnych i wydawały się dobrym kandydatem do takich przekształceń, obiecujących budżetowi środki, które państwo mogłoby przeznaczyć na inne cele. Kwestie te rozważano nie tylko pod kątem rosnącego deficytu budżetowego, ale i na kanwie wyników referendum przeprowadzonych w kraju 18 lutego 1996 r. o powszechnym uwłaszczeniu obywateli (referendum „uwłaszczeniowe”) oraz o niektórych kierunkach wykorzystania majątku państwowego („prywatyzacyjne”).

W ówczesnych projektach Ministerstwa Skarbu Państwa ustawę reprzywatyzacyjną wiązano z koniecznością powołania w miejsce Lasów Państwowych spółki leśnej, której akcjami można by rekompensować mienie leśne utracone przez właścicieli prywatnych po ostatniej wojnie. Proponowano też inne rozwiązania, które padały zarówno ze strony rządowej, jak i obywatelskiej

Jesienią 2010 r. minister finansów postanowił wykorzystać pieniądze Lasów Państwowych do łatania dziury budżetowej. Aby móc zrealizować ów zamysł, wystąpił z propozycją, by włączyć tę organizację do sektora finansów publicznych. W tym też kierunku zmierzały dwa przedstawione Radzie Ministrów projekty: nowelizacji ustawy o finansach publicznych oraz stosownego ministerialnego rozporządzenia. Dla Lasów Państwowych oznaczałoby to pozbawienie ekonomicznej podstawy – koniec samofinansowania działalności gospodarczej, a przez to również brak środków na realizowanie pozaprodukcyjnych funkcji lasu.

Jeszcze raz leśnicy zaprotestowali. 20 października 2010 r. szefowie Związku Leśników Polskich w RP, Krajowej Sekcji Pracowników Leśnictwa NSZZ „Solidarność” i przedstawiciele Ruchu Obrony Lasów Polskich wręczyli marszałkowi Sejmu petycję, w której wyrazili stanowczy sprzeciw dla tych planów. Przekazali mu również listę, podpisaną przez 207 tys. obywateli, którzy poparli protest. Pod Sejmem zorganizowali też demonstrację.

Drugi koalicyjny rząd Donalda Tuska powrócił do kwestii Lasów Państwowych w latach 2013-2014, proponując nałożyć na Lasy Państwowe w latach 2014-2015 obowiązek odprowadzenia do budżetu państwa łącznej kwoty 1,6 mld złotych. Od roku 2016 Lasy miałyby dokonywać wpłaty w wysokości 2 proc. od wartości sprzedaży drewna. Szacowano, że będzie to kwota 100-150 mln zł rocznie. W reakcji ruszyła kolejna akcja zbierania podpisów pod wnioskiem o referendum ogólnokrajowe. Oczywiście, skierowane przeciwko „prywatyzacji” Lasów Państwowych. O której od dawna nikt nie tylko nie mówi, ale nawet – nie myśli.

Do dziś nikt, żaden rząd, żadna koalicja nie wymyśliła sposobu na włączenie Lasów Państwowych w obieg gospodarczy – w końcu Lasy Państwowe tę działalność na wielką skalę prowadzą, co widać nie tylko po ich wyniku finansowym, ale także po przodującej w Europie sile producentów mebli, ale w taki sposób, by Lasy, odprowadzając jakąś daninę z renty prawie monopolowej, mogły nadal prowadzić gospodarkę leśną. I by można było np. uregulować istnienie setek ośrodków wypoczynkowych.

Jak pisała trzy lata temu Bianka Mikołajewska w Polityce „Na gruntach należących do Lasów Państwowych działa ponad 700 ośrodków wypoczynkowych, w większości utworzonych za PRL. Wiele z nich nadal wynajmuje domki turystom. Ale coraz więcej służy wyłącznie właścicielom już prywatnych domków (lub domów). Jak wynika z danych zgromadzonych na naszą prośbę przez dyrekcję generalną, od Lasów dzierżawi obecnie grunty 136 stowarzyszeń właścicieli domków kempingowych. W przyrodniczych uroczyskach na Mazurach, Pojezierzu Drawskim, w Borach Tucholskich, Bieszczadach.” Tu prywatyzacja odbywa się po ciachu. Bez ustaw czy referendum, tylko prawem kaduka.

Tymczasem w marcu 2014 w Sejmie rozpoczęły się prace nad zmianą w konstytucji, która zagwarantowałaby nietykalność Lasów Państwowych, to znaczy lasów pozostających we władaniu Skarbu Państwa. Projekt poselski poparty od początku wszystkie kluby, z wyjątkiem Prawa i Sprawiedliwości. Do przyjęcia ustawy zmieniającej konstytucję konieczna jest większość 2/3 co najmniej połowy liczby posłów.

W „Przeglądzie Sejmowym” (nr 3/2015) prof. Andrzej Szmyt z Uniwersytetu Gdańskiego relacjonował:

Projekt zawierał w art. 1 propozycję dodania w Konstytucji RP nowego art. 74a, o następującym brzmieniu:

„Art. 74a. 1. Lasy stanowiące własność Skarbu Państwa są dobrem wspólnym i podlegają szczególnej ochronie. 2. Lasy stanowiące własność Skarbu Państwa nie podlegają przekształceniom własnościowym, z wyjątkiem przypadków określonych w ustawie. 3. Lasy stanowiące własność Skarbu Państwa są udostępniane dla ludności na równych zasadach. Zasady udostępniania i gospodarowania lasami określa ustawa.”

Przepis art. 2 proponowanej nowelizacji przewidywał, że ustawa o zmianie konstytucji wejdzie w życie po upływie miesiąca od dnia ogłoszenia. Ujmując syntetycznie, istota projektu dotyczyła przede wszystkim zagwarantowania lasom, stanowiącym własność Skarbu Państwa, ochrony przed procesem przekształceń własnościowych, w tym komercjalizacji i prywatyzacji oraz zagwarantowania ich udostępniania ludności na równych zasadach.

Dalej prof. Szmyt pisał:

Z uzasadnienia projektu przedłożonego Sejmowi wynikało, że lasy stanowiące własność Skarbu Państwa dominują w strukturze własnościowej lasów w Polsce i stanowią ponad 80% szczególnie cennych przyrodniczo obszarów kraju. Taka struktura własnościowa ma - zdaniem wnioskodawców projektu - powszechną akceptację społeczną, a zarządzanie takim majątkiem wymaga stworzenia długofalowej strategii i zapewnienia stabilnej podstawy funkcjonowania. W uzasadnieniu projektu zaznaczono, że zarządzanie lasami powinno pozostać politycznie niezależne, strategicznie spójne i zrównoważone z punktu widzenia użytkowania i ochrony oraz poddane nadzorowi społecznemu (s. 1 uzasadnienia). Wnioskodawcy podkreślili, że prowadzenie właściwej gospodarki leśnej byłoby znacznie utrudnione lub wręcz uniemożliwione, gdyby doszło do zmian w strukturze własnościowej lasów państwo-

wych. Interes społeczny (całej wspólnoty obywateli) powinien być nadrzędny nad partykularnym interesem jednostki, w szczególności prawem jednostki do nabywania lasów. Założenie równowagi w stosunkach społecznych powinno przeciwdziałać tworzeniu przywilejów, niepopartych obiektywnymi wymogami i kryteriami dla wybranych grup obywateli. Wnioskodawcy wyrazili przekonanie, że konieczna jest zmiana Konstytucji RP, która zapobiegałaby jakimkolwiek próbom zmiany struktury własnościowej lasów w Polsce i uniemożliwiałaby przekształcenia prywatyzacyjne i komercjalizacyjne lasów państwowych (s. 3 uzasadnienia). Regulacja konstytucyjna powinna zaś dać ogólną i spójną koncepcję prawną, która byłaby nadrzędną zasadą i trwale wytyczonym kierunkiem działania. Zgodnie z uzasadnieniem projektu konieczne byłoby wprowadzenie do Konstytucji RP przepisu nakazującego udostępnianie ludności - na zasadach równości - lasów stanowiących własność Skarbu Państwa.

18 grudnia 2014 odbyło się głosowanie w Sejmie. Oto wydruk z wynikami głosowania:

Głosowanie nr 167 – posiedzenie 83
Dnia 18-12-2014 godz. 00:44:26

Pkt 3 porz. dzien. Sprawozdanie Komisji o poselskim projekcie ustawy o zmianie Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej - trzecie czytanie

Głosowanie nad przyjęciem w całości projektu ustawy o zmianie Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej w brzmieniu proponowanym przez Komisję Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa

Głosowało – 443 Za – 291 Przeciw – 150 Wstrzymało się – 2 Nie głosowało – 11

Większość 2/3 – 296

Wyniki indywidualne

		Głosowało	Za	Przeciw	Wstrzymało się	Nie głosowało
		196	195	-	1	2
		127	-	127	-	4
SLD	32	32	32	-	-	-
PSL	30	20	28	-	-	2
niezał.	22	20	11	8	1	2
KPSP	15	15	-	15	-	-
TR	15	15	15	-	-	-
BiG	11	10	10	-	-	1

By lasy państwowe wpisać do konstytucji, zabrakło 5 głosów. Wiadomo, czyich...

Głodne dzieci

Od kilku lat opozycja opowiada, jak to w Polsce głoduje 800 tysięcy dzieci. Trzy lata temu Fundacja “Maciuś” przedstawiła swój raport, który podawał taką właśnie liczbę. Według Polskiej Akcji Humanitarnej, która niewątpliwie jest wiarygodną instytucją i z pewnością organizacją pozarządową, ta liczba wynosi 120 - 130 tysięcy. Naturalnie, jest to o 120 - 130 tysięcy za dużo, ale nie jest to 800 tysięcy, wielkość rzeczywiście wstrząsająca. Według informacji Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej, o którym nie słyszałem, żeby kiedykolwiek dopuszczało się szachrajstwa, rząd [to zapis z października 2014] „kontynuuje wieloletni program dożywiania

nia dzieci i dorosłych. Do 2020 r. na program przeznaczono 3,9 mld zł. Rocznie na wsparcie najbardziej potrzebujących zaplanowano 550 mln zł” (...).

Strategicznym celem programu jest ograniczenie zjawiska niedożywienia dzieci i młodzieży z rodzin o niskich dochodach lub znajdujących się w trudnej sytuacji, ze szczególnym uwzględnieniem uczniów z terenów objętych wysokim poziomem bezrobocia i ze środowisk wiejskich oraz osób dorosłych, w szczególności osób samotnych, w podeszłym wieku, chorych lub osób niepełnosprawnych. Do końca 2013 roku obowiązywał program dożywiania przyjęty na lata 2006-2013. Kolejny wieloletni program wspierania finansowego gmin w zakresie dożywiania „Pomoc państwa w zakresie dożywiania” został przyjęty uchwałą Rady Ministrów z dnia 10 grudnia 2013 r.

Dysponentami środków budżetu państwa na dofinansowanie realizacji Programu „Pomoc państwa w zakresie dożywiania” są wojewodowie. Gminy realizują Program w oparciu o środki własne oraz dotacje otrzymane z budżetu Wojewodów. Łącznie pomocą w ramach Programu w 2013 roku objęto prawie 2 mln osób, z czego ponad 320 tys. stanowiły dzieci do 7. roku życia, a prawie 700 tys. to uczniowie szkół ponadgimnazjalnych. W okresie styczeń–grudzień 2013 r. na realizację Programu wydatkowana została kwota ponad 870 mln zł, w tym na wsi ponad 360 mln zł. W 2013 ze środków własnych gminy przeznaczyły prawie 289 mln zł na dożywianie (posiłek, zasiłek celowy oraz pomoc rzeczowa).

W ramach programu udziela się trzech form pomocy: posiłek, świadczenie pieniężne w postaci zasiłku celowego na zakup posiłku lub żywności oraz świadczenie rzeczowe w postaci produktów żywnościowych. W 2013 r. z posiłku skorzystało ponad 900 tys. dzieci i uczniów, w tym ponad 460 tysięcy na wsi. W 2013 r. ogółem wydano ponad 120 mln posiłków, z czego ponad 5,5 mln dzieciom, które otrzymały pomoc w tej formie bez konieczności przeprowadzenia wywiadu środowiskowego. Ponad 1,2 mln osobom w rodzinach przekazano kwotę ponad 330 mln zł w formie świadczenia pieniężnego w postaci zasiłku celowego na zakup posiłku lub żywności. Prawie 88 tysięcy osób w rodzinach skorzystało ze świadczeń rzeczowych w postaci produktów żywnościowych, a do 64 tysięcy osób zorganizowano dowóz posiłków.

Dodatkowo Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi realizuje w szkołach dwa programy wspierające ideę zdrowego odżywiania wśród dzieci. Jest to program „Mleko w szkole” oraz „Owoce w szkole”. Celem pierwszego programu jest kształtowanie wśród dzieci i młodzieży dobrych nawyków żywieniowych poprzez promowanie spożycia mleka i przetworów mlecznych.

Od roku szkolnego 2007/2008 Polska jest liderem wśród krajów UE w realizacji programu „Mleko w szkole”. W ramach programu dzieci i uczniowie spożywają mleko białe i mleko smakowe o różnej zawartości tłuszczu, twarożki, sery i jogurty”. Od początku realizacji programu „Mleko w szkole” dzieci uczęszczające do szkół i przedszkoli spożyły ponad 1 miliard szklanek mleka”.

Program „Owoce w szkole” jest realizowany w Polsce od roku szkolnego 2009/2010. Jest on skierowany do uczniów klas I-III szkół podstawowych. Głównym celem programu jest trwała zmiana nawyków żywieniowych dzieci przez

zwiększenie udziału owoców i warzyw w ich codziennej diecie oraz propagowanie zdrowego odżywiania, przez działania towarzyszące o charakterze edukacyjnym realizowane w szkołach podstawowych.

Przytaczamy ten komunikat w całości, bo nie wchodzi on w polemikę i walkę polityczną, tylko spokojnie informuje o stanie realizacji programu. Do którego opozycja ma z pewnością dostęp, jeśli nie w Ministerstwie, to choćby na jego stronach internetowych.

Dożywianie dzieci to dożywianie, a nie polityczna walka z głodem. Kiedy jednak zabierają się za to politycy, winni zwrócić uwagę na pracę samorządów, w których gestii są szkoły, szkolne stołówki i środki na dożywianie.

Stocznie

Jedna z branż przemysłu, nad którą ze szczególną uwagą nachylał się Jarosław Kaczyński i jego ludzie, to przemysł stoczniowy, który przez wiele lat służył do walenia rządu po głowie. W ostatnim okresie stocznie przestały być politycznie nośnym tematem, gdyż większość z nich wychodzi z głębokiego dołka, w który zostały wepchnięte przez niechlujną (mam nadzieję – nieświadomie) politykę m.in. Jarosława Kaczyńskiego. Poniżej – opis wieloletniej epopei Stoczni Gdańskiej pochodzący sprzed 6 lat, ale dający sposób walki politycznej i jakość argumentacji.

Łapki polityków, czyli ballada o stoczni

Dwudziestoparoletnią epopeję Stoczni Gdańskiej, dawniej Lenina, już po odzyskaniu przez Polskę suwerenności można podzielić na kilka etapów, z których każdy kończył się ostrym wirazem: najpierw załamanie finansowe, potem zmiana własnościowa. W każdym można też było dostrzec łapki polityków, którzy łakomie próbowali dyskontować kłopoty stoczni.

Powszechnie uważa się, że cały sektor stoczniowy nadaje się doskonale do uprawiania polityki. Stocznie Gdańska, Gdyńska i Szczecińska Nowa są tego najlepszą ilustracją. Jest wprawdzie jeden chlubny wyjątek – ale wspomnimy o nim na końcu przeglądu wydarzeń, w którym bohaterem jest Stocznia Gdańska.

Stocznia Gdańska została przekształcona w spółkę akcyjną w 1990 roku. Nie była to jednak zwykła jednoosobowa spółka skarbu: ten zachował ledwie 60% kapitału, aż 40% przekazano pracownikom. To unikalny przypadek, uchwalona w 1996 roku ustawa o komercjalizacji i prywatyzacji przewidywała oddawanie pracownikom do 15% kapitału państwowych spółek. Tak dzieje się w przypadku małych firm, jak i gigantów PGNiG czy PZU. Stoczniovcy zostali więc bardzo korzystnie, jak na tamte czasy, uwłaszczeni na kapitale państwowym. Od tego momentu uzyskali bardzo istotny wpływ, bezpośredni – poprzez swoich członków rady nadzorczej spółki, i pośredni – poprzez potężne w tej firmie związki zawodowe, na funkcjonowanie i losy stoczni.

Na dodatek ustalił się na trwałe model politycznych zależności. Odwoływano się do historii (Stocznia Gdańska kolebką „Solidarności”), do wartości patriotyczno-

religijnych (zbiórka prowadzona przez o. Tadeusza Rydzyka, która zakończyła się zniknięciem co najmniej kilkudziesięciu milionów złotych), bądź populistycznych (okrzyki „złodzieje” pod budynkami rządowymi w stolicy albo Urzędem Wojewódzkim w Gdańsku, przy wtórze petard i w dymie płonących opon).

Zadecydowały o tym głównie negatywne emocje, jakie zrodziły się wiele lat wcześniej, z poczucia krzywdy po bankructwie, w 1996 r. Emocje te wezbrały ponownie, gdy syndyk upadłej stoczni sprzedawał jej majątek Trójmiejskiej Korporacji Stoczniowej – spółce akcyjnej, będącej w większości własnością Stoczni Gdynia. Spółka ta, po kupnie Stoczni Gdańskiej, przekształciła się w Stocznę Gdańską Grupa Stoczni Gdynia SA. Trudno było stoczniovcóm gdańskim, u których zakorzeniło się poczucie przywództwa („kolebka”), nie tylko w świecie okrętowym, pogodzić się z tym, że Stocznia Gdynia, sama mająca kłopoty i nie najwyższych lotów organizację, będzie ich właścicielką.

Mimo kilku prób prawnego podważenia transakcji, sądy jej nie zakwestionowały. Wprawdzie Stocznę Gdańską sprzedano za zaledwie 115 mln zł – i to jeszcze z gotówką w kasie (42 mln zł), to trzeba jednak pamiętać, że sprzedano przedsiębiorstwo obciążone wieloma zobowiązaniami. Syndyk Stoczni Gdańskiej Andrzej Wierciński zapewniał, że oferta Stoczni Gdynia była najbardziej wiarygodna spośród tych, które mu zgłoszono.

Przypomnijmy, że wcześniej Stocznę Gdynia kupiło trzech ludzi : Andrzej Buczkowski, Janusz Szlanta i Hubert Kierkowski (publicznie pojawi się znów później przy okazji prywatyzacji PZU S.A.). Zakup zrealizowali za pośrednictwem założonego wcześniej Stoczniowego Funduszu Inwestycyjnego (kapitał: 100 tysięcy zł), w którym rada nadzorcza składała się z ich żon i brata Szlanty. Nominalna cena kupowanych akcji Stoczni Gdynia wyniosła prawie 60 mln zł.

Były minister Wiesław Kaczmarek: - Zagadek było zbyt wiele. Powiedziałem tylko tym panom, aby przestrzegali prawa. Formalnie było wszystko w porządku, bo spółka z żonami prezesów w Radzie Nadzorczej była prywatna. Budzi jednak wątpliwości etyczne.

Transakcja odbyła się w styczniu 1998 r., prawie nic o niej nie wiadomo. Z wyjątkiem tego, że znalazł się bank, który trzem panom pożyczył pieniądze na zakup Stoczni Gdynia.

W Stoczni Gdańskiej nie lubiano trzech przyszłych właścicieli. Na bramie wisieszono czarny transparent: „Zabrano akcje 8000 biedakom i dano trzem układnym cwaniakom”. Transparent wisiał między portretami Papieża i Matki Boskiej.

Stocznia Gdynia

Emocje stoczniovców gdańskich uspokoiły się, gdy zaczęto masowo przyjmować zwolnionych po bankructwie pracowników, gdy Stocznia Gdynia zleciła Stoczni Gdańskiej pierwsze statki do budowy i praca ruszyła pełną parą. Wtedy też zaczęły się poważne inwestycje z wizją zwartej, kompaktowej stoczni i nowego ośrodka montażu kadłubów na wyspie Ostrów. Nie trwało to jednak długo. Gdy zaczęły się kłopoty w Gdyni, emocje, umiejętnie podsycane przez liderów związkowych, przez rozdmuchiwanie kolejnych afer, z każdym rokiem wzbierały. Zło, jakie Stocznia Gdynia miała wyrządzać Stoczni Gdańskiej, u-

tożsamiano z ówczesnym prezesem Stoczni Gdynia, Januszem Szlantą – i z każdą osobą z jego nadania.

Klimat wokół SG zaczął gęstnieć wraz z przybliżaniem się akcesji Polski do Unii Europejskiej.

Kaczyński – Stocznia Gdańska idzie na swoje

Proces prywatyzacji i restrukturyzacji stoczni był prowadzony niekonsekwentnie i opieszale. Rząd Jarosława Kaczyńskiego zapewne z przyczyn politycznych i wbrew logice ekonomicznej i mimo sprzeciwu Komisji Europejskiej wydzielił Stocznnię Gdańską z Grupy Stoczni Gdynia.

Komisja opowiadała się przeciwko koncepcji tzw. zaparkowania Stoczni Gdańskiej, czyli przekazania jej akcji podmiotowi z udziałem Skarbu Państwa. 31 sierpnia 2006 r. rząd Jarosława Kaczyńskiego, ignorując jednoznaczny i kilkakrotny sprzeciw KE głównie wobec „zaparkowania” Stoczni, przyjął „Strategię dla sektora stoczniowego w Polsce w latach 2006 - 2010”, która to właśnie zakładała. Wbrew interesowi Stoczni i Skarbu Państwa oraz przy sprzeciwie Komisji Europejskiej Rada Ministrów zdecydowała o odłączeniu Stoczni Gdańsk od Stoczni Gdyńskiej, aby zrealizować obietnice wyborcze wobec stoczniowców. Stocznia Gdańsk nie posiadała finansowych i technologicznych podstaw do samodzielności (m. in. pochyłni). Przed odłączeniem Stoczni przestrzegali nawet były premier Kazimierz Marcinkiewicz i były minister skarbu Andrzej Mikosz.

Od połowy lipca 2006 r. następuje stopniowe wyłączanie ze struktury Grupy Kapitałowej Stoczni Gdynia S.A. Stoczni Gdańskiej. Nastąpiło wtedy przejęcie 750 000 sztuk akcji Stoczni Gdańsk S.A. przez Agencję Rozwoju Przemysłu S.A.

[...]Stocznia Gdańsk S.A. została wydzielona z Grupy Stoczni Gdynia, a w październiku tego samego roku nastąpiły zmiany w radzie nadzorczej. Wtedy to po raz pierwszy znalazł się w Radzie Nadzorczej Roman Gałęzewski. R. Gałęzewski jest przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Jego zbrojne ramię to zastępca – Karol Guzikiewicz.

Zaniechania rządu PiS i człowiek Putina

Rząd Jarosława Kaczyńskiego nie wykorzystał prawa do wystąpienia do UE o objęcie stoczni środkami ochronnymi, dzięki czemu nie podlegałyby one przez uzgodniony okres ograniczeniom pomocy publicznej¹. Dałoby to czas na ich restrukturyzację. Do 1 maja 2007 roku można było wykorzystać możliwości, jakie daje art. 37 ust. 1 Aktu dotyczącego przystąpienia do Unii Europejskiej, w myśl którego państwo członkowskie może zwrócić się w ciągu pierwszych trzech lat po przystąpieniu do Unii do Komisji Europejskiej o zezwolenie na wprowadzenie środków ochronnych, na mocy Ogólnej Klauzuli Ochronnej.

Rząd PiS zaakceptował też niekorzystne rozwiązania proponowane przez Komisję bez próby ich negocjacji. W marcu 2006 roku Komisja Europejska poinformowała Polskę, że gwarancje KUKI dla stoczni są pomocą restrukturyzacyjną. Stanowisko to zostało przez ówczesny rząd zaakceptowane i nawet nie podjęto próby jego negocjacji.

Dodatkowo, rząd J. Kaczyńskiego zignorował oraz zataił przed opinią publiczną i później - przed rządem D. Tuska – istnienie oferty banku Fortis Intertrust, który reprezentował fundusze inwestycyjne z Bliskiego Wschodu (czerwiec 2007) i proponował zakup wszystkich trzech stoczní.

Ówczesny zarząd Stoczni Gdańskiej upatrywał szansy w wejściu, jako inwestora, norweskiej grupy stoczniowej – Aker Yards. Rozmowy były daleko zaawansowane. Stocznia Gdańska samodzielnie podpisała, nie bez oporów ze strony Stoczni Gdynia, korzystne kontrakty handlowe z Akerem. Wspólnie stworzony został plan inwestycyjny, przewidujący finansowe wsparcie ze strony Akera, ukierunkowany głównie na mechanizację i automatyzację procesów w obszarze obróbki i prefabrykację sekcji, w celu wykorzystania potencjału, jaki Stocznia Gdańska posiada w tzw. COOPK-u. Tylko I etap miał obejmować inwestycje rzędu kilkunastu milionów euro.

Związek z Akerem dawał stoczni szanse na dostęp do najnowszych technologii i do wiedzy specjalistów z tej bardzo oszczędnie i efektywnie funkcjonującej grupy, aktualnie najsilniejszej w Europie. Konkurencja w światowym przemyśle okrętowym rozgrywa się między krajami Dalekiego Wschodu a Europą. Dlatego, trzymanie z najsilniejszymi w Europie jest strategicznie najkorzystniejsze.

Tymczasem wszyscy, również powołany przez rząd PiS prezes ARP, zniechęcali Akera, każdy na miarę swoich możliwości – ale skutecznie. Krótko po rezygnacji z kupna Stoczni Gdańskiej, Aker nabył stoczní ukraińską w Nikołajewie, co potwierdza jego determinację do inwestowania w tym rejonie.

Jednym z potencjalnych inwestorów został ukraiński Donbas, a właściwie jego spółka córka, ISD Polska. Większościowym właścicielem Donbasu jest jeden z bogatszych rosyjskich oligarchów, Roman Abramowicz, ponoć bliski zaufany Władimira Putina. Kto za tym stoi?

Według niektórych polityków, za udzieleniem odmowy Norwegom i wyborem Ukraińców stoi wierny, polski przyjaciel prezydenta Ukrainy, który po prostu miał wydać polecenie takiego właśnie załatwienia „sprawy” Stoczni Gdańskiej.

Dla zwiększenia nacisku w październiku przed Urzędem Wojewódzkim w Gdańsku stoczniowcy wypowiedzieli się po swojemu: spalili opony, by w ten sposób wyrazić swą wolę sprzedania SG ukraińskiemu inwestorowi. Co też się stało – ostatecznie w styczniu 2008 ISD przejęło pełną kontrolę nad stoczníą.

W sile 300 ludzi pojawili się w pół roku później w Warszawie, zwyczajowo paląc opony i rzucając petardy żądali rozliczenia pomocy publicznej dla ich zakładu pracy. Takiego rozliczenia zapewne, które uspokoiłoby urzędników z Brukseli. By ci nie kazali jej zwraca

W miesiąc później oflagowali historyczną bramę nr 2 w intencji nieśrubowania norm pracy i gwołi zniechęcenia ISD do kupna Stoczni Gdynia. W parę dni później stoczniowcy gdańscy pojawili się pod sopockim mieszkaniem Donalda Tuska. Krzyczeli to, co zwykle, i podkreślali swoje oburzenie na rząd płonącymi oponami. Chcieli też dodatkowych pieniędzy od rządu (150 mln zł) na spłatę zobowiązań.

W sierpniu 2008 stoczniowcy z Gdańska przyjechali do Warszawy: pod siedzibą ISD domagali się lepszego zarządzania i wyższych płac.

Później żądali upadłości swojej stoczni. Potem zmienili zdanie i oświadczyli, że Stocznia Gdańska rząd musi ratować, Komisja Europejska ma odczepić się od ISD i przestać domagać się zwrotu pomocy publicznej. O ratunek głośno prosili przed warszawskim Pałacem Kultury.

Próby ratowania sytuacji przez PO

Tymczasem rząd Donalda Tuska zapewnił ciągłość działania stoczni i ochronę przed bankructwem z przyczyn ekonomicznych. Począwszy od listopada 2007 roku stocznie otrzymały od państwa 9 pożyczek na łączną kwotę 262,2 mln zł.

Już w dwa tygodnie po dojściu PO do władzy zrealizowano niewykonaną przez poprzedni rząd obietnicę podwyższenia kapitału zakładowego Stoczni Gdynia S.A. (o 515 mln zł).

Rozpoczęto także renegocjację kontraktów i wdrożono programy oszczędnościowe i naprawcze w stocznich. Domagano się od Komisji Europejskiej zgody na podjęcie negocjacji z nowymi inwestorami. Komisja trzykrotnie odmówiła, a jedyny inwestor zrezygnował z dalszych negocjacji.

Rząd starał się pozyskać nowych inwestorów, wznowiono rozmowy z Bankiem Fortis, inwestorem, którego rząd Kaczyńskiego zignorował.

Zapewnił też profesjonalizację działań, na przykład dzięki korzystaniu z doradztwa profesjonalnej firmy doradczej oraz wykorzystał nieużywane procedury, co okazało się przydatne, bo dzięki nim wydłużono dla Polski czas na złożenie programów. Skończyło się jednak tak, jak się skończyło – dwie stocznie poszły pod młotek, a bohaterka naszej narracji, Stocznia Gdańska, czeka na wyrok Komisji Europejskiej. Rząd doprowadził do zawarcia umowy w sprawie dodatkowej, 150-milionowej pomocy dla stoczni oraz przyjęcia zabezpieczeń socjalnych dla stoczniovców. Właściciel, ISD Polska, złożył projekt programu naprawczego.

Związkowcy tymczasem, jak mówią ponuro żartownisie, zbierają opony. I udają, że wierzą w argumenty opozycji, która starannie mija się z faktami: pomoc publiczna dla polskich stoczni wyniosła nominalnie 12 mld zł, z czego Komisja Europejska część nakazała zwrócić (np. prywatnym wierzycielom). Tymczasem w 2008 r. Bruksela uznała, że pomoc dla greckiej stoczni Hellenic Shipyard jest nielegalna i nakazała jej zwrot. Podobnie było w 2004 r. w przypadku potężnej niegdyś stoczni Iznar w Hiszpanii. Zakłady upadły. Wcześniej Komisja zgodziła się na dużą pomoc publiczną dla stoczni niemieckich. Ale w zamian za 3 mld euro (więcej, niż w przypadku polskich stoczni) dwie niemieckie stocznie zostały zamknięte, a produkcja statków zredukowana o 40%. Pozostałe zakłady przestawiły się na produkcję nowoczesnych statków.

Bohater pozytywny smutnej opowieści

Wszystkie te nieprzyjemne dla załóg, lokalnych społeczności, samorządów i władzy państwowej wydarzenia ominęły jedną stocznia, o której wszystkie strony konfliktu starannie milczą: tzw. Grupę Remontową, w skład której wchodzi

Stocznia Remontowa im. Józefa Piłsudskiego w Gdańsku i Stocznia Północna. Grupę Remontową tworzy prawie 30 firm, oprócz Stoczni Północnej, która zajmuje się budową oraz remontem statków i okrętów, m.in Fabryka Mebli Okrętowych Famos w Starogardzie Gdańskim i Fabryka Urządzeń Okrętowych Rumia. Zatrudnionych w niej jest ok. 6 tys. osób. W 2007 roku zysk brutto grupy wyniósł ponad 67 mln zł, a przychody ze sprzedaży 1,8 mld zł. Grupa ma pełny portfel zamówień do 2012 roku.

[...]

Piotr Rachtan, „Gospodarka”, 14 maja 2009

Wrzesień 2015

„Polska jest jednym z krajów, który ma stosunkowo duży jak na warunki europejskie potencjał związany z produkcją okrętową - mówi agencji informacyjnej Newseria Biznes Andrzej Wojtkiewicz, prezes Związku Pracodawców Forum Okrętowe i prezes zarządu stoczni Remontowa Shipbuilding. - To tyczy się różnych sektorów, zarówno produkcji w pełni wyposażonych, nowoczesnych statków różnego typu, jaki i prac remontowych, przebudów, realizacji różnego rodzaju skomplikowanych projektów związanych z branżą okrętową bądź? branżą wydobywczą, która realizuje swoje zadania na morzu. Dla branży okrętowej pewnym problemem jest sytuacja na rynku ropy. Branża wydobywcza należy bowiem do ważniejszych klientów polskich stoczní. To w stoczníach powstają nowe tankowce i platformy wiertnicze. Polski przemysł specjalizuje się jednak w wielu typach statków i to pozwala mu dywersyfikować ryzyko.”

O stanie stoczni mówią przedsiębiorcy:

- „Remontowa Shipbuilding oprócz jednostek pływających dla przemysłu wydobywczego produkuje także jednostki o przeznaczeniu pasażersko-samochodowym czy wyspecjalizowane statki towarowe, które służą do dostarczania różnego rodzaju produktów np. w rejony arktyczne. Te kierunki rozwoju gospodarki światowej, które mają bezpośredni związek z morzem, dyktują nam kierunki rozwoju” - podkreśla Andrzej Wojtkiewicz.

Do Związku Pracodawców Forum Okrętowego należy pięć stoczní oraz prawie 50 firm produkujących na ich potrzeby wyposażenie do nowych statków. Jak podkreśla Jerzy Czuczman, dyrektor biura Związku, mimo spowolnienia w sektorze oil and gas, który jest ściśle powiązany z branżą okrętową, firmy świetnie sobie radzą. Przede wszystkim szukają dla siebie miejsca na innych rynkach.

(Newseria.pl)

Dodajmy jeszcze, że przemiany w przemyśle stoczníowym objęły nie tylko polski sektor okrętowy, ale także zachodnioeuropejski. PiS oskarżał z upodobaniem koalicję rządową o to, że działa na rzecz zachodnich stoczní, a w osobiwie niemieckich. Dziś większość niemieckich stoczní, w tym sztandarowa Bremen – Vulkan, jest zamknięta. Znakiem czasu jest fakt, że z okien Ministerstwa Gospodarki Danii

widać doskonale wielką halę zamkniętej stoczni Burmeister&Wein, w której urządzono największe w Europie kryte pole golfowe oraz zorganizowana w niej Konkurs Eurowizji.

Jarosław i giełda. Jak Kaczyński chciał giełdę likwidować

„Gdy pisaliśmy pierwszy program wyborczy PiS, którego byłem współautorem razem z Marcinkiewiczem, Dornem i Styczniem, to Jarosław Kaczyński zaproponował likwidację Giełdy Papierów Wartościowych” – mówił Wiesław Walendziak w wywiadzie dla „Gazety Wrocławskiej – Polska” z 24 grudnia 2007.

Właściwie ten horrendalny pomysł szefa opozycyjnej wtedy partii, który polega na likwidacji jednego z głównych filarów gospodarczych nowoczesnego państwa, mówi o nim wszystko i nie ma potrzeby analizowania tak nonsensownego stanowiska. Pokazuje ono bowiem całkowitą nieznajomość współczesnego życia gospodarczego, ujawnia też niechęć do tego, czego się nie rozumie, wreszcie – wobec tej niewiedzy – dowodzi skłonności do usuwania tego, czego się nie rozumie. A to już jest defekt znacznie poważniejszy, niż jakiś prozaiczny błąd czy przejęzyczenie. I to nie defekt polityczny...

Dla nowoczesnego polityka dbałość o dobro państwa obejmuje wszystkie instytucje, nie tylko ścigające korupcję i inne zbrodnie, ale także te decydujące o rozwoju gospodarczym. Należy do nich – w każdym nowoczesnym państwie – giełda papierów wartościowych. Giełdy są w USA, Japonii, W. Brytanii, Francji, Niemczech, Austrii, Budapeszcie, Pradze, Rosji, Chinach, Australii i tak dalej. Dla zwykłego zjadacza chleba giełda to albo sposób na zainwestowanie oszczędności, albo świat nieznany i trudny do zrozumienia. Polityk nie jest jednak zwykłym zjadaczem chleba, nie dość, że żre – jak sądzą ci zwykli – tylko bułki z szynką, to wie więcej. Musi wiedzieć więcej. Czyli – wie także co to jest i po co jest rynek kapitałowy. Polityk nie musi znać się na analizie technicznej albo fundamentalnej spółek notowanych na rynku pierwotnym czy wtórnym, nie musi się znać na instrumentach pochodnych i funduszach hedgingowych, nie jest konieczna jego wiedza o kursach otwarcia, spadkach i wzrostach, bykach i niedźwiedziach. Polityk, który myśli o dobru państwa i jego obywateli, musi wiedzieć tylko, że giełda jest jednym z najważniejszych źródeł finansowania inwestycji, że dzięki giełdzie wiadomo, ile kosztują przedsiębiorstwa i tak dalej, i tak dalej.

Walendziak, pytany dalej, czy „Kaczyński jest politycznym daltonistą?” mówi, że „jemu Giełda Papierów Wartościowych kojarzy się ze spekulacją, a ja przekonywałem go z kolegami, że jest to szansa upowszechnienia własności i transparentny sposób prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych, pozyskiwania kapitału dla najbardziej obiecujących polskich przedsiębiorstw”.

Kaczyński, dla którego inwestorzy to zwykli spekulanci, rozumie więc świat wedle poglądów z dalekiej przeszłości, jeśli nie z epoki Władysława Gomułki, to może z jeszcze wcześniejszej, z epoki Wielkiego Kryzysu 1929. Gdy zatem tak anachroniczny obraz rzeczywistości ma kształtować katalog narzędzi do zreformo-

wania państwa, to nic dziwnego, że najbardziej wartościowa dla Kaczyńskiego instytucja to CBA, które miało ścigać pewnie nie tylko łapówkarzy, ale i spekulantów. Wkrótce spekulantem mógłby więc zostać każdy, kto kupił taniej i sprzedał drożej, nie tylko akcje na GPW, ale i szczypiorek na targu.

Nie dziwota zatem, że gdy dziennikarze zapytali, czy były premier jest z innej bajki, Wiesław Walendziak odpowiedział: „Kaczyński wybrał dla siebie rolę strażnika świętego ognia. Kiedyś z Marcinkiewiczem przez kilka miesięcy pracowaliśmy nad programem ekonomicznym PiS, z budżetem zadaniowym, reformą finansów publicznych. I Kaczyński po tych miesiącach powiedział: taki program to jest znakomita gwarancja na przegranie wyborów.” Dziennikarze pytali dalej, czy szef PiS nie chciał nigdy modernizacji państwa. Według Walendziaka Kaczyński uważał, że na odważne reformowanie przyjdzie czas wtedy, kiedy zbuduje się takie zaplecze polityczne, która przetrwa czas dekonjunktury.

Gdy padło bodaj najważniejsze pytanie o to, czy dla Kaczyńskiego partia jest ważniejsza niż państwo, Wiesław Walendziak odpowiedział: „On postrzega państwo poprzez partię.”

Nie wiem, jakie dzisiaj poglądy na giełdę, reformę finansów publicznych, źródła wzrostu gospodarczego ma szef największej siły opozycyjnej. Wydaje mi się, że po przegranych wyborach starannie ukrywa to, co wypsnęło mu się wcześniej. Jarosław Kaczyński dobiega sześćdziesiątki. W tym wieku raczej poglądów już się nie zmienia, zwłaszcza, gdy trzeba by przyznać się do błędu. Lub niewiedzy, albo też naiwności, czy wreszcie - głupoty. Przypuszczam, że jego wizja prostego świata, w którym nie ma miejsca na skomplikowane gry giełdowe, gdzie przez kapitał rozumie się majątek, a konto bankowe może być tylko źródłem zagrożeń – jest utrwalona raz na zawsze. I że gdy Kaczyński będzie w przyszłości mówił o reformach gospodarczych, to będzie rozumiał przez nie kontrreformy, czyli restaurację starego porządku, rodem z peerelu, gdy partia znaczyła, jeśli nie Lenin, to na pewno państwo. Tam spekulanci – dziś oligarchowie – szli do pudła, a jeśli im się upiekło, to na pewno zasługiwali na potępienie, ogień wieczny i domiar.

Piotr Rachtan, kontrateksty.pl, 2008-01-05

Jarosław i polski złoty oraz koszty wyborczego programu z 2011 roku

Prezes Prawa i Sprawiedliwości ogłosił 31 stycznia 2011 roku w Hotelu Sheraton, że: „Czas dzisiejszy nakazuje nam powiedzieć z całą mocą, że jest dziś potrzebny patriotyzm, który sytuuje się w sferze gospodarczej. Potrzebny jest nam patriotyzm gospodarczy”. Według niego taki patriotyzm powinien opierać się na partnerskiej relacji między pracownikiem a pracodawcą – co było jedną z idei Solidarności. Mówił też o wcześniejszych korzeniach patriotyzmu gospodarczego, sięgają-

cych XIX wieku i czasu II RP. „Trzeba się do nich odwoływać. Trzeba się odwoływać do tego, co dobre i optymistyczne.”

Wreszcie zapowiedział odkrywco, że polski złoty powinien być zachowany jeszcze przez co najmniej 20 lat. „Złoty powinien trwać 10 lat - niektórzy mi tak radzili. Ja powiem - dłużej, co najmniej 20 lat” - oświadczył. Jak mówił, polska waluta powinna pełnić funkcję „przynajmniej trzeciej waluty zapasowej w naszej części Europy, po euro i dolarze”.

Początkowo słowa prezesa wzbudziły zdziwienie. Kaczyński powiedział bowiem: „Euro powinno być w Polsce zachowane, powinno być zachowane przynajmniej 10 lat, ale powiem więcej, powinno być zachowane przez 20 lat.” Szef PiS sprostował jednak pomyłkę i wyjaśnił, że mówił o polskiej walucie. Jak bogata jest wyobraźnia szefa PiS, może świadczyć propozycja uczynienia ze złotego „trzeciej waluty rezerwowej” w naszym regionie. Zabawny, jako ćwiczenie, jest pomysł, by z waluty kraju o wciąż niezbyt mocnej gospodarce zrobić walutę rezerwową, gdy nie jest nią np. chiński juan, brazylijski real czy indyjska rupia. Jeśli propozycja jest poważna, to nadaje się wyłącznie do rubryki „Humor w krótkich majteczkach”.

(Kontrateksty.pl)

W ostatnich latach PiS miało bez liku pomysłów gospodarczych. Pomińmy przesłanki, którymi się kierowało, choć są one widoczne w tytułach dokumentów. Wszystkie one miały wspólne założenie, że budżet państwa jest takim samym instrumentem polityki jak słowa. One nic nie kosztują, tak jak obietnice, których efektem byłoby zwiększenie wydatków, kosztów obsługi deficytu i w efekcie pomnożenie problemów fiskalnych państwa.

Policzmy koszty

Policzmy to, co jest policzalne: spadki wpływów do budżetu z powodu ograniczenia prywatyzacji, redukcji stóp podatkowych w podatkach bezpośrednich PIT i CIT oraz pośrednich VAT (obniżenie i odliczenia) lub likwidacji podatku Belki. Policzyć dadzą się też zwiększone wydatki, na sferę socjalną w szczególności, ale także na cele „prorozwojowe” w postaci zwiększonego o 7 mld deficytu budżetowego.

Natomiast kabaretowe pomysły „obniżenia realnych stóp procentowych” lub „argumentu odpowiedniej polityki kursowej i słabszego złotego” podlegają tylko ocenie, bowiem skutki ich wprowadzenia – przy zmianie Konstytucji, rzecz jasna – są trudne do oszacowania, choć lokują się gdzieś między utratą wiarygodności przez państwo wobec sektora przedsiębiorstw i partnerów zagranicznych, a utratą wiary w wykształcenie ekonomiczne polityków gospodarczych.

Koszty „Programu wyborczego PiS w 2007”, które byłyby poniesione w latach 2008–2010

PiS młodych Polaków starał się przekonać obietnicami tak oto: „Jedną z konsekwencji kryzysu społeczno-gospodarczego będzie masowa emigracja młodych, wy-

sokiej klasy specjalistów z różnych dziedzin. Ulgi w CIT na tworzenie nowych miejsc pracy PiS proponuje, aby każdy przedsiębiorca, tworząc jedno nowe miejsce pracy, otrzymywał przez 2 lata w formie potrącenia od podatku CIT comiesięcznie kwotę 1000 zł.”

Przyjmując, że z dodatniego salda zatrudnienia w roku 2008 (78 tysięcy osób) ok. 50 tys. przyjęć do pracy stanowiły nowe miejsca pracy, w prosty sposób, w rezultacie pomnożenia proponowanego zwolnienia 1000 zł otrzymuje się 1,2 mld zł rocznie, a w latach 2008 - 2010 – 3,6 mld. Otwarte pozostaje pytanie, jak ta zachęta mogłaby wyglądać w stosunku do przedsiębiorców, którzy miejsca pracy utworzyli, ale nie osiągnęli opodatkowanego zysku. Czy mieliby otrzymać od państwa gotówkę?

Ulgi w podatku PIT to łatwy, populistyczny chwyt. Prócz argumentów społecznych PiS proponował: „W myśl naszej koncepcji po czterech latach stawka wyższa [32%] zostałaby obniżona do 28 procent. Kwota wolna od podatku nie byłaby mniejsza niż dziś, a próg podatkowy kształtowałby się w granicach 80–100 tys. złotych.” Te wyborcze obietnice Prawa i Sprawiedliwości miały kosztować 6 mld zł rocznie. W latach 2008 - 2010 zebrałaby się więc kwota 18 mld zł.

Ponieważ Prawo i Sprawiedliwość bardzo chciało przyciągnąć do siebie rzesze przedsiębiorców, zwłaszcza tych drobnych, prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą, miało coś i dla nich: „Zamierzamy obniżyć stawkę podatkową dla osób fizycznych prowadzących działalność gospodarczą do 18 procent. ... W ten sposób pracodawcy w pierwszym okresie po zatrudnieniu nowego pracownika mieliby środki na wynagrodzenia, a z drugiej strony, nie ponosiliby kosztów związanych ze składkami na ubezpieczenie społeczne tychże pracowników.”

Obniżenie stawki podatkowej od osób fizycznych prowadzących działalność gospodarczą z 19 do 18% (zmniejszenie dochodów budżetowych o ok. 0,3 mld rocznie) dałoby więc w ciągu trzech lat spadek dochodów budżetowych o kwotę zaledwie 1,0 mld zł.

W ramach działań na rzecz przedsiębiorczości, co PO zawsze popierała, PiS proponowało także bardzo kosztowne dla budżetu wprowadzenie tzw. przyspieszonej amortyzacji: „Proponujemy przyspieszoną amortyzację. Obecnie bezpośrednio od dochodów można odliczyć koszty do 3500 złotych. Propozycja PiS zakłada możliwość odliczenia wszelkich kosztów zakupu środków trwałych, z wyjątkiem nabycia nieruchomości i samochodów.” Ubytek wpływów budżetów wynosiłby 6 mld zł rocznie. Zatem w latach 2008 - 2010 zsumowałby się w 18 mld zł.

W punkcie 5. Programu zapowiadano likwidację podatku Belki, który wciąż jest obciążeniem, ale trudnym do natychmiastowego usunięcia: „Jesteśmy za likwidacją podatku giełdowego i od lokat bankowych, lub wprowadzeniem takich ulg, które sprowadzą go do minimum. Ich wprowadzenie nie miało specjalnego znaczenia dla dochodów budżetu państwa.”

Tymczasem, zakładając przychody budżetowe z tego tytułu na poziomie roku 2008, można tylko wyrazić zdziwienie, że w perspektywie 3 lat PiS planuje okroić budżet o 7,7 mld zł.

Zarys polityki prywatyzacyjnej

Pakiet wyborczy zawierał także zarys polityki prywatyzacyjnej:

„W rękach skarbu państwa pozostaną te spółki i przedsiębiorstwa, które są ważne z punktu widzenia bezpieczeństwa gospodarczego, ważnych powodów regionalnych lub konieczności tworzenia marki polskiej.”

Program wyborczy PiS zakładał zatem istotne ograniczenie prywatyzacji, a więc proponował konsekwentną kontynuację polityki, prowadzonej przez ministra Wojciecha Jasińskiego. Gdyby program ów został wcielony w życie, w latach 2008-2010, gdy świat pogrążył się w kryzysie, a polska gospodarka i finanse potrzebowały środków, pozbawilibyśmy budżet państwa: w 2008 roku 1,021 mld zł, w 2009 roku - 17,5 mld (w tym z dwóch prywatyzacji PKO BP i PGE, a kopalni w Bogdan- ce - ponad 0,5 mld), wreszcie w 2010 r., kiedy podpisane umowy prywatyzacyjne miały wartość blisko 30 mld zł, 22 mld zł, które wpłynęły do kasy MSP (budżetu). Tylko debiuty spółek PZU i Tauron (wcześniej wymieniony w programie wyborczym PiS jako Południowy Koncern Energetyczny) przyniosły 6,7 mld zł! A zatem realizacja programu pozbawiłaby budżet wpływów ok 40 mld zł!

Program zajął się także kwestiami może nieco mniej konkretnymi, ale takimi, które budują wiarygodność i wizerunek państwa i jego polityki gospodarczej, szczególnie zaś polityki monetarnej. Przypomnijmy, że te kwestie są w Polsce uregulowane nie tylko w ustawach, ale przede wszystkim w konstytucji. Dzięki temu majstrowanie przy decyzjach, należących do Rady Polityki Pieniężnej czy Narodowego Banku Polskiego niebezpiecznie ociera się o granicę legalności.

PiS zapowiadało w swoim Programie Wyborczym, co następuje: „Uważamy, iż obniżenie realnych stóp procentowych pobudzi wzrost gospodarczy, przyciągnie inwestycje bezpośrednie, spowoduje wzrost zatrudnienia, wzrost popytu wewnętrznego i przyrost bazy podatkowej. (...) Będziemy stosować argument odpowiedniej polityki kursowej i słabszego złotego, dużych umiejętności polskich pracowników, a także niższych niż w krajach starej Unii Europejskiej kosztów pracy, co powinno przekonać inwestorów zagranicznych do inwestowania w Polsce.”

2009 – Pakiet Antykryzysowy

Kiedy u progu jesieni w 2008 roku wybuchł światowy kryzys finansowy, polski rząd zajął się przede wszystkim szukaniem oszczędności. Nie sięgnął do kieszeni podatnika, nie ruszył na poszukiwanie pożyczek, zaczął natomiast redukować koszty państwa. Tymczasem opozycja szalała, wskazując pakiety Paulsona, Merkel czy Obamy jako wzory godne zastosowania i w Polsce. Kto miał rację – wiadomo. Godzi się jednak przypomnieć, że Prawo i Sprawiedliwość wystąpiło w styczniu 2009 z dokumentem pod nazwą „Pakiet antykryzysowy”. Spróbujmy oszacować koszty urzeczywistnienia pomysłów PiS, które wprost żądało nowych obciążeń dla budżetu.

W pierwszej kolejności autorzy tego dokumenty wzięli na cel deficyt budżetu państwa. Nie proponowali sposobów jego redukcji, gdzież tam! Proponowali, by deficyt zwiększyć:

„Aby zapewnić wzrost gospodarczy na poziomie 3,5%, gospodarka musi zostać aktywnie wsparta przez rząd. To wsparcie wymaga środków, dlatego deficyt budżetu państwa powinien być założony na poziomie 25 mld zł. Rządy większości krajów wysoko rozwiniętych radykalnie zwiększają deficyty budżetowe.”

A zatem zwiększenie deficytu o 7 mld, dałoby w ciągu dwóch lat – czemu rząd miałby sobie żałować w roku następnym? - kwotę, bagatela, 14 mld zł.

Przyjrzyć się trzeba i innym pomysłom PiS, bowiem z nich złoży się pokaźna kwota, pod której ciężarem przewróciłby się najbardziej nawet oszczędny rząd.

PiS zaproponowało więc dokapitalizowanie PKO BP „kwotą 1 mld zł w postaci 10 letnich obligacji skarbowych, z przeznaczeniem na rozwinięcie akcji kredytowej w celu finansowania zakupu własnego mieszkania przez rodziny. Przy założeniu, że program powinien przynieść uruchomienie 100 tysięcy kredytów, a cena gwarantowanego metra nie przekroczyłaby 5 tysięcy metrów [chyba – złotych?], wartość gwarancji wyniosłaby 6 mld zł.”

Czyli ujmując to po prostu, rząd musiałby wyłożyć 1 mld, emitując na ten cel obligacje, i dorzucić jeszcze 6 mld zł gwarancji. Członkowie PiS może nie wiedzą, że gwarancje udzielane przez budżet zapisuje się po stronie wydatków. Razem więc daje to 7 miliardów złotych!

Utworzenie Banku Hipotecznego z Agencji Nieruchomości Rolnych to kolejny twórczy pomysł PiS: „Agencję Nieruchomości Rolnych należy przekształcić w Bank Hipoteczny Skarbu Państwa. Bank pozyskiwałby środki finansowe z emisji listów hipotecznych, zabezpieczonych na nieruchomościach agencji. (...) program może mieć wartość 7 mld zł. Finansowanie programu pozabudżetowe.”

Niestety, majątek Skarbu Państwa nie może być, ot tak skreślony. Tych 7 mld zł nawet najbardziej twórczy księgowy nigdzie poza budżetem nie schowa.

Innym sposobem na poprawę stanu gospodarki Polski miałyby stać się budownictwo komunalne, „które powinno być organizowane przez samorządy gminne, w praktyce nie istnieje, a przecież powinno być przeznaczone dla osób, które nie mogą same zapewnić sobie i swojej rodzinie mieszkania. (...) Proponujemy uruchomienie programu wspomagającego gminy do wysokości 25% inwestycji w budownictwo komunalne o wartości 1 mld zł w 2009 i 2010 roku. (...) Warunkiem tego rodzaju realokacji musiałaby być renegocjacja progów finansowania budownictwa, narzucona Polsce przez KE.”

Do kosztów Pakietu dodajemy więc kolejne 2 miliardy zł, bo rozumiem, że chodzi o 1 mld co roku przez 2 lata?

Prawo i Sprawiedliwość wiedziało, że każdemu przedsiębiorcy musi zależeć na odliczeniu VAT od auta z kratką. Napisało więc, że powinno być możliwe „odliczenie VAT przy zakupie samochodu. (...) Zakładamy, że obniżenie dochodów budżetu z tytułu proponowanych zmian podatkowych nie przekroczy 3 mld zł.”

Przez dwa lata zebrałoby się tych odliczeń za 6 mld zł.

Kolejne propozycje PiS dotyczyły ludzi ubogich, o których politycy tej partii wiedzieli, że ich wydatki na żywność stanowią poważną część domowych budżetów. Proponowało więc w swoim Pakiecie: „Jako ochronę pracy traktujemy także ochronę poziomu dochodów z pracy. Dlatego proponujemy obniżenie stawki podat-

ku VAT na żywność z 7% do 6%, co spowoduje zmniejszenie wpływów do budżetu o ok. 1,5 mld zł. Obniżka VAT dotyczy jedynie żywności, czyli artykułów pierwszej potrzeby, gdyż wydatki na ten cel stanowią największy procent w budżetach najmniej zarabiających obywateli.”

Obniżenie VAT na żywność dałoby zatem zmniejszenie w ciągu 2 lat wpływów do budżetu o 3 mld zł.

Poważny wysiłek intelektualny znać u autorów, gdy proponują prace interwencyjne jako sposób na zwiększenie zatrudnienia. Piszą oni tak: „W przypadku wzrostu bezrobocia w danym regionie powyżej 14% konieczne będzie wdrożenie programu prac interwencyjnych, robót publicznych oraz prac społecznie użytecznych, należy rozważyć możliwości wykorzystania prac interwencyjnych do rozwoju usług opiekuńczych, na które systematycznie wzrasta zapotrzebowanie. Proponujemy, aby prace takie mogły służyć także na przykład poprawie lesistości kraju. Sadzenie lasów jest najprostszym i skutecznym środkiem zapobiegania niekorzystnym zmianom klimatycznym, poprawie stosunków wodnych i piękna krajobrazu. Proponowana wartość programu w miarę potrzeb do 200 mln zł.”

Jak z tej propozycji jasno widać, rząd powinien dodatkowo wydać na „poprawę lesistości” i lepsze usługi opiekuńcze tylko 400 mln zł.

Łatwo o populizm proponując rencistom i emerytom dodatek drożyzniowy, co PiS tak oto formułuje: „...PiS zaproponowało ustawę wprowadzającą jednorazowy, coroczny, kwotowy dodatek dla emerytów i rencistów, których świadczenia są niższe niż 1300 zł. Projekt ten został odrzucony głosami PO-PSL. Należy powrócić do tej propozycji. Wydatkowane w ten sposób środki w części powrócą do budżetu w innej formie ponieważ natychmiast zostaną wydatkowane, a nie przeznaczone na oszczędności.”

Nie wiemy, w jakiej „innej formie” wydane z budżetu pieniądze wrócą do niego. Ale policzmy, o jakie kwoty może tu chodzić. Pierwsze założenie musi dotyczyć kwoty samego dodatku; ile też ma on wynieść? Tego, ostrożnością wiedzione, PiS nie podaje. Dopiero dwa lata później, w styczniu 2011, posłanka Beata Szydło poda, że może chodzić o 600 zł. A teraz szybki rachunek: w Polsce liczba emerytów i rencistów wynosi ok. 9,3 mln, z nich ok 2/3 otrzymuje świadczenia poniżej średniej, przyjmijmy zatem, że ok 6 mln osób żyje za 1300 zł miesięcznie. A gdzie beneficjenci rent socjalnych (0,25 mln osób dostaje rentę ok. 600 zł), ludzie żyjący wyłącznie z zasiłków socjalnych i zasiłków dla bezrobotnych, bądź z rent rodzinnych? Przyjmując oszczędnie, że jest ich razem 0,5 mln, otrzymamy w sumie liczbę uprawnionych ok. 6,5 mln. Po pomnożeniu przez 600 daje to rocznie 3,9 mld zł, czyli 7,8 mld zł w ciągu 2 lat!

[Uwaga z września 2015 r. – PiS nie przewidywało, że w Polsce może pojawić się deflacja. Wprawdzie już 2 lata temu Beata Szydło mówiła, że „inflacja spada, ale ceny rosną”, jednak deflacji nie spodziewał się nikt. Ciekawe, czy lekarstwem na deflację będzie nadal „dodatek drożyzniowy”? - PR]

Mieszkania Polaków to stała troska Prawa i Sprawiedliwości już od lat. Obiecywało ono kiedyś budowę 3 mln mieszkań, w Pakiecie Antykryzysowym nie idzie już tak daleko, choć realizację pomysłów zostawia rządzącym rywalom. Proponuje

więc „zmiany w dodatku mieszkaniowym – wliczanie kosztów energii elektrycznej i gazu. Stale rosnące ceny energii elektrycznej są szczególnie dotkliwe dla gospodarstw domowych o najniższych dochodach.

Projekt zgłoszony przez PiS zakładał, że przy określeniu uprawnienia do otrzymania zasiłku mieszkaniowego, do kosztów utrzymania mieszkania wliczane będą koszty energii elektrycznej i gazu. Już dziś uwzględniane są na przykład koszty wody. Projekt także został odrzucony przez koalicję PO–PSL. Ze względu na zapowiedziane kolejne podwyżki cen energii elektrycznej trzeba jak najszybciej przyjąć to rozwiązanie. Łączna wartość dodatku dla emerytów i zmian w dodatku mieszkaniowym to 2,5-3 mld zł”.

Zmiany w dodatku mieszkaniowym kosztowałyby w latach 2009 – 2010 kolejne 6,0 mld zł.

Hojność opozycji nie zna granic, a już na pewno – granic śmieszności. Trudno policzyć skutki dla finansów publicznych ostatniej propozycji Pakietu, ale trzeba koniecznie je poznać, bowiem ma tyle wspólnego z rozsądkiem i prawidłami rządzącymi rynkami i światem finansów, co przytoczona na wstępie trzecia waluta rezerwowa:

„Przepisy antyspekulacyjne (krótka sprzedaż). Dobrze działające rynki finansowe dostarczają podstaw do racjonalnych decyzji gospodarczych. Niestety na rynkach działają podmioty o tak dużym potencjale finansowym, że mogą wpływać na wyceny poszczególnych aktywów. Szczególnie niebezpieczne są wszystkie transakcje, w których podmiot zyskuje w momencie spadku wyceny instrumentu finansowego (tzw. krótka sprzedaż). Swoboda działalności na rynkach finansowych powinna zostać zachowana, ale podmioty decydujące się na tzw. krótką sprzedaż powinny zostać zobowiązane do publicznego ujawniania swoich „krótkich” pozycji. Drugim sposobem wpływania na rynek jest formułowanie prognoz przy jednoczesnym zajmowaniu pozycji, które w przypadku sprawdzenia się prognozy pozwolą na uzyskanie znacznych korzyści formułującemu prognozę. Aby zapobiec temu „samospełniającemu się pro- roctwu”, instytucje, które są aktywnym uczestnikiem rynku i formułują prognozy, powinny również informować, jakie pozycje zajmują na aktywach powiązanych z tą prognozą. Na przykład, jeśli bank inwestycyjny ma „krótkie” pozycje na złotówce (zyska, gdy złoty się osłabi), to jeśli prognozuje wzrost gospodarczy w Polsce, powinien poinformować o tym, że spadek kursu złotego oznacza dla niego zyski”.

Wracając do „czystych” kosztów. Według przeprowadzonego powyżej szacunku Polska miałaby w ciągu 3 lat o 142,5 mld złotych zwiększony deficyt budżetu państwa (przy czym przyznam, że nie policzyłem proponowanych przez PiS kosztów rozmaitych zwolnień w ZUS, zaliczania kosztów inwestycji do 400 tys zł w koszty itp.). Której musiałaby pokryć, pożyczając na rynku. (...) To nie są wszystkie koszty obsługi długu. Wszystkie jednak musiałyby być solidarnie pokryte przez obywateli, którzy chętnie przyjmują do wiadomości, że dostaną Inflanty, ale nie wiedzą, bo cyniczni dobroczyńcy to przemilczają, że nabytek obciążony jest kolosalnym długiem, po który kiedyś zgłosi się wierzyciel. Prawo i Sprawiedliwość przyjmuje, że patriotyczni Polacy wiedzą, że skoro ktoś ma pieniądze, to skądś je ma, ale nie dotyczy to państwa, które pieniądze ma, ale nie wiadomo skąd. Piotr Rachtan

Adam Szejnfeld, były wiceminister gospodarki, szacował wtedy te koszty wyżej: „Deficyt budżetu państwa - za rządów PO-PSL: w 2008 roku wyniósł 24,6 mld zł, w 2009 r. - 23,8 mld zł, w 2010 - poniżej 45 mld zł, a według planów deficyt w 2011 roku ma wynieść około 40 mld zł.” Jak wyliczył, opierając się na programie wyborczym PiS i programie anty kryzysowym tej partii z 2009 r., „gdyby rządziło PiS, deficyt budżetowy wyniósłby: w 2008 roku - 43,9 mld zł, w 2009 roku - 83,2 mld zł, w 2010 r. - 108,4 mld zł. To byłaby katastrofa, gdyby rządził PiS, dzisiaj zastanawialibyśmy się o ile wszystkim obywatelom w Polsce obciążyć płace, renty, emerytury, o ile zahamować rozwój społeczno-gospodarczy naszego kraju. Polska, gdyby rządziło PiS, byłaby bankrutem, najgorzej wyglądającym pod względem finansowym, ekonomicznym, a więc i społecznym państwem w Europie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że deficyty budżetowe poszczególnych lat zostałyby przekroczone do tego stopnia, że mielibyśmy dzisiaj autentyczny kryzys w Polsce”.

2015 – program wyborczy PiS

Zmiany są niewielkie w porównaniu z tym, co opozycja obiecywała przed 4 laty. Koszty jednak będą znacznie wyższe.

“Gospodarcze postulaty Prawa i Sprawiedliwości będą kosztowały znacznie więcej, niż twierdzi partia” – uważa Jakub Borowski, główny ekonomista Crédit Agricole. Z kolei przychody są przeszacowane – na przykład nie do osiągnięcia jest całkowite uszczelnienie systemu podatkowego, co miałyby wnieść ponad 50 mld zł do budżetu. Zdaniem Jakuba Borowskiego proponowane podatki dla sieci handlowych – mowa tu o bankowym i obrotowym – mogą zaszkodzić całej gospodarce.

– „Mamy propozycję znaczącego zwiększenia wydatków bez wskazania stabilnych i pewnych źródeł ich finansowania” – podkreśla w rozmowie z agencją informacyjną Newseria Biznes Jakub Borowski.

Podczas konwencji programowej PiS zaprezentowało swoje pomysły gospodarcze. Partia zapowiada m.in. obniżenie wieku emerytalnego, podniesienie kwoty wolnej od podatku do 8000 zł rocznie oraz dodatek w wysokości 500 zł na każde dziecko (z wyjątkiem pierwszego w zamożnych rodzinach).

Według dzisiejszej opozycji wprowadzenie tych pomysłów w życie będzie kosztowało 39 mld zł: obniżenie wieku emerytalnego – 10 mld zł, dodatek na dzieci – 22 mld zł, a kwota wolna – 7 mld zł. Borowski podkreśla jednak, że to nierealne założenie, bo koszty postulowanych rozwiązań są niedoszacowane.

– Najprawdopodobniej mamy do czynienia z dużym niedoszacowaniem w przypadku wydatków związanych z obniżeniem wieku emerytalnego. Jest jeszcze oczywiście kwota wolna od podatku, tu też mieliśmy sygnały ze strony Ministerstwa Finansów wskazujące na to, że ten ubytek może być bardziej znaczący, wynoszący kilkanaście miliardów złotych – tłumaczy Borowski.

Według analityków koszty obniżenia wieku emerytalnego mogą sięgnąć nawet 20 mld zł. Zdaniem niektórych – koszty mogą sięgnąć nawet 40 mld zł rocznie.

Główny ekonomista Crédit Agricole zauważa, że PiS nie przedstawiło wiarygodnego programu sfinansowania tych wydatków. Według partii 9 mld zł ma pocho-

dzić z podatku VAT – to wyliczenie opierające się na tym, że 23 proc. z 39 mld zł trafi z powrotem do kasy państwa. Taki rachunek nie uwzględnia jednak chociażby tego, że nie wszystkie produkty są objęte 23-procentowym VAT-em. Opozycja proponuje zresztą obniżkę tego podatku do 22 procent.

Kolejnym źródłem przychodów dla państwa ma być uszczelnienie systemu podatkowego (głównie w zakresie VAT-u). Dzięki likwidacji szarej strefy PiS chce zyskać aż 52 mld zł.

– Zdecydowanie z największym przeszacowaniem dochodów mamy do czynienia w przypadku luki w dochodach z VAT – podkreśla Borowski. – Nie sądzę, żeby było możliwe tak szybkie zredukowanie luki w VAT i w związku z tym osiągnięcie bardzo dużych dodatkowych dochodów z tytułu tego podatku. Sądzę, że to będzie rozłożone na lata i w związku z tym w krótkim okresie nie może to być źródłem finansowania znacząco wyższych wydatków.

PiS zaproponowało także dwa nowe podatki: obrotowy dla sieci handlowych i od aktywów dla banków. Mają one przynieść odpowiednio 3 mld i 5 mld zł. Borowski zauważa jednak, że ich skutki mogą być bardzo poważne.

– Przede wszystkim dla konsumentów, którzy będą płacić najprawdopodobniej więcej za dobra nabywane w sklepach wielkopowierzchniowych i za usługi bankowe. W obu tych przypadkach właściciele kapitału w sytuacji, kiedy ich wynik finansowy ulega znaczącemu obniżeniu z tytułu wprowadzonego podatku, będą szukali pomysłów na to, jak go jednak zwiększyć – podkreśla Borowski.

Ekonomista zaznacza, że podatek bankowy może zabrać temu sektorowi jedną trzecią zysków netto. Dlatego jego wprowadzenie mogłoby doprowadzić nie tylko do wzrostu cen usług finansowych, lecz także do spowolnienia akcji kredytowej. Udzielane kredyty wpływają na wzrost aktywów banków – miałyby zatem bezpośrednio przełożenie na wysokość podatku.

Borowski dodaje, że niepotrzebny jest także inny pomysł PiS-u, czyli wykorzystanie kapitału spółek Skarbu Państwa i BGK do finansowania inwestycji polskich przedsiębiorców. Według niego w obecnej sytuacji polskiej gospodarki nie ma potrzeby uruchamiania wyjątkowych mechanizmów pobudzających inwestycje. W zamian należy popracować nad zmniejszeniem bezrobocia strukturalnego.

– Bardzo trudno dalej znacząco obniżać bezrobocie, moce wytwórcze są już w dużym stopniu wykorzystane. W związku z tym polska gospodarka nie potrzebuje dzisiaj nadmiernej stymulacji – uważa Borowski.

(Newseria.pl)

SKOK-i

W ostatnich miesiącach wiele uwagi poświęcono spółdzielczym kasom oszczędnościowo-kredytowym.

Nie będziemy tu poświęcać uwagi temu, co szczegółowo opisały i omówiły media, czym zajmowała się specjalna podkomisja w Sejmie, a także – (czterokrotnie) Trybunał Konstytucyjny, a nad czym wciąż pracują prokuratury, służby i Komisja Nadzoru Finansowego. Charakterystyczne jest to, że wszelkie ślady, dowody, bada-

nia potwierdzają, że kasy pozostawały w układzie (to słowo-klucz, tak chętnie używane przez PiS i jego prezesa do dyskredytowania prawdziwych czy urojonych przeciwników, tu pasuje jak ulał) z prezydentem Lechem Kaczyńskim, ludźmi z jego kancelarii, klubem parlamentarnym Prawa i Sprawiedliwości itd.

Powiązania biznesowo-polityczne psują prawo, ale jeszcze bardziej psuje państwo unikanie odpowiedzialności za złe rozwiązania i przerzucanie jej na przeciwników. Najlepszym tego przykładem jest oskarżanie Bronisława Komorowskiego o to, że ponosi winę za przestępczą działalność zarządu kasy SKOK Wołomin, a KNF za to, że nadzorem objęła kasy „dopiero” w 2012 roku!

Jednocześnie jedna z odpowiedzialnych po stronie Lecha Kaczyńskiego i PiS osób – dr Andrzej Duda – nie ustosunkowywał się do zarzutów, stawianych mu przez polityków i media. Nie poszedł też do sądu, by walczyć o oczyszczenie swojego dobrego imienia, a „proszony [...] o komentarz do wypowiedzi polityków PO, powiedział, że on prowadzi merytoryczną kampanię. - Nawet nie będę tego komentował - podkreślił.” (Onet, 28 marca 2015). Jarosław Kaczyński ujmował to dosadniej: “Jeśli chodzi o [B. Komorowskiego], to on nie ukrywa sympatii do WSI. A SKOK Wołomin był zarządzany przez ludzi z WSI. To jest problem pana Bronisława Komorowskiego, a nie Andrzeja Dudy. Takie są fakty. Wszystko inne to bezczelność i hucpa.” (Onet.pl, 28 marca)

Politycy chętnie idą do sądu, by udowodnić publiczności, że zostali pomówieni. Wykorzystują zarówno oskarżenie z osławionego art. 212 kk, jak i drogę cywilną. W sprawie SKOK tylko – tradycyjnie – Grzegorz Bierecki pozywa. Ani Duda, ani inni politycy PiS mający jakiś związek z tą aferą, z drogi sądowej nie korzystają. Może biorą Polaków na przeczekanie?

Wieś i rolnictwo (według Beaty Szydło)

Prawo i Sprawiedliwość musi usilnie zabiegać o głosy mieszkańców wsi. W wyborach prezydenckich właśnie na wsi, niespodziewanie, zdobyło przewagę (może z powodu słabości kandydata PSL?), i to także zadecydowało o sukcesie Andrzeja Dudy.

Prezes Kaczyński pamięta też na pewno lekcję, którą odebrał w czasie ostatnich wyborów samorządowych, kiedy duża część mieszkańców wsi poparła PSL (choć, jak twierdzi prezes PiS, „te wybory zostały sfałszowane”). Taka sytuacja może się powtórzyć i PiS robi wszystko, aby do tego nie dopuścić. Dlatego tak często w mediach widzimy kandydatkę na premiera Beatę Szydło „buszującą w zbożu” w towarzystwie czołowych aktywistów i ekspertów partii, np. sędziego Janusza Wojciechowskiego czy Marka Suskiego, zmagających się z kosami. Można ją było też zobaczyć w innych miejscach: w oborze lub na lokalnym pikniku.

Na spotkaniu z mieszkańcami wsi Odrzywół na Mazowszu 18 lipca Szydło mówiła o kryzysie w rolnictwie, biedzie na wsi i o projektach naprawy, gdy PiS wreszcie wygra wybory.

Jednym z ważniejszych punktów tej wyborczej agitacji jest krytyka Unii Europejskiej oraz wspólnej polityki rolnej (WPR). PiS nie chce rezygnować z unijnych

dotacji, ale z wielką nieufnością podchodzi do polityki Wspólnoty. Według relacji PAP, Szydło mówiła w Odrzywole, że „przyszły rząd PiS zniweluje zróżnicowanie na polskiej wsi i doprowadzi do tego, że polscy rolnicy będą otrzymywać dopłaty w takiej samej wysokości jak rolnicy w innych krajach UE. Polski rolnik – mówiła – za swoją pracę będzie otrzymywać godne wynagrodzenie, nie będzie oszukiwany, nie będzie wyzyskiwany, tylko będzie mógł i będzie w stanie utrzymać się ze swojej pracy na roli.”

Państwo według Beaty Szydło „powinno stanąć po stronie polskich rolników, polskiej wsi i bronić, również na arenie międzynarodowej (...) naszych interesów. Nie wolno nam oddawać pola innym, którzy narzucają takie standardy i takie rozwiązania, które są w interesie ich narodowych gospodarek. Nie łudźmy się, przecież w UE każdy walczy o swoje”.

Z przykrością odbieram takie opinie. Trzeba chyba zapytać, czy kandydatka na premiera dobrze rozumiała, czym jest Wspólnota Europejska i po co powstała? W 2004 r. w referendum duża część rolników i mieszkańców wsi, zwłaszcza z biedniejszych rejonów wschodnich i południowych, głosowała przeciw wejściu do UE.

Uwierzyli w głoszone wtedy hasła: „Zaleje nas żywność z Unii”, „Obcy wykupią polską ziemię”. Nic takiego się nie stało. Dla polskiej wsi i producentów wejście do UE w 2004 r. okazało się nie tylko szansą na uzyskanie pomocy finansowej, ale przede wszystkim otwarciem na świat, na dorobek współczesnej cywilizacji i możliwością włączenia się w europejski system społeczno-gospodarczy. Dziś przytłaczająca większość na wsi (ok. 85 proc.) jest zadowolona i widzi korzyści z przynależności do Unii i nie czuje się „wyzyskiwana” i „oszukiwana”, jak twierdzi Beata Szydło.

Trzeba również zdementować ciągle powtarzane kłamstwa o dopłatach bezpośrednich. Wydano na nie 55 procent wszystkich funduszy z unijnych programów przeznaczonych dla rolnictwa, których ogólna suma w latach 2002-2013, wyniosła 171 mld zł (wliczając w to pomoc otrzymaną jeszcze przed akcesją). Z dopłat bezpośrednich, niezależnych od produkcji, co roku korzystało i nadal korzysta około 1,36 mln gospodarstw (tj. 92% gospodarstw o powierzchni powyżej 1 ha).

Co najważniejsze – o czym, zdaje się, nie wiedzą politycy PiS – wyrażona w euro płatność dla polskich rolników wzrastała w latach 2004-2013, zgodnie z traktatem akcesyjnym, z poziomu 25% do 100% średniej stawki w krajach UE-15. Od początku polscy rolnicy otrzymywali dodatkowo 30 procentową dopłatę z budżetu krajowego. W 2010 r. stawka płatności w Polsce została zrównana ze średnią UE-15. Różnice w poszczególnych latach wynikały z wahań kursu euro. W 2011 r., gdy 1 euro kosztowało 4,40 zł, średnia dopłata na jedno gospodarstwo przekraczała 9000 zł. Gdy kurs euro zmieniał się, wysokość dopłat także. Ponieważ PiS nie chce przystąpienia Polski do strefy euro, musi brać pod uwagę ryzyko kursowe i zmienną wysokość dopłat.

Dodajmy jeszcze, że subwencje unijne, jak wynika z badań ekonomicznych, miały znaczny wpływ na sytuację gospodarstw rolnych: ich udział w dochodach w 2011 r. wynosił około 50 procent.

Warto więc pamiętać i doceniać, co rolnictwu i gospodarce żywnościowej dała przynależność do Unii. A także nie zapominać w kampanii wyborczej, że znów bę-

dziemy korzystać z unijnej wspólnej polityki rolnej. W latach 2014-2020 mamy otrzymać ponad 32,1 mld euro. Będzie to ostatni tak wielki program pomocy. Dobrze więc byłoby, aby została ona jak najlepiej wykorzystana.

Nie można także przejść do porządku dziennego nad tym, że zarzuty pod adresem Unii Europejskiej są nie tylko fałszywe i niesprawiedliwe, ale wręcz szkodliwe, naruszają polską rację stanu.

Korzyści z obecności w UE czerpie cała gospodarka żywnościowa, a nie tylko gospodarstwa rolne. Największym sukcesem ostatnich lat jest rozbudowa i modernizacja przemysłu spożywczego i rozwój eksportu. Najlepiej spośród nowych krajów UE wykorzystaliśmy szansę jaką było otwarcie wielkiego europejskiego rynku. Efekty? W 2014 r. eksport produktów rolno-spożywczych miał wartość 21,35 mld euro, a import – 14,79 mld euro. Od 10 lat mamy dodatnie (i wzrastające) saldo obrotów tymi towarami z zagranicą.

Mimo rosyjskiego embarga polscy eksporterzy potrafili znaleźć inne rynki zbytu. Ponad 35% wyrobów naszego przemysłu spożywczego jedzie w świat. Przede wszystkim (w 80%) do krajów UE. Prognozy na ten rok były także optymistyczne. Nie wiadomo jednak w jakim stopniu zaszkodzi nam klęska suszy. Dla propagandy PiS te sprawy nie są interesujące, bo sukces – niewątpliwy – nie pasuje do czarnego scenariusza. Jak wynika z opublikowanej relacji z pobytu Beaty Szydło w Odrzywole, uważa ona, że dochody rolników spadają (według PiS, o 14% od 2012 r.) i przez to trudno się utrzymać rodzinom z małych gospodarstw.

To prawda, że dochody gospodarstw rolnych spadały. Według Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej w ubiegłym roku – o 5,6 proc. w porównaniu z 2013 r. To niemało, ale Polska nie była wyjątkiem w Europie. Ekonomiści wiedzą, że ceny produktów i dochody gospodarstw rolnych nie są stałe, bo zależą od wielu czynników: od koniunktury na rynkach światowych, wielkości produkcji, urodzaju, zapasów oraz od tzw. nożyc cen produktów rolnych i środków produkcji nabywanych przez rolników. W ostatnich 3 latach relacje te były dla rolnictwa niekorzystne.

Sytuację komplikuje dodatkowo nasza struktura agrarna. Dlatego trzeba odpowiedzieć na pytanie, czy mamy liczyć dochody wszystkich gospodarstw, które występują co roku o unijne dopłaty bezpośrednie (około 1,36 mln), czy tych (ok. 700 tys.), które mają jakikolwiek kontakt z rynkiem, czy tych najlepszych (ok. 300 tys.), od których zależy nasze wyżywienie i eksport?

O sytuacji ekonomicznej mieszkańców wsi możemy dowiedzieć się więcej z publikacji GUS, które podają skąd pochodzą dochody gospodarstw domowych na wsi. Miesięcznie, w przeliczeniu na osobę miały w ostatnich latach największy udział dochody z pracy najemnej, na drugim miejscu były emerytury i renty (prawie 1/4 ogólnej sumy dochodów!), a dopiero na trzecim dochody z pracy w gospodarstwie rolnym. Charakterystyczną tendencją w tej strukturze jest malejący udział pracy w gospodarstwach rolnych w ogólnych dochodach mieszkańców wsi. Wchodzi oni coraz aktywniej na inne obszary rynku pracy.

Według danych GUS (z 2013 r.) miesięczne dochody w przeliczeniu na osobę w gospodarstwie domowym na wsi wzrosły w latach 2000-2011 dwukrotnie (z 483 zł

do 975 zł), a więc rosły w tempie porównywalnym do wzrostu dochodów ludności miejskiej. Mimo to utrzymuje się duża różnica. W miastach dochód na osobę w tym samym czasie wzrósł do 1384 zł. Trzeba jednak te różnice oceniać sprawiedliwie, pamiętając, jaka była sytuacja na wsi w pierwszym okresie transformacji ustrojowej. Pod koniec lat 90. dochody rolników, w przeliczeniu na 1 zatrudnionego w porównaniu z przeciętnym dochodem w gospodarce, szacowano na poziomie 38-40%.

Najpoważniejszym problemem w tamtym okresie, zwłaszcza na wsi, był brak pracy. Na wieś wracali zwalniani pracownicy upadających zakładów przemysłowych. Na terenach wiejskich żyło wówczas ponad 40% (ok. 1 mln) ogółu zarejestrowanych w kraju bezrobotnych. Ponadto tzw. bezrobocie ukryte dotykało na wsi około 900 tys. osób.

Trudno oczekiwać, że propagandyści PiS będą mówić w kampanii wyborczej, że wieś polska zmieniła się na lepsze, jest teraz bogatsza i zadbana. Natomiast poczucie satysfakcji mogą mieć ci, którzy się do tego przyczynili. Raczej nie są to współcześni działacze partii prezesa Kaczyńskiego.

Z informacji IERiGŻ wynika, że w Polsce spożycie żywności pod względem ilościowym i jakościowym systematycznie się poprawia. Ale są to dane ogólnokrajowe, więc nie można wykluczyć różnic regionalnych lub środowiskowych. Wydatki na żywność w 2013 r. w przeliczeniu na 1 osobę w gospodarstwie domowym wynosiły miesięcznie średnio 264,36 zł. W rodzinach rolników to 246,99 zł, pracowników – 248,81 zł, a najwięcej jedzą emeryci i renciści – za 314,88 zł. Zmniejsza się udział żywności w ogólnych wydatkach, w 2014 r. wynosił 24,4%. M.in. dlatego, że produkty te w ostatnich latach taniały, a dochody ludności rosły. Wzrósł popyt na artykuły o lepszej jakości i wartości odżywczej, wygodne w użyciu, ale droższe. Na wsi także zmniejszyło się znaczenie konsumpcji naturalnej, a wzrosły zakupy żywności przetworzonej. W konkluzji ekspertów IERiGŻ, zmiany te są zgodne z tendencjami występującymi w wysoko rozwiniętych krajach UE. Trzeba jednak dodać, że nawet w takich państwach są ludzie żyjący w biedzie. Ważne, czy potrafimy im pomóc.

Pani Szydło pojechała na wieś i zobaczyła obraz straszny, o którym „trzeba bardzo głośno i wyraźnie mówić”. A przede wszystkim trzeba działać. W kryzysie jest nie tylko gospodarka rolna, ale życie społeczne na wsi - twierdzi. Mieszkańcy wsi martwią się, że niedługo ich gospodarstwa zostaną bez gospodarzy. Młodzi ludzie wyjeżdżają, bo muszą pracować zagranicą lub w dużych miastach. Często zostawiają swoje dzieci, ich rodziny są rozbite.

Muszę zmartwić panią poseł. Specjaliści PiS przygotowali złą ekspertyzę. Nie będę tu podawał powszechnie znanych danych o awansie cywilizacyjnym wsi, o wzroście poziomu wykształcenia jej mieszkańców, dostępie do Internetu i o innych wskaźnikach pokazujących poprawę kapitału społecznego na wsi. Posłużę się za to argumentami z pracy socjologicznej dr Barbary Fedyszak-Radziejowskiej z Polskiej Akademii Nauk, do której opinii działacze PiS mogą mieć na pewno zaufanie, została wszak doradczynią prezydenta Dudy. Praca została opublikowana w raporcie „Polska wieś 2014”, wydanym przez Fundację na rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa.

Autorka, przytaczając dane z „Diagnozy społecznej” stwierdza, że w 2013 r. deklarację „zadowolony z życia” złożyło 89 proc. mieszkańców wsi utrzymujących się z pracy w gospodarstwie rolnym i 91 proc. pracujących poza rolnictwem na własny rachunek. I to pomimo że swoje warunki materialne jako dobre określiło tylko 35 proc. rolników i 50 proc. pracujących na własny rachunek. W konkluzji dr Fedyszak-Radziejowska pisze: rolnicy jako grupa społeczno-zawodowa plasują się powyżej średniej (w tych badaniach) zarówno swoją obywatelską aktywnością oraz poczuciem zadowolenia z życia, jak i stosunkowo wolną od patologii sytuacją życiową i dobrostanem psychicznym. Gorzej pod tym względem wyglądają inne grupy mieszkańców wsi.

Wzrasta atrakcyjność wsi i rolnictwa. Dr Fedyszak-Radziejowska przytacza wyniki badań CBOS z 2013 r. Aż 58% Polaków deklaruje, że gdyby mieli wybierać miejsce do życia, to woleliby mieszkać na wsi niż w mieście. Zdecydowana większość (86%) mieszkańców wsi i rolników deklarowała, że gdyby musieli wybierać, to pozostaliby na wsi. Te postawy przekładają się na realne zmiany demograficzne. Pochodzący z miasta nowi mieszkańcy wsi to obecnie około 8% całej wiejskiej ludności.

Mieszkańcy wsi i rolnicy znajdują się w gronie zdecydowanych zwolenników naszej obecności w Unii Europejskiej. Sprzeciw wobec integracji nie przekracza 15 procent. Pod tym względem polska wieś nie różni się już od metropolii, a rolnicy nie odbiegają w swoich poglądach od robotników czy przedsiębiorców. Dzisiaj stosunek do obecności Polski w unijnych strukturach łączy a nie dzieli Polaków.

Pani Szydło widzi to inaczej. Trudno. Szkoda jednak, że na użytek kampanii wyborczej upowszechnia fałszywy obraz polskiej wsi. Taka ocena krzywdzi rolników, pracowników przemysłu spożywczego, handlu i wszystkich pozostałych, którzy przez lata pracowali w samorządach, organizacjach zawodowych i administracji. To, oczywiście, nie służy porozumieniu społecznemu, ale cel PiS jest inny. Wyborcy mają otrzymać przekaz, w którym jasno i dobitnie są sformułowane ważne, a może nawet główne przesłanki przyszłej polityki rolnej PiS.

Prawda, ocena ekonomicznych i innych skutków rzucanych hasel pozostają na dalekim planie.

Trzeba jednak tę taktykę traktować poważnie, choć pod względem merytorycznym i intelektualnym nie powinna zasługiwać na uwagę. Jej skutki mogą być groźne. PiS żywi się konfliktem. Cele polityczne zastąpiły rzeczową dyskusję nad trudnymi problemami zróżnicowanej i podzielonej polskiej wsi i rolnictwa.

Kolejne rządy koalicji PO-PSL realizowały program rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej, którego główne zasady powstawały jeszcze na początku transformacji ustrojowej. PiS, będąc stale w opozycji, nie wspierał politycznie tych działań, mimo że dla ich powodzenia potrzebny byłby szeroki konsensus społeczny ponad podziałami. Dotychczasowy przebieg kampanii wyborczej też nie zapowiada przełomu. PiS zamiast debaty wybiera wiecowanie, zamiast merytorycznych propozycji – totalną krytykę. Czy ktoś zastanawia się, co pozostanie na polu tej bitwy po wyborach?

Marcin Makowiecki, 16 sierpnia 2015 r.

Do tego dochodzą kłamstwa tak wiele razy powtarzane, że większość ludzi uważa je za prawdę. A więc:

„Supermarkety nie płacą podatków” – nieprawda, płacą podatki według tych samych zasad, co wszystkie firmy.

„Supermarkety i firmy zagraniczne płacą podatki nie w Polsce, tylko w swoich krajach” – kolejne kłamstwo. Zagraniczne firmy płacą w Polsce podatki od tej części działalności, którą w Polsce prowadzą.

„Banki nie płacą podatków” – kłamstwo, banki są wśród największych płatników podatków w Polsce.

„Górnictwo musi być podstawą polskiej energetyki, niezależnie od kosztów, ponoszonych przez państwo” (to jest przez ogół podatników).

I tak dalej, i tak dalej.

Miesiąc przed wyborami pan prezydent Andrzej Duda okazał się człowiekiem prawdomównym - spełnił swoje kampanijne zobowiązanie i złożył w Sejmie projekt ustawy przywracającej dawny wiek emerytalny – 60 lat dla kobiet i 67 – dla mężczyzn. Przeszedł w ten sposób nad wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego, który uznał, że konieczne jest zachowanie równości dla obu płci, ale - co gorsze – przeszedł obojętnie nad narażeniem finansów państwa nie tylko na straty, ale na prawdziwą katastrofę. Jego urzędnicy, pisząc mu projekt, policzyli koszty kontrreformy na 40 mld zł, ale tylko w ciągu pierwszych czterech lat. O kolejnych jakoś zapomnieli. Według prof. Leszka Balceerowicza (TOK FM 21 września) kwota ta sięgnie dwustu kilkudziesięciu miliardów. A to jest 3/4 rocznego budżetu państwa! Takiej dezynwoltury w traktowaniu finansów publicznych nikt jeszcze nie zademonstrował. Nawet w czasach PRL partyjne władze potrafiły się hamować.

Skala woluntaryzmu, prezentowanego w gospodarczych projektach przez Prawo i Sprawiedliwość i konsekwentnie aplikowanego opinii publicznej, przekracza wszystko, co w polskiej polityce w ciągu ćwierćwiecza było normą. Wcielenie w życie niebezpiecznych pomysłów może wykończyć polską gospodarkę, a realizacja pomysłu prezydenta to nie możliwość, tylko pewność.

I to wcale nie będzie piękna katastrofa...

* Zob. Vademecum – Prawo wspólnotowe w dziedzinie pomocy państwa wydane przez Dyрекcję Generalną do spraw Konkurencji Komisji Europejskiej, wrzesień 2008.

Rozdział 4.

Polityka zagraniczna

Według propagandy PiS polityka zagraniczna rządu tej partii i prezydenta Lecha Kaczyńskiego była „podmiotowa” i „suwerenna”; budowała pozycję międzynarodową Polski, która „wstała z kolan”. Polityka późniejszego rządu Platformy Obywatelskiej miała być „uległa”, „na kolanach”, „niesuwerenna”, „klientelska wobec Niemiec” itp. Polska pod rządami PO miała nawet stać się „kondominium rosyjsko-niemieckim” i „utracić część suwerenności”.

Twarde fakty wskazują jednak na to, że było dokładnie odwrotnie. Polityka zagraniczna przez dwa lata rządów PiS i jeszcze prawie trzy lata dalszej prezydentury Lecha Kaczyńskiego była nieudolna, niekompetentna, chwilami mocno dla Polski szkodliwa. Osłabiła pozycję międzynarodową kraju, a zdarzało się – że robiła z władz kraju międzynarodowe pośmiewisko.

Mit Lecha Kaczyńskiego, jako wielkiego polityka na arenie międzynarodowej

Dzisiejszy mit Lecha Kaczyńskiego jako wielkiego polityka oparty został na dwóch incydentach gruzińskich.

Incident pierwszy: zatrzymał rosyjską armię

Wedle tego mitu, Lech Kaczyński, lecąc do Gruzji, ocalił ten kraj przed rosyjskim podbojem. Jest to nieprawda. Lech Kaczyński poleciał do Gruzji w momencie, gdy prezydent Francji Nicolas Sarkozy już prowadził negocjacje z Putinem w Moskwie, których skutkiem było zawieszenie broni. To Sarkozy, a nie Kaczyński wynegocjował ocalenie Gruzji. A było to możliwe dzięki ogromnemu naciskowi politycznemu i wręcz demonstracji siły ze strony USA oraz NATO. Przypomnijmy, że amerykańskie okręty wojenne weszły na Morze Czarne w pobliżu wybrzeży Gruzji. Cały udział Kaczyńskiego w tym wydarzeniu sprowadzał się do jednego wystąpienia na wiecu w Tbilisi, gdzie wzywał do walki, czym utrudnił rokowania Sarkozy’emu i dał Putinowi argument w rokowaniach (w Moskwie prezydent Francji wzywa do pokoju, a w Tbilisi prezydent Polski wzywa do wojny).

„Wyprawa” gruzińska Kaczyńskiego w istocie przypieczętowała fiasko jego polityki wschodniej. Lechowi Kaczyńskiemu marzyło się, że pod egidą Polski uda się zmontować wspólny blok państw Europy Środkowo-Wschodniej; miało to być

praktycznie realizacją idei jagiellońskiej. Poniósł kompletne fiasko: kilku prezydentów, m. in. Litwy i Ukrainy, zgodziło się uczestniczyć w wyprawie (co uznano za wielki sukces Lecha Kaczyńskiego), ale gdy przylecieli do Tbilisi, okazało się, że prezydent Gruzji nie bardzo ma ochotę na rozmowy z nimi, bo w tym samym czasie konsultował negocjacje Sarkozy'ego, który dogadywał porozumienie z Putinem. Spotkali się dopiero na wspólnym wiecu. W Polsce odtrąbiono wielki sukces propagandowy. Tyle że to właśnie wtedy współtowarzysze wyprawy przekonali się, że w istocie Polska niewiele może, jej głos się nie liczy i inwestowanie w polskie sny o idei jagiellońskiej jest stratą czasu.

Podobnie zresztą poniosła fiasko idea zorganizowania – oczywiście również pod egidą Lecha Kaczyńskiego – wielkiej konferencji energetycznej w opozycji do Rosji. Miał na nią przyjechać między innymi prezydent Kazachstanu jako potencjalny dostawca ropy i gazu, konkurencyjnych dla dostaw rosyjskich... ale wystarczył jeden telefon Putina do Nazarbijewa, aby ten odwołał swój udział i kolejny wielki pomysł legł w gruzach.

Osobną sprawą jest związany z „wyprawą gruzińską” incydent w samolocie, gdy Lech Kaczyński chciał zmusić pilotów do lądowania na zamkniętym (z powodu wojny) lotnisku w Tbilisi. Lech Kaczyński wszedł do kabiny pilotów i spytał:

- Kto jest zwierzchnikiem sił zbrojnych?
- Pan, panie prezydencie – odparł pilot.

Wówczas Lech Kaczyński zażądał od pilotów lądowania w Tbilisi na jego rozkaz. Później, już w Polsce, domagał się ich zdegradowania i aresztowania, „za niewykonanie rozkazu” prezydenta, a Przemysław Gosiewski pisał nawet do prokuratury pismo z takimi żadaniami. Na taki przebieg wydarzeń istnieją twarde dowody i nic tu nie zmieniają kłamstwa (po długim czasie) Adama Bielana, że prezydent w ogóle do kabiny pilotów nie wchodził.

Postępowanie Lecha Kaczyńskiego w tej sprawie należy uznać za skrajnie nieodpowiedzialne. Skutki ewentualnej katastrofy w tych okolicznościach (wojny) byłyby trudne do przewidzenia. Na pewno zaogniłyby to i tak już bardzo niebezpieczną sytuację międzynarodową i wysoce wątpliwą, czy pomogłoby Gruzji. Na pewno zaszkodziłoby Polsce. Poza tym, ani prezydent, ani nikt inny nie ma prawa narażać na utratę życia innych osób: przecież nie był w tym samolocie sam, a Polska nie była stroną toczącej się w Gruzji wojny.

Incydent drugi: Bardzo dziwny „zamach”

W połowie marca 2010 roku telewizja prywatna, ale związana rodzinnie z prezydentem Gruzji Saakaszwilim, pokazała fikcyjny reportaż z ataku wojsk rosyjskich na Gruzję, nie informując, że to fikcja. Ten fakt coraz bardziej uprawdopodobnia tezę, iż również incydent z 23 listopada 2008 roku z udziałem Lecha Kaczyńskiego mógł być inscenizacją.

Zaznaczamy tu wyraźnie, **iż nie twierdzimy, że tak było** (nie wchodzimy w rolę zespołu Macierewicza, nie jesteśmy śledczymi czy ekspertami, by to rozstrzygać). Przedstawiamy tylko splot co najmniej dziwnych okoliczności, które powinny zostać kiedyś zbadane przez polskie służby, a których to okoliczności nikt dotąd

poważnie nie analizował. Krótki raport ABW opierał się tylko na relacjach strony polskiej i był bardzo ogólnikowy.

Przypomnijmy fakty, nie wdając się w spekulacje.

W planie wizyty z góry przewidziano odwiedzin w obozie uchodźców w strefie przyfrontowej przerwanej dopiero co wojny. Zaplanowano wyjazd prosto z lotniska. Jest to postępowanie sprzeczne z wszelkimi zasadami bezpieczeństwa w czasie wizyty głowy państwa. Tym dziwniejsze jest wiezienie w nocy w pobliżu frontu dwóch prezydentów jednym samochodem. Nigdy, nawet w czasach zupełnego spokoju, tak się nie robi.

Jak pisał w Gazecie Wyborczej Wojciech Jagielski: „Kolumna samochodów odjeżdża z lotniska, ma jechać do Metechi w położonym przy granicy osetyjskiej powiecie Kaspi. Tam nie ma rosyjskich wojsk, ale nagle prezydenci – pytanie, kto wpadł na ten pomysł? – zmieniają drogę i zajeżdżają do pobliskiego powiatu Achalgori” (gdzie wojska rosyjskie były).

Lech Kaczyński powiedział później, że pomysł wyjazdu na linię frontu powstał właśnie w czasie jazdy tym samochodem. Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że prezydent Saakaszwili celowo wziął go do swego samochodu, by mu o tym powiedzieć. Świadcami rozmowy byli kierowca i tłumaczka (Lech Kaczyński nie znał żadnego języka obcego), ale ci związani są tajemnicą i niczego nie ujawnia.

Konwój, łamiąc program wizyty, pojechał od razu w stronę owego posterunku, a to wskazuje, że kierowcy i ochrona już wcześniej wiedzieli, gdzie jadą. O tym wcześniejszym planie świadczy też fakt, że ochrona gruzińska była już na miejscu i czekała. W pierwszych relacjach dziennikarze z ekipy TVN24 mówili, iż ta ochrona zachowywała się tak, jakby z góry wiedziała, że dojdzie do jakiegoś incydentu. Później, w powtórzeniach redakcja tej stacji usunęła z ich relacji ten fragment.

Kolejnym nietypowym wydarzeniem było wysłanie na czoło konwoju samochodu z dziennikarzami. Po co? Jedyne logiczne wytłumaczenie: po to, by zarejestrowali jakieś wydarzenie, które ma nastąpić. A więc czegoś się spodziewano.

Kolejnym faktem jest wysłanie do tyłu polskiej ochrony (BOR-u). I znów pytanie: po co? Naprawdę trudno wytłumaczyć pozbawienie prezydenta ochrony w nocy, na wąskiej drodze, w strefie przyfrontowej. Gdy samochód z dziennikarzami jako pierwszy przyjechał na miejsce, obecna już tam ochrona gruzińska nie pozwoliła im wysiąść, nie bardzo wiadomo czemu, bo jeszcze nic się nie działo. To ochrona krzyczała po rosyjsku do dziennikarzy, a nie rzekomi żołnierze rosyjscy, jak mówili później Lech Kaczyński i Michał Kamiński, co można uznać za ich pomyłkę.

Chwilę później nadjechał samochód z oboma prezydentami. W momencie, gdy wysiedli z samochodu, dało się słyszeć strzały, dwie krótkie serie. Nikt nie widział osoby strzelającej, błysków ognia z lufy, nikt nie słyszał gwizdu pocisków. Później dopatrywano się na jednym ze zdjęć człowieka z podniesioną nad głowę bronią. Jednak po dokładnym obejrzeniu tego zdjęcia widać, że człowiek ten trzymał w ręku aparat fotograficzny z długim obiektywem.

Jakby w odpowiedzi na te strzały, jeden z żołnierzy gruzińskich strzela w górę. Tym razem wszyscy wyraźnie widzą, kto strzela i z czego, widać ogień wylotowy. Ale i ten fakt jest zastanawiający. Po co ten Gruzin strzela? Przecież, jeśli odpowia-

da się ogniem na strzały ostrzegawcze, to prowokuje się do strzelania na serio. Brak profesjonalizmu, głupota? A może fragment przedstawienia?

Bardzo dziwnie wyglądał też ów rzekomy rosyjski posterunek praktycznie na linii zatrzymanego frontu. Żadnych umocnień, okopów, worków z piaskiem, drutu kolczastego... Po prostu, ot tak, grupa żołnierzy stojąca na drodze.

Pierwsze komunikaty prasowe mówiły o „ostrzeleniu prezydenckiego konwoju” przez żołnierzy rosyjskich w Gruzji. Lech Kaczyński i Michał Kamiński w pierwszych wypowiedziach mówili, że strzelano w ich stronę „z kałasznikowa” z odległości 30 m oraz że na pewno strzelali Rosjanie. Później Kaczyński zamilkł. Obaj panowie ponoć rozpoznali „kałasznikowa” po dźwięku strzałów. Na pytania dziennikarzy, skąd Lech Kaczyński zna odgłos strzałów z kałasznikowa, Kamiński odparł, że prezydent strzelał z tej broni na Studium Wojskowym UW.

Człowiek zaskoczony strzałami w ciemności w pierwszym odruchu nie wie, kto strzelał, z czego i skąd. I, co ciekawe, wszyscy oceniają odległość na 30 metrów, jakby się umówili, nikt nie mówi 20, 25, 35, 40... Skąd ta zadziwiająca precyzja oceny, jednakowa u wszystkich?

Człowiek w takiej sytuacji też inaczej się zachowuje. Ma odruch skulenia się, chowania się za coś. Żołnierzy specjalnie się szkoli, by padali na ziemię, a nie uciekali schować się za coś, co jest naturalnym odruchem. Człowiek zaskoczony strzałami w ciemności powinien też być mocno przestraszony. Tymczasem panowie Kaczyński i Saakaszwili stali wyprostowani przy samochodzie, uśmiechnięci od ucha do ucha, jak sztubacy, którym udał się psikus. Są wyraźnie bardzo z siebie zadowoleni.

A jak to relacjonowali obecni na miejscu? „– Ledwo dwóch prezydentów wyszło z samochodu, poszło kilka serii, chyba w powietrze – mówił sam Kaczyński. – Najpierw przyglądałem się temu, by zobaczyć, co się dzieje, potem podszedłem do prezydenta Saakaszwilego, poszliśmy wolnym krokiem i zmieniliśmy samochody. Nie sądziłem, by było zagrożenie.”

„- Strzały padły ze strony posterunku rosyjskiego, na pewno nie od Gruzinów. Samochody były bardzo dobrze oznaczone. Z przodu jechali gruzińscy żołnierze, może to do nich skierowane były strzały, może były to strzały ostrzegawcze, w powietrze – opowiadał prezydencki minister Michał Kamiński. – Żołnierze rosyjscy znajdowali się w odległości 30 m od pana prezydenta – podkreślał Kamiński” (oba cytaty za Gazetą Wyborczą).

Inaczej relacjonują to urzędnicy MSZ: „- Było ciemno i panowało zamieszanie, ale z pewnością ani strzały nie padły tak blisko prezydenta, ani żołnierze nie znajdowali się aż tak blisko” – mówił pracownik polskiej ambasady w Tbilisi Maciej Dachowski, który tam był. Także Andrzej Kramer utrzymywał, że strzały padły „z oddali”. Skąd wrażenie, że „z oddali”? Ano stąd, że właśnie nie widziano nic, tylko słyszano dźwięk nieco stłumiony.

Bardzo dziwnie też zachowywała się gruzińska ochrona. W pierwszej chwili w ogóle nie zareagowała. Nic nie robiła, by chronić dwóch prezydentów. Dopiero po jakiś 15-20 sekundach niemrawo wsadza ich do samochodu, a później powolnym, spacerowym krokiem przeprowadza do drugiego. Reszta ochrony do-

piero po chwili wycelowala z broni długiej w kierunku posterunku, stojąc w oświetlonym miejscu w pozycji wyprostowanej. Zupełnie jakby pozwali do zdjęć, bo jest to zachowanie skrajnie nieprofesjonalne. Każdy żołnierz wie, że jeśli wyceluje w stronę wrogiego żołnierza, to tamten zacznie strzelać, bo nie będzie czekał, aż strzela do niego. A tu panowie stanęli pod latarnią (lub oświetleni przez samochody) i wycelowali do Rosjan znajdujących się w ciemności. Najciekawsze jest jednak to, jak zachowuje się reszta gruzińskiej ochrony. Na zdjęciach widać, że za szpalerem z wycelowaną bronią stali inni Gruzini – weseli, roześmiani, na kompletnym luzie. Zachowanie jednych i drugich kompletnie do siebie nie pasuje.

W czasie, gdy ochrona prezydentów stała, nic nie robiąc, żołnierze znajdujący się przy dziennikarzach krzyczeli do nich po rosyjsku, by kładli się na podłodze samochodu i nie wychodzili. W tym samym czasie dwaj prezydenci, uśmiechnięci od ucha do ucha, stali doskonale oświetleni, stanowiąc idealny cel dla nawet kiepskiego strzelca. Więc tylko dziennikarze mają leżeć na ziemi?

Strona rosyjska zaprzeczyła temu, że rzekomo strzelała w pobliżu konwoju prezydentów. Początkowo do incydentu przyznał się lokalny watażka osetyński, ale tacy watażkowie często przyznają się do faktów, które znają z telewizji. Później jednak i Osetyczycy odzegnali się od tego incydentu. Niestety ani jedni, ani drudzy nie są wzorcem wiarygodności.

Dziwnych faktów jest więcej. Mercedes obu prezydentów ma zasłoniętą tablicę rejestracyjną. Nie ma żadnych oznak, że to samochód prezydenta, nie ma flagi państwa. Zupełnie mętne jest tłumaczenie Michała Kamińskiego, skąd on i prezydent wiedzieli, że to Rosjanie. „Bo krzyczeli po rosyjsku.” Tylko że w tym rejonie wszyscy mówią po rosyjsku...

Jednak na wersję o mistyfikacji wskazuje najmocniej to, co Saakaszwili zrobił później, w połowie marca 2010 roku. Puszczono w telewizji fikcyjny reportaż, sugerując, że dzieje się to naprawdę. Pokazano rosyjskie czołgi i samoloty atakujące Gruzję, podano wiadomość o śmierci Saakaszwilego oraz Lecha Kaczyńskiego rzekomo spieszącego mu na pomoc, wywołano prawdziwą panikę, parę osób zmarło na serce. Dopiero później powiedziano, że to inscenizacja, „bo tak może być”. Jeśli Saakaszwili zaprezentował taką mistyfikację, to jest wysoce prawdopodobne, że zrobił to samo wcześniej. Pokazał, że dysponuje ekipą mogącą odegrać taki teatr.

Najwięcej wątpliwości budzi pytanie o cel tej wizyty na froncie. Jaki był cel wyjazdu w nocy, znienacka, wprost na frontowy posterunek wroga? Toż to czyste samobójstwo.

Podejrzenia, że incydent był ukartowany, pojawiały się zresztą natychmiast. Po powrocie do Tbilisi obaj prezydenci musieli temu zaprzeczać. „Oświadczam uroczyście, że takie sugestie to kłamstwo” – mówił Kaczyński. Saakaszwili: „Nie spodziewałem się po Rosjanach, iż otworzą ogień. – W ten rejon jeżdżą obserwatorzy OBWE. Rosjanie zwykle tego nie robią” – twierdził.

W reakcji na tę wypowiedź dziennikarze zaczęli chichotać. Rosjanie dopiero co zajęli pół kraju, zabili masę ludzi, a prezydent Gruzji mówi: „nie spodziewałem się po Rosjanach, iż otworzą ogień.” A czego się spodziewał?

Pewności co do przebiegu tamtego incydentu zapewne nie uzyskamy nigdy, ale po późniejszym wybryku Saakaszwilego wiarygodność twierdzeń obu prezydentów o tym, co się wydarzyło, leży w gruzach.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, nie to jest w tej sprawie najbardziej bulwersujące, tylko kompletnie nieodpowiedzialne postępowanie obu prezydentów.

Wyobraźmy sobie sytuację, że polski prezydent zostaje zastrzelony, lub choćby postrzelony, przez rosyjskiego żołnierza w Gruzji. Nasz kraj znalazłby się w niezwykle trudnej sytuacji, w której każde postępowanie byłoby bardzo złe. Nic nie można zrobić. Zaprotestować, ale jak? Notą dyplomatyczną? Zerwaniem stosunków dyplomatycznych? Za mało w obliczu zamachu na głowę państwa przez wojsko innego kraju. Wypowiedzieć wojnę? To też nie byłoby mądre.

Prezydent nie jest osobą prywatną, jest głową państwa i w pierwszej kolejności powinien pamiętać, że nie może narażać na szwank nie tylko siebie, ale i państwa. Postępowanie Lecha Kaczyńskiego było w tej sprawie nieodpowiedzialne i niezgodne z niemal wszystkimi regułami wizyt międzynarodowych. Samochód polskiego prezydenta poruszał się w nocy po wąskiej górskiej drodze, praktycznie bez ochrony, dwa razy czekając po ciemku aż z drogi zjeżdżą przypadkowo przecinające ją krowy. Nie do przyjęcia jest zgoda głowy państwa na taką sytuację! Lech Kaczyński sam przyznał, że wiedział o zmianie planu wizyty i wiedział, dokąd jedzie. Nie jest tylko jasne, czy wiedział, że praktycznie nie ma żadnej ochrony. Nie wiadomo, kto wydał polecenie odesłania samochodu ochrony BOR na koniec kolumny.

Gdy po powrocie Lecha Kaczyńskiego do Polski ABW przedstawiła krótki raport, w którym skrytykowano pozbawienie prezydenta ochrony oraz stwierdzono, że prawdziwego zagrożenia dla jego życia raczej nie było, otoczenie polityczne Lecha Kaczyńskiego, podobnie jak on sam, zapalało świętym oburzeniem. Podobnie zareagowano zresztą na słowa Bronisława Komorowskiego, wówczas marszałka Sejmu: „z 30 metrów to nawet ślepy snajper by nie spudłował.” Urzędnicy Kancelarii Prezydenta i on sam upierali się, że istniało realne niebezpieczeństwo dla jego życia. A przecież właśnie to bardzo źle świadczy zarówno o nich (organizacja wyjazdu), jak i o nim.

A przecież z punktu widzenia zarówno prestiżu prezydenta, jak i jego wizerunku, rozsądniej byłoby to zagrożenie bagatelizować. Można zrozumieć motyw osobiste, ale prezydent państwa ma myśleć o interesie i prestiżu państwa, a nie budować własną mitologię ze szkodą dla państwa.

Działania w negocjacjach z Unią Europejską

Sprawa Trójkąta Weimarskiego

Na przełomie czerwca i lipca 2006 roku prezydent Lech Kaczyński zerwał rozmowy w ramach Trójkąta Weimarskiego (Polska, Niemcy, Francja), jak oficjalnie

podano – z powodu „kłopotów gastrycznych”. Po tym incydencie nie wznowiono rozmów w tym formacie do końca życia Lecha Kaczyńskiego. Wznowiono je dopiero za prezydentury Bronisława Komorowskiego.

Już po kilku dniach Kancelaria Prezydenta, jego partia i on sam przyznali, że prawdziwy powód był inny. Prezydent obraził się na Niemcy z powodu satyrycznego artykułu w mało ważnej gazecie „Die Tageszeitung”. Artykuł był istotnie niesmaczny, wręcz chamski. Nazywał braci Kaczyńskich „kartoflami”, obrażał matkę Kaczyńskich i Jarosława Kaczyńskiego w dość paskudny sposób. Ale prezydent dużego europejskiego kraju, jakby się nie czuł obrażony, nie powinien z tego powodu zrywać niezwykle ważnych negocjacji międzynarodowych. Poważni politycy negocjują nawet z przedstawicielami państw, które są wobec nich otwarcie wrogie (Poroszenko z Putinem, Nixon z Mao Zedongiem, przedstawiciele UE z Iranem).

Tym razem nie tylko zerwano istotne rozmowy na bardzo ważnym międzynarodowym forum, na którym Polska występowała na równi z dwoma największymi potęgami Europy. Narażono nie tylko interesy polityczne i gospodarcze, ale także prestiż Polski, jako jednego z najważniejszych państw Europy. W dodatku zrobiono to tuż przed spotkaniem grupy G8, gdzie mieli być obecni obaj rozmówcy polskiej delegacji, Francja i Niemcy. Na dodatek zaczęto domagać się postawienia przed sądem niemieckiego dziennikarza, ścigania go międzynarodowym listem gończym i nakazem aresztowania, co w krajach demokratycznych, gdzie istnieje wolna prasa, zostało bardzo źle przyjęte.

Tym razem nie tylko zerwano istotne rozmowy na bardzo ważnym międzynarodowym forum, na którym Polska występowała na równi z dwoma największymi potęgami Europy. Narażono nie tylko interesy polityczne i gospodarcze, ale także prestiż Polski, jako jednego z najważniejszych państw Europy. W dodatku zrobiono to tuż przed spotkaniem grupy G8, gdzie mieli być obecni obaj rozmówcy polskiej delegacji, Francja i Niemcy. Na dodatek zaczęto domagać się postawienia przed sądem niemieckiego dziennikarza, ścigania go międzynarodowym listem gończym i nakazem aresztowania, co w krajach demokratycznych, gdzie istnieje wolna prasa, zostało bardzo źle przyjęte.

W proteście przeciw takiemu postępowaniu ośmiu byłych ministrów spraw zagranicznych: Dariusz Rosati, Bronisław Geremek, Władysław Bartoszewski, Adam Rotfeld, Andrzej Olechowski, Włodzimierz Cimoszewicz, Stefan Meller i Krzysztof Skubiszewski – wydało wspólne oświadczenie. Stwierdzili, iż było to lekceważące wobec partnerów, nie podano bowiem istotnej przyczyny. Szefowa polskiej dyplomacji Anna Fotyga (PiS) stwierdziła, że brak reakcji strony niemieckiej na artykuł jest niepokojący, a list byłych ministrów „szkodliwy dla Polski”. Znacznie później PiS-owski minister Antoni Macierewicz ni stąd, ni zowąd, wypalił, że wszyscy ci ministrowie „byli agentami KGB”.



Przytoczmy komentarz do tej sprawy posła Marka Borowskiego: „Spotkanie Trójkąta Weimarskiego miało być najważniejszym spotkaniem prezydenta od momentu, kiedy objął swój urząd. Zaplanowano je przed szczytem Grupy G-8. W programie rozmów były ważne kwestie gospodarcze, energetyczne, dotyczące polityki wschodniej Unii Europejskiej itd. Przyczyna, dla której prezydent nie wziął udziału w tak ważnym spotkaniu powinna być bardzo poważnie uzasadniona, jednak takiego uzasadnienia zabrakło. Na domiar złego, powstały, m.in. wskutek wypowiedzi doradców prezydenta, wątpliwości, czy faktyczną przyczyną jest niedyspozycja, czy satyryczny artykuł w niemieckiej prasie, czy jeszcze coś innego. Jeśli chodzi o list ośmiu ministrów, chciałem publicznie bardzo podziękować im za to, że zabrali głos. W sposób zresztą bardzo stonowany. To, co się stało w związku z Weimarem, to była kropla, która przełamała czarę. Obecna ekipa nie bardzo wie, jak prowadzić politykę zagraniczną. Nie wiadomo też, czy prowadzi ją prezydent, premier, minister Fotyga, czy może wicepremierzy – szczególnie jeden. Przypadków miotania się, zwłaszcza na scenie europejskiej, braku koncepcji, albo wychodzenia ze złymi koncepcjami, np. tzw. Paktu muszkietierów, było bardzo dużo, mimo to byli ministrowie nie zabierali głosu. Obecnie uznali to za konieczne. Jeśli z ich listu wyciągnięte zostaną wnioski, jeżeli sam pan prezydent i jego doradcy, a także PiS uporządkują politykę zagraniczną, to na pewno i z opozycją będzie łatwiej współpracować. Nie pierwszy raz pobrzmiewają wątki, że oto mamy do czynienia prawie ze zdradą narodową. Słyszałem już w przeszłości takie oskarżenia pod adresem ludzi, którzy krytykowali przy okazji rozmaitych forów międzynarodowych naganne rzeczy, które się działy w Polsce. Czas zrozumie, że to już nie jest ten świat, w którym Europa jest wroga sobie, ktoś coś wykorzystuje przeciw komuś. Jeżeli zależy nam na naszym wizerunku, to musimy przede wszystkim dbać o to, żeby sami się nie ośmieszać. Niedawny ‘występ’ Macieja Giertycha pochwalający faszystowskiego dyktatora gen. Franco, a także działania jego syna Romana jako ministra edukacji i wypowiedzi posła Wierzejskiego, to są dopiero rzeczy szkodliwe i kompromitujące Polskę. Każdy kto je krytykuje, czyni słusznie, a im bardziej publicznie to robi, tym lepiej. W tych sprawach PiS jednak milczy i to milczenie odbiera mu wiarygodność, gdy wyraża troskę o wizerunek Polski w świecie.”

I jeszcze komentarz z internetowych „Kontratekstów”: „Nasza dyplomacja zażądała od niemieckiego rządu, by z pismakiem zrobił porządek pryncypialnie, po leninowsku, a chór klakierów koalicji wzniósł stosowny lament. Rząd niemiecki odpowiedział, jedyne co mógł, a mianowicie, że w Niemczech jest wolna prasa i rządowi nic do tego. Niestety w naszym kraju od pewnego czasu wolność prasy nie spotyka się z większym zrozumieniem, więc oburzenie rośnie.

Reakcją na to jest kolejny artykuł w tej samej gazetce, który już teraz czytają miliony (dzięki polskiej reklamie), a nasz rzecznik „odzyskanego” MSZ oświadcza, że gadać więcej nie będzie z autorką tego drugiego artykułu, przypadkiem korespondentką poważnych niemieckich gazet, Gabriellą Lesser.

Co jest w tym wszystkim smutne? To, że Polska się totalnie ośmiesza na oczach świata. Prezydent średniej wielkości europejskiego kraju, który odwołuje niezwykle ważne rozmowy z największymi europejskimi potęgami z powodu bólu brz-

szka, naraża na śmieszność nie tylko siebie, ale i kraj. A komicznemu państwu bardzo trudno będzie przekonać inne państwa do swoich racji. Ból brzuszka pana prezydenta może nas w przyszłości bardzo drogo kosztować.” (Kontrateksty.pl)

Walka z Traktatem Lizbońskim

Przypomnijmy stan prawny Unii Europejskiej sprzed czasu rządów PiS. Obowiązywał Traktat Nicejski (oficjalnie: *Traktat z Nicei zmieniający Traktat o Unii Europejskiej, Traktat ustanawiający Wspólnotę Europejską oraz niektóre związane z nimi akty prawne*). Traktat Nicejski parafowany był w grudniu 2000 roku, a wszedł w życie 1 lutego 2003 roku.

Jednym z najważniejszych ustaleń Traktatu był podział głosów w Radzie Unii Europejskiej, obowiązujący od 1 listopada 2004 do 1 listopada 2014. Przewidywał on po 29 głosów czterem największym państwom (Niemcy, Francja, Wielka Brytania, Włochy), 27 głosów dla Polski i Hiszpanii oraz znacznie mniejsze liczby dla mniejszych państw.

Wniosek poddawany pod głosowanie Rady Ministrów w myśl Traktatu uznawano za przyjęty, jeżeli oddano za nim 74,8% głosów; 51,9% państw członkowskich (jeżeli autorem wniosku była Komisja Europejska) lub 66,6%, jeżeli wniosek pochodził od jednego z państw. Dodatkowo państwa popierające wniosek musiały reprezentować co najmniej 62% całej ludności Unii.

Wprowadzono też nowy podział miejsc w Parlamencie Europejskim pomiędzy państwa członkowskie. Po rozszerzeniu PE składa się z 785 posłów, Polska ma w nim obecnie 51 posłów.

Traktat Nicejski był w pewnym sensie dla Polski korzystny, ponieważ przyznawał nam niemal tyle samo głosów, co największym państwom UE. Zawierał jednak z naszego punktu widzenia pewną wadę, i to dość istotną. W sytuacji rozproszenia stanowisk mniejszych państw, dwa lub trzy największe państwa mogły, głosując solidarnie, przegłosować wszystkich, bo gdy głosy innych były rozproszone i rozłożone niemal po równo, te 2 lub 3 państwa miały 58 lub 86 głosów i stanowiły niezwykle silny blok.

Nie wiedzieć czemu politycy polskiej prawicy (w tym PiS) zupełnie tej wady nie dostrzegali i chcieli bronić tego traktatu niczym niepodległości. Skutkiem tego była zacięta walka czołowych polityków PiS, Lecha i Jarosława Kaczyńskich oraz Anny Fotygi z nowym Traktatem Lizbońskim, w którym starano się wprowadzić znacznie bezpieczniejszy dla mniejszych państw system głosowania.

Traktat Lizboński (oficjalnie: *Traktat z Lizbony zmieniający Traktat o Unii Europejskiej i Traktat ustanawiający Wspólnotę Europejską*) podpisano 13 grudnia 2007 roku w Lizbonie. Ostateczny kształt traktatu został wcześniej uzgodniony przez szefów państw i rządów podczas szczytu UE w Lizbonie w dniach 18-19 października 2007.

Najważniejsze decyzje zawarte w traktacie:

- zmniejszenie liczby komisarzy europejskich do 18 (mimo że jest 28 państw członkowskich)

- zwiększenie liczby eurodeputowanych dla Włoch
- decyzje unijne od 2014 będą podejmowane za pomocą tzw. podwójnej większości, zamiast zgody wszystkich państw członkowskich
- od 2009 Parlament Europejski będzie miał maksymalnie 750 członków (poprzednio 785)
- pośrednia inicjatywa ustawodawcza obywateli wymagać będzie zebrania 1 miliona głosów w danej sprawie
- niewygasalność tzw. kompromisu z Joaniny
- przyznanie Polsce dodatkowego Europejsła
- wprowadzenie stanowiska wysokiego przedstawiciela Unii ds. zagranicznych i polityki bezpieczeństwa
- wprowadzenie stanowiska Przewodniczącego Rady Europejskiej
- Karta Praw Podstawowych
- „solidarność energetyczna”

Punkty, które w czasie wcześniejszych negocjacji budziły największy sprzeciw polityków PiS, to zasada podwójnej większości i rezygnacja z konieczności uzyskiwania zgody wszystkich państw Unii do każdej decyzji oraz Karta Praw Podstawowych. Walkę PiS z Kartą Praw Podstawowych omówiliśmy już w rozdziale dotyczącym prawa, więc nie będziemy do tego wracać.

Czemu zasada podwójnej większości wzbudziła taki sprzeciw? Przewiduje ona, że do ważności decyzji potrzebne są głosy 55% państw członkowskich + jedno państwo, reprezentujących minimum 65% obywateli Unii Europejskiej. Z punktu widzenia interesu Polski jest to zmiana bardzo korzystna, bo za decyzją mają stać nie tylko państwa najludniejsze, które w systemie nicejskim miały najwięcej głosów, ale i większość państw, w tym także tych najmniejszych, jak np. Cypr. Zniesiono więc zagrożenie, że cztery największe państwa (258 mln ludności) przegłosują wszystkich. Zasada podwójnej większości praktycznie chroni małe państwa, kosztem najsilniejszych.

Czemu jednak budziło to taki sprzeciw PiS? Politycy PiS de facto nie chcieli się pozbyć możliwości zawetowania przez Polskę każdej decyzji UE i twierdzili, że jest to rezygnacja z suwerenności Polski. Jest to rozumowanie absurdałne, wynikające z niezrozumienia tego, czym jest Unia Europejska i czym są stosunki między państwami.

Polska już od dawna należała do organizacji międzynarodowych, w których decyzje zapadały w drodze głosowania, na przykład do ONZ, i wcale to nie oznaczało utraty suwerenności. Stanowisko prawicy w tej sprawie wynikało z jej eurosceptycyzmu, niezrozumienia, że Unia nie jest tworem zewnętrznym, który nam źle życzy, ale że Polska to też Unia. Osłabianie Unii jest też osłabianiem Polski. Nie rozumiano też, że nasza pozycja w świecie dzięki członkostwu w Unii jest znacznie silniejsza niż bez niej. Pozostawienie dotychczasowej zasady, że na każdą decyzję muszą zgodzić się wszystkie państwa członkowskie i wystarczy jedno, by decyzję zablokować, powoduje słabość Unii jako całości, a z tego wynika gorsza pozycja Polski w konfliktach zewnętrznych. Gdyby ta zasada o-

bowiałyby do dzisiaj, zbudowanie jednolitego frontu Unii Europejskiej wobec, na przykład, Rosji byłoby praktycznie niemożliwe (choćby ze względu na potęgę rosyjskiego kapitału na Cyprze).

Dodatkowo trzeba wyraźnie podkreślić, że pozostawienie zasady uzyskiwania zgody wszystkich państw członkowskich po rozszerzeniu Unii do 28 państw powodowałoby w praktyce całkowitą niemożność decyzyjną Unii, co na pewno nie byłoby dla Polski korzystne. Widzimy, jak w sprytny, wręcz perfidny sposób słabość decyzyjną Unii wykorzystuje dziś Rosja.

W rezultacie „wywalczone” dopisanie do traktatu punktu o „kompromisie z Joaniny” oraz to, że zasady głosowań według Traktatu Nicejskiego będą obowiązywać do 2014 roku. Do tego czasu wymagana będzie też zgoda wszystkich państw. W Polsce ogłoszono to jako wielki sukces.

Czy aby był to sukces? „Kompromis z Joaniny” praktycznie nic nam nie daje, a odłożenie w czasie zasady podwójnej większości nam szkodzi (na szczęście rok 2014 już minął). Kompromis, tzw. mechanizm z Joaniny, umożliwia krajom członkowskim odwlekanie podejmowania decyzji w UE przez rozsądny czas, nawet jeśli nie mają one wystarczającej mniejszości blokującej. Decyzja w „sprawach istotnych” może być podjęta przez minimum 21% krajów członkowskich lub minimum 26,25% reprezentowanych obywateli. Od 1 kwietnia 2017 r. kompromis z Joaniny będzie wymagał już tylko wsparcia 15,4% krajów członkowskich lub 19,25% obywateli do podjęcia takiej decyzji. Rzecz w tym, że ten „rozsądny czas”, to zwyczajowo ok. 3 miesiące. W praktyce nie ma to żadnego znaczenia.

Kolejnym „sukcesem” negocjatorów z PiS było nieuznanie dwóch artykułów Karty Praw Podstawowych, zawierających postanowienia, które i tak od dawna zapisane są w polskim prawie (pisaliśmy już o tym).

Traktat Lizboński podpisywała już delegacja nowego polskiego rządu (PiS w międzyczasie przegrał wybory) i prezydent Lech Kaczyński. Odwrócenie niefortunnych decyzji negocjatorów z PiS byłoby bardzo trudne, bo wymagałoby ponownych negocjacji ze wszystkimi państwami Unii. Na szczęście ich „sukcesy” i tak przestały już obowiązywać, poza ową Joaniną, która w praktyce nie ma żadnego znaczenia.

27 marca 2008 roku Krystyna Pawłowicz (PiS) skrytykowała niektóre postanowienia traktatu, takie jak rzekome pierwszeństwo prawa wspólnotowego nad Konstytucją RP oraz rozstrzygający charakter wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej jako instytucji nie posiadającej legitymacji demokratycznej. Na drugi dzień opinia Pawłowicz została skrytykowana przez kierownika Katedry Prawa Europejskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Stanisława Biernata, który uznał przewagę prawa unijnego nad polskim (deklaracja nr 17) za „nieulegającą wątpliwości”. Stanowisko Trybunału Konstytucyjnego w sprawie samej zasady wyższości prawa wspólnotowego nad prawem krajowym zostało już wcześniej zawarte w orzeczeniu o zgodności traktatu akcesyjnego z Konstytucją RP. Trybunał stwierdził, że chociaż konstytucja zezwala na uznanie pierwszeństwa prawa wspólnotowego nad krajowymi ustawami, to prawo to nie ma pierwszeństwa przed samą kon-

stytucją, a decyzja o sposobie rozwiązania ewentualnych konfliktów prawa w tym zakresie leży „w wyłącznej gestii Narodu”.

Niefortunne wyprawy zagraniczne polityków i awantury o samolot

Od kolejnych wyborów parlamentarnych i utraty władzy przez PiS prezydent Lech Kaczyński usiłował prowadzić własną politykę zagraniczną wbrew rządowi. Efektem tego były kolejne awantury o samolot, z których ostatnia przybrała postać komiczną. Lech Kaczyński polecał do Brukseli wycarterowanym samolotem, spóźnił się na obrady, wszedł na salę tylko na kilka minut, ani razu nie zabrał głosu i wyszedł. Jedynym efektem tej wyprawy było kolejne ośmieszenie Polski, co skwapliwie odnotowały europejskie media. Nie wpływała też dobrze na pozycję i prestiż Polski sytuacja, w której kraj prowadził dwie polityki zagraniczne, chwilami ze sobą sprzeczne, jedną reprezentowaną przez premiera i ministra spraw zagranicznych, a drugą przez prezydenta. Polityka zagraniczna naszego kraju przypominała w tym czasie jakąś chaotyczną szarpaninę, co niewątpliwie obniżało jej skuteczność.

Postępowanie Lecha Kaczyńskiego było sprzeczne z art. 133 p. 3. Konstytucji mówiącym, że: „Prezydent Rzeczypospolitej w zakresie polityki zagranicznej współdziała z Prezesem Rady Ministrów i właściwym ministrem.” Konstytucja wyraźnie nie daje prezydentowi prawa do prowadzenia odrębnej polityki zagranicznej wbrew stanowisku rządu.

Lech Kaczyński nie był jedynym przedstawicielem kraju, który próbował prowadzić odrębną politykę zagraniczną. Już na początku urzędowania nowego rządu Donalda Tuska, pochodzący z poprzedniej ekipy wiceminister spraw zagranicznych, Witold Waszczykowski, jak to opisała „Polityka”:

„Wielokrotnie i to publicznie krytykował linię resortu i poddawał w wątpliwość kanony polskiej polityki zagranicznej. W ten sposób złamał podstawową zasadę funkcjonowania urzędnika służby zagranicznej, który ma realizować politykę rządu. Waszczykowski nie tylko skrytykował wówczas rząd, ale i ujawnił kulisy negocjacji z Amerykanami w sprawie umieszczenia w Polsce elementów tarczy antyrakietowej. Został natychmiast zdymisjonowany, zaś Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego odebrała mu za to certyfikat dostępu do materiałów niejawnych. Po tym fackie stał się nie tylko zagorzałym krytykiem rządu, zdecydowanie też poparł działania prezydenta Lecha Kaczyńskiego i wyraźnie zbliżył się do PiS. Waszczykowski został zdymisjonowany dopiero 1 września 2010 roku, bo przez dwa lata był na urlopie bezpłatnym. Bardzo szybko został prominentnym politykiem PiS (jeszcze gdy był na urlopie). Partia wyraźnie doceniła szkodzenie własnemu krajowi jako zaślugę dla PiS.”

Późniejsze postępowanie Witolda Waszczykowskiego tak opisał Daniel Passent:

Witold Waszczykowski udzielił gazecie „Polska The Times” (Anita Werner i Paweł Siennicki) wywiadu, którego powinien się wstydzić, a wraz z nim – my wszyscy, bo złe przynosi świadectwo panującym obyczajom.

Przypomnijmy – Waszczykowski, po serii niefortunnych wpadek, został usunięty z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i natychmiast trafił w objęcia prezydenta Kaczyńskiego, który mianował go zastępcą szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, ministra Szczygły.

Teraz Waszczykowski, bądź co bądź minister, mści się na Sikorskim, daje upust swojej frustracji i rozgoryczeniu, oczywiście ku uciesze swoich obecnych mocodawców, którzy ministra nie cierpią. Waszczykowski gra w drużynie braci Kaczyńskich – to jego prawo, ale nie umie się zachować na stanowisku, które dostał na otarcie łez. Nie jestem entuzjastą kandydatury Radka Sikorskiego w obecnych wyborach prezydenckich, pisałem o tym na tym blogu, więc mam na to tysiące świadków, ALE co innego nie być czymś zwolennikiem, ba, nawet być krytykiem i przeciwnikiem, a co innego wylewać na urzędującego premiera oraz na ministra Spraw Zagranicznych kubeł pomyj i oskarżeń. Zanim przytoczę zawstydzające cytaty, przypomnę, że mamy do czynienia z pracownikiem Kancelarii Prezydenta, która powinna być ponadpartyjna, a nie z rzecznikiem partii opozycyjnej a la panowie Brudziński czy Bielan.

– Ludzie – mówi W.W. – „draż sobie włosy” z powodu tego, co robi MSZ i MON, „Ten rząd odszedł od kanonów polskiej polityki zagranicznej”, Donald Tusk wykonuje w tej dziedzinie „tylko wizerunkowe gesty”, „niepotrzebnie wycofał się z Iraku” i z operacji na Bliskim Wschodzie, w tym rządzie „są ludzie sprytni, przebiegli i umiejętnie stosujący PR (...), chodzi im o brutalną wewnętrzną rozgrywkę i utrzymanie się przy władzy”, „ściągnęliśmy Putina na Westerplatte po to, żeby rząd miał wizerunkowy sukces”, „wiele jest zachowań bezczelnych i bezczelnego przeinaczania rzeczywistości”, „politykierstwo skierowane na wewnętrzny użytek”, premier „nie ma kwalifikacji i predyspozycji”, Sikorski jest „brutalny i wulgarny dla współpracowników”, „oczarował media”, „do MSZ wraca stara elita komunistyczna albo mająca kontakty z SB”, prowadzą „gorszą politykę niż postkomuniści”, itd., itp.

Nie jest to głos felietonisty, pamfletyisty, paszkwilanta, ani rzecznika opozycji, to nie jest felieton Urbana ani Ziemkiewicza – tak mówi przedstawiciel prezydenta, strażnika polityki zagranicznej i obronnej. To do tego wywiadu pasuje określenie „bezczelny”.

(„Polityka”, 21.02.2010)

Nic dodać, nic ująć.

Pozycję międzynarodową Polski i jej prestiż obniżał też sam prezes PiS, Jacek Kaczyński, nazywając własny kraj „kondominium rosyjsko-niemieckim” i publicznie, bez żadnych dowodów poza opiniami osób niekompetentnych, oskarżał czołowych polityków Polski o „zamordowanie 96 osób, w tym prezydenta”.

Wyjaśnijmy: krytyka polityki rządu, nie tylko w kraju, ale i za granicą, jest rzeczą normalną i dopuszczalną, o ile jest to krytyka, a nie oszczerstwo, paszkwil, insynuacja lub wręcz kłamstwo. Oskarżenia prezesa PiS nie są krytyką, tylko oszczerstwem i kłamstwem nie mającym żadnego oparcia w realnych faktach.

Podważaniem za granicą ustaleń instytucji polskiego państwa, takich jak Naczelna Prokuratura Wojskowa i Państwowa Komisja Badania Wypadków Lotniczych zajmowali się także politycy PiS Antoni Macierewicz i Anna Fotyga. Wy-

brali się nawet do USA usiłując nakłonić rząd tego kraju do powołania międzynarodowego śledztwa w sprawie smoleńskiej. Jest to ewidentne działanie na szkodę własnego kraju. Międzynarodowe śledztwa i międzynarodowe trybunały powołuje się wtedy, gdy w jakimś kraju nie funkcjonują normalne instytucje państwa lub funkcjonują wadliwie (Somalia, Burundi, była Jugosławia w czasie wojny, obszary zajęte przez separatystów w Donbasie). W Polsce działają normalnie rząd, prokuratura i sądy. Podważanie ich kompetencji do badania wypadków lotniczych w oparciu o opinie takich „ekspertów”, jak specjalista od budownictwa lądowego Wiesław Binienda, biofizyk z uczelni medycznej Kazimierz Nowaczyk czy inżynier leśnik Kris Cieszewski odbierane jest jako postępowanie niepoważne.

W USA z Macierewiczem i Fotyga nikt, poza jednym senatorem, nie chciał rozmawiać. Cała ta wycieczka poskutkowała tylko ironicznymi i złośliwymi komentarzami w mediach. To, czego domagali się od Stanów Zjednoczonych Macierewicz i Fotyga, byłoby poważnym afrontem dla Polski, jako sojuszniczego i zaprzyjaźnionego państwa. Przy okazji pani minister Fotyga wykazała się publiczną demonstracją swojej niekompetencji w tej sprawie. Nie wiedziała nawet, że wszelkie międzynarodowe śledztwa czy trybunały mogą zarządzać organizacje międzynarodowe, takie jak ONZ, UE, NATO i inne, a nie pojedyncze państwa, choćby nawet najważniejsze. Nie wiedziała, że takie sprawy załatwia się drogą dyplomatyczną, a nie chodząc po Nowym Jorku od polityka do polityka, jak po prośbie.

Nie przysporzyły też powagi polskiej polityce dwie wyprawy zagraniczne ministra w rządzie PiS Zbigniewa Ziobry. Jedna z nich dotyczyła wniosku o ekstradycję z USA polonijnego biznesmana Edwarda Mazura. Wniosek okazał się według amerykańskiego sądu bezzasadny i sąd nie zostawił na nim suchej nitki. Dziś wiemy już, z późniejszych ustaleń polskiej prokuratury, że oskarżanie Edwarda Mazura o podżeganie do zabójstwa gen. Papały było błędne, bo za tym zabójstwem stał zupełnie kto inny.

Druga wyprawa Zbigniewa Ziobry odbyła się do Szwajcarii, gdzie starał się on uzyskać listę „tajnych kont” polityków lewicy. Prawicowe media nawet donosiły, że taką listę uzyskał. Ostatecznie okazało się, że nie uzyskał nic, poza ośmieszeniem własnej misji. Szwajcarzy twardo odmówili złamania tajemnicy bankowej, a argumenty Ziobry były bardzo słabe (opierały się na ogólnikowych zeznaniach podejrzanego w sprawie karnej Marka Dochnała i rzekomo na zeznaniach aresztowanego Petera V.).

Sprawę podsumowała 30 czerwca 2009 roku „Rzeczpospolita”: „Nie będzie już śledztwa w sprawie kont lewicy. Prokuratorzy nie znaleźli dowodów, że politycy ukrywali pieniądze w Szwajcarii.” Gazeta pisze, że bankowiec Peter V. nie wyspał nikogo.

Tak więc budząca ogromne emocje i niezwykle nagłośniona misja Ziobry w Szwajcarii okazała się kompletną kląpą. Pozostał niesmak po występie polskiego ministra, który domagał się ujawnienia kont swoich przeciwników politycznych, nie dysponując żadnymi poważnymi dowodami na jakiegokolwiek przestępstwo z ich

strony. Dla bankowców, polityków i opinii publicznej praworządnych krajów minister sprawiedliwości, który domaga się złamania tajemnicy bankowej wobec polityków opozycji jest postacią godną realiów afrykańskich dyktatur, a nie dużego państwa w środku Europy.

Na kompletną śmieszność naraził Polskę, siebie i swój urząd prezydent Lech Kaczyński w lipcu 2008 roku, gdy wezwał na przesłuchanie w specjalnym dźwiękoszczelnym pokoju ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego. Treść tego przesłuchania i tak przeciekła do mediów, choć nie ustalono w jaki sposób. Chodziło o to, że politycy PiS podejrzewali jakiś spisek, tajny układ między polskim rządem a Partią Demokratyczną USA. Chodziło o to, że według czyichś urojeń (bo żadnej realnej podstawy ku temu nie było) rząd polski miał spiskować z Partią Demokratyczną, by umowa o budowie tarczy antyrakietowej w Polsce była zawarta z tą partią i jej prezydentem, a nie z ustępującym już (kończącym kadencję) prezydentem Bushem. Świadczyć o tym miała ponoć opublikowana rok wcześniej przez konserwatywne pismo "The New Republic" analiza, według której Ron Asmus jednoznacznie opowiadał się przeciw rozpoczynaniu budowy kontrowersyjnej instalacji radarowo-rakietowej pod koniec kadencji prezydenckiej. W rolę tropiciela nieistniejącego spisku wcielił się Lech Kaczyński.

Prezydent miał pytać Sikorskiego m.in., czy to on tłumaczył telefoniczną rozmowę premiera Tuska z wiceprezydentem USA Dickiem Cheneyem.

- *Czy pan jest tłumaczem?* - pytał prezydent.
- *Jakie to ma znaczenie?* - dziwił się Sikorski.
- *Czy pan jest tłumaczem, powtarzam pytanie?* - dopytywał prezydent.
- *Nie rozumiem, jaki to ma związek ze sprawą.*
- *Proszę zaprotokołować: „Odmawia odpowiedzi na pytanie, czy jest tłumaczem.”*
- *Czy pan zna Rona Asmusa?* - pyta Kaczyński.
- *Nie widzę związku ze sprawą tarczy* - odpowiada Sikorski
- *Powtarzam pytanie, czy pan zna Rona Asmusa?*
- *Nie widzę związku.*
- *Zna pan?*
- *Zna go pani Fotyga, ja go też znam.*
- *Proszę zaprotokołować: „Potwierdził, że zna Rona Asmusa”.*

Prezydent pytał o Amerykanina, bo podejrzewał, że Sikorski – z niejasnym udziałem Asmusa – zawarł tajny pakt z Demokratami. Miał on zakładać, że umowa o tarczy zostanie podpisana z nimi, a nie z odchodzącą administracją Busha.

W rozesłanym potem do polskich mediów oświadczeniu Asmus przyznał, że zna Sikorskiego, ale stanowczo zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek nakłaniał go do zajęcia jakiegoś konkretnego stanowiska w sprawie obrony antyrakietowej.

Przypomnijmy jeszcze, kim jest Ron Asmus, z którym znajomość miała być dowodem spisku.

Ron Asmus pełnił wówczas funkcję dyrektora w Centrum Transatlantyckim w amerykańskiej fundacji The German Marshall Fund w Brukseli. W latach 1997-2000 był zastępcą Sekretarza Stanu ds. spraw europejskich. Był starszym analitykiem i

współpracownikiem organizacji Radia Wolna Europa, badawczej organizacji RAND oraz Rady ds. relacji zagranicznych.

Zabierał głos w sprawie bezpieczeństwa w świecie po zimnej wojnie oraz przekształceń w NATO. Jest autorem książki *Opening Nato's Door*. Za swoją działalność był wielokrotnie nagradzany, w tym przez amerykański Departament Stanu oraz rządy wielu państw, m.in. Szwecji, Estonii, Litwy, Łotwy, a także Polski.

Z wykształcenia jest europeistą. Uzyskał również tytuł magistra w zakresie badań nad Związkiem Radzieckim i Europą Wschodnią na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa w Baltimore.

Amerykanista prof. Zbigniew Lewicki uważa, że Asmus to polityk przychylny naszemu krajowi. – „To bardzo silna postać, dobrze do Polski usposobiona, rozsądny człowiek. Nie jest to z pewnością żaden potwór, który coś knuje przeciwko Polsce.”

- „Jest zwolennikiem tarczy i rozszerzenia NATO – uważa Maciej Wierzyński z TVN24. – Prezydent Kaczyński powinien mieć do niego zaufanie, bo niewątpliwie interesuje się bezpieczeństwem Europy, a także Gruzją – jak prezydent.”

Co prezydentowi przyniosła ta sprawa? Nic poza śmiesznością. Jednocześnie świadczy o zupełnej nieznajomości realiów amerykańskiej polityki. Koncepcja istnienia tajnych spisków wśród rządzących tym krajem bliższa jest fabułom kiepskich filmów sensacyjnych niż realiom rzeczywistego świata.

Z budowy tarczy antyrakietowej zrezygnował później prezydent Obama. Polski rząd nie był tym zachwycony, ale na decyzję Obamy nie miał żadnego wpływu.

Warto jeszcze pokrótce wspomnieć, jak doszło do dwóch oddzielnych wyjazdów do Katynia premiera i prezydenta w 2010 roku, bo PiS oskarżało później o „rozdzielenie” Donalda Tuska i rząd, wskazując na to jak na niemal „spisek”, a nawet wręcz część „zbrodni”, istniejącej tylko w urojeniach niektórych ludzi.

Kiedy w 2007 r. Tusk obejmował urząd premiera po długim okresie ochłodzenia w relacjach z Moskwą, embarga na polskie mięso itp. sformułował myśl, że trzeba rozmawiać z Rosją taką, jaka jest; że są sprawy, w których zasadniczo się różnimy, ale i takie, które możemy razem realizować. Tusk był też pierwszym od lat polskim premierem, który pojechał z oficjalną wizytą do Moskwy. Prasa prawicowa i około-PiS-owska uznała to wręcz za „zdradę”, bo wrogość wobec głównych sąsiadów, Rosji i Niemiec, miała niemal wypisaną sztandarach. Ale rzeczywiście zamrożone przez lata stosunki zostały wówczas odblokowane. Ciąg dalszy nastąpił w 2009 r. W relacjach Zachodu i Rosji obowiązywała wówczas formuła „partnerstwo w imię modernizacji”.

W Moskwie – oficjalnie prezydentem był wówczas Miedwiediew, a Putin premierem - rzecznikiem takiej polityki był Dmitrij Trenin, szef. Moskiewskiego Centrum Carnegie. To on głosił wówczas w Rosji to hasło i program z jedną zasadniczą tezą: albo Rosja będzie się modernizować (z pomocą Zachodu), albo będzie marginalizowana. I to podobno właśnie on przygotował dla Putina „notatkę”, w której dowodził, że jeśli Rosja chce realizować podobną strategię, to nie może pomijać Polski, bo za nią stoi już Unia i Angela Merkel, która podczas spotkania w Soczi je-

dnoznacznie opowiedziała się po stronie Polski (m.in. w sprawie embarga). W rezultacie – doszło do ważnej wizyty w Polsce na Westerplatte. Ważnej, bo po raz pierwszy Rosjanie uznali, że II wojna światowa, zaczęła się właśnie w tym miejscu, a nie w czerwcu 1941 r., od najazdu Hitlera na ZSRR.

Mniej więcej w tym czasie na fali ocieplenia powstała tzw. Komisja do Spraw Trudnych, a także polskie i rosyjskie Centra Dialogu. Prawdopodobnie (nie zostało to do końca wyjaśnione) właśnie wówczas ze strony Putina padła propozycja wspólnego uhonorowania w 2010 r. rocznicy mordu katyńskiego.

Po katastrofie smoleńskiej podawane jest to jako dowód zdrady, a może nawet spisku, którego ofiarą miał być Lech Kaczyński. W rzeczywistości nikt wówczas nie przypuszczał, że właśnie w Katyniu Lech Kaczyński – którego notowania systematycznie spadały – zechce rozpoczynać swoją nową kampanię prezydencką. Za to z punktu widzenia polskiej racji stanu było rzeczą ważną, że to podobna propozycja wyszła właśnie ze strony rosyjskiej i to od premiera Putina – faktycznego przywódcy rosyjskiego.

To oczywiście nakładało pewne ograniczenia; protokół dyplomatyczny wymaga, aby podczas podobnych uroczystości występowali politycy tej samej rangi. Inaczej mówiąc: skoro zaprasza premier, to i gość musi być szefem rządu, a nie np. prezydentem. Ale wtedy, późną jesienią 2009 r., nikt jeszcze tym sobie nie zawracał głowy. Problem pojawił się, gdy Lech Kaczyński uznał, że również musi być w Katyniu i gotów był zorganizować własne obchody, a do tego postanowił właśnie tam zainaugurować swoją kampanię prezydencką. Zaczął się swoisty wyścig do Katynia, walka o to, jak ominąć protokół dyplomatyczny i wymyślić formułę, która pozwoli polskiemu prezydentowi uczestniczyć w uroczystościach. A gdy to się nie udało – jak rozdzielić wizyty.

Trzeba tu jasno powiedzieć, że pomysł dwóch oddzielnych wizyt padł ze strony Lecha Kaczyńskiego, a nie premiera. Pałac Prezydencki przez dłuższy czas nie informował Kancelarii Prezesa Rady Ministrów o tym, iż taki wyjazd organizuje. Generałów zapraszano do delegacji z pominięciem drogi służbowej (bez informowania MON). Ostatecznie jednak obie strony doszły do porozumienia i zgodziły się na dwie oddzielne wizyty.

Zebranie w jednym samolocie tylu ważnych osób był prawdopodobnie wynikiem dążenia Lecha Kaczyńskiego, by na użytek kampanii wyborczej mieć świetniejszą delegację niż premier. Organizacją wyjazdu ze strony kancelarii prezydenta zajmowali się z racji sprawowanych funkcji Waldemar Stasiak (zginął w Smoleńsku), Jacek Sasin, Maciej Łopiński i Andrzej Urbański (wynikało to z zakresu kompetencji stanowisk, jakie zajmowali). Nie przeszkadzało to im później oskarżać o „rozdzielenie wizyt” premiera i jego kancelarii.

Wyprawa prezydencka zakończyła się, jak wiemy, tragicznie.

Tematu nie będziemy dalej rozwijać, bo z polityką zagraniczną ma on związek tylko pośredni. Przypomnimy jednak jeszcze jeden fakt, bo był on później przeinaczany. Przetarg na zakup nowych samolotów dla VIP-ów unieważnił PiS-owski minister obrony narodowej, Aleksander Szczygło. Przyczyny katastrofy nie miały jednak związku z typem samolotu.

Na koniec jeszcze dwa drobne wątki:

Lech Kaczyński jako prezydent odznaczył Orderem Orła Białego, najwyższym polskim odznaczeniem, króla Arabii Saudyjskiej. Zrobił to z wdzięczności za sfinansowanie bardzo kosztownej operacji rozdzielania polskich bliźniąt syjamskich. Można zrozumieć taką motywację – wdzięczność, ale czy nadawanie najwyższego odznaczenia państwowego królowi jednej z największych obecnych tyranii, kraju w którym w drastycznie łamane są prawa człowieka, w którego stolicy, na rynku, znajduje się „chip place” – miejsce ćwiartowania – gdzie ucina się szablą ręce oraz głowy, kraju, w którym za posiadanie krzyża jeszcze niedawno obowiązywał kara śmierci, to na pewno dobry krok? Chyba można było tę wdzięczność wyrazić inaczej.

Druga wpadka to powiedzenie przez Lecha Kaczyńskiego o pani Pratibhi Patil „pan prezydent Indii”. Wypadałoby, aby polski prezydent miał nieco wiedzy o jednym z najważniejszych krajów świata, liczącym, bagatela, miliard trzysta milionów ludności, zwłaszcza że pani Pratibha Patil była pierwszą kobietą prezydentem Indii (wcześniej Indira Gandhi była premierem), a więc postacią dość istotną.

Takie wpadki biorą się z realizacji zasady: po co mi doradcy, z którymi się nie zgadzam”, wypowiedzianej znacznie wcześniej przez prezydenta. Tak się niestety kończy zastąpienie ekspertów klakierami oraz powoływanie Rady Bezpieczeństwa Narodowego wyłącznie z polityków własnej partii.

Nowy prezydent, nowe (być może) rozdanie, a stara śpiewka

Niestety zapowiada się, że fatalna polityka zagraniczna z czasów rządu PiS będzie obecnie kontynuowana. Pierwszym sygnałem jest znamienna wypowiedź prezydenta Andrzeja Dudy w Londynie: „- Niemal na każdym spotkaniu w Polsce ktoś do mnie podchodzi i mówi, że chciałby, aby dziecko czy wnuk mogli wrócić z zagranicy, głównie z Anglii. Jedynym pomysłem na to, jak do tego doprowadzić, jest podniesienie poziomu życia w Polsce, przez stopniową naprawę gospodarki w Polsce. Pytanie dzisiaj jest proste: czy jest więcej miejsc pracy w ich miejscowościach, czy szanse są większe, czy łatwiej prowadzić działalność gospodarczą, czy obciążenia są mniejsze. Ja tych zmian nie widzę.”

Mamy więc prezydenta, który nie tylko oczernia własny kraj, ale i kłamie na temat stanu jego gospodarki i poziomu życia społeczeństwa. Gospodarka polska nie wymaga „naprawy”, tylko utrzymania dalszego rozwoju, bezrobocie maleje i miejsc pracy jest więcej, poziom życia znacznie się podniósł, itd. Prezydent nie może o tym nie wiedzieć, ale prowadzi kampanię wyborczą swojej partii i zwyczajnie kłamie. Przeoczył nawet taki szczegół, że największa emigracja Polaków w poszukiwaniu lepszego życia miała miejsce w roku 2005 i była dodatkowo motywowana tym, że PiS wówczas doszedł do władzy.

Kolejnym sygnałem było wystąpienie W Sejmie Jarosława Kaczyńskiego podczas debaty na temat uchodźców (16 września 015). Mówił on: „Mamy prawo bronić się przed akcją dyfamacyjną, którą prowadzą wrogowie Polski, ludzie oszalałi z nienawiści do naszego kraju.”

I dalej: „Chodzi o to, że istnieje poważne niebezpieczeństwo, że zostanie uruchomiony proces, który będzie wyglądał tak: najpierw liczba cudzoziemców gwałtownie się zwiększa, później nie przestrzegają oni naszego prawa i obyczajów, a później narzucają swoją wrażliwość i swoje wymogi w przestrzeni publicznej w różnych dziedzinach życia. I to w sposób bardzo agresywny i gwałtowny. Jeśli ktoś mówi, że to nieprawda, to niech się rozejrzy po Europie. Niech spojrzy na Szwecję, na 54 strefy, gdzie obowiązuje szariat. Obawy przed wywieszaniem flagi szwedzkiej na szkołach, bo jest tam krzyż. Szwedzkim uczennicom nie wolno chodzić w krótkich strojach, bo to się nie podoba.

Co się dzieje we Włoszech? Pozajmowane kościoły, traktowane jako toalety. We Francji? Nieustanna awantura, szariat, patrole pilnujące przestrzegania szariatu. (...)”

Takie wypowiedzi nie tylko szkodzą Polsce doraźnie, ale i na dłuższą metę. Po pierwsze wyłamywanie się z solidaryzmu europejskiego w sprawie uchodźców odbija się nam w najgorszym momencie. Solidarność krajów UE wobec nas nie jest nam dana od niebios, tylko w dużym stopniu zależy od polityków, a ci zależą od swoich wyborców. Jeżeli czołowy polski polityk, który (być może) będzie wkrótce rządził, obraża polityków UE nazywając ich „wrogami Polski oszalałymi z nienawiści do naszego kraju” i nie ma ku temu żadnych podstaw poza własnymi urojeniami, to trudno by ci politycy żywili później do Polski ciepłe uczucia. Jeżeli Polska mówi innym krajom Europy, że im nie pomoże w rozwiązaniu kryzysu migracyjnego, a w dodatku im ubliża, to zamiast pomocy, gdy my jej będziemy potrzebowali, możemy usłyszeć: „– a teraz to bawcie się sami”. A solidarność europejska może nam być bardzo potrzebna wobec, na przykład, agresywnej polityki Rosji.

Z drugiej części wypowiedzi prezesa przebija, poza kłamstwem i agresją, jego wszechstronne nieuctwo. Mógłby chociaż przeczytać w Wikipedii, co to jest szariat, nie mylić go z sunną, i dowiedzieć się, że nawet w krajach islamskich nie wszędzie jest on stosowany. W większości krajów islamskich nie jest, lub jest w bardzo ograniczonym zakresie.

Na kilkadziesiąt krajów islamskich szariat obowiązuje w pełnym zakresie w pięciu. Obowiązuje też na terenach zajętych przez ekstremistów, np. Państwo Islamskie, Boko Haram, Talibowie na pograniczu afgańsko-pakistańskim. Tak się jednak składa, że obecni uchodźcy właśnie przed tymi ruchami uciekają. Bzdurą jest twierdzenie, że ludzie uciekający przed szariatem, będą go w Polsce wprowadzać. Jarosław Kaczyński nie zauważył, że całkiem niedawno Polska przyjęła kilkadziesiąt tysięcy Czeczenów, wyznawców islamu, i nic się z tego powodu nie stało. W Polsce przebywa też czasem nawet 200 tysięcy Wietnamczyków i jakoś nie wprowadzili buddyzmu. Kilkadziesiąt tysięcy z nich mieszka już na stałe.

No i oczywiście w Szwecji nie ma żadnych „stref, gdzie obowiązuje szariat”, nie tylko 54, ale ani jednej, nikt się nie boi wywieszać szwedzkiej flagi, ani chodzić w mini, we Włoszech nie ma żadnych „zajętych kościołów zamienionych w toalety”, we Francji nie ma żadnych „patroli pilnujących przestrzegania szariatu”.

Można mieć obawy, jaką politykę zagraniczną będzie prowadził człowiek do tego stopnia nieznający świata i nieodróżniający urojeń od rzeczywistości.

Dodajmy, że jeśli Prezes niechętnie sięga do Wikipedii, (co sądzi o Internecie mniej więcej wiadomo – patrz rozdział „Media, Internet, cenzura”), może skorzystać z dzieła, które pochodzi z epoki mu najbliższej – wydanej w 1968 roku Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, gdzie definicja szariatu jest podobna do Wikipedii.

Rozdział 5.

Media, Internet, cenzura

Prawo i Sprawiedliwość od pierwszej chwili, gdy wygrało w 2005 roku wybory parlamentarne, ujawniło niezwykle zainteresowanie dla mediów, osobiście dla mediów publicznych, to znaczy dla telewizji publicznej i Polskiego Radia. Jak większość ludzi, żyjących przez większość swojego dorosłego życia w systemie najpierw totalitarnym a potem tylko mocno autorytarnym, dla których realny socjalizm był naturalnym biotopem, twórcy PiS uważali, że dzięki telewizji nie tylko utrwala swoją władzę, ale także – a może przede wszystkim – łatwiej przeprowadzą swój wielki projekt demontażu Trzeciej RP i budowy w jej miejsce RP Czwartej. Nie dziwota więc, że dwie dla tego projektu fundamentalne ustawy przeprowadzono w tempie iście stachanowskim: przejęcia mediów i lustracji.

Przejęcie kontroli nad telewizją i radiem nie było możliwe bez wymiany składu osobowego a więc i bez nowelizacji stawy o Krajowej Radzie Radia i Telewizji. Nowelizację przeprowadzono błyskawicznie, prezydent Lech Kaczyński spieszenie podpisał ją w noc przed sylwestrową, by zdążyć z drukiem.

Serwis „Wirtualne media” tak relacjonował przebieg prac legislacyjnych:

„W ostatnich dniach przebieg prac sejmowych w tym zakresie wzbudził wiele sporów. Posłowie PO i SLD uważają, że PiS chce przejąć kontrolę nad publicznymi mediami. PiS odpiera te zarzuty i twierdzi, że znowelizowana ustawa to realizacja programu „Tanie państwo”, a szybkie tempo to wynik „sprawnych prac Sejmu”.

Główne prace nad nowelizacją ustawy o rtv, Prawa telekomunikacyjnego i Prawa pocztowego toczyły się w ciągu kilku ostatnich dni. We wtorek odbyło się posiedzenie specjalnie powołanej podkomisji, a w środę, czwartek i piątek odbyły się kolejne posiedzenia połączonych komisji Kultury i Środków Przekazu oraz Infrastruktury (w tym w czwartek - dwa posiedzenia). W piątek, po drugim czytaniu projektu ustawy, przeprowadzono głosowanie nad nią.

Tak szybkie tempo prac krytykowali posłowie PO, SLD i PSL. Złożyli oficjalne protesty do marszałka Sejmu.

W piątek rano punkt o drugim czytaniu projektu ustawy włączono do porządku obrad. Doszło do kolejnych sporów. Piotr Gadzinowski (SLD) przypomniał protesty PO, SLD i PSL. Marszałek Sejmu Marek Jurek (PiS) wyjaśnił, że protesty były przedmiotem dyskusji Prezydium Sejmu oraz Konwentu Seniorów i stwierdzono, iż nie postawiono w nich żadnych „umotywowanych zarzutów natury regulaminowej”.

Marszałek podtrzymał to stanowisko w trakcie rozmów z dziennikarzami. Według niego, najbardziej merytoryczny był protest SLD, ale – jak powiedział – nie były to zarzuty mogące unieważniać prace komisji.

Około południa odbyło się drugie czytanie projektu, a następnie zebrały się połączone komisje kultury i infrastruktury, które przyjęły kolejne poprawki zgłoszone przez PiS i LPR. Jednocześnie odrzucono poprawki PSL.

W wieczornym głosowaniu za nowelizacją ustawy głosowało 236 posłów, przeciw było 179, a dwóch wstrzymało się od głosu. Ustawę poparły kluby: PiS, LPR i Samoobrona. Przeciwno opowiedziały się: SLD, PO i PSL. Nowelą zajmie się jeszcze Senat.

Zgodnie z nowelą, dwóch członków KRRiT powoła Sejm, dwóch – prezydent i jednego – Senat.

W znowelizowanej ustawie o mediach znalazł się też kontrowersyjny zapis o nowym obowiązku Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji – „inicjowaniu i podejmowaniu działań w zakresie ochrony zasad etyki dziennikarskiej”. Taką poprawkę wprowadziła Samoobrona, która twierdzi, że dziennikarze piszą o niej nieprawdę. PiS to zaakceptowało, bo była to cena partii Leppera za pomoc w ekspresowym przeforsowaniu ustawy w Sejmie. – Etyka dziennikarska w wydaniu Samoobrony sprowadza się wyłącznie do tego, czy dziennikarz mówi źle, czy dobrze o Lepperze – komentuje Danuta Waniek, przewodnicząca KRRiT. – Pomysł, by to Krajowa Rada zajmowała się etyką mediów, jest chory. Mogą być przecież naciski na KRRiT, by cofnąć koncesję, bo dziennikarz danej stacji zachowuje się nieetycznie – dodaje Waniek. – Zapis o etyce dziennikarskiej jest wieloznaczny i nieprecyzyjny. Dlatego może być interpretowany na wiele sposobów w zależności od sytuacji – mówi Krysztyna Mokrosińska, szefowa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. I dodaje, że jeśli pojawią się naciski polityków na media, to SDP będzie reagować. – Obowiązują nas standardy międzynarodowe, a one pozwalają na dość daleko idącą krytykę polityków – podkreśla Mokrosińska. PiS bagatelizuje zapis o etyce dziennikarskiej. Poseł Antoni Mężydło przekonuje, że jest on pusty i niewykonalny. – Nie ma przecież skodyfikowanych zasad etyki dziennikarskiej, więc zapis nic nie wnosi – mówi poseł. W znowelizowanej ustawie o mediach znalazł się też wątpliwy konstytucyjnie przepis o szczególnym traktowaniu nadawców społecznych, takich jak Radio Maryja. To propozycja LPR. Prawnicy uważają, że zapis ten również jest nieprecyzyjny. Taką opinię przedstawili we wtorek na posiedzeniu sejmowej komisji kultury eksperci. Opozycja chce zaskarżyć do Trybunału Konstytucyjnego zapisy ustawy dotyczące tzw. rekoncesji dla nadawców społecznych i etyki dziennikarskiej. Ustępująca KRRiT poprosiła już o to rzecznika praw obywatelskich. Zdaniem SLD, przepis dający przywileje nadawcom społecznym narusza konstytucyjną zasadę równości”.

Nic dziwnego, że Trybunał Konstytucyjny miał odmienne od twórców ustawy zdanie: wyrokując o poddaniu kontroli „etyki dziennikarskiej” TK oznajmił, że „Organ władzy publicznej, którym jest Krajowa Rada, nie powinien być wyposażony w kompetencję do podejmowania i inicjowania działań wiążących się z określaniem jakie są zasady etyki dziennikarskiej i z egzekwowaniem przestrzegania tych

zasad. Taki stan rzeczy jest niedopuszczalny w demokratycznym państwie prawnym zwłaszcza, że stwarza realne zagrożenie niekontrolowanego i niezgodnego z Konstytucją ograniczania wolności słowa. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że przyznanie KRRiT zadania w postaci inicjowania i podejmowania działań w zakresie ochrony zasad etyki dziennikarskiej wykracza poza zakres odpowiadający roli i pozycji ustrojowej tego organu.”

Za sprzeczne z konstytucją Trybunał uznał uprzywilejowanie nadawców społecznych (czyli Radia Maryja i Telewizji Trwam) oraz pomysł, by przewodniczącego KRRT powoływał prezydent.

Porażka w Trybunale nie zraziła jednak PiS-u, który i tak stworzył z Krajowej Rady instytucję sobie poddaną, z nowymi prezesami i radia, i telewizji, z nowymi szefami poszczególnych redakcji i rozgłośni, jednym słowem – całą orkiestrę medialną. Przypomnijmy tu „czyszczenie złogów gomułkowsko-gierkowskich” i zwalnianie „starych bab” przez prezesów Krzysztofa Czabańskiego i Jerzego Targalskiego, którymieli zresztą w życiorysach wieloletnie członkostwo w PZPR.

Do zwolnienia w Polskim Radiu przewidziano blisko 300 osób (na 1200 zatrudnionych), wśród nich wiele znanych „głosów”

Odrębną kwestią była lustracja dziennikarzy, którą zarządziła tzw. Ustawa lustracyjna. Opisał to szczegółowo Krzysztof Łoziński w internetowym magazynie „Kontrateksy”:

Zlustrować Ala Pacino i Genowefę Pigwę

Około 600.000.000 (sześćset milionów) ludzi z całego świata podlega w Polsce lustracji. To wcale nie żart. To wniosek z kolejnego bubla prawnego uchwalonego przez Senat, bezmyślnie przyklepanego przez Sejm i podpisanego przez prezydenta.

I ty zostaniesz dziennikarzem

Przyjęta przez Senat ustawa lustracyjna nakazuje lustrację wszystkich dziennikarzy, także cudzoziemców i obywateli polskich na emigracji. Sankcją za niezastosowanie się do niej ma być 10 lat zakazu wykonywania zawodu.

Kto jest dziennikarzem określa ustawa Prawo Prasowe, która tworzona była w zupełnie innym celu (określenia co i jak wolno publikować), w dodatku w czasach, gdy nie było jeszcze Internetu i telewizji satelitarnej. W ustawie Prawo Prasowe zapisano, że dziennikarzem jest każdy, kto wykonuje pracę na rzecz redakcji i to nawet pracę jednorazową, nieodpłatną. A więc nie musi być zatrudniony, wystarczy że raz w życiu zrobił coś dla redakcji – przysłał list, zdjęcie, udzielił odpowiedzi do mikrofonu na ulicy. Mało tego, inny artykuł Prawa Prasowego mówi, że przepisy ustawy dotyczą nie tylko publikacji w prasie (pod pojęciem prasy ustawa rozumie także stacje telewizyjne i radiowe) ale także wszelkich innych publikacji. Oznacza to, że Prawo Prasowe dotyczy także Internetu, książek, ulotek, sztuk teatralnych, kabaretów, filmów, wystaw fotografii i malarstwa... Nie zapisano wprawdzie jasno, czy osoby pracujące dla takich mediów też są

dziennikarzami w sensie ustawy, ale nie określono też, że nie są, a w kilku przypadkach polskie sądy orzekły już, że są.

Doda dziennikarka i redaktor Nikifor

Przy skrajnej interpretacji ustawy Prawo Prasowe, dziennikarzami są więc: autorzy wpisów na forach internetowych, posiadacze blogów czy stron internetowych w ogóle, wszyscy aktorzy teatralni, filmowi i kabaretowi, fotograficy, malarze, mówcy wiecowi, czy choćby ludzie głośno mówiący w miejscach publicznych. Według orzecznictwa polskich sądów głośne przemawianie do tłumu nawet przypadkowych słuchaczy jest tożsame z publikowaniem głoszonych treści, a w połączeniu z Prawem Prasowym w skrajnej interpretacji, orzecznictwo to znaczy, że człowiek głośno śpiewający na ulicy jest dziennikarzem.

Ktoś powie, że przesadzam. Być może, ale były już przypadki wydawania wyroków przez sądy w oparciu o taką interpretację Prawa Prasowego. I wbrew pozorom nie musiały to być wyroki absurdałne. Po prostu definicja dziennikarza z ustawy Prawo Prasowe miała służyć określeniu, kto jest obowiązany przestrzegać norm dotyczących wszelkich publikacji, rozumianych jako głoszenie jakiejś treści wobec zbiorowych odbiorców. Norm takich, jak: głoszenie prawdy, sprawdzanie źródeł, nie obrażanie nikogo itp. Dla tego celu, taka, jak powyżej, definicja dziennikarza, jest dobra. Absurdałna staje się dopiero, gdy zaczyna się ją stosować dla innych celów, na przykład lustracji.

Nawiasem mówiąc, taką szeroką definicję dziennikarza stosuje od lat IPN, udostępniając swoje archiwa ludziom obecnie nie zatrudnionym w żadnej redakcji. IPN rozumuje, że skoro ktoś kiedyś coś publikował, to jest dziennikarzem i ma dostęp, jako dziennikarz. Jak już wspomniałem, taką logiką potrafią kierować się też sądy, stosując Prawo Prasowe wobec autorów blogów, czy wpisów na forach internetowych.

Bruce Willis i Brian Scott do lustracji

Prawo polskie (o ile w konkretnej ustawie nie zapisano inaczej) dotyczy wszystkich obywateli polskich, wszystkich osób przebywających na terytorium Polski, w tym cudzoziemców, oraz osób prowadzących jakąkolwiek działalność na terytorium Polski, nawet gdy fizycznie w Polsce nie przebywają (oczywiście w zakresie tej działalności). Lustracji mają więc podlegać także Brian Scott, Klaus Bachmann i Gabrielle Lesser. Na szczęście, dziennikarka „Kontratakstów”, Ton Van Anh urodziła się po 1972 roku, więc IPN nie będzie sprawdzał, czy nie współpracowała z ORM w Sajgonie.

Ale tu dochodzimy do większego absurdu. Wedle ustawy, lustracji mają podlegać dziennikarze wszystkich mediów w Polsce, ale nie wiadomo, co to znaczy. Czy mediów tworzonych w Polsce, czy kolportowanych w Polsce, czy wydawanych w Polsce, czy nadawanych z Polski? Pojawia się od razu pytanie: w jakim kraju leży Internet i w jakim kraju leży satelita? Czy lustracji podlega telewizja „Trwam” nadawana do satelity z terytorium Federacji Rosyjskiej i „Polonia 1” Nicoli Grauso nadawana z Włoch? Bo jeśli tak, to znaczy, każda telewizja odbierana w Polsce i

cały Internet, nawet ten z Papui Nowej Gwinei, podlegają lustracji (bo Internet z całego świata odbierany jest w Polsce). Platforma cyfrowa „Cyfra+” przekazuje do Polski sygnał ponad 800 stacji telewizyjnych i radiowych z całego świata. Codziennie powstaje ponad 100 tysięcy nowych blogów internetowych i publikowane jest w Internecie miliard nowych zdjęć. To wszystko chcą zlustrować szanowni senatorowie. Wedle mojego szacunku ok. 600 milionów ludzi z całego świata ma złożyć oświadczenia lustracyjne a IPN ma je sprawdzić.

Ale to nie koniec absurdów ustawy. Według naszego prawa, obywatelem polskim jest każdy, kto nie przestał nim być decyzją polskich władz. I tu mamy milion lub więcej emigrantów mieszkających od lat za granicą, których Polska ciągle uważa za swych obywateli, nawet gdy oni mają inne zdanie. Bardzo wielu z nich jest dziennikarzami. Ludzie ci mają się zlustrować, bo jak nie, to przez 10 lat nie będą mogli wykonywać zawodu dziennikarza, na przykład w BBC lub „New York Herald Tribune”.

Jak zarobić dużo pieniędzy i wykiwać sąd lustracyjny

Ustawa przewiduje sankcję: zakaz wykonywania zawodu na 10 lat. Sankcja ta jest w oczywisty sposób sprzeczna z Europejską Konwencją Praw Człowieka, która zakazuje pozbawiania kogokolwiek wolności słowa, a praca dziennikarza polega na wypowiadaniu się. Zakaz wykonywania zawodu dziennikarza, to ni mniej, ni więcej, tylko dziesięcioletni zakaz wypowiadania się publicznie. Ten pomysł w UE żadnym sposobem nie przejdzie.

Jeśli ktoś chce bardzo dużo i bez wysiłku zarobić, to powinien w sądzie okręgowym zarejestrować nową gazetę (np. pod tytułem „Latające Ślimaki”) z sobą w roli redaktora naczelnego, a następnie nie wypełnić oświadczenia lustracyjnego. Rejestracja gazety w sądzie to wypełnienie jednego druczku i znaczki opłaty sądowej za 30 złotych. Trzeba poczekać, aż zostanie się ukaranym zakazem wykonywania zawodu dziennikarza i zaskarżyć tę decyzję do Trybunału Praw Człowieka Strasburgu. 50 tysięcy euro odszkodowania ustawi nas finansowo na długie lata.

Jest i drugie zastosowanie tego patentu. Sąd lustracyjny odmówił lustracji Henrykowi Karkoszy i paru innym osobom. Teraz lustrować będzie musiał, jeśli chętni do autolustracji wypełnią ten druczek i zapłacą 30 złotych.

Internauto wylegitymuj się

Zgodnie z ustawą nie wolno mi, jako redaktorowi naczelnemu, zamieścić żadnego materiału dziennikarza ukaranego zakazem na 10 lat. Szkopuł w tym, że nie tylko w naszej internetowej gazecie, ale i w wielu mediach tradycyjnych, znaczna część tekstów przesyłana jest przez Internet. Dzisiejsi dziennikarze bardzo często mieszkają w innych miastach a nawet krajach, niż wychodzi gazeta. Jeżeli dostaję tekst podpisany Jaś Kowalski, to skąd mam wiedzieć, że nie podpisała się tak ukarana zakazem Ania Kwiecińska? Muszę to sprawdzić. Muszę kazać na przykład Mariannie Dembińskiej przyjechać z Mediolanu albo Staremu Wiarusowi z Sydney i wylegitymować się dowodem osobistym. Ale by była kupa śmiechu! Ale to jesz-

cze nic, bo to Polacy. Ale jak mam zmusić do legitymowania się Davida Kilgurda z Kanady albo Pawła Szeremieta z Rosji? Nie chcę nawet słyszeć odpowiedzi, gdzie oni mają polską ustawę.

Lustracyjna szafa

Od tej pory w każdej redakcji powinien pojawić się nowy mebel – szafa na oświadczenia lustracyjne. „Kontrateksty” istnieją dopiero 3 lata, i to nie całe, a już pisuje w nich blisko 300 osób z czego ok. 30 systematycznie. Współpracownicy „Gazety Wyborczej” to pewnie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Tam już jedna szafa nie wystarczy.

Jak z tego wybrnąć? Wyrejestrowanie gazety internetowej w Polsce i przeniesienie jej na serwer w USA, to jakieś 3 godziny roboty. Pisanie pod pseudonimem, to też nie problem. Trzeba by tylko dodać podtytuł dla senatorów lustratorów: „Szukaj wiatru w polu”. A swoją drogą ciekawe, jak oni zmuszą do lustracji telewizję Al-Dżazira i jak wylegitymują Osamę ben Ladena?

Senator Zbigniew Romaszewski powiedział, że trzeba w takiej sytuacji zmienić Prawo Prasowe. Problem w tym, że trzeba, w takim celu, odpowiedzieć na wspomniane już pytanie: w jakim kraju leżą satelita i Internet? Jedynym rozsądnym rozwiązaniem byłoby ograniczenie lustracji do osób, które były dziennikarzami mediów politycznych (da się stworzyć zamkniętą listę) w czasach PRL i dać spokój wszystkim pozostałym. Wszystkie inne pomysły prowadzą do absurdu. Najgorszym pomysłem jest zdanie się na tak zwany zdrowy rozsądek (nie u wszystkich jest on zdrowy). To by dopiero było bagno – całkowita dowolność interpretacji, kto jest dziennikarzem lustrowanym, a kto nie.

Polskie Radio

11 maja 2007 roku Trybunał Konstytucyjny w pełnym składzie orzekł, że „Z obowiązku poddania się procedurom lustracyjnym wyłączono: [...] członków zarządów lub rad nadzorczych, osób prawnych, a także osoby fizyczne, które uzyskały koncesje na rozpowszechnianie programów radiowych i telewizyjnych; wydawców oraz redaktorów naczelnych w rozumieniu prawa prasowego, także dziennikarzy”.

Jednym z istotnych argumentów przeciw konstytucyjności ustawy podnoszonym w skardze konstytucyjnej był zapis 10. letniego zakazu wykonywania zawodu dziennikarza dla osób zlustrowanych. Podnoszono, że jest to typowy akt zakazanej przez Konstytucję RP cenzury prewencyjnej, tzw. „zapis na osobę”. Naszym zdaniem, ustawa lustracyjna była de facto próbą ustanowienia politycznej cenzury w mediach i nauce, pod pozorem lustracji. Na podstawie tej ustawy politycy mogli decydować, komu wolno, a komu nie, publikować lub prowadzić badania naukowe.

Kwestie programowe były jednak bodaj znacznie ważniejsze dla dysponentów mediów, niż lustracja i zwalnianie z pracy. W radiu i telewizji pojawili się nowi ludzie, np. wcześniej nieznanymi w Polskim Radiu Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny tygodnika „Gazeta Polska”, który uważano za tubę rządów PiS – LPR – Samoobrona, który otrzymał poranne pasmo w I Programie PR – Sygnały Dnia, co spotkało się z protestem

wielu dziennikarzy radiowych. Do radia jako prowadzący Sygnały Dnia przyszli też bracia Karnowscy, Joanna Lichocka, Dorota Gawryluk. Każde z nich zapraszało swoich rozmówców – według powszechnej opinii funkcjonowała w radiu „lista zapisów” z nazwiskami osób z opozycji, których nie wolno zapraszać.

Telewizja publiczna

W telewizji publicznej działa się nie lepiej: królowały „Misje specjalne”, Jan Pospieszalski i inni. Szczegółowo i wielokrotnie opisywali to inni. Oprzyjmy się tutaj na tekście z tygodnika „Przegląd”, autorstwa Jerzego Błaszczyka (strona internetowa „Przeglądu”, 31 październik 2007):

Jak TVP przerobiono na TVPiS

Prawo i Sprawiedliwość poniosło wyborczą klęskę. Zapomniało o brutalnej prawdzie, że kto ma telewizję, ten władzę traci. Tak uczy praktyka. Tylko nieuki nie chcą tej prawdy przyjąć do wiadomości, a potem mają pretensję.

Wildstein rozumny

Budowanie PiS-owskiej telewizji zaczęło się wiosną 2007 r. Najpierw zmieniono ustawę o radiofonii i telewizji i powołano „apolityczną” Krajową Radę Radiofonii i Telewizji. W radzie większość miało PiS, a dowodziła nią Kruk Elżbieta, „apolityczna” zaufana braci Kaczyńskich, desygnowana do rady przez prezydenta. KRRiTV wybrała „apolityczną”, czyli z przewagą PiS, radę nadzorczą telewizji publicznej, a ta bez zahamowań, bez udawania i zabawy w jakieś tam konkursy, marcową nocą odwołała Jana Dworaka i na prezesa telewizji powołała protegowanego braci Kaczyńskich i Elżbiety Kruk Bronisława Wildsteina. Twierdza została zdobyta. Opozycja pierwszy raz w historii jednej i drugiej rady nie miała nic do gadania, bo żaden jej człowiek do rad nie wszedł. W ten oto prawy i sprawiedliwy sposób główny dowódca telewizyjnej batalii PiS, która dopiero miała nastąpić, dostał ubezpieczenie. Włos mu z głowy spaść nie mógł, choć co warto przypomnieć – pisaliśmy o tym nie raz – miał jak na funkcję prezesa zarządzającego wielką medialną spółką skarbu państwa, wspaniałe kwalifikacje. Był w przeszłości kierownikiem orkiestry symfonicznej i chóru oratoryjnego. Ale nie to było najważniejsze. Bronisława Wildsteina cenił Jarosław Kaczyński, wtedy premier. Za co? Za to, że: „To był obok Macieja Rybińskiego jedyny człowiek, który konsekwentnie, nawet po zawarciu przez PiS trudnej koalicji, pokazywał w swych tekstach, że rozumie, jak jest. To niezmiernie rzadkie. Bardzo to ceniłem. Myślałem, że facet, który to wszystko rozumie i w dodatku ma odwagę to napisać, to niezły kandydat” („Fakt”, 10.03.2007 r.).

Dla słusznej sprawy

Wildstein przystąpił do dzieła. Nie musiał się znać na zarządzaniu i kierowaniu wielką spółką. Wystarczyło, że rozumiał trudną koalicję – PiS-Samoobrona-LPR. Najpierw oczyścił telewizję z ludzi telewizji, bo tak jak ten, który go namaścił, ob-

cym nie ufał. A do obcych zaliczył wszystkich, którzy byli na kierowniczych stanowiskach, i wszystkich, którzy byli twarzami telewizji. Polecieli Nina Terentiew, Monika Olejnik, Piotr Dejmek, Piotr Radziszewski, Jacek Snopkiewicz i Andrzej Jeziorek. Na antenie pojawili się słuszni prawicowi publicyści z Rafałem Ziemkiewiczem na czele i pojawiła się słuszna publicystyka pod hasłem "Nie ma przebaczyć". "Misja specjalna" pod redakcją red. Anity Gargass pozyskanej z "Gazety Polskiej" i autorski paw Doroty Gawryluk "A dobro Polski?". Dogorywał program Macieja Pawlickiego "Polacy". To nic, że programy te nie miały widowni. Były zgodne z nurtem rozliczeniowym. Tropiły, piętnowały, obnażały. Walczyły z postkomuną i szukały wrogów. W Programie 2 sztandarowym programem było "Warto rozmawiać" Jana Pospieszalskiego. Szefami anten zostali ludzie godni zaufania. Niestety wszystkie te działania nie zadowalały premiera. Potrzebował do realizacji swojej linii, do umocnienia słusznej idei walki o wszystko i ze wszystkimi, innego wodza PiS-owskiej telewizji. Wildstein był dobry na początek.

„Nie będę ukrywał, że nie miałem wpływu na jego nominację, choć osobiście prawie go nie znałem... Ale Wildstein postanowił uprawiać politykę na zasadzie: wszystkim, którzy go powołali – w pysk. Ja to zniósę, inni nie” ("Fakt" 10.03.2007 r.). Cesarz opuścił kciuk do dołu i Wildstein poległ.

Misja Urbańskiego

„Jestem przekonany, że Andrzej Urbański tak spluralizuje TVP, że wszyscy, łącznie ze mną będą zdziwieni. To będzie telewizja polifoniczna w stopniu dotychczas nieznanym”, przekonywał Jarosław Kaczyński, rzucając na front "apolitycznego" szefa kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W zarządzie TVPiS wspierał Urbańskiego "apolityczny" rekomendowany przez PiS, najbardziej zaufanych z ludzi braci Kaczyńskich, Sławomir Siwek.

Na stanowisko dyrektora Jedyńki wróciła z chorobowego przyjaciółka rodziny Kaczyńskich, Małgorzata Raczyńska.

„Jej kariera („Dziennik”, 22.09.2007 r.) jawi się jako jeden z największych ekscesów IV RP... Teraz dzięki protekcji braci Kaczyńskich Małgorzata Raczyńska kieruje największym w Polsce programem telewizyjnym. Jej współpracownicy są bezlitośni: „Cwaniaczka, karierowiczka, dziennikarskie zero...””.

Tuż przed wyborami Urbański uruchamia TVP INFO. Od dawna zapowiadany kanał informacyjny. Stanowisko szefa kanału dostaje protegowana Sławomira Siwka, Beata Jakoniuk-Wojcieszak. Po klęsce w Jedyńce programu "Ring" u Jakoniuk dostają programy Rafał Ziemkiewicz i dyrektor radiowej Jedyńki, Jacek Sobala, prowadzący program w Telewizji Puls.

Nad słuszną treścią "Wiadomości" czuwa wicedyrektor Agencji Informacyjnej TVP, Patrycja Kotecka. "Parę miesięcy temu Kotecka nie wahała się publicznie mówić do reporterów, wydawców i prezenterów "Wiadomości" TVP, że jakiegoś materiału nie puści, bo "to może zaszkodzić PiS... Czasami Kotecka zachowuje się jak reporter: przynosi newsy, przecieki, dokumenty. – Ma swoje źródła, ale tylko po jednej stronie – mówią w "Wiadomościach". – W PiS, w rządzie, w Ministerstwie Sprawiedliwości, prokuraturze. Dziennikarze przypominają, że po aresztowaniu

kardiochirurga G. Dała reporterowi dokładne dane świadków zeznających przeciwko lekarzowi” („Gazeta Wyborcza”, 13.09.2007 r.).

Misja Urbańskiego była do wyborów jak „Misja specjalna”. Do misji specjalnej potrzebni są specjaliści ludzie. Zatrudniono więc w „Wiadomościach” nowych. Prezentera „Misji specjalnej” sztandarowego programu rozliczeniowego pod nadzorem specjalnym Anity Gargas, Piotra Czystkowskiego. Program jak po sznurku realizował linię PiS. Wskazywał agentów, lustrował, tropił oligarchów, przypominał przewiny postkomunistów i ich samych. Tak się dziwnie układało, że dziennikarze „Misji” mieli nosa do tematów, które na drugi dzień były albo tematami konferencji prasowych Ziobry, albo Kamińskiego, albo Wassermann.

„Wiadomości” zasilili też – jak podaje prasa – kolejny współpracownik „Gazety Polskiej”, aktywny działacz „Naszości”, Filip Rdesiński, i tropiąca w „Gazecie Polskiej” policyjnych informatorów, którzy ujawnili „Gazecie Wyborczej” kulisy dy-misji komendanta policji, Adama Rapackiego, Karolina Wichowska.

Przed wyborami 21 października misja Urbańskiego nabrała szczególnego znaczenia. „Spluralizowana”, „polifoniczna w stopniu dotychczas nieznanym” telewizja ruszyła do walki o zwycięstwo wyborcze PiS. Im bliżej było wyborów, tym bardziej rosły słupki obrazujące czas, jaki w programach TVP zajmowali politycy PiS. Zarząd telewizji podjął w trybie pilnym uchwałę zakazującą członkom zarządu wypowiadać się do mediów. Była to reakcja na publiczne zarzuty dotyczące faworyzowania PiS, jakie stawiał telewizji rekomendowany do zarządu przez LPR Piotr Farfał. Przedtem zarząd podjął uchwałę zakazującą pracownikom telewizji rozmów z mediami.

W ostatnim tygodniu września, gdy w sondażach PiS i PO szły niemal lęb w lęb, PiS dostało w telewizji 8,5 godziny, a PO połowę mniej – 4,5 godz.

W tygodniu między 1 a 7 października na informacje o PiS, o prezesie PiS oraz rządzie PiS telewizja przeznaczyła prawie 30 godzin czasu antenowego. Druga w sondażach Platforma Obywatelska dostała od telewizji czas 6 godz. 11 min. Lewica i Demokraci 5 godz. 6 min, a PSL – 2 godz. 1 min.

Telewizja publiczna i KRRiTV to jedyne instytucje, którym obserwatorzy wyborów z OBWE zarzucili stanie w wyborach po stronie PiS.

Jak dogodzić braciom K.?

Nic nie pomogło. PiS przegrało. Co trzeba było jeszcze zrobić, by zadowolić wodza, który wbrew faktom twierdzi, że „opowieści o podporządkowanej nam telewizji publicznej są opowieściami całkowicie oderwanymi od rzeczywistości”, i wini telewizję za to, że nie przerwała w czasie ciszy wyborczej emisji spotu zachęcającego młodzież do pójścia na wybory. („Dziennik”, 24.10.2007 r.). Ba, żeby w spocie była tylko treść „idź na wybory”, premier by wybaczył. Ale według niego, tam był członek „zmień Polskę”, co wskazywało, by nie głosować na PiS. Czy po to premier postawił na czele telewizji szefa Kancelarii Prezydenta?

PiS-owski specjalista od haków, poseł Jacek Kurski, też uważa, że telewizja publiczna nie sprzyjała PiS, a nawet nagaśniała wyborców PO.

Kiedy panie pośle, kiedy? Wtedy gdy 19 października tuż po \”Teleexpressie\” nadała reportaż o posłance Sawickiej, którą 1 października CBA złapało na przyjmowaniu łapówki, czy wtedy gdy przemilczała jej konferencję prasową? Wtedy gdy po raz pierwszy złamała ramówkę i we wtorek 16 października retransmitowała konferencję CBA, czy w środę, gdy 17 października powtórzyła ją raz jeszcze? Czy może wtedy, gdy do sprawy Sawickiej dorzuciła nazwiska Radziszewskiej, Pitery i Schetyny – posłów PO? Czy może wtedy, gdy po raz kolejny złamała ramówkę i nadała dodatkowy, lizusowski program \”Autografy\” z udziałem Zyty Gilowskiej?

Publicystka \”Gazety Wyborczej\” Teresa Bogucka (\”TVP – wersja dla ciemnego ludu\”, 19.10.2007 r.), analizując zawartość najważniejszych programów informacyjnych w czasie kampanii wyborczej, zauważyła: \”...Z jakichś powodów przez cały ubiegły tydzień [TVP – przyp. J.B.] informowała w \”Wiadomościach\”, że Barbara Blida była przestępcą, a dr G. – mordercą. W tym tygodniu min. Ziobro ustąpił miejsca drugiemu według premiera człowiekowi uosabiającemu misję PiS – Mariuszowi Kamińskiemu. Telewizja umożliwiła zrobienie mu spektaklu, w którym prosta wiadomość z początku miesiąca o łapówkarstwie posłanki, została rozwinięta w spiszek przeciwko polskiej służbie zdrowia i polskiemu chorym. \”Sprywatyzowany szpital\” ma odegrać rolę pustej lodówki z poprzedniej kampanii. Przedwczoraj \”Wiadomości\” sklepiły z różnych wyimków konsekwentną wizję podstępnych planów zawłaszczenia szpitali. Wraz ze spotem PiS o człowieku umierającym, bo go prywatny szpital nie przyjął – ma być to produkt do kupienia przez ciemny lud\”...

Tak oto działała \”polifoniczna w stopniu dotychczas nieznanym\” telewizja publiczna, by zadowolić braci K. Prezydenta i premiera. Niestety ani premier, ani prezydent nie potrafią tych działań docenić.

PiS przegrało wybory, nie dlatego, że jak mówił J. Kaczyński, \”przeciwko uczciwym ludziom, którzy w Polsce chcieli zaprowadzić prawo, sprawiedliwość i porządek, zawiązano szeroki front nienawiści\”, ale właśnie dlatego, że zawiązano szeroki front, by było prawo, sprawiedliwość i szacunek dla ludzi.

(Przegląd, 31 październik 2007)

Prasa

Ciekawie też działało się w prasie. Rozpychanie się Prawa i Sprawiedliwości najlepiej ilustrował przykład zmian w dzienniku „Rzeczpospolita”, którym – po śmierci Macieja Łukasiewicza, następcy Dariusza Fikusa – kierował dziennikarz i wydawca Grzegorz Gauden, powiązany z norweską Orklą, współwłaścicielem dziennika. Po wyborach 2005 nastąpiła zmiana w radzie nadzorczej skarbowego udziałowca w „Presspublice” czyli w PW „Rzeczpospolita” SA. W ślad za tą zmianą nastąpiły zmiany w dzienniku: G. Gauden został odwołany (przypomnieć trzeba, że pół roku wcześniej usunął z redakcji Bronisława Wildsteina, który opublikował w Internecie wyniesioną z IPN tzw. Listę Wildsteina), a nowym naczelnym, bez porozumienia z zespołem redakcyjnym, co dotychczas było praktykowane, został Paweł Lisicki, znany z konserwatywnych poglądów jawny stronnik PiS. Lisicki usunął dwóch swoich zastępców. Z za-

ządu Presspubliki, wydawcy gazety, usunięto dwoje dotychczasowych wiceprezesów. Zgodę na te działania musiała dać spółka PW Rzeczpospolita, w 100 proc. będąca własnością Skarbu Państwa, w której radzie nadzorczej przewodniczył Andrzej Liberański, przyjaciel i dawny zwierzchnik (w Głosie Wybrzeża) Macieja Łopińskiego, ministra w kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Przytaczamy te przykłady, by pokazać, jak dokonywało się „odzyskiwanie” mediów przez środowisko Prawa i Sprawiedliwości i jaka media może czekać recydywa. Trzeba tu dodać, że Krzysztof Czabański odnawia próbę powrotu do polityki, będąc kandydatem do Sejmu, z listy – naturalnie – Prawa i Sprawiedliwości. A z pewnością cieszy się on zaufaniem prezesa PiS. Dlaczego? Przypomnijmy: niegdyś był redaktorem naczelnym Expressu Wieczornego, przejętego w 1991 roku przez Fundację Prasową Solidarność (czy ktoś pamięta nazwiska założycieli? Przypomnijmy: Jarosław Kaczyński, Maria Stolzman, Sławomir Siwek, Krzysztof Czabański, Maciej Zalewski oraz Bogusław Heba). W latach 1993 – 2000 toczyło się śledztwo w sprawie nielegalnego finansowania przez FPS partii Porozumienie Centrum, (pierwsze dziecko Jarosława Kaczyńskiego). Śledztwo umorzono z przyczyn formalnych.

W 1995 FPS założyła spółkę „Srebrna” o kapitale 5.564 tys. zł., w której mniejszościowe udziały objęli, między innymi, Barbara Czabańska (wtedy żona Krzysztofa Czabańskiego) i Jarosław Kaczyński, którzy wnieśli po 2 tys. zł.

Ani mrocznymi interesami FPS, ani „Srebrnej” nie będziemy się tu zajmować, opisane zostały wielokrotnie gdzie indziej.

Młodsza generację dziennikarzy, wspierających Jarosława Kaczyńskiego i jego partię reprezentuje Joanna Lichocka, która dziś otwiera listę wyborczą PiS w Kaliszu. Zasługi położyła nie tylko w samej publicystyce, ale także czynnie wspierając prezesa np. w kampanii wyborczej na prezydenta w 2010 roku. Sposób, w jaki wyrażała swoje poglądy (była współprowadzącą) w debacie między Bronisławem Komorowskim a Jarosławem Kaczyńskim, stał się nawet powodem skargi do Rady Etyki Mediów, która – o dziwo – wydała opinię m. dla J. Lichockiej – miażdżącą pisząc, że: „Zasady rzetelnego dziennikarstwa zostały /-/ złamane”, a „dziennikarz telewizji publicznej zachował się stronnico”. Rada Etyki Mediów uznała, że **zachowanie dziennikarki naruszało zapisaną w Karcie Etycznej Mediów ZASADĘ O-BIEKTYWIZMU** - co znaczy, że autor przedstawia rzeczywistość niezależnie od swoich poglądów, rzetelnie relacjonuje różne punkty widzenia.”

Media niezależne (od PiS) traktowane są często przez jego polityków jak forpoczty wroga. Niezależnie od tego, czy są to media krajowe, czy zagraniczne, traktowane są z najwyższą nieufnością, a nawet – wrogo, ze skutkami czasem tylko nieoczekiwanymi, co groźnymi dla państwa: warto tu wspomnieć tzw. afery kartoflaną, o której P. Rachtan pisał w „Kontratekstach”: „Kiedy (...) Peter Koehler opublikował w „Die Tageszeitung” satyryczny tekst o braciach Kaczyńskich „Nowe polskie kartofle. Dranie chcący opanować świat. Lech „Katsche” (mlaskający- red.) Kaczyński.” retorsje dotknęły uczestników szczytu Trójkąta Weimarskiego, a prokuratura (czy wtedy to nie Zbigniew Ziobro był Prokuratorem Generalnym?) wszczęła postępowanie zawiadomiona o przestępstwie przez

Przemysław Gosiewskiego. Na szczęście Koehler w Polsce się nie pojawił, choć świadków przesłuchano.”

Stosunki z państwami sojuszniczymi stały się w ten sposób zakładnikami wrażliwości przywódców PiS na opinie o nich. W kraju PiS zaczął w lipcu 2008 roku bojkotować audycje publicystyczne TVN i TVN24, które oskarżał o brak obiektywizmu.

„Według dziennika „Rzeczpospolita”, poszło o pechową rozmowę z Markiem Suskim. Poseł Prawa i Sprawiedliwości miał wystąpić w TVN z ministrem Aleksandrem Gradem, ale na miejscu okazało się, że Grada zastąpił Jacek Socha. Z tłumaczeń dziennikarza Suski zrozumiał, że to Grad nie chciał z nim wystąpić. W rozmowie z „Rzeczpospolitą” poseł Suski podkreślił, że polityków PiS, którzy mają „złe doświadczenia” z TVN jest więcej. - Mamy dość roli chłopca do bicia - stwierdził.

Wszystkie te informacje potwierdził jeszcze w środę wieczorem w wypowiedzi dla TVN24 szef klubu PiS Przemysław Gosiewski. - Posłowie PiS nie będą brali udziału w programach informacyjnych (TVN i TVN24 - przyp. red.), bo widzimy brak obiektywizmu dziennikarskiego i w tej sprawie nie możemy godzić się na tego typu praktyki - oświadczył polityk PiS. - podała „Gazeta Wyborcza”.

Jarosław Kaczyński uzasadniał tę decyzję „niesłychanym grubiaństwem”, osobliwie satyrycznego programu „Szkło kontaktowe”, które „przyporównał (...) do polityki tzw. niemieckich pism gadzinowych, które *“za wszelką cenę chciały doprowadzić Polskę i Polaków do najniższego poziomu”*. Określił też TVN jako *“formację, bo to coś więcej niż tylko stacja telewizyjna”, siejącą w Polsce nienawiść i “niezwykle radykalnie przeciwstawiającą się jakiegokolwiek próbie zmiany, wzmocnienia Polski”*. (Wprost, J. Kaczyński stawia warunki TVN).

Już w styczniu 2009 bojkot „został zawieszony”.

Ale pewnie swojej opinii z 2005 roku („W Polsce tak naprawdę wolnych mediów nie ma. Jest pewien układ i dziennikarze, których pozycja jest bardzo trudna” – konferencja prasowa Jarosława Kaczyńskiego w Krakowie, 27 lutego 2005 – za Wikicytaty) – nie zmienił.

Jeszcze dwa cytaty, świadczące o wielkiej do mediów nieufności i niechęci:

„Rzeczywistość jest taka, że TVN bulgocze nienawiścią wobec PiS. Nie lepiej jest z Polsatem” – wywiad dla „Rzeczpospolitej”, 26 października 2007;

„Ja bym bardzo prosił radia, w szczególności niemieckie, by nie prowadziły kampanii zmierzającej do tego, aby odwracać uwagę od ważnych spraw, a zajmować się jakimiś bzdurami, zupełnie drobnymi wydarzeniami. (...) Media niemieckie powinny być szczególnie ostrożne, bo mogą być posądzane o wtrącanie się do polskich spraw wewnętrznych” – odpowiedź na pytanie dziennikarza radia RMF FM o zagłuszanie rozmów telefonicznych pielęgniarek strajkujących latem 2007 „Media niemieckie” to w tym kontekście radio RMF FM.

Podobnie zresztą traktował Internet, o którego użytkownikach niefortunnie się wyraził w wywiadzie w marcu 2008 roku dla serwisu pis.org.pl:

Osobiście nie jestem zwolennikiem zmuszania ludzi do brania udziału w wyborach ani też znacznych ułatwień jeśli chodzi o oddawanie głosu. Akt głosowania powinien być według mnie czynnością poważną, świadomą, wymagającą pewnej fetygi. Nie jestem entuzjastą tego, żeby sobie młody człowiek siedział przed kompu-

terem, oglądał filmiki, pornografię, pociągał z butelki z piwem i zagłosował, gdy mu przyjdzie na to ochota. Zwolennicy głosowania przez Internet chcą tę powagę odebrać. Dlaczego? Wiadomo, kto ma przewagę w Internecie i kto się nim posługuje. Tą grupą najłatwiej manipulować, sugerować na kogo ma zagłosować.

Jednak Prawo i Sprawiedliwość nie zlekceważyło Internetu.

Po przegranych w 2010 roku wyborach prezydenckich jego politycy uskarżali się na internautów, zacytujmy tu trzy relacje prasowe z tamtej jesieni.

20 października 2010 gazeta.pl donosiła:

Wspólne posiedzenie komisji sprawiedliwości i specsłużb ws. ataku na biuro PiS
- Internetowe wpisy powinny zostać poddane szczegółowym badaniom - apelowała posłanka Beata Kempa - Trzeba przeanalizować wpisy przeciw Jarosławowi Kaczyńskiemu, a także pozostałym politykom PiS. Zadaniem ABW jest ścigać tych, którzy takie opinie, oceny formułują - dodała.

- Około godziny temu na Facebooku pojawił się wpis "Dobrze temu patafianowi, ten drugi też powinien zdechnąć" - oburzał się poseł PiS Andrzej Jaworski. Dodał, iż ABW może namierzyć taki wpis w ciągu 10-15 min.

- Jeśli ktoś pisze na swoim blogu, że jeszcze w tym roku Jarosław Kaczyński będzie rozmawiał z siłami wyższymi i będzie to dobry rok, to ja oficjalnie składam doniesienie do prokuratora o popełnienie przestępstwa podżegania do nienawiści. Bo tak to należy teraz odczytać - mówił poseł Zbigniew Girzyński.

„PiS: Grożą nam w internecie. Trzeba wprowadzić monitoring sieci” – relacjonowało 21 października radio TOK FM:

PiS chce, aby ABW i policja zajęła się ściganiem internautów, którzy w internetowych wpisach kierują wobec polityków groźby karalne. Według posłów na użytkowników łamiących w sieci prawo powinni donosić do organów ścigania administratorzy forów, a prokuratura miałaby wszczynać postępowania z urzędu. - Będzie sporo pracy przy tym - przyznaje poseł Jarosław Zieliński. Możliwe, że w tej sprawie w Sejmie pojawi się projekt ustawy.

Na pojawiające się w internecie groźby wobec parlamentarzystów PiS zwrócili uwagę politycy tej partii podczas porannego posiedzenia połączonych komisji sejmowych: służb specjalnych oraz sprawiedliwości i praw człowieka. Beata Kempa z PiS zauważyła, że najwięcej jest ich pod adresem Jarosława Kaczyńskiego. - Ale są też pogroźki w internecie wobec innych działaczy PiS. Ja też widziałem w internecie groźby kierowane pod moim adresem - mówi nam z kolei poseł Jarosław Zieliński.

„Administrator forum powinien donosić na internautów do organów ścigania”

Jak posłowie PiS wyobrażają sobie ten monitoring? Koncepcję polityków poznał reporter TOK FM. Według posła Jarosława Zielińskiego autorzy wpisów w internecie, w których zawarta jest groźba karalna wobec polityka, powinni być ścigani z urzędu przez prokuraturę. - Tak samo jak teraz dzieje się, gdy pojawia się informacja w prasie, która wskazuje na przestępstwo czy przekroczenie uprawnień - mówi poseł PiS.

Jego zdaniem będzie przy tym sporo pracy, bo forów w sieci jest bardzo dużo. - Ale przecież za każde odpowiada jakiś administrator. Jeżeli więc pojawi się wpis, który sam w sobie jest przestępstwem, to taki administrator powinien mieć obowiązek zgłosić to odpowiednim organom ścigania. W szczególności powinno zajmować się tym internautą ABW, policja, a następnie wymiar sprawiedliwości - tłumaczy Jarosław Zieliński.

Jak się dowiadujemy niewykluczone, że w tej sprawie politycy PiS zgłoszą do łaski marszałkowskiej odpowiedni projekt ustawy.

„PiS będzie monitorował internet. Kto podpadnie - do prokuratury” – alarmowała 1 lutego 2011 wyborcza.pl:

„W piątek odbędzie się pierwsze posiedzenie parlamentarnego zespołu ds. monitorowania internetu, w tym między innymi portali politycznych. Kto podpadnie posłom może liczyć się z zawiadomieniem do prokuratury. Nowe „ciało parlamentarne” nosi nazwę Zespół ds. Promocji Wolności Przekazu i Poszanowania Zasad Dialogu Społecznego w Komunikacji.

Prawo i Sprawiedliwość chce by internauci brali odpowiedzialność za słowa. - Mamy konkretne przykłady całych stron, czy forów, które kipią nienawiścią, obrażają konkretne osoby, w tym te które nie pełnią funkcji publicznych - mówi szef zespołu poseł Andrzej Jaworski.

- Kipią nienawiścią do PiS, czy także do innych partii politycznych - pytamy: - Do konkretnych osób, ale agresja skierowana do Prawa i Sprawiedliwości jest wyjątkowo duża - mówi poseł.

Każdy pokrzywdzony będzie mógł dochodzić swoich praw

Posłowie chcą bronić między innymi przedsiębiorców, ale także innych (np. lekarzy) przed słownymi atakami w internecie. O niebezpiecznych i agresywnych treściach posłowie będą zawiadamiać organy ścigania. Chcą też zmieniać prawo. - Aby doprowadzić do tego, że każdy będzie mógł dochodzić swoich dóbr osobistych - dodaje Jaworski.

Zespół składa się z posłów z PiS-u: Andrzeja Jaworskiego, Piotra Cybulskiego, Zbigniewa Girzyńskiego, Zbigniewa Kozaka, Maksa Kraczkowskiego, Leonarda Krasulskiego, Tomasza Latosa, i Kazimierza Smolińskiego. Poseł z PO raczej będzie miał trudności w przeforsowaniu swoich racji”.

Już kilka miesięcy później nastąpił radykalny zwrot akcji i Prawo i Sprawiedliwość wróciło do swojej starej troski o wartości ogólniejsze, niż tylko interes tej partii i bezpieczeństwo jej szefa. Organy ścigania zajęły się wtedy skromnym studentem z Tomaszowa Mazowieckiego. Posłużmy się tekstem P. Rachtana z „Kontrataków”:

Zabij Komora, zabij Kaczora, zabij...

Obłudni politycy lamentują od kilku dni nad losem biednego internauty z Tomaszowa, któremu zbrodniczy reżim Tuska wpakował się o 6 rano do mieszkania i zabrał narzędzie pracy, rozrywki i działalności publicznej, polegającej na niewinnym naigrawaniu się z osoby prezydenta. Oraz jego małżonki. Brutalni wysłannicy wła-

dzy uniemożliwili w ten sposób realizację podstawowego prawa obywatelskiego do swobody wypowiedzi, w tym - rzetelnej krytyki rządzących.

“Dzisiaj (władza - PAP) nie jest już w stanie tolerować nawet wolności w internecie” - krytykował poczynania ABW Jarosław Kaczyński.

“To co robi obecny rząd to zwyczajnie białoruskie i rosyjskie - oburzył się poseł Zbigniew Girzyński - Takie działania to tworzenie klimatu, w którym ludzie, którzy krytykują rząd, są traktowani jak pospolici przestępcy”.

Posel Paweł Poncyliusz (PJN) do kamery TVN24: “Wkrótce na ulicach będą łapanki na myślących inaczej niż władza”.

Natomiast Edyta Żyła, była rzeczniczka Zbigniewa Ziobry, uczestnicząca w briefingu psotnego internauty Frycza, zapowiedziała, że razem uruchomią nową stronę internetową zawierającą podobne treści, co antykomor.pl.

Te treści opisała w swoim oświadczeniu ABW tak: „Gry te możliwe są do pobrania i zainstalowania na komputerze bezpośrednio ze strony głównej witryny. Strona nie wymaga podania żadnych haseł ani przeprowadzenia żadnego procesu rejestracji. Czynnością wystarczającą do zainstalowania gry jest jedynie dwukrotne kliknięcie na ikonę programu (przedstawiającą Prezydenta Bronisława Komorowskiego, któremu po chwili zostaje przestrelona głowa)”.

Ani prezes, ani przewodnicząca nie ujeli się przed 5 laty za bezdomnym Hubertem H., który puścił wiązanek pod adresem ówczesnego prezydenta, za co ścigała go policja całego państwa polskiego. Wiązanek puścił z oparami alkoholu w powietrze, a nie na stronę internetową. Był to więc akt jednorazowy, chwilowy. (...)Milczał Girzyński, nie odezwał się Poncyliusz gdy pan Aleksander, 50-letni rencista z Elbląga, został przez elbląską prokuraturę poddany badaniu na okoliczność rozsyłanych e-mailem karykatur: obrazków z kaczorami-aniolkami albo kaczek z napisem „A teraz kochani wyborcy... pocałujcie nas w kupry!”.

Dziś w swawolnej grze „Komor killer” i „Komor szoter” przestrelona zostaje głowa prezydenta Komorowskiego. Jutro - może w grze wystąpi prezes Kaczyński. A pojutrze - może Poncyl straci życie, wszystko zależy od wolnej decyzji figlarza. Czy dzieci Poncyliusza, widząc swojego tatusia występującego w grze (Zabij Poncyła) uznają, że wartość wolnej wypowiedzi warta jest głupstw, które ojciec wygaduje?

Co zaś do zapowiedzi, że opozycja zawalczy o likwidację tego okrutnego art. 212, który przewiduje karę więzienia za znieważenie (np. przez dziennikarza) osoby publicznej, to niech czytelnicy pamiętają, że przed rokiem taka inicjatywę zgłosił w Sejmie minister Krzysztof Kwiatkowski z rządu Donalda Tuska. I co zrobili posłowie? Posłowie projekt odrzucili.

Tak więc Prawo i Sprawiedliwość ujawniło swój relatywizm: gdy obrażają naszego – ścigać, gdy ścigamy (słusznie) stronnika PiS – wara od niego!

Manipulacje dotyczą nie tylko mediów, także treści, które mogłyby być niekorzystnie interpretowane, a znajdują się na własnej PiS-u stronie internetowej, co zostało opisane w poniższym komentarzu:

Autocenzura Prawa i Sprawiedliwości rodem z PRL

Piotr Rachtan | Polska | 2010-11-24, Kontrateksty.pl

Z archiwum multimedialnego PiS znikły spoty wyborcze z kampanii prezydenckiej. Znikło znacznie więcej...

Nie ma przemówienia do przyjaciół Rosjan. Obejrzeć je można na YouTube, pod adresem:

<http://www.youtube.com/watch?v=wZ3EEZs39zE&feature=related> ale nie w serwisie partii.

Nie ma spotu „Fortepian i dęby”. Nie ma śladu kampanii, w której kandydat - prezes uczestniczył i zdobył 48 proc. głosów.

Z okresu między 18 marca a 9 listopada 2010 w archiwum ostały się ino dwa filmy: „Prezes PiS przed posiedzeniem RBN o propozycjach pomocy dla powodzian” z 27 maja i „Jarosław Kaczyński apeluje o rzetelne informacje w sprawie katastrofy smoleńskiej” z 1 czerwca.

W dziale „Aktualności” jedyne informacje, związane z kampanią prezydencką Jarosława Kaczyńskiego to oficjalne wyniki obu tur. Ledwie dwie informacje z długotrwałej rywalizacji!

Nie ma żadnego „Komentarza politycznego” z okresu między marcem a lipcem 2010. jakby politycy PiS nic wtedy nie publikowali.

Rzetelnych informacji o przeszłości własnej nie ma - prezes stał się własnym cenzorem, którym nie chciał być z nominacji Tadeusza Mazowieckiego. Jest nawet bardziej skuteczny, niż dawni cenzorzy z ulicy Mysiej, którzy po zmianie I sekretarza dbali tylko o to, by nazwisko starego sekretarza nie pojawiała się w gazetach. Archiwalnych numerów nie usuwano z bibliotek, co najwyżej zaliczano je do cymeliów. Dziś Jarosław Kaczyński jest bardziej skuteczny, może silniej motywowany: usuwa wszystkie ślady niektórych momentów swojego życia politycznego ze stron www.pis.org.pl, które wiążą się z obrzydliwymi dysydentami.

Na szczęście Internet nie pozwala pójść mu w ślady pozbawionych wyobraźni i rozumu dyktatorów i każdy uparciuch bez trudu trafi na te cenne dla współczesnych Polaków i przyszłych pokoleń idee, myśli, refleksje a nawet zwykłe informacje.

Dziś, przed wyborami 2015 Prawo i Sprawiedliwość nie kryje, że chce odwrócić bieg historii i odzyskać media publiczne. Pracuje nad tym Jarosław Selin, pisząc nową ustawę medialną, która zlikwiduje medialne spółki skarbu państwa i przekształci je w „narodowe instytucje kultury”. Media publiczne zostaną przekształcone w „media narodowe”, cokolwiek miałyby to znaczyć. A jeśli narodowe, to pełniące zupełnie inną misję, niż „publiczne”. Szczególnie wyraziście brzmi to pojęcie narodowych mediów, gdy przypomnimy sobie definicję PiS „Narodu jako realnej wspólnoty połączonej więzami języka i – szerzej – całego systemu semiotycznego, kultury, historycznego losu, solidarności. Dzięki temu jednostka mogła się odnaleźć jako człowiek, jej życie nabierało sensu, a poprzez mechanizm demokratyczny państwa narodowego zyskiwała też podmiotowość we wspólnocie.”

Ciekawi nas bardzo, jak w tak opisaney rzeczywistości zmieszczą się w mediach publicznych, pardon – narodowych, wciąż egzystujące w granicach Polski mniejszości, niestety – narodowe.

Zakończenie

Walka z „systemem”, „chcemy zmiany” itp.

Podobne hasła wysuwane są często w kampanii wyborczej (nie tylko przez zwolenników PiS). Warto się nad nimi zastanowić. Co to znaczy obalić „system”? System obowiązujący w Polsce to demokracja, państwo prawa i gospodarka rynkowa. Jeśli go „obalimy” to co? No to musi być albo anarchia, albo inny system. A co to jest inny system? Proste: dyktatura, państwo policyjne i gospodarka centralistyczna, taka jak w PRL (wiemy, czym się skończyła).

Pomysł „obalania systemu” powtarzany jest bezmyślnie, bez zrozumienia, co to znaczy. Tak samo postulat „zmiany”, „zmienimy Polskę”, itp. Zmienimy na jaką? Z materiału, który przedstawiliśmy w tym opracowaniu wynika, że PiS chce zmienić Polskę na dużo gorszą. 26 lat po obaleniu komunizmu mamy prąca do władzy partię, która chce przywrócić w Polsce wszystko to, co w PRL było najgorsze: dyktaturę jednej partii, a nawet jednej osoby (Jarosława Kaczyńskiego, opiszemy to dalej), centralistyczną, państwową gospodarkę („nie dla wszelkiej prywatyzacji” – wielu polityków PiS wielokrotnie), państwową służbę zdrowia, głodowe emerytury finansowane z budżetu, dyspozycyjne politycznie prokuratury i sądy, państwo podsłuchów i zbierania „haków”, cenzurę, zależne politycznie media, nauczanie fałszywej historii („polityka historyczna”), itd. Czy aby zwolennicy „obalania systemu” i „zmiany” wiedzą czego chcą?

Pelzający zamach stanu

Powtarzane od lat notoryczne kłamstwo na niemal każdy temat głęboko zapadło w świadomość wielu Polaków. Stali się sporą częścią społeczeństwa, której świadomość prawie już nie kontaktuje rzeczywistości do tego stopnia, że trudno z nimi dyskutować, bo bronią tego fałszu niczym niepodległości. Systematycznie sączone przy każdej okazji kłamstwo działa na masową skalę. I nie jest ono dziełem przypadku. Wiele wskazuje, że jest to część starannie przemyślanego planu przejęcia władzy i zmiany ustroju na autorytarny.

Nie miejmy złudzeń. Jeśli PiS osiągnie wynik wyborczy pozwalający na zmianę konstytucji, to projekt tej konstytucji znamy (opisaliśmy go w naszym raporcie). Ta konstytucja pozwala płynnie przejść z demokracji do dyktatury. Prezydent, który

może w każdej chwili, pod byle pretekstem, a nawet bez pretekstu, rozwiązać parlament, który nie ma żadnego konkretnego terminu na ogłoszenie nowych wyborów (właściwie może ich nigdy nie ogłosić, a jego decyzji nie ma kto wtedy zakwestionować), który może zmieniać wszystkich sędziów po uważaniu, w tym sędziów Trybunału Konstytucyjnego i Państwowej Komisji Wyborczej, ma umożliwić powrót do systemu podobnego do tego z czasów PRL. Prawdziwą władzę może sprawować partia (oczywiście PiS) i jej prezes, a rząd i parlament będą tylko tej władzy wykonawcami.

Wiele wskazuje na to, że praktycznie rządzić ma Jarosław Kaczyński, jako poza-konstytucyjny hegemon, za pośrednictwem swych namiestników: premiera i prezydenta, oraz zdyscyplinowanej, karnej, posłusznej do bólu większości sejmowej. A w przyszłości i Sejm może już nie być potrzebny, chyba że fasadowy, jak na Białorusi.

Czy jest możliwe funkcjonowanie takiego systemu? Jeśli złamie się wszelki opór, na przykład za pomocą tej mającej większość konstytucyjną zdyscyplinowanej maszynki do głosowania zawsze zgodnie z wolą Prezesa, jak najbardziej. Pewną próbkę takiej sytuacji mieliśmy za czasów rządu AWS, gdy była większość sejmowa, był premier, a prawdziwe decyzje podejmował Marian Krzaklewski. Brakowało mu tylko, na szczęście, dyspozycyjnego prezydenta i większej przewagi w Sejmie. No i koalicjant, Unia Wolności, nie chciał go słuchać.

Znamy też przykłady zagraniczne i historyczne. Deng Xiaoping przez 4 lata rządził Chinami będąc tylko prezesem federacji brydżowej, a przez następne 3 lata rządził całkowicie niekonstytucyjny twór: „sekretariat córek Deng Xiaopinga”. Parlament i wybory istniały też w PRL (a w praktyce rządził i tak pierwszy sekretarz PZPR), istniały w ZSRR, istnieją na Białorusi, w Rosji... W Rosji jest parlament, odbywają się wybory, a rządzi i tak Władimir Putin, który sprawuje raz funkcję premiera, raz prezydenta i właściwie nie ma znaczenia, którą akurat sprawuje. Rządzi i tak.

Kluczem do takiego systemu rządów, dyktatury z fasadowym parlamentem i nieistotnymi wyborami, jest to, czym Jarosław Kaczyński już dysponuje: zdyscyplinowana, idealnie posłuszna partia i posłuszny tej partii prezydent. Ostatnim brakującym elementem jest osiągnięcie konstytucyjnej większości w parlamencie, pozwalające na zmianę konstytucji. I to jest prawdziwym celem Kaczyńskiego. Dla tego celu gotów jest obiecać każde gruszki na wierzbie, zresztą i tak nie zamierza tych obietnic realizować.

No dobrze, ale większość parlamentarna i prezydent z tego samego środowiska politycznego, to jeszcze nic złego. Taka sytuacja parę razy w Polsce już była. Na czym więc polega różnica? Na tym, że PiS jest partią wyjątkową. Partią nie uznającą reguł gry demokratycznej, wodzowską, w której nie istnieje nawet ślad wewnętrznej demokracji. Jarosław Kaczyński pracował nad tym przez lata. Każdy, kto ośmielił się mieć jakieś niezależne poglądy, kto ośmielił się okazać jakiegokolwiek inne zdanie, niż prezes, a nawet każdy kto zaczynał mieć zagrażający monopolowi prezesa autorytet, był bezlitośnie z partii wyrzucany. I nie miał żadnych szans na skuteczne odwołanie od jednoosobowej decyzji prezesa.

A mechanizm tego jest dość prosty i zapisany w statucie. Prezes PiS ma w partii ogromną władzę:

Określa ją Art. 15. statutu

1. **Prezes PiS jest najwyższą władzą** wykonawczą PiS.

2. **Do kompetencji Prezesa PiS należy** w szczególności:

[...]

3) kierowanie:

a) bieżącą działalnością ugrupowania,

b) pracami Klubu (Koła, Zespołu) Parlamentarnego za pośrednictwem ich przewodniczących,

c) pracami Rady Politycznej oraz Komitetu Politycznego,

[...]

5) wnioskowanie w sprawach, o których mowa w Statucie, w tym w sprawie:

a) regulaminów władz naczelnych PiS,

b) wyboru, powoływania i odwoływania członków władz PiS,

6) określanie zakresu zadań i kompetencji Wiceprezesów PiS, Przewodniczącego Komitetu Wykonawczego, Skarbnika PiS,

7) udzielanie upoważnień do reprezentowania PiS w organizacjach lub strukturach powstałych w wyniku porozumień zawartych przez PiS, w tym o charakterze wyborczym,

[...]

9) przedkładanie do akceptacji Komitetu Politycznego kandydatów PiS w wyborach parlamentarnych, do Parlamentu Europejskiego oraz na urząd Prezydenta RP

[...]

Ale to nie wszystko, ponieważ

Art. 7. pozwala na:

[...]

2) wydanie **przez Prezesa** PiS postanowienia o zawieszeniu (członka PiS), w związku z uzasadnionym przypuszczeniem, iż naraził on dobre imię lub działał na szkodę PiS, w szczególności po wszczęciu przeciw niemu postępowania dyscyplinarnego do czasu rozpoznania sprawy przez Koleżeński Sąd Dyscyplinarny lub do czasu wyjaśnienia sprawy będącej przyczyną zawieszenia.

Art. 17. daje Radzie Politycznej kompetencję:

[...]

11) uchwalanie **na wniosek Prezesa** PiS szczegółowego trybu wyboru oraz działania władz PiS w formie regulaminów bądź też, w przypadku powierzenia tej kompetencji innemu organowi, określanie wytycznych.

Art. 18. (dotyczący Komitetu Politycznego PiS)

[...]

3. **Prezes PiS może określić** inne osoby uprawnione do udziału w posiedzeniach Komitetu Politycznego z głosem doradczym.

4. Komitet Polityczny **na wniosek Prezesa PiS** wybiera Sekretarza Komitetu Politycznego.

Art. 19 (określający kompetencje Komitetu Politycznego)

[...]

- 5) wybór i odwoływanie, **na wniosek Prezesa PiS**, Rzecznika Dyscyplinarnego PiS i jego 2 zastępców, Rzecznika Prasowego PiS, Pełnomocnika Finansowego Funduszu Wyborczego oraz Pełnomocnika Wyborczego i Pełnomocnika Finansowego Komitetu Wyborczego PiS,
- 6) dokonywanie na wniosek Prezesa PiS wiążącej wykładni Statutu,
- 7) w uzasadnionych przypadkach zwoływanie, **na wniosek Prezesa PiS**, posiedzeń Zjazdu Okręgowego, Zarządu Okręgowego lub Rady Regionalnej.

Statut PiS jest tak ułożony, że **większość istotnych decyzji może zapaść tylko na wniosek prezesa**. Statut nie daje w tych sprawach prawa wnioskowania nikomu innemu, a prezes nie ma żadnego terminu na złożenie tych wniosków. W praktyce może ich nie złożyć nigdy. Ponadto prezes może w każdej chwili zawiesić w prawach członka każdego wedle własnego uznania na bliżej nieokreślony czas. Teoretycznie decyzja ta musi być zatwierdzona przez Koleżeński Sąd Dyscyplinarny, ale nie ma żadnego terminu rozpatrzenia sprawy. Praktycznie prezes może też każdego z partii wyrzucić, bo ma taką władzę, że nikt mu się nie przeciwstawi. W statucie nigdzie nie zapisano, jak mają wyglądać głosowania, czy mają być jawne, czy tajne. Nigdzie nie ustanowiono takiej instytucji, jak komisja skrutacyjna. W efekcie prezes może, nie łamiąc statutu liczyć głosy sam, bez żadnej kontroli (tak było np. w sprawie odwołania Zbigniewa Ziobry od decyzji usunięcia go z partii).

Według Art. 12. statutu, prezesa *wybiera Kongres PiS*,

Ale: Art. 13. mówi, że delegatami na Kongres są, między innymi: „**Prezes PiS**, członkowie Rady Politycznej, Krajowej Komisji Rewizyjnej, Koleżeńskiego Sądu Dyscyplinarnego oraz Przewodniczący Rad Regionalnych, członkowie Rady Ministrów, sekretarze stanu, marszałkowie i wicemarszałkowie województw, posłowie i senatorowie oraz posłowie do Parlamentu Europejskiego, o ile są członkami PiS” oraz delegaci wybrani przez Zjazdy Okręgowe... A co to znaczy? To, że poza delegatami wybranymi w wyborach okręgowych, są jeszcze delegaci powołani „na wniosek prezesa” oraz członkowie władz państwowych (gdy PiS rządzi) wręcz mianowani przez prezesa (gdy jest premierem on lub jego namiestnik, np. Beata Szydło). A to sporo osób. Członkowie rządu, marszałkowie i wicemarszałkowie województw – to już dobre 30-40 osób. No a posłowie, senatorowie? No przecież praktycznie to prezes decyduje o listach wyborczych, kolejne 200-250 osób. Tą metodą prezes może wprowadzić na Kongres, jako delegatów, około trzystu swoich ludzi nie wybranych w regionach.

Art. 14 mówi: „posiedzenie Kongresu **zwołuje Prezes PiS** co najmniej raz na trzy lata”. A ponieważ kadencja trwa też 3 lata, to prezes może zwołać Kongres tyl-

ko jeden raz. W trakcie kadencji nie musi. Kongres jest więc instytucją fasadową, potrzebna tylko do wybrania władz, które dalej robią, co uważają.

Art. 16 określa, że w skład Rady Politycznej wchodzi:

- 1) **Prezes PiS**,
- 2) Wiceprezesi, Skarbnik oraz Przewodniczący Komitetu Wykonawczego PiS,
- 3) Prezesi Zarządów Okręgowych,
- 4) posłowie, senatorowie oraz posłowie do Parlamentu Europejskiego, będący członkami PiS,
- 5) do 120 członków wybranych przez Kongres,
- 6) **osoby dokooptowane na wniosek Prezesa PiS** przez Radę Polityczną do swego składu, w liczbie nie większej niż 10% składu Rady.

A więc podsumujmy: Poza 120 osobami wybranymi przez kongres, w skład Rady Politycznej wchodzi prezes i ok. 200-250 osób wybranych do Sejmu, Senatu i Parlamentu Europejskiego z list układanych przez prezesa, do tego 10% członków nie wybranych, lecz wprowadzonych na wniosek prezesa. Jak by nie liczył, jakieś 60 procent Rady Politycznej pośrednio, lub bezpośrednio mianuje prezesa.

W dodatku Art. 19. p 3. stanowi: „**Prezes PiS może podjąć decyzję w sprawach nie cierpiących zwłoki**, przypisanych do kompetencji Komitetu Politycznego. Dla jej dalszej ważności wymagane jest jej zatwierdzenie przez Komitet Polityczny na najbliższym jego posiedzeniu”.

Oczywiście z tym „zatwierdzeniem” nie będzie kłopotu.

W dodatku Art. 18. p 3. mówi: „**Prezes PiS może określić inne osoby uprawnione do udziału w posiedzeniach** Komitetu Politycznego z głosem doradczym”. Jak by było mało, to prezes może także ustanawiać grono ekspertów, którzy choć sami nie głosują, to ich opinie wpływają na sposób głosowania członków Komitetu.

Wynikającą z tego statutu praktykę można by streścić jednym zdaniem: **Właściwie prezes decyduje o wszystkim i może wszystko, co najwyżej musi trochę podawać, że są jakieś procedury i jakieś gremia.** W statucie nawet słowo „Prezes” pisane jest z dużej litery. W końcu to imię własne – Prezes jest tylko jeden – Jarosław Kaczyński. Kult Prezesa w tej partii jest niemal religijny. Prezes ma nawet przydomek: „Zbawiciel”. PiS jest jedyną polską partią, w której od początku ani razu nie zmienił się przywódca.

To wszystko pozwala prezesowi PiS uczynić z posłów i senatorów swojej partii absolutnie posłuszną maszynkę do głosowania zgodnie z jego wolą.

Można śmiało odsunąć wszelkie spekulacje, że premier, ministrowie, a nawet prezydent z PiS mogą usamodzielniać się od woli prezesa. To czysta teoria oderwana od realiów. Prezes może w każdej chwili sprawić, że premier (jeśli on sami nim nie jest) oraz ministrowie mogą w każdej chwili przestać nimi być. A prezydent? Teoretycznie jest niezależny od swej partii, ale w praktyce prezydent z PiS będzie natychmiast bezradny, gdy zadrze z prezesem. Zostanie pozbawiony zaplecza poli-

tycznego, a bez tego każdy prezydent niewiele może, a tym bardziej nie zostanie wybrany na kolejną kadencję.

W wywiadzie dla „Wprost” (15 stycznia 2007) Jarosław Kaczyński powiedział: „Chciałem rządzić, już gdy miałem 12 lat. Premierem zamierzałem zostać mając lat 34, a skończyć rząd, mając lat 91. To byłby rok 2040. To jeszcze strasznie dużo czasu.” Można by powiedzieć, że to tylko jedna megalomańska wypowiedź, ale w zachowaniu Jarosława Kaczyńskiego są elementy, które każą ją traktować na serio.

Od kilku lat systematycznie i demonstracyjnie nie uznaje on państwa polskiego, o ile on sam nie rządzi. Prezes PiS, jako jedyny szef partii reprezentowanej w parlamencie, ani razu nie przyszedł na posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego, wielokrotnie demonstracyjnie wychodził z sali sejmowej podczas wystąpień premiera lub prezydenta. Nie przyjął oferowanej mu ochrony z BOR, każde wybory, których jego partia nie wygrała, nazywał sfalszowanymi (bez żadnych na to dowodów). Przykładów wymienić można by wiele. To jest otwarte demonstrowanie postawy: nie uznaje demokracji, nie uznaje wyniku wyborów, których nie wygrałem, nie uznaje nikogo, kto nie uznaje mnie za jedyne go prawowitego władcę. Tak się nie zachowuje polityk w demokratycznym państwie, tak się zachowuje uzurpator do roli dyktatora.

Do tego dochodzi u części polityków tego środowiska trudno skrywana obsesja podsłuchiwania, nagrywania, gromadzenia „haków”, prowadzenia „teczek” (Lech Kaczyński, gdy był ministrem sprawiedliwości w rządzie AWS-UW, polecił prokuraturze dostarczać mu akta wszystkich spraw z udziałem polityków i innych znanych osób, podsłuchami zbierał „haki” na przeciwników politycznych Mariusz Kamiński, Zbigniew Ziobro nagrywał Andrzeja Leppera, Arkadiusz Mularczyk starał się dyskredytować sędziów TK „teczkami” z IPN, itd.).

Zastanawiający jest przebieg tzw. „afery podsłuchowej”. Po pierwsze PiS systematycznie przedstawia ofiary przestępstwa (nielegalnie nagranych) tak, jakby byli sprawcami przestępstwa. Po drugie, dziwnym trafem nie ujawniono dotąd ani jednego nagrania polityków PiS. Nie wiadomo, czy za nagraniami stoi tylko biznesmen Falenta, czy ktoś jeszcze. Widać za to, że tajemniczy ktoś nadal dysponuje magazynem nagrań i w odpowiednich momentach je dawkuje, zawsze na korzyść PiS. Nie robi tego Falenta, bo nowe nagrania wyciekały do mediów (zawsze tych przychylnych PiS), gdy on siedział w areszcie.

Jest wiele elementów, składających się na obraz długotrwałego zaplanowanego działania, które można określić pelżającym zamachem stanu. Takim elementem jest na przykład sposób, w jaki PiS wyprowadził w pole swoich koalicjantów:

1. Z PiS-u stopniowo wyrzucani byli politycy zagrażający prezesowi (albo tacy, których prezes podejrzewał, że mu zagrażają).
2. Wyrzuceni z PiS utworzyli oddzielne niewielkie partie (np. Solidarna Polska)
3. Te partie zyskały pewne poparcie wyborców, którzy mieli podobne poglądy, ale nie do końca podobało się im postępowanie Jarosława Kaczyńskiego.
4. Poparcie dla tych partii było za małe, by mogły wejść do Sejmu.
5. Przed wyborami prezes proponował im, oraz uciekinierom z innych partii (np. Gowinowi) koalicję.
6. Koalicja skonsumowała poparcie wszystkich pod wodzą PiS.

7. Politycy tych mniejszych partii dostali na listach wyborczych dalekie miejsca, ze znikomymi szansami wejścia do Sejmu, lub nie dostali miejsc wcale.

8. Komitet wyborczy został zgłoszony do PKW jako tylko komitet PiS.

Podsumowując: PiS przejął ich wyborców, a im samym pokazał figę. Trudno się oprzeć wrażeniu, że było to dobrze zaplanowane.

Co z tego wszystkiego wynika?

Zapowiada się więc taka struktura władz państwa (jeśli PiS wygra wybory), w kolejności ważności:

1. Naczelnik – Hegemon – Jarosław Kaczyński
2. Podległy mu prezydent Andrzej Duda
3. Podległa mu premier Beata Szydło
4. Podległa mu większość parlamentarna wykonująca bez szemrania jego decyzje.

Jeśli Szanowny Czytelniku widzisz tu jeszcze jakąś demokrację, to radzimy przetrzeć oczy.

Naszym zdaniem, powstanie takiej sytuacji jest niezwykle poważnym zagrożeniem dla Polski.

Zupełną natomiast katastrofą byłaby taka sytuacja, w której PiS zyskałby większość pozwalającą zmienić konstytucję.

Na jaką?

Przecież to opisaliśmy.

